



# Ann Cleeves

Przełożył  
Sławomir Kędzierski

## DŁUGI ZEW

*Tytułowy długi zew to krzyk mewy srebrzystej: złowieszczy i przyprawiający o gęsią skórę. Taka też jest najnowsza powieść Ann Cleeves. Czytałam ją z narastającą trwogą, ale też zafascynowana tak znakomicie poprowadzoną historią. Hipnotyzująca lektura!*

Marta Matyszczak



DŁUGI  
ZEW

# Ann Creeves

DŁUGI  
ZEW

Przełożył  
Sławomir Kędzierski



Tytuł oryginału: *The Long Call*  
Copyright © Ann Cleeves, 2019  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie, 2021  
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski  
Marketing i promocja: Greta Kaczmarek  
Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak  
Korekta: Joanna Pawłowska, Agata Tondera  
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl  
Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie  
Fotografie na okładce:  
Anthony DELANOIX,  
Conrad Ziebland,  
Janine Robinson © Unsplash  
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66657-97-7

CZWARTA STRONA  
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
redakcja@czwartastrona.pl  
www.czwartastrona.pl

Dla Issy, Martina, Paula i Sue,  
bez których książka ta nigdy by nie powstała





# *Rozdział pierwszy*

W dniu, w którym znaleziono zwłoki na brzegu, Matthew Venna prześladowały myśli o śmierci i umieraniu. Stał przed Krematorium Północnego Devonu na przedmieściu Barnstaple, nad rabatą fioletowych krokusów rozpościerających się niczym jezioro przy jego stopach, i obserwował z oddali karawan wiozący jego ojca do domu pogrzebowego. Kiedy mała grupka żałobników zniknęła w środku, podszedł bliżej. Nikt nie kwestionował jego prawa, aby tu się znajdował. Wyglądał jak godny szacunku mężczyzna, taki, który nosi garnitury i stonowane krawaty, przedwcześnie posiwiały i stateczny. Żaden awanturnik czy człowiek łamiący zasady. Matthew pomyślał, że mógłby być pastorem, który trochę się spóźnił na mszę. Albo nieśmiałym uczestnikiem pogrzebu, zawstydzonym i ze skruszoną miną, o delikatnej skórze i smutnym spojrzeniu. Ktoś obcy, kto widziałby go po raz pierwszy, mógłby oczekiwać od niego współczucia i odrobiny pociechy. W rzeczywistości Matthew był pełen gniewu, ale już dawno temu nauczył się ukrywać emocje.

Spojrzał w dół, upewniając się, że nie zdeptał kwiatów, a potem ruszył pomiędzy nagrobkami w kierunku ścieżki. Drzwi do domu pogrzebowego zostawiono otwarte – jak na tak wczesną porę roku był ciepły dzień – i słyszał odbywające się wewnątrz nabożeństwo. Głęboki, pełen przejęcia tembr głosu, który poznałby wszędzie: Dennis Salter zagrzewający swoje wojska, przekonujący je, że Andrew Venn jest w niebie i nawet jeśli jest im przykro, nie powinni smuć się odejściem ich brata. Potem rozległy się ciężkie sapnięcie organów elektrycznych i powolna, spokojna melodia pieśni, którą Matthew rozpoznawał, choć nie potrafił jej nazwać. Wyobraził sobie



Alice Wozencroft zgięta wpół nad klawiaturą, ubraną całkowicie na czarno, z dłońmi o palcach jak szpony, nosem przypominającym dziób ptaka. Przywodziła na myśl wronę tak bardzo, jak tylko to możliwe. Była stara, nawet kiedy był jeszcze chłopcem, z racji tradycji rodzinnej członkiem Bractwa Barum. Radością i nadzieją jego rodziców na przyszłość. A teraz okazał się wyrzutkiem. Trwał pogrzeb jego ojca, on jednak nie byłby na nim mile widziany.

Pieśń zakończyła się ponurymi nutami; odwrócił się, by odejść. Wkrótce nabożeństwo się zakończy. Trumna z ciałem jego ojca przesunie się za zasłonę i zostanie zmieniona w popiół. Mała grupka przeważnie starych kobiet zbierze się na słońcu, żeby porozmawiać, a potem być może pójdą do domu jego matki na herbatę i domowe ciasta. Małe kieliszeczki słodkiego sherry. Może mimochodem ktoś wymieni jego imię. Ci ludzie będą rozumieli, że pogrążonej w smutku kobiecie może brakować w takim momencie jedyne go syna, ale mimo całego współczucia nikt nie będzie miał wątpliwości, że nie powinien zostać zaproszony. Sam postanowił opuścić Bractwo.

Matthew stał przez chwilę, rozmyślając o tym, że jego brak wiary nie był wynikiem wyboru. Wątpliwości były rakiem, który rozwijał się nieproszony. Odpędził od siebie poczucie winy, które wciąż gdzieś w nim tkwiło, fizyczne niczym ból zęba. Źródło jego gniewu. Poszarpane resztki wiary, które zmuszały go do myślenia, że ojciec – jego duch lub dusza – może obserwować go z jakiegoś miejsca, wciąż rozczarowany synem. A potem ruszył szybkim krokiem do samochodu.

Telefon zadzwonił, gdy już niemal do niego dotarł. Oparł się o mur cmentarza, wystawiając twarz do słońca. Dzwonił Ross May, kolega posterunkowy. Energia Rossa męczyła Venna. Matthew czuł, jak z sykiem mknęła przez eter do jego ucha. Ross uwielbiał chodzić, krzyczeć i podnosić ciężary. Należał do miejscowego klubu biegaczy i do drużyny rugby. Miał wrażenie, że stale grał zespołowo. Wszędzie – z wyjątkiem pracy.

– Szefie? Gdzie jesteś?

– Poza domem. – Matthew nie był w nastroju, by informować Rossa Maya o miejscu swojego pobytu.

– Możesz tu wrócić? Ktoś znalazł zwłoki na plaży koło Crow Point. Twoja okolica.

Matthew zastanowił się chwilę.

– Wypadek? – To się zdarzało, nawet przy bezwietrznej pogodzie. Pływy w tym miejscu były zdradliwe. – Ktoś wypadł z łódki i wyrzuciło go na brzeg?

– Nie. Ubranie było suche i ciało znaleziono powyżej linii przyływu. I ma ranę kłutą. – Matthew jak dotąd słyszał Rossa tak podnieconego tylko przed wybiegnięciem na ważny mecz.

– Gdzie jesteś?

– W drodze. Jen jedzie ze mną. Dopiero co dostaliśmy wiadomość. Na miejscu jest pies, który przyjechał tam po zgłoszeniu. Podobnie jak ty, centrala uważa, że mógł to być wypadek.

*Pies.* Matthew powstrzymał się od skrytykowania braku szacunku do kolegi. *Będiesz dalej tak mówił o koledze funkcjonariuszu, to sam wrócisz do chodzenia w mundurze.* Ale to nie był właściwy moment. Matthew wciąż był nowy w zespole. Zachowa swój komentarz do następnej oceny okresowej. Poza tym Ross był pupilkiem nadkomisarza i warto było zachować ostrożność w rozmowach z nim.

– Spotkamy się na miejscu. Zaparkuj na końcu płatnej drogi i pójdziemy stamtąd na piechotę. – Ostatnią rzeczą, której by chcieli, było ugrzęźnięcie samochodu w piasku na ścieżce do cypla.

Na początku sezonu ruch turystyczny był niewielki. W połowie lata Venn jechałby do domu z komendy policji w Barnstaple ponad godzinę tuż za jakimś wielkim samochodem blokującym wąskie drogi, który wyglądałby absurdalnie nawet na londyńskim przedmieściu, gdzie był zarejestrowany. Dzisiaj przemknął po nowym moście na Taw, w górze rzeki dostrzegł Rock Park i szkołę, do której chodził. Był wtedy marzycielem uciekającym w opowieści, zatracającym się w długich, samotnych spacerach. Wyobrażającym

sobie, że jest przyszłym poetą. Nikt inny nie postrzegał go w ten sposób. Był anonimowym dzieckiem, jednym z tych, o którym łatwo zapominają nauczyciele i inni uczniowie. Kiedy kilka lat temu pojawił się na zjeździe koleżeńskim, uświadomił sobie, że miał niewielu prawdziwych przyjaciół. Był zbyt wielkim konformistą, zbyt bogobojnym, by wyszło mu to na dobre. Rodzice powtarzali, że zostanie wielkim kaznodzieją, i wierzył im.

Ocknął się, gwałtownie wracając do teraźniejszości, gdy wjechał do Braunton. Dorastał w tej wiosce. Teraz sprawiała wrażenie małego miasteczka, nie na samym wybrzeżu, jakby bramy do niego. Dzieciaki wychodziły ze szkoły. Usiłował zapanować nad zniecierpliwieniem przy światłach w centrum. Potem skręcił w lewo, w kierunku ujścia, gdzie Taw zbliżała się do Torridge i wpadała do Atlantyku. W oddali na północy widniał fragment masywu Baggy Point, z białym sześcianem wielkiego hotelu tuż poniżej linii horyzontu. Monumentalnego, ale jednocześnie z tej odległości i przy takim oświetleniu jakby niematerialnego.

Jak powiedział Ross, to było jego terytorium, ale ponieważ zbliżał się do miejsca przestępstwa, Matthew zwracał uwagę na szczegóły. Mały kompleks przemysłowy, w którym produkowano deski surfingowe i eleganckie ubrania turystyczne, pasiaste pola przywrócone do życia, aby można było dostarczać przyjezdnym i wczasowiczom warzyw z tak modnych upraw ekologicznych. Droga zwężała się. Po obu jej stronach tkwiły murki z ułożonych bokiem kamieni, z żywopłotami na szczycie. Już widać było wierzbowe baze, a wkrótce pojawią się pierwiosnki. W zasłoniętych od wiatru częściach ich ogrodu były w pełnym rozkwicie. Kiedy Matthew dotarł do mokradeł, niebo jakby się powiększyło i jak zawsze jego nastrój się poprawił. Gdyby nadal wierzył we Wszchemogącego, być może uznałby swoją reakcję na tę przestrzeń i światło za przeżycie religijne. Zima była mokra, a rowy oraz jeziora – pełne po brzegi, przyciągały mewy i ptaki brodzące. Równiny wciąż były w zimowych barwach – szare, brązowe i oliwkowe. Nie widziało się stąd morza, ale kiedy Venn wysiadł z samochodu, był w stanie wyczuć jego

zapach, a podczas sztormu mógłby również je usłyszeć – grzywacze łamiące się na długiej plaży ciągnącej się wiele mil w kierunku wioski Saunton.

Wjechał na płatną drogę prowadzącą do rzeki i zobaczył stojącego przy niej funkcjonariusza w mundurze oraz samochód patrolowy zaparkowany na poboczu naprzeciwko domku poborcy myta. Policjant już miał dać znak, że ma zawrócić, ale rozpoznał go i podniósł szlaban. Matthew przejechał trochę dalej, zatrzymał się i nacisnął guzik opuszczający szybę.

– Byłeś pierwszy na miejscu zdarzenia?

– Tak, zgłoszono je jako wypadek. – Mężczyzna był młody i wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości. Matthew nie pytał, czy to jego pierwsze zwłoki, ale z całą pewnością po raz pierwszy miał do czynienia z morderstwem. – Pańscy koledzy już tam są. Postawili mnie tutaj, żebym trzymał ludzi z daleka.

– Bardzo słusznie. Kto znalazł ciało?

– Kobieta spacerująca z psem. Mieszka w jednym z tych nowych domów w Chivenor. Załatwiła z sąsiadką, żeby odebrała jej dziecko ze szkoły, ale chciała być na miejscu, kiedy wróci. Sprawdziłem więc jej tożsamość, zapisałem adres i numer telefonu i pozwoliłem jej odejść. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

– Doskonale. Nie ma potrzeby, żeby się tu kręciła. – Venn umilkł na chwilę. – Czy są tam jakieś inne samochody?

– Już nie. W chwili, kiedy przyjechałem, para w starszym wieku wróciła do swojego volvo. Spisałem ich nazwiska, adresy i numery rejestracyjne, ale poszli na spacer w innym kierunku i twierdzą, że nic nie widzieli. Wciąż jeszcze uważałem, że był to wypadek, więc nie wypytywałem ich za bardzo i pozwoliłem im odjechać.

– Nie wiem, na jak długo tu utkniesz – oznajmił Matthew. – Przyślę kogoś na zmianę, jak tylko będzie to możliwe.

– Nie ma problemu. – Funkcjonariusz ruchem głowy wskazał domek. – Musiałem im wyjaśnić, co się stało; już tu byli i zaproponowali herbatę. Powiedzieli, że będą mieli oko na drogę, jeżeli będę musiał pójść do toalety.

– Wróćę, żeby z nimi porozmawiać. Możesz ich poprosić, żeby pozostali na miejscu, dopóki z nimi nie pogadam?

– Och, nie przepuściliby takiej okazji za nic w świecie.

Matthew skinął mu głową i pojechał dalej. Okno miał nadal opuszczone i teraz słyszał fale rozbijające się na plaży i krzyk mewy srebrzystej, dźwięk, który przyrodnicy nazywali „długim zewem”, zawsze sprawiający na nim wrażenie nieartykułowanego wrzasku bólu. Słyszał też dźwięki dobiegające z domu. Droga zakręcała i mógł go zobaczyć. Ich dom. Biały i niski, osłonięty przed najgorszymi wiatrami szpalerem pochylonych jaworów i głogów. Dom rodzinny, chociaż jeszcze nie mieli rodziny. Było to tematem rozmów i wisiało w powietrzu. Być może byli zbyt egoistyczni. Kupili to miejsce tanio, ponieważ było narażone na zatopienie. W przeciwnym razie nigdy nie byłoby ich na nie stać. Gdyby przyszedł wysoki przypyływ i wichura z zachodu, wał ochronny mógłby zostać przerwany i wody Taw zalałyby mokradła. A wtedy znaleźliby się na wyspie. Ale widok i przestrzeń równoważyły ryzyko.

Nie zatrzymał się, aby otworzyć bramę do ogrodu, ale jechał dalej, do chwili, gdy zobaczył samochód Rossa. Wtedy zaparkował. Wspinał się na wąski szereg wydmy do chwili, kiedy mógł spojrzeć w dół, na wybrzeże. Rzeka w tym miejscu była szeroka i trudno było zgadnąć, gdzie kończy się Taw, a zaczyna Atlantyk. Nieco dalej przed nim druga rzeka Północnego Devonu, Torridge, wpadała do morza w Instow. Crow Point wychodził w wodę po tej stronie ujścia, obecnie kruchy, zerodowany przez pogodę i wodę, dostępny jedynie na piechotę. Słońce wisiało nisko, barwiąc złotem powierzchnię morza i rzucając długie cienie. Zmrużył oczy, aby dostrzec postacie w oddali. Małe figurki jak na obrazach Lowry’ego, niemal zagubione w rozległej perspektywie piasku, morza i nieba. Zszedł z wydmy na plażę i poszedł w ich kierunku, tuż poniżej linii przypyłwu.

Stali w pewnej odległości od ciała, czekając na przybycie anatomopatologa i techników kryminalistycznych z ochronnym namiotem. Matthew pomyślał, że mają szczęście, bo dzień jest

bezwietrzny, a zwłoki znaleziono na suchym piasku, daleko od wody. Wichura zerwałaaby odsłonięty ze wszystkich stron namiot i poniosła go w pół drogi do Ameryki, a wysoki przyptyw zabrałby ciało. Nie było presji czasu, bo tylko spacerowicze i wyprowadzający psy mogli chcieć odzyskać plażę. Pozostawała jedynie zwyczajna potrzeba, aby jak najszybciej poinformować krewnych o śmierci bliskiego i rozpocząć dochodzenie.

Jen i Ross wypatrywali go i Jen pomachała ręką, gdy tylko zszedł na brzeg. Tkwiący w Matthew purytanin nie akceptował postawy Jen, pracującej z nim sierżant. Urodziła dzieci w zbyt młodym wieku, uwolniła się od toksycznego męża i wyrzekła się swoich związków z Północą, aby dostać posadę w Policji Hrabstw Devon i Kornwalia. Teraz miała już nastoletnie dzieci i cieszyła się przyjemnościami życia, które ominęły ją, gdy była dwudziestolatką. Ostro imprezowała i popijała. Gdyby była mężczyzną, można by ją nazwać drapieżnikiem. Ruda i zapalczywa, sprawna i bardzo ładna, lubiła, kiedy jej mężczyźni byli tacy sami. Ale wbrew swoim uprzedzeniom Venn podziwiał jej odwagę i ducha. Wnosiła do firmy wesołość i śmiech i była najlepszym detektywem, z jakim do tej pory pracował.

– No i co tu mamy?

– Trudno powiedzieć, dopóki nie będziemy mogli obejrzeć go dokładnie. – Ross odwrócił się w stronę ofiary.

Matthew spojrział na mężczyznę. Leżał na plecach na piasku i widać było ranę na piersi, zaplamione krwią ubranie.

– Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że to wypadek?

– Kiedy znalazła go ta kobieta, leżał na brzuchu – wyjaśnił Ross. – Mundurowy obrócił go na plecy. – Przewrócił oczami, ale Matthew domyślał się, co zaszło. Leżący w pierwotnym położeniu człowiek *mógł* wyglądać jak ofiara wypadku, a funkcjonariusze z lokalnych posterunków nie mieli zapewne dość doświadczenia z niewyjaśnionymi zgonami.

Mężczyzna ubrany był w wypłowiałe dżinsy, krótką dżinsową kurtkę nałożoną na czarny podkoszulek oraz buty, które widziały już lepsze czasy, ze startymi podeszwami i prawie z dziurą na pięcie.

Włosy miał pokryte piaskiem, trudno było ustalić ich barwę. Na karku miał wytatuowanego ptaka. Matthew nie był specjalistą, ale ptak miał długie skrzydła. Może głupek albo albatros przedstawiony w delikatnych odcieniach szarości. Venn uznał, że ofiara jest drobnej budowy ciała i nie wygląda na kogoś w podeszłym wieku, ale trudno było zgadnąć coś więcej. Ross wiercił się jak dziecko z ADHD. Stanie nieruchomo było dla niego torturą. *Trudno*, pomyślał Matthew. *Najwyższa pora, abyś nauczył się z tym żyć.* W Rossie było coś z rozpieszczonego uczniaka. Miał nażelowane włosy, nosił markowe koszule i nie był w stanie zrozumieć innych sposobów widzenia świata. Sprawiał wrażenie zawsze pewnego siebie. Małżeństwo z Melanie, którą Jen nazwała kiedyś idealnym modnym dodatkiem, nie zmieniło go. Podziw żony co najwyżej podbudował jego przerośnięte ego.

– Mam zamiar porozmawiać z ludźmi, którzy mieszkają w domku poborcy myta. Bramka jest obecnie automatyczna, po prostu wrzuca się monety do pojemnika, ale znają stałych klientów i mogli zobaczyć coś nietypowego. – Matthew odwrócił się już, żeby wrócić wzdłuż brzegu do samochodu i rzucił przez ramię: – Jen, idziesz ze mną. Ross, poczekaj na patologa. Daj mi znać, kiedy przyjedzie.

Widząc kątem oka rozczarowaną minę Rossa, poczuł idiotyczną, dzieciennie złośliwą radość.







## *Rozdział drugi*

Maurice Braddick martwił się o córkę. Pracownik z ośrodka opieki dziennej zasugerował, aby pozwolić Lucy na więcej samodzielności. Opiekunka społeczna zaproponowała, aby pozwolić Lucy na więcej samodzielności: *Pozwól jej samej wracać autobusem z miasta. Zadbamy, żeby była w odpowiednim czasie na przystanku, a ty mieszkasz na końcu trasy. Nie ma obawy, że Lucy pomyli przystanki. Będzie mogła dojść do domu ulicą. Zna drogę.*

Maurice wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Lucy miała obecnie trzydzieści lat, a on osiemdziesiąt. Starzał się. Lucy była późnym dzieckiem, jak powiedziała Maggie, małym cudem. Ale teraz Maggie nie żyła, a on nie był już tak silny jak kiedyś. Zawsze uważał, że on odejdzie pierwszy, ponieważ by od niej dziesięć lat starszy. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że to on ją przeżyje i będzie musiał podejmować decyzje, trzymać wszystko razem. Opiekunka społeczna uważała, że nie będzie w stanie długo zajmować się swoją dużą, uroczą, ale bezradną córką, ponieważ miała problemy z przyswajaniem wiedzy. Uważała, że Maurice powinien zadbać o to, co się stanie z Lucy, kiedy go zabraknie. Może było to rozsądne, ale on sam uważał, że opiekę społeczną mniej obchodzi samodzielność Lucy, a bardziej oszczędzanie na taksówkach opłacanych przez zarząd.

Od wprowadzenia tych nowych procedur każdego dnia czekał przy oknie, wypatrując córki idącej uliczką. Mieszkali w małym domu na skraju wioski Lovacott. Żył w nim razem z Maggie od chwili zawarcia małżeństwa. Wtedy stanowił własność rady miejskiej, ale kiedy zmieniły się przepisy, kupili go jako inwestycję dla Lucy. Był to

bliźniak na końcu szeregu ośmiu budynków ustawionych łukiem wokół kawałka trawy, na którym dzieciaki czasem grały w piłkę. Z tyłu był długi ogród z widokiem na dolinę i dalej, na Exmoor. Obecnie Maurice spędzał większość czasu właśnie tutaj. Hodował warzywa i miał pół tuzina kur. Dorastał na farmie i pracował jako rzeźnik w sklepie w Barnstaple. Wiedział więc wszystko o zwierzętach domowych – żywych i martwych. Lucy nie przepadała za zdrową żywnością, ale niekiedy można było ją namówić na to, by sama zerwała parę liści sałaty albo przyniosła parę jajek z kurnika. Na chwilę zamyślił się, żałując, że dawne Barnstaple odeszło w przeszłość. Wtedy w uliczce rzeźników pełno było sklepów z mięsem i wędlinami. Obecnie w sklepikach wychodzących na plac targowy znajdowały się eleganckie delikatesy i miejsca, gdzie sprzedawano badziewie dla turystów. Nie pozostał ani jeden prawdziwy rzeźnik.

Stał w oknie pokoju dziennego, ponieważ stąd najlepiej widział drogę z wioski. Za każdym razem, gdy tylko dostrzegł, jak córka wychodzi z za rogu, cofał się, żeby nie zorientowała się, że czeka na nią i się martwi. Na parapecie ustawiono zdjęcie Lucy, jedno z jego ulubionych. Stała między dwiema przyjaciółkami – Chrissie Shapland, która też miała zespół Downa, i młodą Rosą Holsworthy. Obejmowały się. Uśmiechały się do obiektywu. Znowu wyjrzał na zewnątrz, ale wciąż nie było widać Lucy idącej drogą.

Jeżeli po południu padało, Maurice był zadowolony, ponieważ dawało mu to pretekst, żeby pojechać na przystanek i poczekać na autobus. Lucy nie lubiła moknąć. Jeśli jednak było słonecznie jak dzisiaj, czekał. Przekonał się, że zawsze lepiej robić, co mu mówiono, a poza tym uwielbiał triumfalny uśmiech Lucy wychodzącej z za rogu z torbą przewieszoną przez ramię, dumnej, że dotarła samodzielnie do domu. Na jej widok od razu poprawiał mu się nastrój. Dzisiaj trochę się spóźniała. Autobus powinien był przyjechać dwadzieścia minut temu, a z przystanku do domu szło się dziesięć. Właśnie zastanawiał się, czy nie podejść do szosy, żeby

sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, kiedy wreszcie pojawiła się, pulchna jak pączek, ubrana w żółtą sukienkę, którą tak lubiła.

Kiedy podeszła bliżej, pomachała mu, ale nie uśmiechnęła się szeroko. Być może dojście do domu stało się rutyną, a może nawet niemiłym obowiązkiem. Lucy nigdy nie przepadała za ćwiczeniami fizycznymi. Również w tej sprawie opiekunka społeczna go dręczyła. *Zauważyliśmy, że Lucy przybiera trochę na wadze, panie Braddick. Powinien pan uważać na to, co je, ograniczyć wszystkie tłuszcze i cukier. Ani trochę czekolady! A może będzie pan zabierał ją na pływalnię? Cieszy się, kiedy idą tam z ośrodka. A może chodzilibyście razem na spacer, kiedy pogoda jest dobra?* Maurice pomyślał, że łatwo im doradzać. Nie musieli znosić jej dąsów, kiedy nie mogła postawić na swoim. I doprawdy, co komu szkodzi to, że dziewczyna lubi mieć kawałek ciasta do herbaty? Poza tym on sam też nie bardzo lubi spacerować i nigdy nie nauczył się pływać.

Poszedł do drzwi frontowych, żeby przywitać ją po wejściu.

– Wszystko w porządku, panienko? Może nastawię czajnik i opowiesz mi, jak minął dzień? – Od kiedy przeszedł na emeryturę, Lucy miała bogatsze życie towarzyskie niż on i lubił słuchać, jak opowiada o tym, co robiła. To była jakaś odmiana od telewizji. To Maggie nawiązywała przyjaźnie i teraz już większość jej znajomych z wioski przestała utrzymywać z nim kontakt. Niektórzy przyszli do niego po jej śmierci, ale nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Po prostu chciał wtedy być sam, teraz jednak uznał, że ucieszyłoby go ich towarzystwo.

Lucy przełożyła nad głowę pasek torby i zdjęła fioletowy kardigan, który miała na swojej żółtej sukience.

– Dziś nie było w autobusie mężczyzny.

– Ooo? – Stał w kuchni, czajnik był włączony i nie poświęcił jej pełnej uwagi. Otworzył puszkę z herbatnikami i postawił na stole. – Co to za mężczyzna?

– Mój przyjaciel. Przez większość dni siada obok. Rozśmiesza mnie. – Poszła za Maurice'em do kuchni i stanęła oparta o framugę drzwi. Mówiła zmartwionym tonem i teraz słuchał w skupieniu. Już

kiedy widział, jak bez uśmiechu idzie w kierunku domu, uświadomił sobie, że zdarzyło się coś niedobrego. – Czekałam, kiedy wysiadłam z autobusu, bo mógł przyjść, żeby tam się ze mną spotkać.

– Znasz go z Woodyard? – Lucy nie była jedyną osobą z ośrodka dziennej opieki, którą zachęcano do większej samodzielności.

Pokręciła głową.

– Nie przychodzi do ośrodka dziennej opieki. Ale widziałam go przedtem. W autobusie. Zdradza mi tajemnice. – Znowu zmarszczyła brwi. Miała idealną wymowę z Północnego Devonu, podobnie jak on. Zawiesista jak śmietana, którą zbierała z mleka jego matka. Nie zawsze rozumiała dla obcych, ale mu odpowiadała, pasowała do jej nastrojów.

– Skąd jest, panienko? – Maurice'owi się to nie podobało. Lucy była ufną osobą. Każdy, kto okazywał jej życzliwość, był potencjalnym przyjacielem. Albo chłopakiem. Maggie swego czasu usiłowała z nią o tym rozmawiać, o ludziach, których może przytulać, i o takich, od których powinna trzymać się z daleka, ale on nie potrafił znaleźć właściwych słów.

– Nie wiem. – Odwróciła wzrok. – Po prostu widuję go. – Wyraźnie dawała znać, że nie ma ochoty odpowiadać na pytanie. Kiedy zechciała, potrafiła być uparta jak muł.

Maurice odwrócił się i spojrzał na nią.

– Czy zrobił kiedyś coś złego? Sprawił ci jakąś przykrość?

Pokręciła głową i usiadła ciężko.

– Nie! – Jakby taki pomysł był absurdalny. – To mój przyjaciel. – Twarz miała wciąż zaczerwienioną od wysiłku spowodowanego dojściem do domu.

– I nie zrobił niczego niewłaściwego? Nie dotykał cię? – Maurice starał się, by w jego głosie nie zabrzmiał niepokój. Lucy lepiej wyczuwała ton głosu rozmówcy, niż rozumiała słowa.

– Nie, tato. Zawsze był dla mnie miły. – I znowu na jej twarzy pojawił się ten cudowny uśmiech, który rozświetlał pokój i sprawiał, że świat wydawał się lepszy.

Maurice poczuł ulgę. Nie wiedział, jak dałby sobie radę, gdyby ktoś skrzywdził jego córkę. Przed śmiercią Maggie obiecał jej, że zawsze będzie opiekował się Lucy. Przez chwilę widział we wspomnieniach przegrzany pokój w hospicjum. Maggie, chuda i koścista, z włosami tak cienkimi, że prześwitywała przez nie różowa skóra, ściskająca jego rękę. Przejęta. Domagająca się, by przysiągł. Powinna znać go lepiej, wiedzieć, że kocha Lucy tak bardzo jak ona. I być może wiedziała – potem uśmiechnęła się, przeprosiła go, podniosła jego dłoń do ust i pocałowała. Odpędził od siebie to wspomnienie.

– Dawał mi słodycze – powiedziała Lucy. – Każdego dnia w autobusie dawał mi słodycze.

To znowu wzbudziło niepokój Maurice'a. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do opiekunki społecznej i nie powiedzieć jej, że Lucy nie jest bezpieczna, gdy jeździ sama autobusem. Jeżeli będzie musiał, uciula jakieś pieniądze i sam będzie płacił za taksówkę.

– A gdzie ten mężczyzna zazwyczaj wysiadał z autobusu? – Maurice postawił przed Lucy kubek z herbatą. Lubiła słabą i z dużą ilością mleka.

– Tutaj – odpowiedziała. – Ze mną. Dlatego się spóźniłam. Czekałam, bo pomyślałam sobie, że może przyjechał innym autobusem i przyjdzie, żeby się ze mną spotkać.

– Może w takim razie zobaczysz go w wiosce?

Wyciągnęła rękę i wzięła herbatnik z puszki. Kiwnęła głową, ale Maurice widział, że przestała zwracać na niego uwagę. Teraz była z tatusiem, miała swoją herbatę, ciasteczko i wydawało się, że zapomniała o tym mężczyźnie. Wszelkie myśli, które mogłyby ją niepokoić, zniknęły.







## Rozdział trzeci

Kobieta otworzyła drzwi domku poborcy myta, niemal zanim zdążyli wysiąść z samochodu. Była w niej jakaś głodna, desperacka żądza informacji.

– Jestem komisarz Venn – oświadczył Matthew. – A to sierżant Rafferty.

– Hilary i Colin Marstonowie. Przyszliście w sprawie zwłok. – Zmierzyła ich wzrokiem. – Jesteście detektywami. Ten wasz człowiek powiedział, że to nagła śmierć. Ale nie z przyczyn naturalnych, prawda?

– Czy moglibyśmy wejść i zadać parę pytań?

– Oczywiście. – Cofnęła się, wpuszczając ich do korytarza. Przed schodami na dole stała para gumiaków, na kołku wisiała impregnowana kurtka, a obok niej elegancki, czarny płaszcz, który wydawał się w tym domku dziwnie nie na miejscu.

Trudno było określić wiek kobiety. Miała ufarbowane, niemal czarne włosy i makijaż. *Sporo po pięćdziesiątce? A może tuż po sześćdziesiątce?* – zastanawiał się Venn. Była grubokoścista, silna i wyższa od mężczyzny stojącego za nią w korytarzu. Ubrana była w czarne spodnie i czarny żakiet założony na białą bluzkę. *Typowy ubiór managerów średniego szczebla*, pomyślał. Płaszcz musiał należeć do niej. I znowu strój sprawiał wrażenie nieodpowiedniego tutaj, na skraju mokradeł.

Jej mąż wyglądał na bardziej pasującego do tego miejsca. Był niski, krągły, wełniany sweter opinał mu się na brzuchu. Matthew uznał, że wprowadzili się tu niedawno, mieli lekko wyczuwalną wymowę z English Midlands, a on sam pamiętał poprzednich

mieszkańców – małżeństwo w podeszłym wieku, które wychodziło, aby pobrać opłatę i pogawędzić trochę w Boże Narodzenie. Być może założono automatyczny szlaban, ponieważ staruszkowie odeszli na emeryturę. A może któreś z nich zmarło. Venn miał wrażenie, że dziś myśli tylko o śmierci. Kobieta wprowadziła ich do pokoju dziennego, mężczyzna również wszedł do środka. Pomieszczenie było zagracone, trochę nieporządne. Niezadbane. Zupełnie jakby byli tu tymczasowo. Matthew zastanawiał się, dlaczego tu zamieszkali. Przez chwilę wszyscy siedzieli w niezręcznym milczeniu, przyglądając się sobie nawzajem nad niskim stolikiem z pomarańczowego drewna sosnowego.

Jen Rafferty odezwała się pierwsza, podczas gdy on nadal przyglądał się wnętrzu.

– Czy moglibyście państwo powtórzyć nazwiska, żebyśmy mogli je zanotować?

– Hilary – odpowiedziała kobieta. – Hilary Marston, a to mój mąż, Colin. – Zaczęła mówić dalej i ciekawość Matthew została zaspokojona bez konieczności zadawania jakichkolwiek pytań. – Colin przeszedł na wcześniejszą emeryturę, a właściwie jego etat został zredukowany. Pracował w zespole prawników u producenta samochodów. Teraz oczywiście wszystko się zmieniło. Opiera się na podwykonawstwie, nikomu nie zależy już na brytyjskim przemyśle. I nasza okolica też się zmieniła, wprowadzili się obcy ludzie. Kiedyś znało się wszystkich sąsiadów. Obecnie nikogo.

Matthew wtrącił się. Jen miała tak bardzo lewicowe poglądy, że dopiero niedawno pojednała się z Partią Pracy. Nie znosiła nietolerancji i czuł, że już jest trochę rozdrażniona.

– Co sprowadziło was do Północnego Devonu?

– Byliśmy tu na wakacjach – wyjaśniła Hilary Marston. – Wiele razy. Pomyśleliśmy: *To jest miejsce, w którym moglibyśmy żyć do końca naszych dni.* Nigdy nie mieliśmy dzieci, którymi musielibyśmy się zajmować, i bardzo polubiliśmy tę okolicę. Taka spokojna i czysta. – Chwila milczenia. – Żadnych cudzoziemców.

– No cóż, z całą pewnością *tutaj* jest bardzo spokojnie. – Tylko Matthew mógł wyczuć gniew w głosie Jen.

– No cóż, tak – stwierdziła Hilary, zerkając na męża. – Czasami ma się za dużo dobrego. Tylko wynajmujemy ten domek, z całą pewnością nie wybralibyśmy takich mebli, i to nie była nasza najlepsza decyzja. Może widzieliśmy ten budynek przez różowe okulary, kiedy oglądaliśmy go w lecie. Colin jest obserwatorem ptaków. Mokradła to dla niego prawdziwy raj. Ale nie dla mnie. Nie zostaniemy tutaj. Złożyliśmy ofertę zakupu domu w Barnstaple, gdzie jest trochę więcej życia. – Umilkła na chwilę. – Trochę więcej kultury. A dla mnie trochę bliżej do pracy.

– Gdzie pani pracuje?

– Jestem doradcą do spraw kredytów hipotecznych w banku w mieście. Zamierzałam w zasadzie przejść na emeryturę, ale wtedy pojawiła się ta praca. Nie na pełen etat, ale dodatkowa gotówka zawsze się przydaje.

– Czy obserwował pan dziś ptaki na mokradłach? – zwrócił się Matthew do Colina Marstona.

Kobieta z wyraźnie odczuwalną niechęcią nie dała mężowi odpowiedzieć na pytanie.

– Jest tam każdego dnia.

Colin Marston nie zwrócił na nią uwagi. Być może jej docinki były tak częste, że stały się dla niego tylko szumem w tle.

– Wykonuję codzienne spisy – oświadczył ze spokojną dumą. – Prawdziwe badania ornitologiczne polegają na regularnym liczeniu pospolitych ptaków. Nie jestem ptasiarzem polującym na rzadkie okazy. – W ostatnim zdaniu słyhać było wyraźną pogardę.

– Czy pańskie badania obejmują także plażę?

– To część mojego obchodu. Kończę go w tym miejscu. Liczę mewy na wybrzeżu, idę w głąb lądu koło Spindrift i wracam płatną drogą w to miejsce.

*Spindrift. Nasz dom.* Matthew pomyślał, że może widział kiedyś Marstona przechodzącego obok, anonimowego w impregnowanej

kurtce, gumiakach stojących w holu i z lornetką wiszącą na szyi. Będącego w terenie bez względu na pogodę.

– Kiedy był pan tam dzisiaj? – zapytała Jen.

Colin Marston wyszedł z pokoju. Przez otwarte drzwi Matthew widział, jak wyjmuje z wewnętrznej kieszeni kurtki notes w miękkich okładkach. Usiadł znowu i go otworzył.

– Dwunasta trzydzieści pięć. – Podniósł wzrok. – Notuję czas w każdym punkcie obserwacyjnym. Moja własna metoda pracy. Nauka obywatelska[1] w praktyce.

Siedząca na fotelu w rogu Hilary przewróciła oczami. Matthew uznał, że musi to być dziwne małżeństwo, skoro mają ze sobą tak mało wspólnego, a ona tak lekceważąco traktuje pasję męża.

– Czy widział pan coś niezwykłego w czasie dzisiejszego spaceru? – Czuł ciszę i bezruch w pokoju. Świadomość zagrożenia albo może raczej podniecenie. Być może to wspólna skłonność do biernego podglądactwa trzymała tę parę razem.

– Nie widziałem ciała na plaży – odparł Marston. – Zapytałem waszego posterunkowego, gdzie było, i wiem, że szedłem tamtędy. Zobaczyłbym je, gdyby tam leżało.

– A czy zauważył pan kogoś obcego? Skoro robi pan obchód każdego dnia, zna pan ludzi, którzy bywają tu regularnie.

Znowu zapadła cisza, przerwana przez dźwięk samochodu zatrzymującego się nieopodal. Matthew poznał, że to wóz anatomopatologa, Sally Pengelly. Szlaban został podniesiony i samochód pojechał dalej.

– Kto to był? – Hilary zerwała się z fotela.

– Po prostu ktoś z naszego zespołu. – Matthew znowu zwrócił się do jej męża: – A więc, panie Marston, czy byli jacyś obcy?

– Zawsze trafiają się jedna czy dwie osoby, których nie rozpoznaję. Nawet o tej porze roku są turyści. I nie zwracam na nich jakiejś uwagi, o ile nie są z psem płoszącym ptaki, które akurat liczę.

– Chodzi o dzisiaj. – Matthew był cierpliwy. – Musi pan być dobrym obserwatorem, przyzwyczajonym do zwracania uwagi na szczegóły.

Komplement najwyraźniej zadziałał. Marston znowu zajrzał do notesu i sprawiał wrażenie, że odtwarza w myślach wędrówkę po plaży.

– Była para, mężczyzna i kobieta. On miał na sobie garnitur, niezbyt odpowiedni na plażę. Ona sprawiała wrażenie trochę od niego młodszej i była ubrana w dżinsy. – Milczał chwilę. – Obserwowałem coś, co według mnie mogło być mewą małą, i spłoszyli ją.

Matthew pomyślał, że wspomniany mężczyzna w garniturze nie mógł być ofiarą, bo nie zgadzało się ubranie, ale Marston mówił dalej:

– Szli, trzymając się za ręce, i zatrzymali się raz, żeby się całować. Nie tak zdawkowo, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli. Zupełnie jakby dawno się nie widzieli. – Popatrzył w okno. – Zastanawiałem się, czy mają romans, w końcu przyjechali dwoma samochodami i można było wyczuć, że robią coś niebezpiecznego. Podniecającego. – W jego głosie zabrzmiała melancholijna nutka.

– Widział pan samochody?

– Tak. Weszli na wydmy, a po jakimś czasie udałem się za nimi. Chciałem mieć lepszy widok na ptaki niedaleko linii przypiływu.

Jen zerknęła na Matthew z rozbawieniem. *Taa, jasne! Wcale nie dlatego, że miałaś nadzieję przyłapać ich na bara-bara.*

– Zobaczyłem, jak wsiadają do samochodów. Ale nie zauważyłem rejestracji żadnego z nich. Szkoda, mogłyby się wam przydać.

– Ale zapamiętał pan, jakie to były marki? Ich kolory?

– Oczywiście! – Marston sprawiał wrażenie niemal obrażonego, że zadano mu takie pytanie. – Jak powiedziała Hilary, pracowałem w przemyśle samochodowym. Za kulisami, skupiałem się na kontraktach, ale nadal mam to we krwi. Jednym była czerwona fiesta. Kilkuletnia. Przyjechała nią kobieta. A drugi to czarny passat.

– Widział pan, jak odjechali?

Marston odpowiedział dopiero po chwili.

– Widziałem odjeżdżającego mężczyznę. Kiedy schodziłem na plażę, kobieta nadal siedziała w samochodzie i patrzyła na coś w telefonie.

– Czy był tam ktoś jeszcze? – Nisko wiszące słońce musiało wpadać przez okno całe popołudnie i nagrzało niewielki pokój. Było w nim duszno.

– Widziałem jakiegoś faceta w oddali.

Najwyraźniej zainteresował Colina Marstona o wiele mniej niż ta para.

– Mógłby pan go opisać?

– Był daleko, tuż przy Crow Point. – Colin położył notes przed sobą na stole.

– Był sam?

– Tak. Chociaż może na kogoś czekał. W czasie, kiedy tam byłem, chyba nie ruszył się z miejsca. Był nadal na plaży, kiedy poszedłem w kierunku Spindrif. – Spojrzał ostro. – Mieszka pan w tym domu, prawda? Wiedziałem, że skądś pana znam. Widziałem pana w ogrodzie, a także jak pan przejeżdżał przez punkt poboru myta.

Matthew nie zareagował. Zamiast tego sam zadał pytanie:

– Ile samochodów tu parkowało, kiedy szedł pan w głąb lądu?

– Tylko volvo. Starszej pary. Bywają tu regularnie.

Matthew kiwnął głową, dając znać, że zrozumiał.

– To musieli być ludzie, których widział posterunkowy pełniący na zewnątrz służbę. – W pokoju było tak gorąco, że każdy ruch wymagał wysiłku. Wstał i podziękował Marstonom za pomoc.

– Co teraz będzie? – Hilary także wstała i pochyliła się do przodu, bardzo pragnąc usłyszeć więcej informacji.

– Będziemy dalej prowadzili dochodzenie – odparł Matthew. – Ktoś się z państwem skontaktuje, jeżeli będziemy musieli porozmawiać znowu.

Kiedy zatrzymał się przy samochodzie, aby go otworzyć, zobaczył oboje Marstonów stojących przy oknie. Wpatrywali się w niego.

Pojazd techników kryminalistycznych minął ich, gdy wsiadali do samochodu Matthew. Musieli szybko się uwinąć, bo kiedy on i Jen dotarli na miejsce, namiot już stał, a zespół w białych kombinezonach manualnie przeszukiwał okoliczny piasek. Ross był dość daleko od nich; wciąż chodził z miejsca na miejsce.

– Jakież dokumenty?

Matthew miał nadzieję, że będą mogli poinformować rodzinę, zanim prasa dowie się o sprawie. Był zdziwiony, że żaden dziennikarz jeszcze się nie pojawił – mógł sobie wyobrazić, że Marstonowie rozpowszechnią zdobyte informacje. Byliby zachwyceni tym, że dostali swoje pięć minut. Niewykluczone, że pismaków zniechęciła konieczność odbycia długiego spaceru od szlabanu albo że para nie wiedziała, z kim się skontaktować, aby sprzedać tę historię.

– Ani portfela, ani karty kredytowej – odparł Ross.

– Chyba nie myślisz, że to napad, który źle się skończył? Na takim pustkowiu?

Ross mówił dalej:

– W tylnej kieszeni dżinsów było to.

Podał Vennowi kawałek papieru, rozłożoną kopertę z listą zakupów na wewnętrznej części. *Pomidory, ryż, worki do śmieci*. Na odwrocie wydrukowany adres. Żadnego nazwiska. *Lokator, 20 Hope Street, Ilfracombe*. Jakież śmieci. Nazwa ulicy z czymś się Matthew kojarzyła, ale nie mógł sobie przypomnieć z czym.

– Powinniśmy to sprawdzić? – Ross kołysał się na piętach, wyraźnie chcąc przystąpić już do jakichś działań.

Matthew ustąpił.

– Jedźcie oboje. – Mogło ich czekać spotkanie z żoną, dziećmi, a może leciwą matką, a Jen doskonale radziła sobie z rodzinami. – Zadzwońcie, jak się czegoś dowiecie.

Spojrzał na zegarek. Minęła szósta i zaczynało się już ściemniać. Boja w ujściu już błyskała.

– Spotkajmy się wieczorem o ósmej trzydzieści na komendzie, aby uporządkować wszystko, co wiemy.



Stał przez chwilę przed bramą do Spindrif. Zastony nie były zasunięte i widział wewnątrz kuchni oświetlone jak scena. Na piecyku stał pomarańczowy rondel, a na zielonej, ceratowej serwecie na stole dzbanek z żonkilami. Matthew kupił je wczoraj, kiedy były jeszcze w pączkach, a teraz rozwinęły się już prawie całkowicie. I zupełnie jak w przedstawieniu teatralnym samotny aktor stał odwrócony tyłem przy desce do krojenia. Blond włosy miał tak jasne, że niemal białe. Podkoszulek miał logo nawołujące do pomagania wielorybom albo delfinom, albo całej planecie. Szuflada w komodzie była pełna podobnych, a teraz Matthew stał zbyt daleko, żeby dostrzec szczegóły wzoru. To Jonathan, jego mąż i miłość życia, wieczny optymista, wyciągnął go z depresji i sprowadził do miejsca, które było jak dom. Wciąż nie był pewien, co Jonathan w nim zobaczył i jakim cudem mogą być tak szczęśliwi.

Przesunął rygiel bramy i wszedł do ogrodu. Jon zapewne usłyszał hałas, ponieważ odwrócił się i musiał dostrzec sylwetkę Matthew albo przynajmniej ruch, ponieważ pomachał do niego. Wewnątrz unosił się aromat dobrej zupy i nowego drewna. Jon wymieniał spróchniałe framugi okien. Dom był jego projektem i po zakończeniu dziennych zajęć wolny czas poświęcał właśnie na pracę nad nim. W przeciwieństwie do Matthew miał niewyczerpaną energię i wygląd robotnika fizycznego. Na włosach i ramionach miał jeszcze trociny.

– Dobre wycucie czasu. Właśnie zamierzałem napić się piwa. – Jon, wciąż z nożem w ręku, podszedł, by go pocałować.

– Nie mogę. Muszę później wyjść. Robota.



Matthew opowiedział mu o zwłokach na plaży i pomyślał, że nie cierpi, gdy praca tak bardzo zbliża się do jego domu.

– Kiedy jechałeś tu, nie zatrzymali cię przy szlabanie?

– Wziąłem wolne popołudnie, żeby wymienić okna w sypialni. Byłem w domu tuż po południu. Wtedy nikogo tam nie było.

– Widziałeś coś nietypowego?

– Czy jestem podejrzany? – Szeroki uśmiech. Pytanie miało poprawić atmosferę. Jon wyczuwał napięcie Matthew.

– Może świadkiem. – Venn nie był w nastroju do żartów. Umilkł na chwilę.

– O kuźwa, przepraszam. Zapomniałem. Dziś był pogrzeb twojego taty. Wpuścili cię?

– Nie próbowałem wejść.

– Och, Matt. Wiedziałem, że powinienem pójść z tobą.

Jon był dzielny. Byłby w stanie stawić czoła krewnym i Bractwu. Mógłby stanąć w pierwszym rzędzie, śpiewać z całego serca, a potem oczarować wszystkie starsze panie. Matthew był tchórzem i kłopotliwych sytuacji obawiał się bardziej niż interwencji w czasie bójk w barze czy obezwładnienia ćpuna z nożem.

– Tacie nie podobałoby się, gdyby doszło do jakiegoś towarzyskiego *faux pas* – stwierdził Matthew. – Ze względu na niego wolałem trzymać się na uboczu.

– Ale to oni sprowokowałyby scenę. Nie ty. – Jon objął Matthew, aby okazać mu, że nie jest to powód do sprzeczki.

Zjedli razem zupę, świeżo upieczony chleb, ser i sałatę. Umiejętności Jona zdumiewały Venna. Jakim cudem jeden człowiek mógł być tak dobry w tak wielu sprawach? Z czego brała się jego pewność siebie? On sam dla odmiany czuł się bezgranicznie niekompetentny.

– Muszę iść – oświadczył. Wstawił talerze do zmywarki. Przynajmniej tyle mógł zrobić. – Posłałem Rossa i Jen, aby poszukali krewnych. Wciąż nie znamy nazwiska denata.

Założył kurtkę. Na zewnątrz było pogodnie i bezwietrznie, na nocnym niebie wyraźnie było widać półksiężyc i gwiazdy. Jedyne

światła pochodziły z Instow i Appledore na drugim brzegu.

– Nie czekaj. To może zająć mi całą noc.

I Jonathan nie będzie czekał. Zajmie się swoimi projektami, a kiedy się zmęczy, pójdzie spać – jak zawsze. Natomiast Matthew nie mógł usiedzieć spokojnie, kiedy Jonathan był poza domem. Martwił się, wypatrując reflektorów, które przesuną się za zasłonami sypialni. Czasami Jon wybierał się do folkowego klubu w wioskowym pubie, a kiedy wypił za dużo, wracał do domu na piechotę i docierał na miejsce niemal o świcie. Wówczas Matthew udawał, że śpi, i nic nie mówił. Jego matka dawniej w takich sytuacjach zrzędziła; ojciec tego nie cierpiał.

[1] Badania naukowe oparte na współpracy wolontariuszy z badaczami zawodowymi, a także forma współpracy badawczej i ruch społeczny. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.





## *Rozdział czwarty*

Jen pozwoliła Rossowi prowadzić kilka mil do Ilfracombe. Uznał za oczywiste, że to on będzie siedział za kółkiem, a czasami nie miała ochoty robić afery. Poza tym oznaczało to, że mogła wysłać esemesa do dzieciaków i sprawdzić, czy już wróciły i odrabiają lekcje, a także czy znalazły sobie coś do zjedzenia. Były już na tyle dorosłe, aby zadbać o siebie, a poza tym zawsze były odporne i samowystarczalne. Musiały takie być.

Mimo wszystko jednak się niepokoiła. Miała poczucie winy, że nie jest na miejscu, nie gotuje niczego pożywnego i nie prowadzi inteligentnej rozmowy w czasie wspólnego posiłku. Ale nie byli idealną rodziną, jaką widuje się w serialach telewizyjnych, i nigdy taką nie będą. Kiedy mieszkali w Merseyside próbowała zachowywać się jak altruistyczna żona i matka, i nieomal ją to zabiło. Dosłownie. Nie oznaczało to jednak, że nie pragnęła być lepsza w tym, co robi, bardziej zorganizowana, poświęcać dzieciom więcej czasu. I nie chodziło też o to, że lubiła pracę bardziej niż Ellę i Bena. Niezupełnie. Ale praca nadawała jej życiu podstawy oraz sens, potrzebowała jej. Bez niej by zwariowała.

Odpowiedzieli esemesem. Tak, są oboje w domu. Tak, znaleźli w zamrażalniku pizzę. Nie, nie planują wychodzić. Kiedy przenieśli się do Devonu, a Ella i Ben byli jeszcze mali, Jen miała do czynienia z całym sznureczkiem opiekunek do dzieci, ale kobiety, które zatrudniała, były przyzwyczajone do grzecznej dziatwy i rodziców mających regularne godziny pracy. Chociaż miały na twarzach profesjonalne uśmiechy, zmagaly się z głośną, liverpoolską wymową Jen, ordynarnym słownictwem i niezależnością dzieci. Ostatecznie

Jen dogadała się z Adamem, uczniem przedostatniej klasy liceum, który za kieszonkowe z radością zajmował się jej przychówkiem, kiedy było potrzeba. Nie był ideałem. Często Jen po powrocie do domu zastawała chaos, Adam leżał na sofie, zaabsorbowany swoją komórką, a dzieciaki szalały na piętrze. Albo cała trójka kłóciła się o to, kto będzie używał joysticka. Ale przetrwały. Adam poszedł na uniwersytet i nadal ich odwiedzał, gdy przyjeżdżał do domu, chociaż dzieci były już samodzielne. Czasami był bohaterem jej erotycznych snów. Wyrósł na bardzo wysportowanego młodego mężczyznę.

Wciąż myślała o Adamie i jego kształtnym tyłeczku w obcisłych dżinsach, kiedy przejechali przez rondo na wzniesieniu koło Mullacott Cross. Odnosiło się wrażenie, że jest tu trochę jak w Exmoor, mimo że zjazd do Ilfracombe i miasto były tak blisko. Pełno tu było przygiętych wiatrem żywopłotów i owiec. Niegdyś Ilfracombe było wspaniałym kurortem nadmorskim, z wypielęgnowanymi ogrodami, wspaniałymi hotelami i parowcem bocznokołowym przewożącym pasażerów Kanałem Bristolskim do Somerset i południowej Walii. Kiedy tak łatwo dostępne stały się tanie loty nad Morze Śródziemne, miasto poszarzało, straciło sens istnienia. Zamiast do niego turyści udawali się do Hiszpanii i na greckie wyspy. Teraz Ilfracombe usiłowało odnaleźć się w nowej roli.

Otaczały je wzgórza i jego światła zdawały się znajdować w głębokiej kotlinie bezpośrednio pod Rossem i Jen. Jechali obok wielkich willi przekształconych w pensjonaty o nazwach takich jak „Morski pejzaż” czy „Złote piaski”. Przy większości widniały tablice z napisem „Brak wolnych miejsc”, ale nie dlatego, że miały komplet gości, ale dlatego, że o tak wczesnej porze roku właściciele uznali, że nie warto ich otwierać. Ross, kierując się nawigacją satelitarną, dojechał do centrum i zatrzymał się na szczycie długiej, stromej ulicy. Stożące tam trzypiętrowe domy z tarasami miały piękne proporcje, ale teraz były zaniedbane. Obecnie znajdowały się w nich mieszkania i kawalerki do wynajęcia. W niektórych okna były zabite deskami. Pusta puszka po mocnym piwie turlała się w dół chodnika.

– Hope Street – oznajmił Ross. – Inaczej zwana aleją ćpunów. Chyba poznają ten adres.

Jen lubiła Ilfracombe, jego nerwowość i problemy. W okolicy mieszkało paru jej przyjaciół i nawet rozważała przeprowadzkę tutaj, bo domy były tańsze, a imprezy dziksze i bardziej w jej stylu, ale dzieciaki już przyzwyczały się do szkoły. Dojazdy do pracy też byłyby problemem. Jak inne dawne miejscowości wypoczynkowe, ta także przyciągała nieudaczników i obieżyświatów, ludzi skuszonych możliwością sezonowej pracy w dużych hotelach. Kiedy turyści wracali do domu, pracownicy zostawali, ponieważ znaleźli tu przyjaciół, czasem z powodu lenistwa albo ponieważ nie mieli dokąd wracać. Niektóre pensjonaty przekształciły się w schroniska, domy z kawalerkami, w innych wynajmowano pokoje także zimą, nie przejmując się, że pozbawione są one udogodnień niezbędnych przy długoterminowym wynajmie. Na Hope Street były tego rodzaju nieruchomości, ale w oczy rzucały się oznaki prób podniesienia statusu ulicy. Niektóre budynki, pomalowane na nowo jasnymi farbami, miały kolorowe żaluzje, skrzynki na kwiaty w oknach i od frontu maleńkie ogródki z krzewami w donicach. W dole ulicy Jen dostrzegła sylwetki dwóch mężczyzn zatopionych w rozmowie.

Znaleźli numer dwadzieścia w połowie ulicy. Czarne drzwi, niedawno pomalowane. Nic nie wskazywało, że mieszka tu wielu lokatorów. Nie było oddzielnych dzwonek czy skrzynek na listy. W ogóle nie było dzwoneka, więc Ross zastukał. Jen odniosła wrażenie, że słyszy kogoś poruszającego się w środku. Ross zapukał znowu i drzwi się otworzyły. Zobaczyli rozległy hol z wycyklinowanym i nierówno polakierowanym parkietem oraz młodą kobietę w dżinsach, długim ciemnoniebieskim swetrze i z ustami pomalowanymi czerwoną szminką.

– Cześć. – Z zainteresowaniem zlustrowała ich wzrokiem. – Jeżeli czymś handlujecie, to przykro mi, ale jestem splukana. Jeżeli sprzedajecie religię, to jestem ateistką. Miejscowej dewotki nie ma w domu. A więc nie macie tu czego szukać.

Jen pomyślała, że powinna posłużyć się tym tekstem, kiedy następnym razem znajdzie za drzwiami jakichś akwizytorów.

– Niczego nie sprzedajemy. Jesteśmy z policji.

– Chodzi o mój rower? – Rozpromieniła się. Wyraz jej twarzy zmieniał się jak wygląd chmur w wietrzny dzień. Nigdy nie pozostawał długo taki sam. – Nie mówcie mi, że znaleźliście go po tak długim czasie. Założyliśmy nowy zamek w furtce do zaułka na tyłach i niczego już nam nie zwędzono od tej pory.

– Nie chodzi o rower – odparł Ross. – Czy moglibyśmy wejść?

Kobieta zaprowadziła ich do dużego pokoju na tyłach domu. Jen, specjalistka w takich sprawach, pomyślała, że całe umeblowanie zostało przerobione albo otrzymane od kogoś, komu było już niepotrzebne. Stała tam wielka, miękka sofa obita fioletowym aksamitem, na podłodze leżały poduszki, były też dwa fotele sprawiające wrażenie, że niedawno wymieniano w nich obicia, ale nie zrobiono tego do końca, jakby tapicer znudził się projektem. Długi, niski stół wykonano z litych drzwi. Na ścianach wisiały plakaty i obrazy. Mały, czarny żelazny piecyk na drewno, brudny i nierozpalony, wiklinowy kosz pełen szczap. Pojedyncze szklane drzwi prowadziły na maleńkie podwórko, gdzie wielkie ceramiczne donice zastępowały ogródek. Żonkile już zaczynały kwitnąć. Podwórko zamykał wysoki mur z krzywymi drzwiami, przez które, jak doszła do wniosku Jen, wyprowadzono ukradziony rower.

– Czy mogłaby pani podać swoje nazwisko? – Jen usiadła w jednym z foteli. Ross nadal stał.

– Gaby. Gaby Henry.

– Czy dom należy do pani?

– Nie, do Caroline. Caz. To znaczy należy do niej teoretycznie. Hipotekę ma całkowicie obciążoną. I oczywiście pomagała jej lokata z banku mamy i taty. A właściwie tylko taty, mama zmarła wiele lat temu. No i czynsz od lokatorki. Czyli mnie. – Uśmiechnęła się lekko i umilkła, jakby była komikiem czekającym na oklaski po wygłoszonej puencie. Wymowę miała typową dla południa, ale nie dla tego regionu. Może londyńską.



Jen pochyliła się do przodu.

– Tego popołudnia na plaży przy Crow Point znaleziono martwego mężczyznę. Miał przy sobie coś, co łączy go z tym adresem. – Umilkła. Żadnej reakcji ze strony kobiety. Gaby przez chwilę stała całkiem nieruchomo. Jen spojrzała na nią i dodała: – Ma pani męża? Albo partnera?

– Jestem wolna jak ptak – wyjaśniła Gaby. – Cóż ma Edwarda. Wikarego. Ale teraz go nie ma. Nie mieszka tu. Nie wierzą w takie rzeczy. Żadnego seksu przed ślubem. Są chrześcijanami bardzo entuzjastycznie okazującymi wiarę.

– Jacyś mężczy lokatorzy?

Milczała przez chwilę, zanim odpowiedziała:

– Simon Walden. Mieszka tu od października. Cóż go przyprowadziła. Jest jedną z jej zbłąkanych owieczek.

Jen uznała, że to może być ważne. Później do tego wróci.

– Może pani opisać pana Waldena?

– Jest trochę od nas starszy. Pod czterdziestkę. Planowaliśmy urządzić dla niego przyjęcie za parę tygodni. Jeżeli będzie dobrze się zachowywać.

Jen była zaintrygowana, ale ponownie postanowiła nie odbiegać od tematu.

– Waga? Wzrost? Jakies znaki szczególne?

– Trochę wyższy niż on. – Gaby wskazała ruchem głowy Rossa.

– Ale mniej więcej takiej samej budowy. Miał na karku wytatuowanego ptaka. Albatrosa. Mówił, że dźwiga brzemię winy jak stary żeglarz, więc go sobie wytatuował, aby mu o tym przypominał.

Teraz Jen dała się zdekoncentrować.

– Wie pani, co miał na myśli?

Gaby pokręciła głową.

– Po kilku drinkach potrafił się zmienić. Był ckliwy. Albo zły.

– Ale pozwoliliście mu zostać?

Cały Ross. Mieszkał z idealną żoną w schludnym domku na terenie majątku ziemskiego na skraju Barnstaple. Musiał czuć

obrzydzenie do tego miejsca, brudu i rupieci. Z pewnością nie przyjąłby do siebie obcych.

Gaby wzruszyła ramionami.

– Nieczęsto traci nerwy. Czaz może w ten sposób mieć go na oku. Poza tym gotuje jak marzenie. – Przestała mówić i spojrzała na nich.  
– Chcecie mi powiedzieć, że Simon nie żyje?

– Jeszcze nie wiemy. To możliwe.

Gaby odwróciła się do nich plecami. Jen pomyślała, że może płacze, ale kiedy kobieta znowu na nich spojrzała, była całkowicie opanowana.

– Cholera, jeżeli nie żyje, to nie będzie już niezwykłych piątkowych nocnych uczt.

– Ma pani jego zdjęcie?

– Chwileczkę. Zrobiliśmy sobie wspólne selfie kilka tygodni temu. Wrzuciłam je na Facebooka, ale nadal mam je w telefonie.

Przez chwilę przeglądała komórkę i podała ją Jen. Na ekranie były blisko siebie trzy twarze. Gaby i niska, puszysta kobieta w wielkich okularach, a pośrodku mężczyzna. Simon Walden. Zwłoki na plaży. Na zdjęciu miał lekko odwróconą głowę i Jen dostrzegła tatuaż.

– Obawiam się, że to on – oświadczyła. Podała telefon Rossowi, aby sam się przekonał, że ustalili tożsamość ofiary.

– Zabił się? – Twarda skorupa nonszalancji Gaby wciąż nie pękała.

– Dlaczego pani pyta? Czy byłoby to zaskakujące? Może mówił o samobójstwie?

– Czasami miał naprawdę ponure nastroje. Dlatego poznali się z Caz. Pracuje w charytatywnym ośrodku zdrowia psychicznego. I jest zbyt cholernie uczynna, żeby wyszło jej to na dobre.

– Czy to Caroline? – Jen wzięła telefon od Rossa i wskazała niską kobietę w okularach.

– Tak, to ona. Właścicielka domu. A teraz też moja kumpelka. Różnimy się od siebie jak dzień od nocy, ale bardzo ją Kocham. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście może znieść chaos, jaki

wprowadziłam w jej domu... – Wskazała dłonią odnowione meble i obrazy. – Ale wie, że zanudziłaby się beze mnie. I jest tu trochę radośniej niż w miejscu, w którym pracuje. Starym kościele pełnym ludzi z manią samobójczą i cierpiących na depresję.

– A co z panią? – zapytała Jen. – Co pani robi?

– Jestem plastyczką rezydentką w Woodyard. Pomagam koszmarnym wyrostkom z problemami behawioralnymi odnajdywać swoją tożsamość przez sztukę. I uczę znudzone kobiety w średnim wieku, które chcą zajmować się pastelami. Załatwili mi trzyletnie finansowanie. – Spojrzała na Jen, aby się upewnić, że nie musi wyjaśnić, czym jest Centrum Woodyard. Sierżant kiwnęła głową, potwierdzając, że zna tę nazwę. – To moja praca. Ale głównie maluję. Malowanie jest moją prawdziwą miłością. Po skończeniu szkoły poszłam do koledżu plastycznego, a w Woodyard mam własną pracownię.

– Musi pani być bardzo utalentowana. – Jen wyczuła lekką kpinę w swoim głosie. A może zazdrość? Bardzo chciałaby umieć malować. – Jak poznałyście się z Caroline?

– Przez jej ojca, Christophera. Jest w zarządzie Woodyard i był jednym z ludzi, którzy rozmawiali ze mną, kiedy starałam się o rezydenturę. Nie jestem stąd i kiedy dali mi posadę, musiałam znaleźć sobie jakieś mieszkanie. Skontaktował mnie z Caz, która właśnie kupiła ten dom i szukała lokatora. A potem pojawił się Simon. – Nagle w jej głosie pojawił się ostry ton.

– Nie lubiła go pani?

– Układało nam się doskonale bez niego. Moim zdaniem jego obecność zmieniła dynamikę naszych stosunków. Oczywiście jest mi smutno. Ale szczerze? Nie będę żałowała powrotu do sytuacji z czasów, zanim się zjawił.

Jen znowu spojrzała na zdjęcie. Do końca dochodzenia tak właśnie będzie pamiętała mieszkańców z Hope Street – pozującą na artystkę Gaby o ciemnych oczach i z czerwoną szminką na ustach, Caroline pobożną, w dużych okularach.

– Czy Simon miał jakąś rodzinę? Będziemy musieli ją zawiadomić.

– Jest żona – odparła Gaby. – Wyrzuciła go. Wydaje mi się, że mieszka w Bristolu, ale nie znam ani jej nazwiska, ani adresu.

– Pracował?

– Ostatniego lata był kucharzem w hotelu Kingsley House, tu w Ilfracombe. Kiedy sezon się skończył, utracił także zakwaterowanie. Tak właśnie wygląda w praktyce ekonomia na żądanie.

Jen pokiwała głową.

– Potem był trochę na wolontariacie w Woodyard. Pracował tam w barku, załatwiła mu to Caz. Albo jej tata. Ale Simon nie dostawał za to wynagrodzenia.

– W jaki sposób regulował więc czynsz? – Ross niezbyt przejmował się problemami pracowników sezonowych. Uważał, że powinni załatwić sobie właściwą pracę.

– Nie wiem – odparła Gaby – ale według Caz co miesiąc wpłacał go na jej rachunek bankowy. Mam nadzieję, że nie będzie miała trudności bez tych pieniędzy. – Milczała chwilę. – Ale jej ojciec jest dziany. Przypuszczam, że Caz przeżyje.

– Czy możemy obejrzeć pokój pana Waldena? Trzeba go opieczetować, aby przeprowadzić później formalne przeszukanie, ale chcielibyśmy teraz do niego zerknąć.

Gaby kiwnęła głową i wstała. Poszli za nią na podest pierwszego piętra, gdzie się zatrzymała.

– Pokój Simona jest na górze, z tyłu. Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, zostanę tutaj.

Jen uznała, że Simon Walden otrzymał najmniejszy i najciemniejszy pokój, którego nikt inny by nie wybrał. Był sublokatorem, beneficjentem dobroczynności, ale nie prawdziwym przyjacielem. Pokój znajdował się na poddaszu i z jego okna widać było w oddali wzgórze, a bliżej podwórko oraz inne domy, ale nie morze. Był prawie pusty i bezosobowy. Pod małym oknem mansardowym stało łóżko. W pomalowanej na biało szafie

znajdowało się niewiele ubrań. Żadnego telewizora czy komputera. Radio na nocnym stoliku. Ani jednej fotografii.

– Był kimś, kto podróżuje bez bagaży – stwierdziła Jen. – To mogłaby być cela mnicha.

Ross stał obok niej, oparty o zamknięte drzwi.

– Albo więzienna.

Znaleźli Gaby w kuchni. Zdejmowała ze staroświeckiej, zwisającej z sufitu suszarki ręczniki i powłoczki, a potem składała je na stole, wygładzając dłońmi, aby nie trzeba było ich prasować. Jen знаła tę metodę. Kiedy weszli, Gaby przestała się tym zajmować. Na wyszorowanym sosnowym stole stała otwarta butelka wina i do połowy pełny kieliszek.

– O której spodziewa się pani powrotu Caroline? – Jen sama miała ochotę na kieliszek wina. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wróci do domu i będzie mogła się napić.

– Nie przed dziewiątą. To już chyba wyjaśniłam. Pracuje społecznie w charytatywnym ośrodku zdrowia psychicznego, powiązany z kościołem, gdzie jej chłopak jest wikarym. To jeden z tych dni, w których ma wieczorną sesję. Bardzo serio do nich podchodzi. – Chwila milczenia. – Jej matka popełniła samobójstwo. Może dlatego jest tak zaangażowana w te sprawy.

– A pan Walden był jednym z jej podopiecznych?

– Tak – odparła Gaby. – Jak już powiedziałam, jedną z jej zbłąkanych owieczek.

– Czy to nie trochę niezwykle, zachęcać podopiecznego do zamieszkania w tym samym domu? – Jen uważała, że pracowników społecznych szkolono, aby zachowywali dystans. Wszyscy zawodowcy, których poznała, byli tak powściągliwi, że aż nieczuli.

– No cóż. Uważałam, że to nie jest dobry pomysł. – Gaby milczała chwilę. – Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, pomyślałam, że jest dziwny, jakiś niesamowity. Chciałam, żeby się

wyniósł. Caz oświadczyła, że gdybym wiedziała o nim więcej, byłabym bardziej chętna do pomocy.

– I czy dowiedziała się pani o nim czegoś więcej?

Pokręciła głową.

– Caz wyjaśniła mi, że nie może mi nic zdradzić, bo to poufne, więc nie bardzo mi to cokolwiek dało. – Znów milczenie. – Ostatecznie to jej dom. Może tu przyjmować każdego, kogo zechce.

– Będziemy musieli wrócić jutro rano, żeby porozmawiać z pani przyjaciółką. – Jen spojrzała na zegarek. Odprawa miała zacząć się za pół godziny i nie chciała się spóźnić. – Kiedy najlepiej będzie można złapać panie przed pracą?

– Około ósmej trzydzieści? Żadna z nas nie zaczyna wcześniej. – Odprowadziła ich do drzwi frontowych. Jen pomyślała, że mogłaby być równie dobrze aktorką, jak i plastyczką. Nie zdradziła się z niczym.



Komenda policji w Barnstaple był betonowa, paskudna i stała obok ośrodka kultury, obecnie pustego i przeznaczonego do wyburzenia. Widać z niego było zielone Wzgórze Zamkowe. Aktualnie nie było już na nim zamku i wzniesienie okrągłe jak odwrócona czarka było wszystkim, co pozostało z jego ziemnej podstawy. Porastały je trawa, drzewa i krzewy. Barnstaple znajdowało się dalej w głębi lądu niż Ilfracombe. Kiedyś było niewielkim miasteczkiem targowym i jego centrum nadal zachowało charakterystyczne elementy, takie jak rynek czy ruchliwa główna ulica, ale obecnie miasto powiększyło się, zajęło większą przestrzeń. Na przedmieściach pojawiły się osiedla komunalne i centra handlowe. Turyści odwiedzający je po raz pierwszy mogli poczuć się rozczarowani pierwszym wrażeniem. Mogło to być każde inne angielskie miasto. Gdyby nie rzeka. W tym miejscu jeszcze działały na niej pływy, zmieniała się więc wraz z kwadrami księżycy i pogody.

Sprawiła, że okolica wyglądała bardziej dziko, prawie nie jak miasto.

Przy dobrej pogodzie Jen w czasie lunchu jadła swoje kanapki na trawie, czasami wchodziła na szczyt wzgórza. Nawet tutaj czuć było zapach soli znad ujścia i widać było szczególne światło, jakie spotyka się tylko blisko morza. Zawsze uwielbiała morze.

Wiedziała, że miała szczęście, iż trafiła tutaj. Część jej kolegów oddałaby prawą rękę za oddelegowanie do Devon. Przeskoczyła na początek kolejki, bo głupio wyszła za męża za sukinsyna, który ją bił. Była wdzięczna za przeniesienie i kochała to miejsce, ale czasami brakowało jej emocji i wyzwania związanych z pracą policyjną w dużym mieście. Czuła się też jak uciekinier. Dlaczego właśnie ona musiała się przenieść? I dlaczego pracownik rzecznika praw dziecka spieprzył sprawę oskarżenia jej wygadanego, wazeliniarskiego męża księgowego? Wciąż tam był, żył sobie swobodnie na *jej* terenie, opowiadał całemu światu, że była psychiczna, a policja przeniosła ją do Devonu, bo Jen nie potrafiła poradzić sobie ze stresem związanym z prawdziwą pracą policyjną. Była w Barnstaple już od pięciu lat, ale nadal ją to wkurzało.

Wchodząc po schodach, zadzwoniła do Elli. Wiedziała, że Ben będzie miał nałożone słuchawki i nie usłyszy telefonu.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Ella była kujonem. Pewnie siedziała nad równaniami. Albo wzorami chemicznymi. Jen czuła, że dziewczyna myśli o czym innym.

– Wrócę do domu koło dziesiątej. Ale idźcie spać, jeżeli będziecie zmęczeni.

Matthew Venn nie cierpiał odpraw ciągnących się w nieskończoność. Powiedział, że nie ma niczego takiego, czego nie można by postanowić i załatwić w godzinę.

– Jasne. – Ella się rozłączyła.

Sala była pełna, siedzieli w niej ochotnicy, którzy pozostali po swojej zmianie. Morderstwo nie było czymś powszechnym w Północnym Devonie i Jen wyczuwała zarówno oburzenie, jak

i podniecenie policjantów. Zastanawiała się, czy zespół będzie równie zainteresowany, by sprawiedliwości stało się zadość, kiedy dowie się, że ofiara była przybyszem z odległej części kraju, a nie jednym z tubylców. Ross wbiegł po schodach przed nią. Zaanektował biurko z najszybszym komputerem i najwyraźniej sprawdzał nazwisko podane przez Gaby Henry w Ilfracombe, starając się znaleźć jakieś informacje o Simonie Waldenie. Jen słyszała jazgot drukarki. Ross będzie chciał przedstawić zespołowi wszelkie informacje, jakie zdołał znaleźć o ofierze. Pewnie przypisze sobie także dokonanie identyfikacji. Niekiedy trudno było Jen z nim pracować, ponieważ przypominał jej byłego męża. Tak samo ambitny. Chcący wszystko kontrolować.

Matthew poprosił o ciszę, ale zanim zdążył się odezwać, pojawił się nadkomisarz. Joe Oldham był wielkim, ociężałym mężczyzną, ale nikt nie słyszał, jak wszedł. Potrafił poruszać się bezszelestnie. Jen nieraz podnosiła głowę znad biurka i uświadamiała sobie, że stoi obok, patrzy na nią i słucha, jak gawędzi z kolegą. Obecnie sprawdzała, czy nie ma go nigdzie w pobliżu, zanim powtórzyła plotkę; nie chciała, by słyszał takie rzeczy. Przeniósł się do Devonu, kiedy był jeszcze posterunkowym, ale pozostał nadal dumnym facetem z Yorkshire, fanatykiem sportu, prezesem miejscowego klubu rugby. Różnili się z Matthew pod każdym względem.

Oldham kiwnął głową do zebranych.

– Nie będę was zatrzymywał. Wiem, że macie robotę do wykonania. – Ubrany był w kurtkę sportową, która pamiętała lepsze lata, i koszulę niedokładnie wciśniętą za pasek. Taki był stworzony przez niego wizerunek: gburowatego, staroświeckiego gliniarza, który nie chce mieć nic wspólnego z ulubieńcami mediów. Dla odmiany Matthew wyglądał, jakby nigdy nie wychodził ze swojego gabinetu, elegancki, zawsze w garniturze, gładko ogolony. Cerę miał bladą, jakby unikał słońca. Mógłby być bankierem. Albo przedsiębiorcą pogrzebowym.

Oldham rozejrzał się po sali. Jen wydawało się, że puścił oko do Rossa. Syna, którego nigdy nie miał.



– Chciałem wam tylko powiedzieć, że jestem z wami w tej sprawie. Matthew będzie mi składał meldunki, a ja zapewnię wszystkie środki, jakie będą wam potrzebne.

A potem zniknął równie cicho, jak się pojawił. Jen podejrzewała, że poszedł wypić parę kufli przed zamknięciem klubu. Ross, gwiazdor zespołu, w którym grał na pozycji środkowego pomocnika, pewnie dołączy do niego później i przekaże mu wszystkie szczegóły wieczoru. Oldham nie musiał podsłuchiwać, skoro miał w zespole takiego kreta jak Ross. Swego czasu pewnie chciałby przejąć dochodzenie, ale był już coraz bliżej emerytury, a rumiana twarz i wielki brzuch świadczyły, że przygotowuje się na dzień, kiedy to nastąpi. Ross dawał mu pewność, że nadal trzyma rękę na pulsie.

Matthew zajął miejsce Oldhama, zanim jednak się odezwał, poczekał, aż nadkomisarz wyjdzie. Krotko podsumował odnalezienie zwłok i przyczepił do tablicy zdjęcia miejsca zdarzenia.

– Doktor Pengelly potwierdziła, że przyczyną śmierci była rana kłuta klatki piersiowej. Zabójca stał przed ofiarą. W pobliżu nie znaleziono narzędzia zbrodni.

Ross podniósł rękę.

– A czas zgonu?

– Nie sposób dokładnie ustalić. Nie w tej chwili. Może będziemy mieli nieco więcej informacji po jutrzejszej sekcji. – Matthew umilkł na chwilę. – Przy ofierze nie było żadnego dokumentu tożsamości, ale znaleźliśmy w jego kieszeni adres i mam nadzieję, że Ross i Jen będą mogli rzucić nieco światła na tę sprawę. Byliście w Ilfracombe, żeby to wyjaśnić?

Ross zerwał się z miejsca, zanim Jen zdołała odpowiedzieć. Przypiął do tablicy wydrukowaną wcześniej fotografię.

– Simon Andrew Walden. Urodzony trzydziestego pierwszego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. – To było typowe zdjęcie policyjne. Walden patrzył prosto w obiektyw. – Wstąpił do wojska zaraz po szkole. Zdemobilizował się w dwa tysiące dziesiątym i prowadził własny interes, restaurację w Bristolu, aż do dwa tysiące trzynastego, kiedy został skazany za

spowodowanie śmierci w wyniku nieostrożnej jazdy. Zjeżdżając ze skrzyżowania, uderzył w bok innego auta i w wypadku zginęło dziecko. Miał w organizmie alkohol, ale nieco poniżej dopuszczalnej normy.

Jen patrzyła na twarz na zdjęciu i rozumiała już albatrosa. Symbolizował poczucie winy.

– Odsiedział trzy miesiące w więzieniu. Na ile zdołałem ustalić, od tamtej pory nie miał innych kontaktów z policją.

– I jesteśmy pewni, że to nasz człowiek? – Matthew spojrzał na Jen, która odpowiedziała natychmiast.

– Widzieliśmy nowsze zdjęcie, tatuaż jest wyraźnie widoczny.

– Jakież inne informacje?

– Mieszkał w domu należącym do młodej kobiety, Caroline Preece. Wynajmuje pokoje, żeby mieć na czynsz. Lokatorzy to jej przyjaciółka i Walden. Przyjaciółka nazywa się Gaby Henry. Pracuje jako ktoś w rodzaju plastyczki w Woodyard. – Jen umilkła, uświadamiając sobie, że może to oznaczać komplikacje dla Matthew. Jonathan też pracował w Woodyard, kierował tą instytucją. Mogłoby to zostać uznane za konflikt interesów. – Żadnych szczegółów, ale wygląda na to, że Walden miał problemy ze zdrowiem psychicznym i Preece była jego opiekunką społeczną. On także pracował jako wolontariusz w Woodyard.

– Sprawdziliście Henry i Preece? Czy któraś jest nam znana?

Jen pokręciła głową.

– Nie mają nawet mandatu za złe parkowanie. Caroline Preece nie było w domu, zamierzam wrócić tam jutro rano.

Matthew kiwnął głową, ale się nie odezwał. Jen pomyślała, że to cały Matthew Venn. Człowiek, który nigdy nie otwiera ust, jeżeli nie ma nic istotnego do powiedzenia.





## *Rozdział piąty*

Po wyjściu policji Gaby wróciła do kuchni i naląła sobie następny kieliszek wina. Musiała wziąć się w garść, aby uporządkować całą opowieść, zanim przyjdzie Caroline. Co innego rozmawiać z policją, która cię nie zna, a co innego z Caroline, która wręcz przeciwnie, wie o tobie więcej niż ktokolwiek na świecie i zachowuje się często tak, jakby była starszą siostrą, opiekunką – pobłażliwą, ale w jakiś sposób odpowiedzialną za twoją moralność.

Matka Gaby, Linda, nigdy się nią tak nie opiekowała. Sama bywała lekkomyślna. Ojca przy nich nie było. Obie mieszkały w mieszkaniu kwaterunkowym w północnym Londynie i Gaby często była puszczana samopas i musiała sama o siebie zadbać. Linda zawsze ciężko pracowała: sprzątała biura, ustawiała towary na półkach w supermarketach – wszystko po to, aby było co do garnka włożyć. Ale gdy Gaby poszła do liceum, przestała się nią przejmować. Urodziła córkę, kiedy jeszcze była nastolatką, i miała wrażenie, że przez to dużo w życiu straciła. Kiedy Gaby stała się częściowo samodzielna, jej mama zaczęła nadrabiać utracone okazje. Przez ich mieszkanie przewijało się tak wielu jej chłopaków, że dziewczyna straciła rachubę. Po prostu musiała sobie radzić, iść po omacku przez życie, nie mając pojęcia o obowiązujących w nim zasadach.

Odkryła sztukę jeszcze przed szkołą, kiedy gryzmoła na kawałkach papieru i zatracala się w rysunkach, aby odciąć się od chaosu panującego w mieszkaniu. Zmęczenie matki – skutek uboczny ciężkiej pracy – powodowało, że nie miała ona sił, aby ogarnąć sytuację w domu. W klasie Gaby wciąż rysowała, zamiast

słuchać, co mówią nauczyciele. Była to niebezpieczna szkoła w biednej dzielnicy i pedagodzy byli wdzięczni, że dziewczyna jest spokojna i się nie awanturuje. Wciąż ozdabiała książki do matematyki komiksowymi smokami albo dziwnymi, wyimaginowanymi krajobrazami. Nauczyciel plastyki stał się jej zbawieniem – chwalił jej prace, w weekendy wysyłał ją do galerii sztuki, pokazywał jej inny świat.

Gaby sama zdecydowała o pójściu do koledżu plastycznego. Nawiązała tam przyjaźnie, stała się w grupie kimś, kto rozładowywał sytuacje, żartownisiem. Wciąż mieszkała z matką i włączała przygody Lindy do historii, którymi zabawiała kolegów i koleżanki. Były to najczęściej dzieci z klasy średniej zamierzające robić karierę w reklamach lub filmie. Jej namiętnością zawsze było malowanie. Rok po skończeniu koledżu zaczęła wykonywać takie same zajęcia jak jej matka – harowała w barach, sprzątała – starając się jak najdłużej odsunąć od siebie konieczność podjęcia pracy nauczycielskiej. I nagle zobaczyła w „Guardianie” ogłoszenie: ofertę zatrudnienia plastyka rezydenta w Woodyard Centre w Północnym Devonie. Przeleciała wzrokiem szczegóły, upewniając się jedynie, że za oferowaną pensję będzie mogła przeżyć. A wtedy w jej oczy rzuciły się słowa: *indywidualna pracownia*.

Kiedy siedziała w pociągu sunącym doliną Taw z Exeter do Barnstaple, widziała oczyma wyobraźni obrazy przedstawiające gęste lasy, wodę i czujną czapkę i uznała, że pragnie tej pracy bardziej niż czegokolwiek na świecie. Rozmowę kwalifikacyjną przeprowadzili z nią Jonathan Church, który zarządzał całym Centrum Woodyard, i Christopher Preece, przewodniczący zarządu powierniczego. Jonathan oprowadził ją po centrum i przedstawił jego podstawową ideę. *To miejsce, w którym każdy powinien czuć się swobodnie – uczniowie liceum uczęszczający na zajęcia specjalistyczne i ludzie z dziennego ośrodka, którzy mają zaburzenia uczenia się. Bardzo wierzymy w sztukę dla wszystkich.* Nie powiedziała mu, że obchodzi ją tylko jej sztuka. Zobaczyła dużą,

pustą salę i wyobraziła sobie, jak siedzi w niej i maluje. Obiecałaby wszystko, byleby tylko dostać tę pracę.

Rozmowa kwalifikacyjna przebiegła dobrze. Gaby zawsze potrafiła mówić ludziom właśnie to, co chcieli usłyszeć. I wtedy Christopher Preece zapytał ją, czy potrzebuje jakiegoś zakwaterowania. *Mógłbym skontaktować cię z moją córką. Szuka lokatorki.* Spotkały się wieczorem tego samego dnia i Caroline pokazała jej dom i pokoje. Wtedy wszystko wyglądało dość nudno, ściany w kolorze magnolii, prawie żadnych mebli.

– Potrzebuję tylu rzeczy – powiedziała Caroline. – Ale mam bardzo ograniczony budżet, a nie chcę prosić taty o pieniądze.

W rezultacie Gaby zapoznała ją z radościami kupowania w sklepach z używanymi rzeczami, na eBayu i korzystania z freecyclingu[2]. A kiedy dom zapełnił się zakupami i dziełami Gaby, stały się bliskimi przyjaciółkami. Bardzo od siebie różnymi. Caroline była poważna, solidna i punktualna, natomiast Gaby wcale. Ale jednocześnie stały się od siebie dziwnie zależne. Gaby brała pod uwagę zdanie Caroline i nigdy nie chciała jej zmartwić czy obrazić. Miała wrażenie, że pomagała jej się wyluzować, potrafiła ją rozbawić. Kiedy teraz usłyszała klucz w zamku, zastanawiała się, jak przekaże jej wiadomość o śmierci Simona Waldena.

Gaby siedziała pogrążona w myślach niemal po ciemku i gdy Caroline weszła do pokoju i włączyła światło, nagła jasność spowodowała u niej rodzaj szoku.

– Co robisz? – Caroline nie pochwałała picia większych ilości alkoholu w czasie tygodnia, chociaż kiedy była w odpowiednim nastroju, nie miała nic przeciwko temu, by trochę zaszaleć.

– Chodzi o Simona. – Gaby odwróciła się na niskiej sofie i spojrzała na Caroline.

– Co z nim?

– Wcześniej była tu policja. Nie żyje.

Spostrzegła, że wiadomość wstrząsnęła Caroline tak samo jak nią. Obie miały własne powody, aby opłakiwać Simona. Caroline usiadła ciężko na sofie obok Gaby.

– Zabił się? – Można było odnieść wrażenie, że w pytaniu słyhać było poczucie winy. – Nie zauważyłam, żeby miał depresję. Najwyżej był trochę maniakalny. – Po chwili dodała: – Och, powinnam była to przewidzieć!

– Został zamordowany – oświadczyła Gaby. – Na plaży koło Crow Point. – Wydawało jej się, że użyła właściwego tonu. Nie chłodnego, ale także nie przesadnie zmartwionego. Caroline nigdy nie uwierzyłaby, że jest zmartwiona.

[2] Nieodpłatne przekazywanie użytecznych, ale niepotrzebnych przedmiotów zamiast wyrzucania ich na śmietnik.







## *Rozdział szósty*

Kiedy Matthew wrócił do domu, zobaczył, że Jonathan rozpałił ogień i siedzi na podłodze w pokoju dziennym. Odsunięte zasłony wpuszczają do środka światło księżyca, na niskim stoliku stała szklanka. Czytał, ale kiedy usłyszał Matthew, odłożył książkę.

– Drinka? Coś do zjedzenia?

– Może będę musiał przekazać to dochodzenie w sprawie morderstwa. – Myśl ta tkwiła w głowie Matthew od chwili opuszczenia komendy. Poszedł za Jonathanem do kuchni. – Ofiara była wolontariuszem w Woodyard. A jedna z osób, z którymi mieszkał, jest rezydentką w centrum.

– Kto został zabity?

– Niejaki Simon Walden. Znałeś go?

– Znam nazwisko. Pracował w barku u Boba. – Jonathan wyjął z lodówki otwartą butelkę chablis.

– Walden miał problemy psychiczne – powiedział Matthew – i wydaje się, że jeden z członków zarządu załatwił mu tę pracę.

Jonathan zmarszczył brwi.

– Ktokolwiek to był, nie zrobił tego za moim pośrednictwem.

– Christopher Preece? Jego córka kieruje projektem u Świętego Cuthberta. Wynajmowała pokój Waldenowi.

– Musieli załatwić angaż bezpośrednio u Boba. Prowadzi tam własny interes. – Jonathan podał Matthew kieliszek wina. – Nie mogą zabrać ci sprawy tylko dlatego, że ja zarządzam tym miejscem. To by było głupie. Pierwsze duże dochodzenie, od kiedy przejąłeś zespół. Poza tym Joe Oldham jest leniwym sukinsynem. Nie poprowadziłby takiej sprawy. Nie byłby w stanie. Ma wrażliwość

komara. Wyobraź sobie, jak łązi, tupiąc, po Woodyard i denerwuje ludzi.

– Joe nie tupie. – Ale Matthew rozumiał, o co chodzi Jonathanowi, i uśmiechnął się.

Woodyard było dumą i radością Churcha, jego dzieckiem. Posesja znajdowała się na południowym brzegu Taw i kiedyś należała do przedsiębiorstwa przemysłu drzewnego, które obecnie od dawna już nie działało. Stała tam skorupa zbudowanego z cegły wielkiego magazynu, pełnego rdzewiejących maszyn. Były plany zburzenia budynku, wyrównania terenu i zbudowania w tym miejscu osiedla komunalnego. W tym samym czasie rada miasta rozważała zamknięcie dziennego ośrodka opieki dla dorosłych z zaburzeniami przyswajania wiedzy, w którym pracował Jonathan. Wpadł on na pomysł, jak połączyć obie sprawy. Vennowi, który w tym okresie mieszkał i pracował w Bristolu, udzielił się entuzjazm Jonathana. Większość ich rozmów telefonicznych związana była z planami dotyczącymi centrum, jego pasją zbierania w jednym miejscu różnych grup ludzi – artystów i dorosłych z zaburzeniami uczenia się – i Matthew odnosił wrażenie, że ten projekt jest jakby odzwierciedleniem ich romansu: brawurowych, niewyobrażalnych możliwości, dzięki którym dwaj obcy sobie ludzie stali się jednością.

– Czy nie mamy już dość sklepów w Barnstaple? – tłumaczył z pasją Jonathan. – Na głównej ulicy pełno jest lumpeksów, salonów fryzjerskich i agencji handlu nieruchomościami. Czemu nie wykorzystają tych pozostałości po firmie drzewiarskiej do stworzenia ośrodka działalności społecznej? Zorganizujemy tam centrum artystyczne, bufet, miejsce, w którym ludzie będą się spotykali i wymieniali ideami. Moi podopieczni z ośrodka opieki dziennej też będą mogli tam być, w samym sercu wydarzeń, a nie ukrywani gdzieś na uboczu, jakbyśmy się ich wstydzili.

Jonathan stworzył komitet, przeforsował plany, przekonał Fundusz Loteryjny[3], aby przekazał im pieniądze, i zorganizował finansowe środki wyrównawcze. Teraz Woodyard było takim obiektem, jaki sobie wyobraził. Znajdowały się tam teatr,

pomieszczenia studyjne, barek. Był tam też ośrodek opieki dziennej dla dorosłych mających problemy z przyswajaniem wiedzy, w jednym z mniejszych budynków zaadaptowanym na ten cel. I Jonathan zarządzał tym wszystkim. Matthew był bardzo z niego dumny.

Ale obecnie związki Jonathana z Woodyard mogły stwarzać problemy.

– Może będę musiał przekazać tę sprawę – powtórzył Venn. – To byłaby moja decyzja, nie Oldhama.

– No cóż, nie rób niczego, dopóki cię nie zmuszą! Chcesz się tym zajmować, prawda?

Matthew myślał przez chwilę.

– Tak. Zdecydowanie chcę. – Po chwili dodał: – Ale nie jestem pewien, czy byłoby to właściwe.

– Kocham cię bez względu na wszystko, wiesz o tym.

W czasie pierwszego spotkania Matthew nie był w stanie określić wymowy Jonathana. Wychował się w Exmoor, był synem farmera. Nie studiował na uniwersytecie. Opuścił szkołę w wieku szesnastu lat i podróżował. Kiedy Matthew zapytał dlaczego, właściwie nie dostał konkretnego wyjaśnienia. Po prostu: *Sprawy w domu nie układały się dobrze. Tak było najlepiej.* Pracował we francuskich winnicach, zbierał truskawki w Hiszpanii, gotował dla bogatych żeglarzy na wypasionych jachtach w różnych portach Europy. Takie tam romantyczne historie, które przyprawiły Matthew o zawrót głowy. Oczarowały go. Gdziekolwiek Jonathan bywał, nabierał tam cech właściwych wymowie danej społeczności. Kiedy jednak był poważny, znowu mówił w sposób typowy dla kogoś z wiejskiej części północnego Devonu. A teraz z całą pewnością był poważny.

– Doskonale cię rozumiem. – Jonathan położył Matthew dłoń na ramieniu. – Ale jesteś za bardzo pryncypialny. Czasami mam wrażenie, że chowasz się za swoimi zasadami. Musisz mieć jaja, żeby się z tym zmierzyć. Tylko ten jeden raz, Matthew. Walcz.



Kiedy Matthew obudził się następnego dnia, było już jasno i na chwilę ogarnęła go panika na myśl, że się spóźni. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się zapaść, ale do świtu był tak niespokojny, że sen nie przychodził. Ustalił z Jen, że tego ranka pojedą do domu, w którym mieszkała ofiara – musiał poczuć to miejsce i poznać ludzi, którzy najlepiej znali Waldena – i przez moment przeraziła go myśl, że nie zdąży na spotkanie. Druga połowa łóżka była pusta. Kiedy jednak sprawdził godzinę na telefonie, przekonał się, że jest jeszcze wcześniej i ma mnóstwo czasu.

Całą noc miał świadomość, że Jonathan śpi obok niego bez ruchu i jego delikatny oddech nie porusza jego ciałem. Jonathan posiadał umiejętność spania, której Matthew zazdrościł mu bardziej niż czegokolwiek. Bardziej niż niewymuszonej pewności swojego męża, jego odwagi, zdolności śmiania się ze zniewag i przykrości. Teraz Matthew był w łóżku sam, a zdarzało się to rzadko. Zazwyczaj to on wstawał pierwszy.

Jonathan był w kuchni, gdzie pachniało kawą i tostami. Przez lata wydawało się to nieosiągalne – towarzysz życia, wspólny dom, miłość. Matthew uważał, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, i niepokój minionej bezsennej nocy wydawał mu się rozczulaniem nad sobą.

*Ale twój ojciec zmarł niecałe dwa tygodnie temu, a ty dowiedziałeś się o tym dopiero z nekrologu w „North Devon Journal”. Jego pogrzeb był wczoraj. Wyluzuj trochę, Matthew, Masz trudny okres. Odrzuć poczucie winy.*

Matthew poczuł, że się uśmiecha, bo w myślach usłyszał te słowa wypowiedane głosem Jonathana.

Stali obaj w kuchni, pijąc kawę. Jonathan skończył już tosta. Wiedział, że Venn nie jada śniadań. Na zewnątrz wszystko było wyraźne, lśniące i miało ostro zarysowane kształty. Wiatr gonił na rzece małe fale, migoczące w słońcu. Na skraju trawnika pojawiły się nowe żonkile.

Zwłoki Waldena zostały już zabrane do kostnicy, technicy skończyli pracę i nikt przy punkcie poboru opłat nie zatrzymywał

przejeżdżających samochodów. Jak zwykle, kiedy wyjeżdżał, szlaban uniósł się automatycznie. Gdy Matthew zjeżdżał na drogę prowadzącą w kierunku morza, zobaczył Colina Marstona stojącego na poboczu. Spoglądał przez lornetkę na płaski teren przed Braunton Burrows, rozległymi wydmami ciągnącymi się pomiędzy mokradłami a brzegiem.

Pod wpływem impulsu Matthew na skrzyżowaniu skręcił w lewo, w kierunku wybrzeża, oddalając się od wioski i głównej szosy. Ta droga do Ilfracombe była dłuższa, ale miał dość czasu, a ruch panował tu mniejszy. Poza tym ta trasa budziła wspomnienia. Jego ojciec pracował w zaopatrzeniu rolnictwa i niekiedy w czasie ferii Matthew mógł towarzyszyć mu w wyjazdach służbowych do farm na wybrzeżu. Nawrócił się i wstąpił do Bractwa, aby móc się ożenić, i z dala od domu wydawał się bardziej zrelaksowany, młodszy. Nie taki jak pozostali członkowie sekty. Rozmawiali o błahostkach – futbolu, wędkowaniu – a ojciec charakteryzował klientów, których mieli odwiedzić:

*Geoff Brend byłby zupełnie niezłym farmerem, gdyby nie zaglądał do butelki za każdym razem, kiedy ma trudny okres.*

A kiedy jechali w zachodzącym słońcu w kierunku pobielonego domu na początku doliny prowadzącej do morza, stwierdził: *Mary Brownscombe jest wspaniałą kobietą. Utrzymała gospodarstwo, kiedy jej Nigel zachorował na raka, i nadal dobrze je prowadzi.*

Kiedy przyjechali na miejsce, kobieta była na podwórzu. Wszystko było zalane czerwoną poświatą słońca zachodzącego nad morzem zamykającym na dole teren gospodarstwa. Matthew pomyślał, że to najpiękniejsze miejsce na świecie, magiczne. Farma wyglądała jak w książce z obrazkami – z kaczkami na małym stawie obok domu i belami siana w stodole.

Wtedy jeszcze bardzo młody Matthew, wysiadając z samochodu ojca, zobaczył właściwie tylko sylwetkę kobiety. Podeszła do nich i lekko uściśniła jego ojca. I wtedy właśnie Matthew po raz pierwszy zobaczył jej twarz, szare oczy oraz ciemne włosy związane z tyłu głowy kawałkiem sznurka do snopowiązałek.

– Witaj, Andrew, dobrze cię widzieć.

Matthew spodziewał się, że ujrzy starą kobietę. Wtedy uważał, że wszystkie wdowy są stare. Ta jednak była mniej więcej w wieku jego matki, miała na sobie dżinsy, kamizelkę i gumaki. Jego matka nigdy nie nosiła dżinsów. Poszedł za dorosłymi do domu, gdzie w kuchni siedział collie i wszędzie były książki. Na półkach i w stertach leżących w kątach.

Mary zrobiła im herbatę i postawiła na stole otwartą paczkę czekoladowych herbatników, żeby Matthew się nimi częstował. W domu Vennów nigdy nie było ciasteczek, chyba że matka zrobiła je sama. Mówiła, że Bóg chciał, aby jego dzieci dbały o swoje ciała tak, jak o dusze, nie powinny więc spożywać smażonych potraw ani śmieciowego jedzenia z konserwantami, skoro ona sama ma czas i siły, aby gotować dla rodziny.

Dorośli rozmawiali o interesach, a Matthew bawił się z collie. Ale kiedy zamówienie zostało już złożone, jego tata nadal nie ruszał się z miejsca, chociaż jego kubek od dawna był już pusty. Prowadzili jakąś rozmowę, ale Matthew nie słuchał. Po jakimś czasie ojciec wstał.

– Pojawię się w przyszłym tygodniu. Chłopak będzie w szkole, więc przyjadę sam.

Mary też wstała.

– Będziesz mile widziany. – Chwila przerwy. – Zawsze.

Na dworze zapadał zmierzch i barwy blakły. Matthew wsiadł do samochodu i czekał, aż ojciec się pożegna. Dorośli znowu się objęli i w końcu obaj ruszyli. Zazwyczaj tato rozmawiał z nim o spotkaniach, które właśnie odbyli, opowiadał i plotkował o klientach, ale tego wieczoru milczał przez całą drogę do domu.

Teraz, jadąc wąskimi dróżkami, aby zbadać sprawę morderstwa ewidentnie samotnego mężczyzny, Matthew po raz pierwszy pomyślał, że jego ojciec kochał Mary Brownscombe. Może nie był to żaden romans, ale podczas ich spotkania panowała atmosfera czułości, która nawet chłopcu wydawała się niezwykła. Matthew zastanawiał się, czy Mary nadal mieszka w Broom Farm i czy była



na pogrzebie jego ojca. Wyobraził ją sobie w kaplicy pogrzebowej, jak siedzi w tylnych rzędach i płacze z powodów niezrozumiałych dla innych ludzi.

Umówił się z Jen Rafferty, że spotkają się na parkingu na szczycie Hope Street. Już tam była. Siedziała w swoim wozie wpatrzona w telefon. Można było odnieść wrażenie, że przez całe życie nie robi nic innego. Schodzili w dół Hope Street do domu numer dwadzieścia, a Jen informowała go, co działo się w nocy.

– Zgodziłeś się na to, więc przekazaliśmy zdjęcie Waldena do publikacji. Tego ranka pokażą je w dzienniku telewizyjnym. Było już za późno, żeby umieścić je w porannych gazetach, ale przypuszczam, że będzie o tym we wszystkich mediach społecznościowych. Ross ma je monitorować. I dotarliśmy do kilku dodatkowych szczegółów.

– Czy poinformowano żonę ofiary?

– Tak. Ubiegłego wieczoru ktoś z policji Avon i Somerset poszedł ją powiadomić. Jeszcze z nimi nie rozmawiałam.

– Czy mieli dzieci? – Matthew zastanawiał się, jakie to uczucie mieć ojca, który uciekł i którego spotkała gwałtowna śmierć. Czy będą próbowali wyobrazić go sobie jako bohatera albo męczennika? Obwiniać matkę? Albo do końca życia nieść brzemię frustracji?

– Nie, żadnych dzieci. Najwyraźniej jest teraz w innym związku. Już nie mieszka w dawnym miejscu. Adres jest inny.

Dotarli do celu. Na dole ulicy bezdomny w sfatygowanym śpiworze, z którego wylało wypełnienie, poruszył się i oparł na łokciu. Jen weszła na chodnik i zastukała do czarnych drzwi. Usłyszeli kroki i drzwi się otworzyły.

Stanęła w nich młoda kobieta. Była wystylizowana na studentkę akademii sztuk pięknych – chuda jak modelka, z bardzo krótko ostrzyżonymi włosami, jaskrawoczerwoną szminką na wargach, w bardzo długim czarnym swetrze, czarnych rajstopach i ciężkich

butach. Z długimi, czarnymi kolczykami. Na tylnej stronie jednej nogawki rajstop była dziura. Kobieta uśmiechnęła się do Jen.

– Jesteście trochę za wcześnie. Tylko ja już wstałam.

Jen pierwsza weszła do środka. Postanowiła dać sobie spokój z konwenansami.

– Cześć, Gaby. To mój szef. Komisarz Matthew Venn.

– No cóż, lepiej wejdźcie. Zawołam Caz.

Matthew przeszedł za nią do kuchni. Pomyślał, że Jonathan czułby się tu jak w domu, spodobałoby mu się. Te wszystkie rondle i słoiki, niedopasowane meble, obrazy. Pod sufitem wisiała pomalowana duża drewniana papuga, a w brązowym ceramicznym dzbanku stały bazy. Ręczniki o jaskrawych barwach zwisały z podwieszanej suszarki jak flagi, ale opuszczone do połowy masztu. Na Matthew pomieszczenie wywarło niepokojące wrażenie, przytłaczało go. Będzie musiał bardzo się skupić, aby móc myśleć logicznie.

– Siadajcie. W dzbanku jest kawa.

I Gaby wyszła. Matthew odniósł wrażenie, że jej usta, wymalowane szkarłatną szminką, pozostały w pokoju jak uśmiech Kota z Cheshire. Usłyszał, jak woła z dołu schodów: *Hej, Caz. Gliniarze już są. Chcą z tobą rozmawiać.*

Jen podeszła do dzbanka z kawą i pomachała nim w jego stronę. Kiwnął głową i patrzył, jak wyjmuje kubek z zakurzonego kredensu. Poczuł absurdalną ulgę, kiedy przed nalaniem do niego kawy opłukała go pod kranem.

Słysząc kroki na parkiecie, zamykające się drzwi – i w końcu pojawiła się młoda kobieta. Gaby szła za nią, pilnując jej niczym pies pasterski albo matka, a następnie przedstawiła przyjaciółkę, wskazując ją eleganckim gestem. Można było odnieść wrażenie, że wszystko dla niej jest spektaklem.

– Oto Caroline, dla przyjaciół Caz. To właśnie ona wpakowała nam na głowę Simona. Właścicielka tego domu.

Caroline była drobna, krągła, z wielkimi okularami na perkatym nosie.

– Opuść, Gaby. Okaż trochę szacunku. Od śmierci Simona minął tylko dzień.

Matthew poczuł, że rozmowa już zaczyna wymykać się spod kontroli.

– Wie pani o tym? Czy widziała pani wczoraj Simona? – Musiał ustalić fakty.

Caroline przełożyła stertę pism – numery „Guardiana” oraz „Observer Magazine” – i usiadła przy stole na czymś, co wyglądało jak stara kościelna ławka.

– Był tu rano, prawda, Gaby? Wyszłam przed tobą, ale słyszałam go w łazience i krzyczeliśmy coś do siebie. Widziałas go przy śniadaniu?

Na chwilę zapadła cisza.

– Krótko – odparła Gaby. – I mogę zapewnić, że kiedy wychodziłam, jeszcze żył. – Znowu krótka pauza. – Czy mogę zrobić tosty dla wszystkich? – W jej głosie zabrzmiały delikatne nutki desperacji. – Czy może zostanie to uznane za próbę przekupstwa i korupcji?

– Może pani zrobić tosty dla siebie i przyjaciółki – oznajmiła Jen. – Ale chcielibyśmy zadać wam obu parę dodatkowych pytań.

Matthew zdecydował, że to Jen będzie mówiła. Była ujmująca i uznał, że kobiety mogą ją uznać za mniej groźną. Teraz jednak pomyślał, że może mieć trudności z zapanowaniem nad nimi.

– Po prostu usiądź, Gaby – poleciła Caroline. – To poważna sprawa, możemy zjeść śniadanie później.

– Tak, psze pani. – Ale jednak usiadła.

Jen spojrzała na obie dziewczyny.

– Bardzo mi przykro, że wasz przyjaciel wczoraj zginął.

– Nie mój przyjaciel. – Słowa były wymamrotane, prawie niesłyszalne, i zapadła po nich niezręczna cisza. – No dobra, przepraszam... – Gaby wbiła spojrzenie w papugę. – Nie cieszę się, że umarł. Oczywiście, że nie. Ale jestem zadowolona, że już nie będzie tu mieszkał.

– Dlaczego tak powiedziałaś? – Jen odstawiła kubek z kawą na podkładkę sprawiającą wrażenie wykonanej z misternie splecionej linki.

Gaby milczała chwilę, zanim wyjaśniła:

– Byłyśmy szczęśliwe, zanim się tu wprowadził. Byłyśmy sobie bliskie. Dobrze się bawiłyśmy. Nagle znalazł się wśród nas obcy, facet, którego właściwie nie znałyśmy, i wyglądało na to, że wszystko psuje. Był taki spięty, no wiecie... Nerwowy. A to było zaraźliwe. Cały dom sprawiał wrażenie innego, zdezorganizowanego.

– To było tymczasowe – wtrąciła się Caroline. – Zamierzał się wyprowadzić. Miał wrócić do Kingsley House, do hotelu, w którym pracował do jesieni, gdy tylko znowu zacznie się sezon. Poza tym jego czynsz pomagał. Nie mieszkał tu za dobre słowo. I był cudownym kucharzem. Te niezwykle piątkowe uczyty... Nigdy na to nie narzekałaś.

– Myślałam, żeby się stąd wynieść – wymamrotała znowu Gaby.  
– Nie mogłam tego znieść. Szukałam mieszkania.

– Nic nie powiedziałaś!

– Narzekałam na Simona, na to, jak się przez niego czuję, ale mnie nie słuchałaś, Caz. Jakby bardziej zależało ci na nim niż na mnie.

Matthew pomyślał, że Gaby zachowuje się jak nadąsana, rozpuszczona dziewczynka na placu zabaw, porzucona dla innej „najlepszej przyjaciółki”. Być może tak piękna kobieta przywykła do stawiania na swoim. Musiało być jednak trudno mieć obcego w miejscu, w którym dotąd mieszkały tylko bliskie przyjaciółki. Walden też musiał źle znosić taką niechęć z jej strony.

– Kiedy *pani* widziała go po raz ostatni? – Jen zadała pytanie Caroline.

– Jak już powiedziałam, słyszałam go wczoraj rano, ale nie widziałam. Niekiedy podwoziłam Simona do Barnstaple, ale nie wczoraj. Krzyknęłam, żeby o to zapytać, ale powiedział, że jeszcze nie jest gotów i sam pojedzie. Zdarzyło się coś ważnego.

Zastanawiałam się, czy nie ma przypadkiem spotkania w hotelu w sprawie powrotu do pracy po rozpoczęciu sezonu.

– Czy codziennie był na wolontariacie w Woodyard?

– W większość dni – odparła Caroline. – Bardzo to lubił.

– Kto mu to załatwił?

– Ja. – Caroline umilkła na chwilę. – Mój ojciec jest w zarządzie powierniczym, a więc znam to miejsce. Pomyślałam, że praca bardzo dobrze wpłynie na pewność siebie Simona, pomoże mu przygotować się do kolejnego podjęcia płatnej pracy.

– Czy Simon Walden miał problemy ze zdrowiem psychicznym?

– Jen sformułowała to jako pytanie, ale było oczywiste, że zna odpowiedź.

– Cierpiał na depresję i uzależnienie od alkoholu, ale kiedy tu zamieszkał, nastąpiła wielka poprawa.

Odpowiedź zabrzmiała niemal jak próba obrony.

– Była pani jego opiekunką społeczną?

Caroline zawahała się.

– Pracowałam w dotyczącym go projekcie. Mój ojciec zorganizował małą placówkę dobroczynną w kościele Świętego Cuthberta, rodzaj hołdu dla mojej matki. Miejsce, w którym chętnie przyjmowano ludzi w sytuacjach kryzysowych. Matka cierpiała na depresję i popełniła samobójstwo, kiedy byłam nastolatką. To zmieniło moje życie. Żadne z nas nie chciało, aby jakkolwiek inna rodzina przeżywała taką stratę. Zostałam przeszkolona w kwestii zapewniania pomocy psychiatrycznej i przejęłam prowadzenie projektu, kiedy uzyskałam kilkuletnie doświadczenie w tej dziedzinie. Jest to bezpieczne miejsce dziennego pobytu dla osób z problemami psychicznymi, w którym organizujemy także kilka razy w tygodniu sesje grupowe.

Caroline wyglądała młodo, mogła być tuż po trzydziestce. Matthew zastanawiał się, jak może spędzać cały dzień w tak wielkim napięciu emocjonalnym, pracując z ludźmi, którzy muszą wciąż przypominać jej o matce. Uznał taki pomysł za przerażający. Nadmiar bodźców w pomieszczeniu sprawił, że nagle poczuł się

chory, zupełnie jakby miał objawy hiperglikemii. Poza tym doszedł do wniosku, że nie powinni prowadzić tej rozmowy w obecności innego świadka.

– Proszę posłuchać – odezwał się. – Proponuję, żeby panna Henry udała się do pracy. Zostawmy pannę Preece z sierżant Rafferty, niech porozmawiają na osobności. – Odwrócił się do Gaby.  
– Jeżeli zajdzie potrzeba, skontaktuję się z panią później w Woodyard.

Gaby wstała. Wyszedł za nią z domu. Ociągała się na schodach. On po prostu się odwrócił i poszedł szybko w górę ulicy, do zaparkowanego tam samochodu.

[3] Big Lottery Fund, inaczej zwany National Lottery Community Fund, jest pozarządową organizacją rozdzielającą fundusze przekazane przez brytyjską Loterię Narodową (National Lottery), wynoszące około jej 25% dochodu, na „szczytne cele”.







## *Rozdział siódmy*

Maurice Braddick miał zwyczaj oglądać przy śniadaniu telewizję. Kiedy jeszcze pracował, czasu wystarczało mu jedynie na szybkie wypicie kubka herbaty, a potem wychodził z domu i jechał do Barnstaple, na Butchers Row, uliczkę rzeźników. Często przyjeżdżał tam pierwszy, chociaż mieszkał najdalej. Albo jadł coś po przyjściu do sklepu – żona właściciela, Pam, robiła kanapki z bekonem, które sprzedawała straganiarzom na rynku – albo czekał do lunchu i kupował pasztecik. Obecnie nie myślał zbyt wiele o pracy, ponieważ wspomnianie wspólnoty, koleżeństwa i żartów było zbyt bolesne. Bardzo mu tego brakowało.

Po przejściu na emeryturę siadał razem z Maggie na kilka chwil w kuchni, czekając, aż po Lucy przyjedzie taksówka i zostaną sami. Wtedy pili kolejny kubek herbaty i rozmawiali o planach na ten dzień. Maggie nigdy nie przepadała za telewizją, bo nie potrafiła długo usiedzieć w jednym miejscu. Zrywała się i wychodziła do ogrodu. Albo do wioski, żeby organizować klub dla osób 60+. Albo werbowwała go do wożenia razem z nią starszym ludzioro posiłków do domów. Nie miał nic przeciwko temu. Lubił, kiedy mówiono mu, co ma robić.

Teraz razem z Lucy jedli śniadanie, patrząc w mały telewizor w kuchni. Lucy miała swoich ulubionych prezenterów i cieszyła się, kiedy któreś z nich prowadziło program. Na przykład kobieta z krótkimi włosami i wymową z północy, której głos wywoływał u Lucy chichot. Maurice był zadowolony, kiedy po włączeniu telewizora na ekranie pojawiała się ta kobieta. Uwielbiał, kiedy jego córka się śmiała.

Zawsze wstawał pierwszy. Rozstawiał miseczki i pudełka z płatkami zbożowymi, wyjmował mleko z lodówki, wkładał parę kromek chleba do tosterka. Wieczorem przygotowywał rzeczy dla Lucy, a ona przychodziła ubrana i gotowa i siadała na stołku przy kuchennym blacie. Zawsze lubiła chodzić do dziennego ośrodka. Niektórym z jej przyjaciół trudno było przywyknąć do Woodyard. Rosa przestała tam chodzić, kiedy przeniesiono siedzibę instytucji. Jej matka nie robiła z tego afery, ale kiedy Maurice zapytał ją o Rosę, powiedziała, że uważa za niewłaściwe, aby wszystkie tak różne grupy społeczne spotykały się w jednym budynku. Lucy bardzo podobał się gwar i ruch w nowym miejscu, od samego początku czuła się więc tam jak w domu. Maurice był bardzo dumny z jej pewności siebie.

Zanim przed rokiem otworzono Woodyard, mówiono, że większość działających w hrabstwie ośrodków dla osób z zaburzeniami uczenia się zostanie zamknięta, ponieważ samorząd nie ma dość pieniędzy na ich utrzymanie. Działo się to tuż po śmierci Maggie i był to paskudny okres. Myśl, że Lucy będzie cały dzień w domu, znudzona i sfrustrowana, spędzała Maurice'owi sen z powiek. Teraz ośrodek opieki dziennej przeniósł się do Woodyard, więc jej ojciec mógł się już uspokoić.

Była ósma, w telewizji zaczęto nadawać wiadomości lokalne. Autobus odjeżdżał o dziewiątej, nie było pośpiechu. Rano Maurice odprowadzał Lucy na przystanek, aby zażyć trochę ruchu i upewnić się, że dotarła tam bezpiecznie. Wstał kolejny piękny dzień i ziemia powinna się już nagrzać w wystarczającym stopniu, by można było zacząć sadić. Myślami Maurice przeniósł się już do ogrodu, czuł zapach ziemi i słońce grzejące go w kark. Do rzeczywistości przywołała go Lucy, która wskazywała ekran i krzyczała coś tak zdenerwowana, że słowa zlewały się ze sobą i nie był w stanie niczego zrozumieć. Na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny patrzącego przed siebie, które jednak zniknęło, zanim Maurice zdążył mu się dobrze przyjrzeć.

Pomachał ręką do Lucy, żeby umilkła na chwilę i pozwoliła mu usłyszeć, co mówi spiker.

*Każdy, kto ma informacje o Simonie Waldenie, którego ciało zostało wczoraj po południu znalezione na plaży niedaleko Braunton, powinien skontaktować się z Policją Hrabstw Devon i Kornwalia.*

A potem zaczęła się prognoza pogody.

– O co chodzi, panienko?

– To mój przyjaciel – powiedziała Lucy. – Mój przyjaciel z autobusu. Ten ze słodyczami.



Maurice zawiózł Lucy do dziennego ośrodka w Barnstaple. Chciał porozmawiać z kimś z personelu, zanim wezwie policję. Nie dlatego, że nie ufał Lucy – wydawała się bardzo pewna w sprawie mężczyzny w telewizji – ale nie chciał być z nią sam, gdy przyjdzie do nich funkcjonariusz. Nie wszyscy byli życzliwi. Niektórzy nie traktowali jego córki poważnie, lekceważyli ją albo tylko się gapili. Wyłącznie dlatego, że ma zespół Downa i od razu widać, że jest inna. Przyjaciółka Lucy, Rosa, wcale nie różniła się od innych – była śliczną dziewczyną – a Maggie i on nigdy nie byli pewni, czy jest to dobre, czy nie. Ludzie mogą oczekiwać od niej zbyt wiele, nie zdając sobie sprawy, że postrzega świat zupełnie inaczej niż oni. Dziś Maurice nie był pewien, jak jego córka sobie poradzi, jeżeli przyjdzie ją przesłuchać jakiś prymityw. W większości przypadków Lucy była bardzo bystra i ktoś mógł bez trudu potraktować ją protekcyjnie.

Za głównym wejściem do Woodyard znajdowała się wielka sala z obrazami na ścianach. W tym tygodniu była to wystawa poświęcona statkom i żeglarstwu. Uwagę Maurice'a zwrócił obraz przedstawiający nabrzeże w Bideford, z przycumowaną do niego starą łodzią. Był utrzymany w tonacji brązu i szarości, jakby malowano go w deszczowy dzień. Pomyślał, że Maggie bardzo by się spodobał. Nagłe przypomnienie rzeczy, które Maggie lubiła, czy ploteczek, które chętnie jej powtarzał, sprawiało, że smutek powracał

i atakował go z zaskoczenia. Poczuł łyzy napływające mu do oczu i zamrugał szybko, nakazując sobie, by nie zachowywać się jak cikliwy stary głupek.

Zostawił Lucy w dziennym ośrodku z jej znajomymi i poszedł do administracji. Jonathan był na miejscu. Zarządzał tą instytucją. Maurice rozpoznał go natychmiast po wejściu do środka, chociaż mężczyzna stał odwrócony do niego tyłem. Miał włosy tak jasne, że niemal białe, i bez względu na pogodę chodził w szortach i sandałach. Kiedy Maurice zobaczył go po raz pierwszy, nie wiedział, co o nim sądzić. Obecnie uważał go za swego rodzaju bohatera, ponieważ to dzięki jego energii powstało Woodyard, a Lucy była w nim szczęśliwa. Dzisiaj Jonathan miał na sobie szorty koloru khaki, sięgające za kolana, i podkoszulek z rysunkiem owcy. Miał jakieś problemy z drukarką i kłął słowami, których Maurice nigdy nie wypowiadał głośno, nawet kiedy był sam.

Ojciec Lucy zastukał we framugę i Jonathan się odwrócił.

– Maurice, znasz się choć trochę na technice?

Braddick pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie.

– Aaa, pieprzyć to! Nieważne. Wkrótce będzie Lorraine, a ona jest w tym doskonała.

Podszedł bliżej do Maurice'a i oparł się o biurko.

– W czym mogę pomóc? Widziałem wczoraj Lucy, wydaje się w bardzo dobrej formie. Wiem, że niektórzy mają problemy po przeniesieniu do Woodyard, ale słyszałem od pracowników z centrum, że doskonale się tu czuje. Podobno z każdym dniem nabiera coraz więcej samodzielności i wiary w siebie. I bardzo pomaga w barku.

– Wiem. – Maurice nie był pewien, jak ma zacząć wyjaśniać. Zapadła niezręczna cisza. Poczuł, że się czerwieni, żałował, że nie ma z nim Maggie; ona wiedziałaby, co powiedzieć.

– Może chodzi ci o to, gdzie Lucy będzie mogła mieszkać, kiedy już nie będziesz się mógł nią dłużej opiekować? Wiem, że pracownica opieki społecznej prosiła cię, żebyś o tym pomyślał.

– Nie! – Maurice wiedział, że *powinien* o tym pomyśleć, ale jeszcze nie był gotów. Nie mógł sobie wyobrazić domu bez niej.

– Są różne możliwości i chyba pora, żebyście to omówili. Ty i Lucy. Przypuszczam, że przy odrobinie pomocy doskonale sama dawałaby sobie radę.

Maurice pomyślał, że rzeczywiście musi kiedyś przyjść i porozmawiać z Jonathanem o przyszłości Lucy, chociaż bardzo nie chciałby mieszkać sam. Nie powinien być takim tchórzem.

– Wiem – odezwał się. – Ale teraz muszę ci powiedzieć o czymś ważniejszym.

– Napiłbym się kawy. Może pójdziemy do barku i zdradzisz, co cię gryzie? – Jonathan ruszył w stronę drzwi. Maurice pomyślał, że z przyjemnością zostawia biuro i swoje zajęcia.

Usiedli przy wielkich oknach, z których widać było rzekę aż do Anchor Woods. Był odpływ, na błotnistych łachach leżały szkielety butwiejących łodzi wiosłowych. Tu Maurice'owi łatwiej było zacząć mówić. Opowiedział Jonathanowi o człowieku w autobusie i tym, jak bardzo zaniepokoił go sposób, w jaki ten człowiek nawiązał znajomość z Lucy.

– Może po prostu był przyjacielski, ale wygląda to dziwnie. Lucy powiedziała, że każdego wieczoru wysiadał na jej przystanku, ale kiedy zobaczyłem jego zdjęcie w telewizorze, zorientowałem się, że nie jest to ktoś, kogo kojarzyłbym z wioski. Nie znam wszystkich, niektórzy są nowi. Ale nie uważasz, że to niepokojące? Zupełnie jakby ją śledził. Tyle się słyszy o ludziach wykorzystujących bezbronne osoby. O zastraszaniu. Napaściach seksualnych. W ubiegłym tygodniu było o tym w gazetach. – Maurice umilkł na chwilę. Korciło go, by powiedzieć, że jeżeli Walden zamierzał skrzywdzić jego córkę, wcale mu nie żal, że ktoś go zabił, ale Jonathan mógłby go źle zrozumieć. Jeżeli będzie w to zaangażowana policja, trzeba uważać, co się mówi.

– A Lucy z całą pewnością stwierdziła, że człowiek na zdjęciu w telewizji jest tym samym, który rozmawiał z nią w autobusie?

– Tak. – Maurice pociągnął łyk kawy. Była mocniejsza, niż lubił, ale byłoby nieuprzejmie jej nie wypić. – Była pewna, że to on. A ona dobrze zapamiętuje, co widzi.

Jonathan pokiwał głową.

– Wiesz, że będziesz musiał porozmawiać z policją. Jeżeli każdego dnia jeździł do Lovacott autobusem, będą chcieli się dowiedzieć, co tam robił, z kim mógł się spotykać. To raczej nie jest centrum wszechświata, prawda? Załedwie sześć mil od miasta, ale ma się wrażenie, że to zupełna dziura, i nie mogę sobie wyobrazić, po co miałby tam regularnie jeździć.

Braddick przytaknął.

– Chciałem się upewnić, że przyślą kogoś, kto będzie wiedział, jak rozmawiać z Lucy. Kogoś cierpliwego, kto jej nie zdenerwuje ani nie zmartwi. I mam nadzieję, że będziesz z nią wtedy. Wiem, że teraz kierujesz Woodyard i pracują tu inni ludzie, ale ty znasz ją najlepiej.

Maurice'a kusilo, żeby porozmawiać o tym, co myśli o tych nowych ludziach, o ich wyobrażeniach samodzielności i zmuszeniu Lucy, by jeździła autobusem, ale może to nie była odpowiednia chwila. Poza tym w głębi duszy wiedział, że Jonathan uważa za słuszne to, że Lucy uczy się jak najwięcej robić sama.

– Oczywiście. Mogę to zrobić. Upewnię się, że wszystko będzie przeprowadzone z wyczuciem. – Jonathan uśmiechnął się przelotnie. – Mój mąż jest gliniarzem. Powinienem być w stanie pociągnąć za parę sznurków. Zadzwoń do niego, dobrze?

Maurice udał, że nie usłyszał. Wiedział, że Jonathan wziął ślub z mężczyzną, ale nie przyszłoby mu do głowy, że chodziło o policjanta. Był zbyt wolnym duchem. Potem pomyślał, że czasy się zmieniają. Teraz liczyło się tylko to, że Lucy będzie właściwie traktowana.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Tak? – Jonathan wyjął komórkę z kieszeni, aby zadzwonić na policję, ale odłożył ją na stolik i spojrzał uważnie na Maurice'a. Ten zaś powiedział: – Lucy uważa, że widziała tego mężczyznę już

wcześniej. Gdyby kręcił się po wiosce, sam bym go zauważył, przypuszczam więc, że mogła go spotkać tylko w Woodyard.

Jonathan pokiwał głową, jakby sam już coś takiego podejrzewał.

---

Ostatecznie Maurice spędził cały ranek w Woodyard. Partner Jonathana pojawił się szybciej, niż któryś z nich się spodziewał, i zanim dołączyła do nich Lucy, porozmawiali we trójkę. Matthew Venn był poważny, stateczny, w garniturze. Kiedy podał Maurice'owi rękę w czasie powitania, ten spostrzegł, że paznokcie miał zaokrąglone i czyste, jak małe różowe muszelki. Nie sposób było wyobrazić go sobie w szortach i T-shircie. Ale jego oficjalny sposób bycia budził zaufanie. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto chodzi na skrót, i nie było w nim żadnego pozerstwa. Maurice zawsze podejrzliwie traktował efekciarzy.

Byli w ośrodku opieki dziennej, stanowiącym część Centrum Woodyard, wewnątrz wspólnego ogrodzenia, ale w innym budynku niż główny. Ośrodek był jasny i przyjemny, z odsłoniętymi drewnianymi belkami sufitowymi. Tylko parterowy, niezbyt efektowny, ale idealnie nadawał się dla Lucy i jej kolegów. Bezpieczny. Z centrum sztuki Woodyard łączył go krótki, przeszklony korytarz, ale kiedy wszyscy byli już na miejscu, drzwi do niego zamykano. Po drodze do sali konferencyjnej, w której mieli rozmawiać, zanim zaprosili Lucy, minęli kuchnię. Przez otwarte drzwi Maurice zobaczył, że odbywa się w niej lekcja gotowania. Lucy kroїła cebulę nożem, jakiego nigdy nie pozwoliłby jej użyć w domu, ale zdawała się doskonale sobie radzić. Inna kobieta z zespołem Downa obierała ziemniaki przy zlewie. Maurice rozpoznał ją, była jednak zbyt pochłonięta swoim zajęciem, aby odwrócić się i przywitać.

Kiedy Maurice po raz pierwszy odwiedził dawny ośrodek opieki dziennej, poczuł się zaniepokojony. Nie wszyscy byli jak Lucy – w miarę samodzielni i rozgarnięci. Ona chodziła do zwykłej szkoły do ostatniego roku, w którym podlegała obowiązkowi szkolnemu –

walczyła o to Maggie – umiała czytać i pisać. Potrafiła obsługiwać telewizor lepiej niż on i wciąż oglądała jakieś bzdury w swoim telefonie.

Niektórzy spośród przychodzących tam ludzi mieli poważniejsze niepełnosprawności psychofizyczne. Zajmowano się nimi w różnych grupach. Część z nich nie potrafiła mówić, ale wydawała dziwne dźwięki, piszczała i skomlała. Był tam mężczyzna o głowie nieproporcjonalnie małej w stosunku do ciała, ludzie z powykęczanymi kończynami, którzy nie mogli chodzić, i wożono ich w wózkach inwalidzkich. Teraz Maurice wstydził się tamtej reakcji, przerażenia, poczucia, że jest to jakiś gabinet osobliwości i jego Lucy zupełnie tu nie pasuje. Dziś znał imiona stałych podopiecznych, a życzliwość oraz cierpliwość personelu wywierała na nim wielkie wrażenie. Kiedy szedł za Jonathanem przez budynek, witał skinieniem głowy tych, których znał.

Detektyw przyniósł ze sobą zdjęcie martwego mężczyzny, to samo, które pokazywano w telewizji, i położył przed sobą na niskim stoliku. Pokój był bardzo mały. Jego okno wychodziło na drewniany płot i Maurice czuł się w nim jak w pułapce. Było mu za gorąco. Przypominała mu się sala w hospicjum, w którym Maggie spędziła ostatnie dni życia. Przyjemna, ale duszna. Martwa.

– Czy któryś z was go poznaje? – zapytał detektyw. – Mieszkał w Ilfracombe, w jednym domu z dwiema młodymi kobietami. Jedna z nich, Gaby Henry, jest tutaj plastyczką rezydentką. On był tu na wolontariacie, w kuchni barku. Przypuszczam, że dlatego Lucy rozpoznała go, kiedy usiadł przy niej w autobusie.

Maurice pokręcił głową.

– Nigdy go nie widziałem. Lovacott to mała wioska. Nie ma już w niej szkoły ani urzędu pocztowego. Tylko pub, a i to bardziej dla turystów niż miejscowych. Nie sądzę, żeby tam kiedykolwiek mieszkał. Kiedy tam wrócę, mogę popytać, jeżeli pan chce. Wezmę zdjęcie do „Pod Runem” i zapytam, czy ktoś go zna.

W chwili gdy Maurice skończył mówić, zaczął mieć wątpliwości, czy właściwie postąpił. Może policja nie lubi, kiedy inni się wtrącają.



Ale Venn kiwnął głową.

– Dziękuję. Bardzo by nam pan pomógł.

Jonathan odwrócił się do Maurice'a:

– Czy możemy poprosić teraz Lucy? Nie masz nic przeciwko temu?

Braddick musiał poczuć się dumny z córki, kiedy weszła z podniesioną głową i dziarskim krokiem, którym poruszała się, kiedy nie czuła się zbyt pewnie, ale nie chciała, aby ktoś się w tym zorientował. Z uśmiechem, który zmuszał wszystkich, by odpowiedzieli tym samym. Usiadła pomiędzy Maurice'em a Jonathanem. Zdjęcie wciąż leżało na stole.

– To on – oświadczyła. – Mężczyzna ze słodyczami w autobusie. Nie wymyślam tego.

– Ani przez chwilę tak nie myśleliśmy – stwierdził Venn. Słuchał uważnie i rozumiał każde słowo. – Podziwiam, że go rozpoznałaś. Wiele osób nie zdołałoby tego zrobić. – Po chwili milczenia dodał: – Czy może pamiętasz, jak był ubrany, kiedy widziałas go po raz ostatni?

Lucy zamknęła oczy.

– Dżinsy i dżinsowa kurtka. Buty.

– Czyli to samo ubranie, w którym go znaleziono. Czy przypominasz sobie coś jeszcze?

– Miał tatuaż na karku. Dużego ptaka.

– Właśnie tak. Wspaniale. – Znowu chwila milczenia. – Powiedz mi o słodyczach.

Maurice nie mógł zrozumieć, dlaczego może to być ważne, ale Lucy odpowiedziała natychmiast.

– Musujące landrynki cytrynowe, z nadzieniem czekoladowym, mieszanka owocowa.

– Wszystkie w tej samej torebce?

Kiwnęła głową.

– Papierowej?

Znowu kiwnęła.

– Wiesz, to ważne, bo oznacza, że Simon Walden kupił je w prawdziwym sklepie ze słodyczami. Nie w supermarkecie, gdzie wszystkie są już zapakowane. A w okolicy nie pozostało wiele takich staroświeckich sklepów. – Venn przerwał. – Powiedziałaś tacie, że widziałaś tego mężczyznę już wcześniej. Przypominasz sobie, gdzie to mogło być?

Lucy znowu zamknęła oczy. Maurice odniósł wrażenie, że się popisuje i udaje, aby potraktowano ją poważnie. Ale kiedy je otworzyła, pokręciła głową.

– Przykro mi. Staralam się sobie przypomnieć.

– To nie ma znaczenia. Wyjaśnimy tę sprawę. – Venn ponownie umilkł i uśmiechnął się. – Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie. Czy mężczyzna wsiadał do autobusu w tym samym czasie co ty? Poszłaś na przystanek ze swoimi przyjaciółmi i jednym pracownikiem z Woodyard. Czy był wtedy z tobą?

– Nie. Wsiadał na następnym przystanku, tuż przy wyjeździe z miasta, pod wzgórzem. – Zrobiła nieco zawstydzoną minę. – Wypatrywałam go. Miło było go widzieć.

– O czym rozmawialiście?

Po raz pierwszy zawahała się i wydawała się niepewna, jak ma odpowiedzieć. W końcu potrząsnęła lekko głową.

– O niczym. Niczym ważnym.

– A czy był sam, kiedy wsiadał do autobusu?

Lucy zastanowiła się.

– Tak – odparła. – I zawsze siadał przy mnie.





## *Rozdział ósmy*

Jen Rafferty zjadła śniadanie z Caroline Preece. Zastanawiała się, jak zareagowałby na to Matthew, gdyby wiedział. Tak bardzo trzymał się przepisów, że mógł nie pochwałać przyjmowania posiłku od świadka i potencjalnej podejrzanej – ale Jen uznała, że jest bardzo głodna i ma to w nosie. Caroline starannie zastawiła stół, a nawet naląła mleko do dzbanka i ułożyła tosty na podstawce.

– Domowa marmolada. Moja babcia jest wspaniałą kucharką.

Postawiła przed Rafferty słoik przykryty kawałkiem materiału w kratkę, umocowanym recepturką.

W czasie jedzenia obserwowały się nad stołem. Caroline była schludnie ubrana, może nie w bliźniaczy komplet składający się z bluzki oraz swetra i sznur pereł na szyi, ale bardziej w jego współczesny odpowiednik – ładną białą bluzeczkę oraz czarne spodnie i kardigan. Jen za żadne skarby nie pokazałaby się w tak nudnym stroju. Na szyi Caroline wisiał łańcuszek z krucyfiksem. Małym, eleganckim i wsuniętym za dekolt bluzki. Jen pomyślała, że pewnie to ona jest tą dewotką, o której wspominała Gaby, kiedy po raz pierwszy zjawili się w tym domu. Jen to nie przeszkadzało. Sama wychowała się w bardzo świętoszkowatej rodzinie i uczyły ją zakonnice.

– Opowiedz mi o swojej pracy.

Caroline nie odpowiedziała wprost. Najwyraźniej chciała przedstawić wszystko na swój sposób.

– Mama zabiła się, kiedy jeszcze chodziłam do szkoły. Tato był biznesmenem, należało do niego kilka ośrodków wypoczynkowych i hoteli na wybrzeżu, ale po jej śmierci stracił serce do tych zajęć.

Ciągnął to jeszcze jakieś pięć lat, aż w końcu sprzedał wszystko. Chyba zarabianie pieniędzy przestało być dla niego takie ważne. Już wtedy zaczął zbierać fundusze na ośrodek z przychodnią przy kościele Świętego Cuthberta, a kiedy zdobyłam kwalifikacje, przejęłam zarządzanie i zmieniłam tę instytucję w bardziej profesjonalną. Przedtem prowadziło ją kilku amatorów o dobrych chęciach.

– A twój ojciec zaangażował się także w Woodyard?

– O tak. Pomaga wszędzie, gdzie może. Stał się niemal święty. – W głosie Caroline pojawiło się lekkie rozgoryczenie, ale mówiła dalej, zanim Jen zdolała do tego nawiązać. – Usługi, jakie świadczymy, są naprawdę potrzebne. W Północnym Devonie nie spotyka się dzieciaków ze szkół publicznych przyjeżdżających tu, aby surfować, ani rodzin spędzających idealne wakacje na plaży. Przyciągamy ludzi, którzy nie potrafią nigdzie zagrzać miejsca, bezdomnych, włóczęgów. Miejscowi także cierpią na depresję. Nie każdy ma rodzinę, która udziela mu wsparcia.

– Czy Kościół jest w to bezpośrednio zaangażowany?

– No cóż, należę do tutejszej parafii i księża oraz wierni bardzo pomagają. Początkowo korzystaliśmy tylko z sali przykościelnej, ale teraz zwiększyliśmy obszar działania. – Kolejna pauza i nieśmiałe spojrzenie w stylu księżnej Diany, przez opuszczone rzęsy. – Jestem dziewczyną wikarego, Edwarda Cravena.

Coś w tym mizdrzeniu się sprawiło, że Jen miała ochotę zwymiotować. Albo powiedzieć tej dziewczynie, żeby zmądrzała. Raz zdarzyło jej się zadurzyć w facecie i do czego ją to doprowadziło?

– Realizujemy obecnie projekt partnerski, nie tylko z Kościołem, ale także z lekarzami rodzinnymi i miejscowymi władzami. Nowatorski. – Najwyraźniej Caroline już wcześniej wygłaszała ten tekst, ale nie zmniejszyło to jej zaangażowania.

– Kiedy po raz pierwszy spotkałaś Simona Waldena?

– Pojawił się u Świętego Cuthberta w trakcie jakiegoś swojego kryzysu. Bardzo pijany. W głębokiej depresji. – Caroline poprawiła

się w krześle. Oczy za wielkimi okularami były bardzo bystre. – Umówiłam go na spotkanie z lekarzem rodzinnym i przekonałam, żeby włączył się do programu realizowanego w centrum. Leki i sesje psychoterapeutyczne podziałały bardzo szybko. Kilka tygodni potem zaproponowałam, żeby się tu sprowadził. To oczywiste, że potrzebował wsparcia.

– Czy to nie było trochę ryzykowne?

Jen pomyślała, że jest w niej coś z fanatyczki. Caroline zapragnęła zbawić Waldena. Polubiła go, bo słuchał jej rad, ale wydawało się to najgorszą formą pychy.

– No cóż, z całą pewnością nie było zgodne z procedurami i ojciec miał o to do mnie trochę pretensji. Powiedział, że nie powinnam się tak angażować emocjonalnie. Byłam innego zdania. Uważałam, że Simon potrzebuje bardziej osobistego podejścia.

*A ona musiała pokazać, jaką jest dobrą kobietą. Komu usiłowała zaimponować? Przyjaciołom? Kolegom? Wikaremu Edwardowi? Czy może ojcu?*

– Jak wyglądała kuracja Simona?

Caroline zawahała się.

– Posłuchaj – powiedziała Jen – to raczej nic poufnego. Jego lekarz może mi ją opisać.

– Już powiedziałam. Otrzymał od lekarza środki przeciwdepresyjne i uczestniczył w cotygodniowych terapiach grupowych. Poza tym zachęcaliśmy go, by ćwiczył jogę i odbywał medytacje. Kiedy jego samopoczucie zaczęło się stabilizować, zaczął pracować jako wolontariusz w kuchni barku w Woodyard.

*Bardzo oględnie.*

– Terapia grupowa. Czy była przeznaczona dla ludzi uwalniających się od uzależnień? – Jen pomyślała, że Hope Street nie była najlepszym miejscem zamieszkania dla ćpuna. Jak zauważył Ross, ulica była znana jako miejsce działalności dilerów. Ale skoro podczas wypadku, w którym zabił dziecko, był pod wpływem alkoholu, bardziej prawdopodobne wydawało się, że to gorzała była problemem Waldena.

Caroline odezwała się po długim milczeniu.

– Kiedy Simon przyszedł pierwszy raz do Świętego Cuthberta, był tak pijany, że prawie nie mógł utrzymać się na nogach. Nie zdradzam żadnej tajemnicy, może to powiedzieć każdy, kto wtedy tam był. Napoiliśmy go kawą i pozwoliliśmy mu przespać tę noc na tyłach kościoła. Kilka dni później przyszedł do centrum. To było kilka tygodni przed tym, kiedy dowiedziałam się, że śpi na ulicy. I w tym czasie był już o wiele bardziej stabilny.

– I zaproponowałaś mu, żeby zamieszkał tutaj? Przecież musisz pracować z wieloma bezdomnymi. Co w Waldenie było takiego szczególnego?

Znowu zapadła cisza.

– Nie jestem pewna. Chyba po prostu coś w nim skłoniło mnie do uznania, że warto poświęcić mu trochę wysiłku. Swego rodzaju intensywność emocji. Charyzma. Pewnie powinnam była najpierw zapytać Gaby o zdanie, ale to *mój* dom.

– Wprowadził się, ale nie przestał pić?

– Nie upijał się tak, jak za pierwszym razem. A poza tym nie zajmuję się zwalczaniem alkoholu. Nie mogę ponosić odpowiedzialności za wszystkich ludzi, z którymi pracuję.

– Jak płacił czynsz? Skoro był tak zaangażowany w wolontariat, nie należał mu się zasiłek dla szukającego zatrudnienia.

Caroline pokręciła głową.

– Nie wiem. Powiedział, że może płacić. I płacił, co miesiąc.

– Skoro miał dostęp do pieniędzy, dlaczego był bezdomny?

– Tutaj niełatwo jest znaleźć zakwaterowanie. W każdym razie nie za rozsądną cenę. – Ton głosu Caroline był niepewny, jakby sama też zastanawiała się, skąd Walden brał pieniądze. – Spojrzała na zegarek. – Czy coś jeszcze? Powinnam wkrótce wyjść.

– Czy Simon był z kimś bliżej związany? Może nawiązał jakieś przyjaźnie, gdy pracował w hotelu? Z jakimś innym uczestnikiem terapii?

Caroline odpowiedziała natychmiast:

– Nie. Był samotnikiem.



– Wiedziałaś, że zabił dziecko?

– Słyszałaś o tym? – Oczywiście Caroline za okularami sprawiały wrażenie bardzo dużych. – To był wypadek. Prześladował go. Naprawdę. Wciąż miał związane z tym koszmary i zniszczyło to jego małżeństwo.

– Czy Gaby wiedziała o tym? A twój ojciec?

– Tej nocy, kiedy zjawił się Simon, taty nie było u Świętego Cuthberta. Już ci mówiłam, że w tym czasie nie angażował się tam zbyt wiele. Więcej czasu i energii poświęcał Woodyard. Pewnego razu nawet ściągnął tam Edwarda, aby mu pomógł. – Zacisnęła mocno wargi. Jen ponownie pomyślała, że relacje pomiędzy Caroline a jej ojcem wyglądały na bardziej skomplikowane, niż kobieta była skłonna to przyznać. – Tamtej nocy byłam tylko ja i Ed. Wtedy właśnie Simon powiedział o wszystkim, o dziecku i swoim poczuciu winy. Mówił o tym także w czasie terapii grupowej, ale tato nigdy nie uczestniczył w tych sesjach. Nie sądzę też, aby Simon zwierzał się Gaby z czegoś ważnego.

– Będziemy potrzebowali waszych odcisków palców – oznajmiła Jen. – Technicy kryminalistyczni się tym zajmą. Możesz powiadomić o tym Gaby?

– Uważacie, że któraś z nas mogła go zabić?

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że Simon Walden nie znał nikogo innego. – Jen zdała sobie sprawę, że zachowuje się ostro. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak trudno jej polubić tę kobietę. Caroline była współczująca, wykonywała potrzebną pracę. Wierzyły w te same zasady: sprawiedliwość społeczną, równość. – Ale chodzi o eliminację. Próbuje odnaleźć ślady jakiejś obcej osoby, która mogła odwiedzić ten dom.

– Ale tu zawsze jest pełno ludzi. Muzyków, artystów. Gaby śpiewa amatorsko i zawsze kogoś tu przyprowadza.

– Mimo wszystko – stwierdziła Jen – będziemy was prosili o odciski palców. Czy masz z tym jakiś problem? – Niechęć Caroline do współpracy wydawała się jej czymś dziwnym.

– Oczywiście, że nie. – Caroline ruszyła w stronę drzwi, spodziewając się, że Jen pójdzie za nią.





## *Rozdział dziewiąty*

Woodyard było pomnikiem na cześć kompetencji Jonathana oraz jego wiary w sukces, więc Matthew patrzył na centrum z mieszaniną dumy i zazdrości. Był dobrym detektywem, ale nigdy nie osiągnął tak wiele. To miejsce nadal byłoby tylko opuszczonymi zakładami przetwórstwa drewna, z rozsypującym się magazynem, gdyby nie jego mąż. Po wędrówkach Jonathan wrócił do domu w Exmoor, gdzie zaczął pracować za małe pieniądze jako opiekun człowieka z problemami rozwojowymi i pokochał swoje zajęcie. Miał odpowiednie połączenie poczucia humoru oraz empatii i właściwie bez uświadomionego sensu działań ani końcowego celu uTORował sobie drogę przez system, docierając do stanowiska dyrektora ośrodka. Uwielbiał również tę pracę i wtedy właśnie Matthew go poznał.

W tym czasie zajmował się pracą policyjną w Bristolu, wielkim mieście oddalonym o zaledwie dwie godziny drogi od miejsca, w którym się wychował, będącym zarazem całkiem innym światem – zróżnicowanym kulturowo, kipiącym, żywym. Czuł się tam równie obco jak w Barnstaple, ale był anonimowy. Nikogo nie obchodziło, że jego rodzina była religijnymi bigotami i wyrzekła się go, ponieważ nie mógł już dłużej wierzyć w ich Boga, ani że rzucił studia, ponieważ presja na uniwersytecie doprowadzała go niemal do szaleństwa. Dobrze wykonywał swoją pracę i tylko to się liczyło. Poznał Jonathana na konferencji poświęconej pracy z bezradnymi dorosłymi. Kierownictwo przysłało liczące trzy wersy polecenie, że ktoś powinien w niej uczestniczyć, a nikt w zespole Matthew nie był

zainteresowany sprawą. Były to jego czterdzieste urodziny i Jonathan okazał się prezentem od losu.

Utrzymywali kontakt, spędzali razem weekendy, najczęściej w Barnstaple, dyskretnie, nie rzucając się w oczy. Matthew tłumaczył sobie, że nie są prawdziwą parą. Że nie może mieć tyle szczęścia i jest to w jego życiu etap, który przeminie. Jonathan znowu zacznie podróżować albo natrafi na kogoś bardziej interesującego. Ale zamiast tego znalazł nowy projekt. Woodyard. Był to okres, kiedy samorząd wprowadzał cięcia budżetowe i istnienie ośrodka opieki dziennej, w którym pracował, stało pod znakiem zapytania. Jonathan zmienił się wtedy z niefrasobliwego faceta, który co prawda narzekał na ograniczanie możliwości działania, ale pod koniec dnia rzucał wszystko, w aktywistę – zaangażowanego, nieposkromionego, dobrze zorganizowanego. Matthew przyjeżdżał z Bristolu do maleńkiego mieszkania Jonathana w najstarszej części miasta zmęczony po całym tygodniu pracy i zastawał w nim mnóstwo ludzi. Poważnych ludzi, mówiących o pieniądzach, wnioskach o dofinansowanie i lobbowaniu za projektem, a także artystów takich jak Gaby z Hope Street, którzy malowali plakaty i planowali kampanie w mediach społecznościowych. Biznesmeni w garniturach i radykalni aktywiści w jednym miejscu. Matthew czuł się onieśmielony i szukał schronienia w swojej pracy. Był pewien, że Jonathan znajdzie kogoś ciekawszego, z kim chciałby spędzić swoje życie.

Zaskoczyła go zmiana, która zaszła w Jonathanie, fakt, że może być tak poważny. Do tej pory *on* był tym poważnym, wiecznie zamartwiającym się. Jonathan pił piwo i siedział na słońcu. Nie miał problemów z zasypianiem. W tych dniach planowania i aktywności każdą godzinę dnia poświęcał projektowi Woodyard. I urzeczywistnił go. A teraz ośrodek stał przed nim dokładnie taki, jakim wyobrażała go sobie komisja organizacyjna. Wspaniałe miejsce łączące ze sobą ludzi. Jonathan był jego dyrektorem generalnym. Nadzorował je zarząd powierniczy, ale on dowodził centrum, wraz ze swoją asystentką Lorraine.

Matthew obawiał się, że kiedy Woodyard zostanie ukończone i zacznie działać, Jonathan znudzi się i znowu nie będzie mógł znaleźć sobie miejsca. A wtedy ucieknie. Dlatego też starał się utrzymywać dystans. Nie miało sensu za bardzo się angażować i narażać się na ból. Aż nagle wczesną jesienią w pewne niedzielne popołudnie Jonathan zabrał go na spotkanie ze swoimi rodzicami. Pierwszy raz zachowywał się nerwowo, był stremowany. Inny niż zwykle. Siedzieli wokół kuchennego stołu zarzuconego rachunkami, z czujnymi psami u stóp. Matthew przypomniał sobie, jak z ojcem odwiedzał klientów, którzy nigdy nie byli w stanie zapłacić w porę. Dostrzegł tu takie samo zaniedbanie, wrażenie niemal desperacji. Matthew czuł, że ta para mogłaby mieszkać w pięknym domu, ale była biedna. Rodzina, podobnie jak psy, zachowywała się nieufnie. Zupełnie nie miał pojęcia, co rodzice Jonathana o nim myślą.

Wracając do Barnstaple, gdzie Matthew musiał spakować plecak przed powrotem do Bristolu, Jonathan zjechał na pobocze niedaleko małego, kamiennego mostu na skraju mokradeł, gdzie krajobraz stawał się mniej surowy. Wysiedli i zapatrzyli się w wodę. Drzewa na obu brzegach zmieniały barwę i odbijały się w rzece.

– Co o nich sądzisz?

Matthew nie wiedział, co odpowiedzieć.

– To nie moi rodzice. Nie prawdziwi. – Jonathan nie był w tym momencie sobą, pewnym siebie człowiekiem. Dłoń oparta o kamienną poręcz drżała. – Zostałem adoptowany. Dowiedziałem się przypadkowo, kiedy miałem szesnaście lat.

– Dlatego odszedłeś z domu?

Jonathan milczał przez chwilę.

– Między innymi. Byłem gniewny. Trochę dziki. Wyrzucili mnie ze szkoły. – Patrzył w stronę wzgórz, ale odwrócił się znowu do niego. – Wyjdiesz za mnie?

Dla Matthew była to ostatnia rzecz, której mógł oczekiwać, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie żart. Nawet kiedy zrozumiał, że Jonathan w równym stopniu chciał, żeby stał się dla niego nie tylko mężem, ale i ojcem – chociaż różnica wieku między

nimi nie była aż tak wielka – nic go to nie obeszło. Zgodziłby się na wszelkie warunki.

– Tak! – zawołał na tyle głośno, że chyba usłyszeli go na farmie. Tak głośno, że dla obu było to szokiem. Zazwyczaj był cichym człowiekiem. – Oczywiście, że wyjdę.

Następnego dnia poprosił o przeniesienie do policji w Devon. Jakimś cudem było tam wolne miejsce i rozpaczliwie potrzebowano kogoś, kto jak najszybciej przystąpi do pracy. W następny weekend pojechali obejrzeć dom przy estuarium i kupili go, pomimo zagrożenia podtopieniami. Matthew, zazwyczaj tak ostrożny i unikający ryzyka, postanowił, że nadeszła pora zachować się lekkomyślnie.



Teraz siedzieli w ogrodzie w Woodyard i jedli lunch. Dziwnie się czuł, przebywając tu we własnych sprawach. Odwiedzał z Jonathanem centrum już wcześniej, aby obejrzeć przedstawienie, uczestniczyć w wernisażu. Ale robił to tylko sporadycznie i dopiero od chwili, kiedy przeprowadzili się do Barnstaple na stałe. W mieście nadal rzadko brano ich za parę. Ich światy były bardzo różne. Początkowo przedstawianie się publicznie jako partner Jonathana, uśmiechanie się i ściskanie dłoni innych podczas tych wydarzeń było gehenną. Co właściwie wiedział o sztuce czy teatrze? Niekiedy ogarniała go obawa, że powie coś niewłaściwego albo wygłosi jakąś idiotyczną opinię; sprawiała, że miał ochotę uciec albo zamknąć się w toalecie. Dziś był tu jako komisarz Matthew Venn prowadzący dochodzenie w sprawie morderstwa i grał pierwsze skrzypce.

Kupili w barku kawę i kanapki, a teraz siedzieli na jednej z ławek przed budynkiem. Widzieli stąd rzekę, nadchodzący przypływ, czuli charakterystyczny zapach soli, mułu i rozkładu. Grupa starszych wolontariuszy sprzątała, zamiatając śmieci, które zebrały się na trawniku w czasie zimy, ale nikt nie był wystarczająco blisko, aby podsłuchać, o czym rozmawiają Matthew i Jonathan.



Komisarz odezwał się pierwszy. Siedzieli tak, aby móc trzymać się za ręce, ale Matthew był tu jako funkcjonariusz policji, a nie mąż, w dodatku jego słowa zabrzmiały dziwnie urzędowo:

– Uważasz Lucy Braddick za wiarygodnego świadka?

– Oczywiście. Znam ją od wieków. Od kiedy działało stare centrum.

– Jen właśnie zadzwoniła, żeby potwierdzić, że Walden pracował tu w kuchni barku. A więc to tutaj Lucy musiała zobaczyć go po raz pierwszy. – Matthew milczał przez chwilę. – Jak dobrze znasz Christophera Preece'a? Nie chciałem o to pytać w obecności Maurice'a.

– Jest w zarządzie powierniczym Woodyard i bez jego darowizny zapewne nie mielibyśmy dość funduszy na remont tego miejsca. Musiałeś słyszeć, jak o nim mówiłem, i sam też spotkałeś go kilka razy. Na samym początku był na kilku spotkaniach w moim mieszkaniu. – Jonathan umilkł. – Był związany także z projektem ośrodka zdrowia psychicznego w Świętym Cuthbercie. Jest w nim jakaś namiętność neofity. Bezwzględny biznesmen, w którym nagle obudziła się świadomość społeczna. Niekiedy robi wrażenie trochę aroganckiego. Jakby znał wszystkie odpowiedzi.

– Dziś rano poznałem jego córkę, Caroline. Też wydaje się dosyć zaangażowana. Mieszka u niej w domu jedna z twoich pracownic, Gaby Henry.

– Jest zdumiewająca. Przyjęto ją na stanowisko plastyka rezydenta i ożywiła całe to miejsce. Jej prace są oszałamiające. Pewnego dnia dzięki niej znajdziemy się na kulturalnej mapie kraju.

– Wszystko jest ze sobą za bardzo powiązane. – Matthew miał wrażenie, że zabrzmiało to jak jęk. – Widzisz teraz, dlaczego muszę zasygnalizować konflikt interesów.

– Oczywiście, że powinieneś to zrobić. Ale nie wycofuj się ze sprawy już teraz. Jesteś w tym lepszy niż ktokolwiek, a twoje dochodzenie może poprowadzić cię w całkowicie innym kierunku. Przecież bardziej prawdopodobne, że odpowiedź znajdziesz w Świętym Cuthbercie, a nie tutaj.

Matthew był w stanie zrozumieć sens tego stwierdzenia, ale pomyślał, że sprawa jest skomplikowana, pogmatwana i mało prawdopodobne, by udało się szybko rozplątać wszystkie wątki.



Gaby Henry uzgodniła, że spotka się z nim w jednej z sal lekcyjnych. Prowadziła zajęcia z oceny dzieł sztuki i oczywiście wyświetlała na ekranie szereg obrazów. Grupa przypominała mu przyjaciół, których Jonathan przyprawdzał czasami do domu – ludzi o inteligentnych, poważnych twarzach. Kobiety miały na sobie luźne suknie z kwiecistymi wzorami, a mężczyźni dżinsy i swetry. Swobodne, ale jednocześnie sprawiające wrażenie mundurów. Matthew obserwował przez oszklone drzwi, jak Gaby kończy spotkanie.

– To było doskonałe – powiedziała. – Bardzo wam dziękuję za uwagę. – Stała przy drzwiach, gdy wychodzili, i odezwała się do Matthew dopiero wtedy, kiedy wszyscy znaleźli się poza zasięgiem słuchu.

– Dzięki Bogu, że w tym tygodniu to już koniec – powiedziała. – Nigdy nie spotkałam tak nudnej, pretensjonalnej bandy!

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Często myślał to samo o artystowskich przyjaciółach Jonathana.

Gaby wprowadziła go do sali.

– Wiecie już, co spotkało Simona?

– Jeszcze nie. – Po chwili przerwy dodał: – Odkryliśmy, że w ostatnim tygodniu, a może dłużej, każdego popołudnia jeździł do Lovacott. Miał tam jakichś przyjaciół?

Gaby pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się, żeby gdziekolwiek miał przyjaciół. Kilka razy późno przyszedł do domu, ale my także wracałyśmy późno, nie zwróciłyśmy więc na to uwagi. Zakładałyśmy, że jest u siebie. – Przez chwilę sprawiała wrażenie, że się zastanawia. – Nie widywałyśmy go często, biednego sukinsyna. Tylko w piątki

wieczorem, kiedy gotował dla nas obu. W inne wieczory zaszywał się w swoim pokoju. Może Caz wie, czy miał kumpli w Lovacott. Niekiedy podwoziła go do Barnstaple.

– Nigdy nikt go nie odwiedzał?

– Nikogo takiego nie widziałyśmy. – Milczała chwilę. – Ktoś raz do niego zatelefonował. Mamy stacjonarkę, ale prawie z niej nie korzystamy. Używamy komórek. Pewnego dnia postanowiłam sprawdzić pocztę głosową i była w niej jedna wiadomość do Simona.

– Pamięta pani jakieś szczegóły? Nazwisko dzwoniącego? Numer?

– Nic z tych rzeczy. Wyglądało na to, że facet z drugiej strony zakładał, że Simon wie, kim jest. *Hej, Si. To jak powiew z przeszłości, co? Ostatecznie jednak cię wytropiłem. Mówiłem ci, że tak zrobię. Okazuje się, że nie możesz uciec od starych kumpli.* – Gwałtownie odwróciła się do niego przodem. – Brzmi trochę złowieszczo, prawda? Ale ton nie był taki. Raczej przyjazny. Jakby byli starymi kolegami.

– Kiedy została nagrana ta wiadomość?

– Odsłuchałam ją parę tygodni temu. Może pojawiła się tam parę dni wcześniej. Jak panu mówiłam, rzadko korzystamy ze stacjonarnego.

– Zachowała pani tę wiadomość? – Matthew pomyślał, że muszą odnaleźć dzwoniącego, obojętne, czy był przyjacielem, czy wrogiem. Tak mało wiedzieli o przeszłości Waldena.

– Oczywiście! Powiedziałam Simonowi, że tam jest i może ją odsłuchać. Ale niewykluczone, że sam ją potem skasował.

– Czy była pani przy tym, jak jej słuchał?

– Nie! – Gaby była stanowcza. – To nie był mój interes.

Na chwilę zapadła cisza i Matthew wysłał esemesa do Rossa, aby załatwił billingi telefonu stacjonarnego, i przekazał Jen, że ma odsłuchać wiadomość. Wciąż mogła być na wybrzeżu. Poprosił ją, żeby po zakończeniu rozmowy z Caroline poszła do hotelu, w którym dawniej pracował Walden, a potem wróciła do domu przy Hope Street. Gaby dała im ubiegłego wieczoru zapasowy klucz. Czuł

ogarniające go emocje. Wiadomość telefoniczna mogła stać się ważnym elementem dochodzenia. Dlatego właśnie kochał tę pracę.

– Gdzie pani była wczoraj po południu?

– Na wybrzeżu – odparła. – Robiłam szkice do obrazu, nad którym pracuję.

– A gdzie dokładnie?

Znowu chwila milczenia.

– Niedaleko miejsca, gdzie znaleziono jego ciało. Ale nie poszłam tam, żeby go zabić. Wkurzał mnie, ale przecież nie zamierzał mieszkać na Hope Street w nieskończoność. Według Caz po rozpoczęciu sezonu miał wrócić do hotelu. Mieszkałby tam. – Spojrzała ostro na Matthew. – Proszę za mną! – Było to żądanie, nie prośba. – Mogę udowodnić, co robiłam na wybrzeżu. – Wstała. Bez komentarza ruszył za nią.

W milczeniu poprowadziła go po dwóch kondygnacjach kamiennych schodów na górę budynku. Remont objął tylko dolne piętra, schody były nierówne i niczym niepokryte. Kiedy otworzyła drzwi do dużego pokoju, zobaczył poplamione deski podłogowe, odpadający tynk i stare cegły. Wypełniało go światło wpadające przez przesuwane okna po obu stronach. Na parapecie stał ekspres do kawy i kilka brudnych kubków. Poza sztalugami i stertami blejtramów z naciągniętymi płótnami całe pomieszczenie było puste, dźwięczące echem. Wskazała gestem ekspres. – Napije się pan? Tylko że przygotowałam ją dzisiaj rano i pewnie wystygła do tej pory.

– Dzięki, mam w sobie już wystarczająco dużo kofeiny.

Teraz sprawiała wrażenie całkiem innej kobiety. Nonszalancka, luzacka Gaby z Hope Street zniknęła. Zwróciła jego uwagę na obraz na sztaludze. Krajobraz morski z rozmytym cyplem. Crow Point niedaleko miejsca, w którym znaleziono Waldena, ale oglądany od drugiej strony mokradeł. Na płótnie widać było puste miejsca.

– Nie idzie mi dobrze – stwierdziła – dlatego wróciłam, żeby zrobić parę szkiców. Ale nie pojechałam płatną drogą. Zaparkowałam przy bagnie i poszłam na piechotę. – Wyjęła szkicownik i podała mu, aby go obejrzał. Pospiesznie nakreślone

rysunki, na których uchwycono ruch fal, uderzenia skrzydeł mew. Rozpoznał w oddali zarys Crow Point.

– Są bardzo dobre – powiedział bez zastanowienia.

– Dlatego jestem w Woodyard. Tu mam czas i miejsce, by malować. Praca jest najczęściej otępiająco nudna, jak ta z grupą, którą pan widział. Banda znudzonych ludzi z klasy średniej i w średnim wieku, uważających, że mają talent albo że rozumieją sztukę.

– Skoro tak pani ich ocenia, to dlaczego przyjęła pani rezydenturę?

– Ponieważ daje pieniądze. – Powiedziała to takim tonem, jakby sprawa była oczywista. – Nie mam bogatego tatuśka jak Caz, matka wychowywała mnie sama i jak na razie nie zarobiłam ani pensa na moich obrazach, więc się jej trzymam. To lepsze niż układanie towarów na półkach w supermarkecie albo nalewanie piwa. Tylko tyle.

– Oczywiście to niczego nie dowodzi. – Wskazał szkice. – Mogła je pani zrobić w dowolnym czasie.

– Ale tak nie było. – Jej frustracja rzucała się w oczy.

– Dlaczego tak bardzo nie lubiła pani Simona Waldena?

– Nie powiem, że go nie lubiłam. – Odwróciła się. – Po prostu nie widziałam, jaki sens ma jego pobyt w domu Caroline. Jeżeli nie przeszkadza panu chodzenie rankiem po igłach albo nagabywanie przez pijaczka z sąsiedztwa, Hope Street jest całkiem fajnym miejscem. To najlepszy dom, w jakim kiedykolwiek mieszkałam. A tamte rzeczy mnie nie obchodzą. Nie potrzebuję mężczyzny, żeby mnie chronił.

– A Caroline? – Matthew był zaskoczony. Uważał je obie za silne, niezależne kobiety.

– Też nie, ale to była jedna z wymówek, dlaczego pozwala mu tu mieszkać. Że będziemy bezpieczniejsze z mężczyzną w domu. Co było dość głupie. Mogło się okazać, że wpuściliśmy pod dach wariata.

– Był wariatem?

Gaby nie odpowiedziała od razu.

– Był nieźle popieprzony. Przynajmniej na początku. Chyba miał depresję, ale nie sądzę, by był niebezpieczny. Po prostu wyprowadzał mnie z równowagi. – Na chwilę odwróciła wzrok i kiedy spojrzała ponownie na niego, jej słowa zabrzmiały jak wyznanie. – Namalowałam go.

– Mógłbym zobaczyć?

Wzruszyła ramionami, wyciągnęła ze stosu przy ścianie jeden blejtram i postawiła go na sztalugach. Matthew przyjrzał mu się. Pomyślał, że powinien powiedzieć coś inteligentnego, ale znowu poczuł zakłopotanie. Co właściwie wiedział o sztuce? Tym razem skonfundowanie przeszkodziło mu w udzieleniu uczciwej odpowiedzi, ale nie potrafił oderwać wzroku od obrazu. Była na nim tylko głowa Waldena. Podobieństwo rzucało się w oczy, im dłużej jednak Matthew patrzył na portret, tym bardziej wydawał się on zmieniać. Pojawiały się plamy barw, jakich nigdy nie widział na ludzkiej skórze. Cofnął się o kilka kroków i spojrzał ponownie. Walden patrzył w dal, marszcząc brwi.

– To także jest namalowane ze szkicu? – Matthew ponownie poczuł, jak świadomość własnej niewiedzy uwidocznia się na jego twarzy niczym rumieniec. Dorastając w Bractwie, dowiedział się tak niewiele o świecie, że jego krótki pobyt na uniwersytecie był raczej udawaniem, spektaklem. Udawał, że rozumie aluzje do kapel, o których nigdy nie słyszał, i filmów, których nie oglądał. W szkole pozował na intelektualistę, ale potem codziennie obawiał się, że zostanie zdemaskowany jako oszust. Dopiero po jakimś czasie zdołał otworzyć się przed Jonathanem. Ale wciąż były momenty, w których czuł potrzebę udawania.

Gaby najwyraźniej nie uznała pytania za głupie.

– Nie. Z fotografii.

– Po co? Dlaczego zechciała pani go namalować? Czy miał jakąś niezwykłą twarz?

– Nie. Przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Na ulicy nie spojrzałby pan na niego drugi raz. Chyba chciałam zrozumieć,

dlaczego tak zalał mi za skórę.

– Uważała go pani za przystojnego? – Matthew pomyślał, że to jedno z najdziwniejszych przesłuchań, jakie przeprowadził. Gaby naciskała, żeby usunąć Waldena z domu, ale w jej obsesji było coś, co odbierał jako upór nastolatki.

Oczekiwał gniewnej odpowiedzi. *Nie, oczywiście, że nie. Był psycholem.* Ale zastanawiała się, usiłując podjąć decyzję, jak wiele chce mu powiedzieć.

– Być może – odpowiedziała w końcu. – Być może tak. Było w nim coś, pomimo jego humorzastości i czasami ataków gniewu, kiedy za dużo wypił. Coś fascynującego. Nigdy o tym nie myślałam, dopóki nie zaczęłam go malować. – Spojrzała na Matthew. – Wariactwo, nie?

– Czy kiedykolwiek rozmawiał z panią o życiu, które prowadził, zanim wylądował w hotelu w Ilfracombe?

Zapadła cisza i znowu pomyślał, że Gaby zastanawia się, jak wiele może mu zdradzić.

– Tylko raz. Nie wprost. To było po jednej z piątkowych uczt. Simon w każdy piątek dla nas gotował. Powiedział, że nie chce wyjść z wprawy. Wyrzucał nas z kuchni wczesnym wieczorem i pozwalał do niej wejść, kiedy wszystko było gotowe. Normalnie chodziliśmy do pubu. To był jedyny wieczór w tygodniu, kiedy Caz była gotowa się wyluzować. Czasami był też Ed, ale zawsze cieszyłam się, kiedy nie przychodził. Potrafię mieć trochę niewyparzoną gębę i mogę wyczuć, jak za każdym razem, kiedy się odezwę, wprost emanuje dezaprobatą. Po paru piwach wracaliśmy pod dwudziestkę. Stół był już zastawiony, a na nim absolutnie niezwykle jedzenie. Do tego właśnie Simon był zrodzony, do gotowania. Tak jak ja do malowania.

Umilkła na chwilę. Kawa musiała być już zimna, ale piła ją, aby zrobić przerwę, nadać rytm opowieści.

– Tamtego wieczoru zrobił paellę. Nadzwyczajną, z owocami morza. Do tego coś lekkiego i białego, co piło się jak lemoniadę. Caz i Ed ulotnili się do dziennego pokoju. Zazwyczaj Simon sprzątał

wszystko sam, ale miałam już dość odgrywania przyzwoitki, zostałam więc, żeby mu pomóc. Oboje sporo wypiliśmy i zaczęliśmy rozmawiać.

Znowu przerwała, ale Matthew jej nie ponaglał. Czuł, że warto poczekać.

– Nagle ni z tego, ni z owego zapytał, czy chcę mieć dzieci. Powiedziałam, że jestem zbyt wielką egoistką. Że nie ma dla mnie nic ważniejszego niż moja praca. I dodałam jakiś kiepski żart w rodzaju: *I dlatego nadal jestem singielką*. Stwierdził, że zawsze chciał być ojcem, ale już nigdy nim nie zostanie. Nie zasługuje na szczęśliwą rodzinę. Miał żonę, którą kochał, ale pozwolił jej odejść. W tym momencie zapakowaliśmy już zmywarkę i zajmował się garnkami, które się do niej nie mieściły. Odwrócił się od zlewu z gąbką do szorowania w ręku. *Czasami myślę, że lepiej by było, gdybym nie żył*. Znowu odpaliłam jakiegoś suchara. Coś w rodzaju: *Ale nie możesz się zabić. Brakowałoby nam piątkowej wieczornej wyżerki*. Powiedział, że o samobójstwie nie ma mowy. Jeszcze nie. Wciąż ma coś do zrobienia.

– Co?

– Nie wiem. Byłam wtedy dość napruta, ale zrobiło mi się cholernie nieswojo. Jakby miał jakiś kompleks mesjasza. Jakby było coś, czego zamierzał dokonać, i nikt inny nie był w stanie tego zrobić. Zostawiłam go z garnkami i poszłam spać. Drzwi do dziennego pokoju były otwarte i zorientowałam się, że Caz i Ed zajęci są głęboką rozmową na jakieś ważne tematy. Nie chciałam im przeszkadzać. – Odstawiła kubek. – Ale niemal mogłam mu uwierzyć, wie pan? Że jest kimś szczególnym. Miał w sobie jakąś charyzmę, bezkompromisowość, niemożność pieprzenia bzdur. Mogłam go sobie wyobrazić jako jednego z tych guru, za którymi łatwowierni ludzie podążają bez namysłu. Mogłam naprawdę uwierzyć, że ma misję w swoim życiu, nie dba, co inni ludzie o tym myślą, i nikt nie zdoła zawrócić go z tej drogi.

Matthew nagle wyobraził sobie Waldena całkiem inaczej niż jako bezradnego, pozbawionego nadziei bezdomnego opisanego mu



przez Caroline Preece. Zastanawiał się, który obraz jest bardziej dokładny.

– Raczej nie widziała pani Simona w czasie wczorajszych popołudniowych wędrówek? – zapytał lekkim tonem.

Krótkie, prawie niedostrzegalne wahanie.

– Oczywiście, że nie. Wspomniałabym o tym, gdybym widziała go na krótko przed śmiercią, prawda? – Zanim jednak się odezwała, odwróciła głowę, by spojrzeć w okno, i nie mógł zobaczyć jej twarzy.





## *Rozdział dziesiąty*

Po wyjściu z domu przy Hope Street Jen usiłowała zadzwonić do Matthew, ale nie odbierał. Ostre słońce i żonkile kwitnące w małym ogródku koło parkingu prowokowały myśli o nowych początkach. Wiośnie. Przypominały jej także, że czas mija, a ona chce, aby w jej życiu pojawił się mężczyzna, zanim będzie zbyt późno. Niekiedy Ella przyprowadzała do domu chłopaka i chociaż kiedy Jen była w pobliżu, oboje zachowywali się dobrze, mogła wyczuć ich młodzieńcze pożądanie. Ich dotykanie się i niewymuszona bliskość wywoływały w niej szokującą zawiść. Pomyślała, że mogłaby zabić za coś takiego. Dobrego faceta, który trzymałby ją za rękę w czasie spacerów, głaskał ją po karku, gdyby miała zły dzień, leżał przy niej w nocy, a o świcie pieprzył do utraty zmysłów. Wiedziała, że za bardzo się stara zdobyć mężczyzn, których poznaje, że jest zbyt zdesperowana i to ich odstrasza. Poza tym wciąż nie poznała dobrego faceta, przynajmniej nie takiego, który by do niej pasował, którym mogłaby się nadal interesować po kilku wspólnych nocach.

Westchnęła i zadzwoniła do Rossa.

– Właśnie skończyłam z Caroline Preece.

– Dowiedziałaś się czegoś?

– Tylko tego, że Walden lubił jogę i medytacje. Był wolontariuszem w barku w Woodyard. W opinii Caroline czyniło go to kimś ociupinkę tylko gorszym od świętego. – Miała nadzieję, że Matthew Vennowi powiodło się lepiej w Barnstaple niż jej w Ilfracombe. – Ale wydaje się także, że potrzebował kufelka albo pięciu, aby dodać sobie energii. A co u ciebie? Usiłowałam dodzwonić się do szefa, ale nie odbiera.

– Wygląda na to, że Walden w każde popołudnie przez parę tygodni przed tym, jak został zabity, jeździł autobusem do Lovacott, tej wioski w dolinie Taw. Przynajmniej to już coś. – Ross milczał chwilę. – Trochę pokopałem. Usiłuję wydostać dokumenty wojskowe Waldena z Ministerstwa Obrony Narodowej. – Jen usłyszała nutkę biadolenia w jego głosie. Siedzenie w biurze i załatwianie spraw przez telefon wcale go nie bawiło.

– Może szef pozwoli ci jutro wyjść i się pobawić.

*Albo możesz pójść do swojego najlepszego kumpla Joego Oldhama i pociągnąć za parę sznurków.*

– Mogłabyś wrócić i przejąć dyżur albo przynajmniej pomóc sprawdzić parę zgłoszeń, które przysły po wiadomościach w porannej telewizji.

Ross pewnie uważał, że przeglądanie zarejestrowanych zgłoszeń i dzwonienie do ich autorów to kobieca robota. A ona *byłaby* w tym lepsza od niego, bardziej cierpliwa, życzliwsza. Ale wiedziała, że nie powinna poddawać się szantażowi czy pochlebstwu mężczyzny. Już kiedyś wpadła w taką pułapkę.

– Przykro mi – oznajmiła. Ostro i stanowczo. Musiała panować nad swoim temperamentem. – Jadę do hotelu Kingsley House, żeby porozmawiać z byłym pracodawcą Waldena. Zobaczymy się wieczorem na odprawie. – Rozłączyła się, zanim zdołał odpowiedzieć, zanim pozwoli mu dać się uprosić.

Siedziała przez chwilę w samochodzie, tłumacząc sobie, że nie powinna dać się wkurzać Rossowi. Był młody, arogancki, ale to nie jego wina, że przypomina jej tego sukinsyna, jej byłego męża. O ile wiedziała, nigdy nie uderzył ciężarnej kobiety pięścią w brzuch. Zapewne nie było też nawet jego winą, że był synem najlepszego kumpla Oldhama i nadkomisarz wziął go pod swoje skrzydła.

Kingsley House znajdował się na skraju miasta. Był okazałym wiktoriańskim gmazyskiem z gotyckimi wieżyczkami i stromym ogrodem z tarasami schodzącymi do małej, prywatnej plaży. Jen jechała wysypaną żwirem drogą pomiędzy drzewami, na których rozwijały się już liście. W oddali, na horyzoncie, wyspa Lundy

wyglądała na nieprawdopodobnie wielką. Słońce stało wysoko i morze migotało. *Jeżeli człowieka zmuszono do zerwania z rodziną i przyjaciółmi*, pomyślała Jen, *to są gorsze miejsca na wygnanie*.

Hotel słynął ze swego dyskretnego luksusu i najlepszej kuchni na wybrzeżu. Kiedyś był miejscem wypoczynku dalszych członków rodziny królewskiej i w jego reklamach podkreślano, że nadal panuje w nim atmosfera imprez towarzyskich w wiejskim dworze. Gdy zeszło się ze słońca, hol wejściowy sprawiał wrażenie mrocznego i chłodnego. Na jednej ścianie wisiało poroże jelenia, a wokół niskiego mahoniowego stolika stały trzy wielkie, skórzane fotele. Żadnej recepcji, ale jak za sprawą magii zza drzwi wyszła siwowłosa kobieta w czerni. Bez przywieszki z nazwiskiem czy choćby sugestii liberii. I oczywiście żadnego bezguścia w rodzaju czytnika kart płatniczych w polu widzenia.

– Tak? W czym mogę pomóc? – Przelotny uśmiech. Nie była nieuprzejma; Jen *mogła* przecież okazać się ekscentrycznym gościem. Większość zatrzymujących się tu ludzi nie wyglądała jak Jen, ale hotel mógł przyjąć także kilka podstarzałych fanek rocka. Bogatych podstarzałych fanek rocka.

Jen upuściła torbę na marmurową posadzkę.

– Czy mogłabym porozmawiać z kimś z działu kadr?

– Jeżeli szuka pani zatrudnienia, poproszą o podanie danych kontaktowych i CV przez internet. – Głos kobiety nadal był grzeczny, ale nieco protekcyjny. Jej ocena była bezbłędna. *To jakaś cwaniaczka szukająca pracy*.

– Dziękuję, ale mam już pracę. – Jen sięgnęła do torby, otworzyła legitymację policyjną i położyła ją na stole.

Kobieta tylko na chwilę utraciła pewność siebie, a Jen nie mogła jej winić za moment słabości. Funkcjonariusze policji nie powinni wyglądać jak ona.

– Jedną chwileczkę, pani sierżant, zaraz sprowadzę pana Sutherlanda.

Zniknęła za drzwiami i niemal natychmiast pojawiła się znowu z wysokim, młodym mężczyzną w garniturze.

– Słucham panią. – Uścisnął dłoń Jen. – Peter Sutherland. Zajmuję się tutejszym personelem. Zapraszam do mojego biura.

Głos wykształconego człowieka z Birmingham, z prawie niedostrzegalną regionalną wymową. Młody palant z ambicjami.

Pomyślała o słońcu, zapachu świeżo skoszonej trawy, który towarzyszył jej, gdy szła tu z samochodu.

– Może moglibyśmy porozmawiać w ogrodzie?

Wydawał się zaskoczony, ale może również cały dzień siedział w czterech ścianach. Albo wyszkolono go, aby spełniał życzenia innych.

– Oczywiście. To wspaniały pomysł. – Widząc go w naturalnym dziennym świetle, uświadomiła sobie, że jest nawet młodszy, niż początkowo myślała.

Poprowadził ją w dół wąskiej ścieżki, na jeden z tarasów z jeziorkiem osłoniętym przez drzewa laurowe i rododendrony. Lśniące liście odbijały światło, ale woda znajdowała się w cieniu. Usiedli na białej ławeczce z kutego żelaza, odwrócenie plecami do słońca. Widzieli przed sobą morze. Byli wiele mil od szarych domów przy Hope Steet, młodych ludzi przemykających ukradkiem na końcu ulicy, sprzedawców „Big Issue”<sup>[4]</sup> i bezdomnego o obojętnym spojrzeniu, leżącego w wyświechtanym śpiworze. Tu był niemal tajny raj.

– W czym mogę pomóc?

– Czy oglądał pan dzisiaj lokalny dziennik telewizyjny?

Pokręcił głową.

– Szykujemy się do otwarcia sezonu. Obawiam się, że nie usiadłem od chwili, gdy o siódmej rozpocząłem zmianę.

– Wczoraj po południu znaleziono zwłoki byłego pracownika hotelu. Traktujemy to jako śmierć w podejrzanych okolicznościach. – Jen nie mogła sobie wyobrazić, że nie dowiedział się o tym z mediów społecznościowych czy od kolegów.

– O Boże. Kto to taki?

– Mężczyzna o nazwisku Simon Walden. Pracował tu w kuchni. – Spojrzała na niego, ale nie była w stanie niczego odczytać z jego

twarzy. – Pamięta go pan?

– Simona? Tak.

– Czy mógłby mi pan coś o nim powiedzieć? Na przykład, dlaczego ktoś mógł chcieć go zabić.

Nie odzywał się przez chwilę. Jen słyszała fale łamiące się w dole na plaży.

Kiedy wreszcie się odezwał, staroświecka uprzejmość i kurtuazja zniknęły.

– Były chwile, że z przyjemnością sam bym go zabił.

– Dlaczego?

– Był humorzasty i ludzie czuli do niego antypatię. – Chwila milczenia. – Zarządzanie gośćmi jest łatwe w porównaniu z zarządzaniem personelem. Kiedy przyjęliśmy Waldena, pomyślałem, że dobrze się dopasuje. Był w wojsku, a tam ludzie łatwo dogadują się ze sobą, prawda? To kwestia bycia częścią zespołu.

– Ale Walden nie był graczem zespołowym?

Sutherland uśmiechnął się przelotnie.

– Niestety nie. Bywały dni, że w ogóle się nie odzywał. Zdawał się wysysać całą energię z ludzi w kuchni. – Znowu pauza. – I pił. Nic niezwykłego w tym biznesie. Zegar biologiczny dostaje bzika z powodu pracy w dziwnych godzinach, nie wydaje się więc czymś złym pić w chwili, kiedy wszyscy inni dopiero mają się obudzić. Działał, każdego dnia wciąż był gotowy do pracy, ale nie próbował dogadywać się z kolegami.

– Czy ktoś konkretny czuł do niego wrogość? – Jen usłyszała dobiegający z oddali śmiech dziecka. Postanowiła, że kiedy następnym razem będzie miała wolny weekend, odciągnie Ellę i Bena od komputerów oraz prac domowych i przywiezie ich tu na piknik.

Sutherland nie odzywał się przez chwilę. Wyraźnie nie chciał kierować podejrzeń przeciwko konkretnemu pracownikowi. Nie dziwiła mu się. Był stosunkowo młody jak na tak odpowiedzialne stanowisko. Niektórzy ludzie z personelu kuchennego pewnie byli



starsi, mogli go onieśmielać. Tacy, których nie chciałoby się urazić, skoro reputacja hotelu w ogromnym stopniu zależała od jakości podawanego jedzenia.

– Mogłabym przyjść i zażądać dokumentów całego pańskiego personelu. – Starła się, by brzmiało to rozsądnie. – Byłoby to bardzo czasochłonne w chwili, gdy przygotowujecie się do sezonu. Albo sprawdzić poprzez urząd podatkowy i celny... Pańscy pracownicy mogliby to nie najlepiej przyjąć.

Sutherland wzruszył ramionami. Wiedział, że dalszy opór jest daremny.

– Chodzi o szefa kuchni, Danny'ego Clarksona. – Przerwał, jakby spodziewając się, że Jen powinna znać to nazwisko. – Jest celebrytą w tym biznesie, ma recenzje, za które niektórzy gotowi byłiby umrzeć. Dzięki niemu restauracja ma pełne obłożenie nawet w zimie, kiedy gości jest mniej. Walden go denerwował. A Clarkson ma charakter. To jeden z tych spokojnych ludzi, którzy nagle tracą nad sobą kontrolę, jeżeli coś jest nie tak albo nie przebiega po ich myśli. Geniusz, ale zawsze ledwo się kontroluje. To kuchnia Clarksona i on jest w niej władcą. Może byli zbyt do siebie podobni, aby dobrze współpracować. – Sutherland wstał. – Zaprowadzę panią.

– Najpierw tylko jedno pytanie. Skoro Walden był taki koszmarny, dlaczego zgodził się pan go zatrudnić na ten sezon?

Sutherland wzdrygnął się, jakby taka myśl była dla niego czymś upiornym.

– Ależ nie zrobiliśmy tego. Nie było mowy, żebyśmy mogli przyjąć go znowu.



Clarkson był niski, żylasty, z głową ogoloną tak dokładnie, że wyglądał niemal na łysego z ledwo widocznymi włoskami, z rudawymi rzęsami. Biały strój szefa kuchni wydawał się tak nieskazitelny, jakby dopiero co wyszedł z pralni. Stał pochylony nad

rondlem jak ksiądz udzielający komunii. W kuchni widać było tylko lśniąca nierdzewną stal i panowała nieoczekiwana cisza. Wydawanie lunchu dopiero miało się zacząć. Widoczni w tle pomocnicy szybko i w milczeniu wykonywali swoją pracę.

Sutherland podszedł do niego ostrożnie.

– To detektyw. Chciałaby zadać kilka pytań.

– Nie teraz.

– Owszem – powiedziała Jen. – Teraz.

Mężczyzna podniósł głowę. Oczy miał niebieskie i twarde spojrzenie. Zdjął rondel z palnika.

– Czego pani chce?

– Chodzi o Simona Waldena – odparła. – Nie żyje. Został zamordowany.

– Przestał tu pracować na jesieni. – Głos miał nieoczekiwanie przyjemny. Taki łagodny tenor.

– Wiem o tym.

– To dlaczego zawraca mi pani głowę?

– Pracował pan z nim cały sezon. Miałam nadzieję, że będzie pan w stanie coś mi o nim powiedzieć. Coś, co pomoże nam znaleźć jego zabójcę.

– Nie byliśmy zaprzyjaźnieni. Nie wiem o nim nic i nie interesował mnie. Był porządnym piekarzem. Dość solidnym, ale bez prawdziwego zaangażowania w szczegóły czy wygląd wypieku. I nie potrafił słuchać poleceń.

– Nie lubił, żeby nim dyrygowano. – Jen pomyślała, że też miałyby kłopot z przyjmowaniem poleceń od tego człowieka.

– Miał problem z porozumiewaniem się z ludźmi. Pasywnie agresywny. Uważał, że mu nie ufam. To moja kuchnia. Nie ufam nikomu. Wprowadzało to negatywną atmosferę i miało zły wpływ na moją pracę. Nie mogłem się na to zgodzić. – Clarkson znowu zajął się rondlem. – Kiedy umarł?

– Wczoraj. Po południu.

– Byłem tu cały dzień. Od późnego ranka. Przygotowywaliśmy catering na wesele. Musi pani poszukać swojego zabójcy gdzie

indziej. – Znowu postawił rondel na palniku, odwracając się tyłem do Jen.



Jen stała przed hotelem. W dużej oranżerii z widokiem na morze dobrze ubrane kobiety piły kawę. Przez szkło nie mogła usłyszeć, o czym mówią, ale pomalowane paznokcie i sporadyczne błyski srebra, gdy promienie słoneczne padały na bransoletki i kolczyki, sprawiały, że wyglądały egzotycznie, efektownie. Jaskrawo upierzone ptaki w wolierze. Trudno jej było wyobrazić sobie, że Simon Walden tu pracował. Podejrzewała, że zapewne nienawidził tej roboty i nie wróciłyby nawet wtedy, gdyby dano mu kolejną szansę.

W takim razie kto kłamał? Simon czy Caroline? Caroline mówiła, że mieszkał u niej tymczasowo i wkrótce miał wyprowadzić się z Hope Street. Mieć dziwnego lokatora przez kilka miesięcy to jedno, a zupełnie odmienną sprawą jest tolerowanie jego irytującej obecności w nieskończoność, nieustanne przypominanie, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co one. Niepokoiłby je jak albatros wytatuowany na jego karku.

Jen uznała, że Simon miał pecha w hotelu. Szef kuchni był w oczywisty sposób socjopatą. Nie wyobrażała sobie, aby jej samej udało się dojść z nim do porozumienia, ścierałaby się z nim jak Walden. Budziło się w niej współczucie dla tego faceta. Wróciła do samochodu.

Zadzwoiła do Matthew. Znowu nie odebrał, ale okazało się, że sama ma wiadomość od Rossa, który prosił ją, aby wróciła na Hope Street i sprawdziła wiadomość zapisaną w poczcie głosowej telefonu stacjonarnego. Kiedy dojechała pod numer dwudziesty, było późne popołudnie, w szkołach kończyły się ostatnie lekcje. Grupa uczniów wędrowała główną ulicą. Weszła do domu, otworzywszy drzwi otrzymanym zapasowym kluczem. Technicy kryminalistyczni nadal pracowali w pokoju Waldena; krzyknęła do nich, dając znać, że jest

na dole. Proszek na słuchawce świadczył, że zostały już z niej zdjęte odciski palców. Podniosła ją i wybrała numer 1571, aby odsłuchać pocztę.

Było oczywiste, że nie sprawdzano jej ostatnio. Cały szereg komunikatów od różnych akwizytorów, od fundacji zbierających datki, firm ubezpieczeniowych, jedna wiadomość od stomatologa przypominającego pani Preece, że ma umówioną wizytę u higienistki dentystycznej. Nic osobistego. Kobiety spod dwudziestki należały do pokolenia, w którym esemesy były powszechniejsze niż rozmowy telefoniczne, a z całą pewnością powszechniejsze niż dzwonienie na telefony stacjonarne.

Aż wreszcie znalazła wiadomość, którą Matthew był najbardziej zainteresowany. Pozostawiono ją piętnaście dni temu. Najpierw jak zwykle chwila milczenia, pojawiająca się, gdy dzwoniący uświadamia sobie, że nie mówi z człowiekiem. A potem męski głos, dziarski, przyjazny. Jen miała wrażenie, że wychwytuje w nim jakby cień groźby, ale mogła to być jej wyobraźnia. Bądź co bądź, szukała czegoś takiego.

*To jak powiew z przeszłości, co? Ostatecznie jednak cię wytropiłem. Mówiłem ci, że tak zrobię. Okazuje się, że nie możesz uciec od starych kumpli.*

Wyjęła swój telefon, włączyła nagrywanie i zarejestrowała wiadomość. Szef chętnie posłucha nagrania. Powinni być w stanie ustalić numer telefonu, z którego dzwoniono, na podstawie billingu z firmy telekomunikacyjnej. Posłuchała wiadomości jeszcze raz i usiłowała określić wymowę. Była wyraźnie z południa, a wiedziała już, że różne odmiany dialektów z tej części kraju trudno dokładnie zidentyfikować. Walden pochodził z Bristolu, więc może dzwoniący do niego także.

Gdy po wyjściu stanęła na chodniku, zawahała się przez chwilę, a potem podeszła do rogu głównej ulicy. Nocujący pod gołym niebem bezdomny już sobie poszedł i niemal w tym samym miejscu stał inny mężczyzna. Pomachał przed nią egzemplarzem „The Big Issue”. Sięgnęła do kieszeni po pieniądze.

– To twoje stałe miejsce?

Kiwnął głową.

– Znasz ludzi mieszkających pod dwudziestką? Dwie dziewczyny i facet?

– Jesteś z Liverpoolu?

– Tak, a ty? – Jego trzy słowa pozwoliły jej zidentyfikować wymowę gazeciarza i zaczęła się zastanawiać, jaka jest jego historia.

– Z Birkenhead – powiedział.

– Jak tu trafiłeś?

– Przez kobietę – odparł. – To zawsze przez kobietę, prawda?

Nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć.

– Pytałam o ludzi spod dwudziestki.

– Jesteś gliną? Nie wyglądasz jak glina, ale potrafię to wyniuchać. – Dotknął palcem nosa. Nie był to wrogi gest, lecz po prostu stwierdzenie faktu.

Skinęła głową w górę Hope Street, w kierunku domu Caroline Preece.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania faceta, który tam mieszkał. – Pomyślała, że powinien o tym wiedzieć, nawet jeżeli nie miał dostępu do telewizji. – Słyszałam, że zanim się tu sprowadził, miał problemy.

– Jak się nazywał?

Jen uznała, że mężczyzna gra na zwłokę, zastanawiając się nad odpowiedzią, ale już wie, o kogo chodzi.

– Simon Walden.

– Taa, widywałem go tutaj. Trochę pijaczek. Wygląda na to, że spadł na cztery łapy. Tu trafił na miłe miejsce.

– Ale tym razem nie za bardzo mu się udało, prawda?

Milczenie.

– Czy ktoś mógłby chcieć go zabić? Narobił tu sobie wrogów? Był komuś winien jakąś forszę?

– Nie handlował prochami.

– Ale używał? – I tak wkrótce się o tym dowiedzą, kiedy dostaną wyniki ekspertyzy toksykologicznej.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Jego trucizną była gorzalka. Pił „Pod Kotwicą”, na drugim końcu głównej ulicy.

– Możesz mi powiedzieć coś jeszcze?

– Nie wiem nic o tym, żeby kiedykolwiek spał na dworze. Ale to był taki smutny sukinsyn. Nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechał.



„Pod Kotwicą” było miejscowym pubem, małym i ciemnym. Nic w nim nie mogło przyciągnąć turystów. Żadnego jedzenia, wyszukanych gatunków cydru. Gdyby wszedł tu ktoś obcy, przyglądano by mu się, ale raczej z zaciekawieniem niż z wrogością. Większość przybyszów uznawała taką obserwację za irytującą i wychodziła po jednym drinku. Przy stoliku w rogu para w średnim wieku trzymała się za ręce. Wyglądali, jakby siedzieli tu od lunchu. Za barem niski mężczyzna, chudy jak chart wyścigowy, przecierał szklanki.

Jen pokazała mu zdjęcie Simona Waldena.

– Słyszałam, że pił tutaj. – Kiedy mężczyzna nie odpowiedział od razu, wyjaśniła: – Jestem z policji. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa.

– Słyszałem, że nie żyje.

– Zabity – oznajmiła. – Pchnięty nożem na plaży przy Crow Point. Wygląda na to, że kogoś zdenerwował. Ma pan jakiś pomysł, kto to mógł być?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie pił w towarzystwie. Zawsze przychodził wcześniej i sam. Koło piątej. Nie przychodził w każdy wieczór i nie widziałem go od kilku tygodni. Pomyślałem, że się wyprowadził. Większość ludzi, którzy wpadają tu o tej porze, robi to, żeby znaleźć towarzystwo. Zagrać w domino, pogadać. Głównie starsi ludzie albo goście

zaglądający, żeby wypić szybki kufelek w drodze do domu. Przychodził z gazetą, siadał w głębi sali, pił ostro przez godzinę i się wynosił. Nawet nie znałem jego nazwiska, dopóki nie pokazali jego zdjęcia w telewizji.

[4] Gazeta sprzedawana przez bezdomnych lub mieszkających w trudnych warunkach ludzi, którzy w ten sposób uzyskują legalny dochód. Połowa kwoty uzyskanej z jednego egzemplarza (kosztuje 3 funty) przeznaczona jest dla gazeciarza, a połowa dla redakcji.







## *Rozdział jedenasty*

W kuchni w Woodyard dzień pracy prawie dobiegł końca – rondle wymyto, blaty ze stali nierdzewnej wyszorowano. Była maleńka, oddzielona od barku tylko ladą, po jednej jej stronie znajdowały się piekarnik i piecyk, a po drugiej zlew. Matthew często bywał tu z Jonathanem. Kawę mieli dobrą, a ciasta jeszcze lepsze. Paru ociągających się gości dopijało herbatę. Kiedy Matthew siadał przy stoliku tuż przy ladzie, minęli go, kierując się do wyjścia. Szef kuchni, Bob, był potężnym mężczyzną, ale zwinnym. Jonathan powiedział kiedyś, obserwując go w czasie pracy, że to jak oglądanie tańczącego słonia. Coś cudownego.

Bob powiesił ścierkę do naczyń nad piecem i spojrzał na Matthew.

– Zgaduję, że miałbyś ochotę na kawę. Sam też bym się napił. Kiedy była już gotowa, przeszli do stolika z widokiem na rzekę.

– Chodzi o Simona?

– Słyszałeś? – Matthew nie był zaskoczony. Oczywiście do tej pory wieści zdążyły się już rozejść.

– Zobaczyłem w telewizji dziś rano.

– Pracował z tobą?

Bob kiwnął głową.

– Jako wolontariusz. Był wspaniałym piekarzem. Nauczyli go w wojsku. Najwyraźniej odbył kilka zmian w Afganistanie. Żołnierze muszą jeść jak my wszyscy.

– Oczywiście. – Sposób, w jaki Matthew postrzegał Simona Waldena, znowu uległ zmianie. Może cierpiał na zespół stresu

pourazowego? Czy to było powodem jego zmian nastrojów i obsesji?  
– Jak to się stało, że z tobą pracował?

– Caroline Preece poprosiła mnie, żebym go zatrudnił. Jej tato jest w zarządzie powierniczym tego miejsca, a wkurzanie Christophera nie jest niczym rozsądnym.

– Dlaczego?

Bob wzruszył ramionami.

– Jest bogatym człowiekiem i przywykł stawiać na swoim. Prezes zarządu. I uwielbia córkę. Ale Simon był w porządku. Nie taki jak większość wolontariuszy, którzy są jak wrzód na tyłku. Cholerne paplające kobiety. On po prostu robił, co trzeba. Mogłem zostawić wszystko na jego głowie. Niekiedy przychodził wcześniej, jazda autobusem z Ilfracombe to nic zabawnego, żeby zacząć przygotowywać ciasto na chleb. Sami robimy swoje wypieki. Kiedy przychodziłem, wszystko było już prawie gotowe. Oszczędzał mi sporo pracy.

– Nie prowadził samochodu?

Kucharz pokręcił głową.

– Kiedyś zabił dziecko w wypadku. Nigdy więcej nie usiadł za kółkiem. Można to zrozumieć.

Matthew pomyślał, że Walden powiedział o sobie więcej Bobowi niż kobietom, z którymi mieszkał. Miało to sens. Obaj byli mężczyznami w zbliżonym wieku.

– Lucy Braddick też tu pracuje?

– W tym okresie tylko jeden dzień w tygodniu. – Bob nie okazał zdziwienia pytaniem Matthew. – Jej grupa w ośrodku dziennym pracuje na zmianę. Nie w kuchni, obsługują klientów, sprzątaję stoły. Lucy jest jedną z tych świetnych. Wspaniała pracownica. I taka pogodna. Zawsze uśmiechnięta. Klienci ją uwielbiają. – Milczał przez chwilę. – Myślę, czyby nie zatrudnić jej na stałe i nie płacić jej normalnej pensji, jeżeli dzienny ośrodek się zgodzi. To byłoby sprawiedliwe. Jest pod każdym względem tak dobra, jak zwykły personel.

– Czy mogła spotkać tu Simona Waldena?

– No cóż, trzymamy ludzi z dziennego centrum po tej stronie lady. Przepisy BHP. Poza tym w kuchni jest ciasno. Ale tak, rozmawiali ze sobą. Simon wspaniale dawał sobie radę ze stałymi pracownikami z ośrodka. Sądzę, że Lucy była jego ulubienicą.

Matthew kiwnął głową i pomyślał, że jedna z tajemnic została wyjaśniona. Lucy знаła Waldena z kuchni. Nie tłumaczyło to jednak, dlaczego wydawała się tak mało precyzyjna, kiedy wyjaśniała, gdzie się poznali albo dlaczego on jeździł do Lovacott w dniach poprzedzających swoją śmierć i zawsze siadał obok niej w autobusie.



Kiedy Matthew zakończył rozmowę w barku, było już późne popołudnie. Na zewnątrz słońce wciąż jeszcze trochę grzało i idąc do samochodu, czuł jego ciepło na karku. Przejechał przez most i pojechał do miasta. Zamierzał w końcu wrócić do biurka, zorientować się, co dzieje się w komendzie, i zakończyć cierpienia Rossa, pozwalając mu popisać się tym, co zdołał osiągnąć w czasie dnia. Ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Ruszył w kierunku swojej starej szkoły i wielkich domów z widokiem na Rock Park. Otrzymał od Jonathana adres Christophera Preece'a. Chciał spotkać się z ojcem Caroline, człowiekiem którego pieniądze dały życie Woodyard.

Dom był wolnostojący, zbudowany w stylu Arts and Crafts<sup>[5]</sup> z cegły o delikatnej, żółtawej barwie, z wieloczęściowymi oknami, niewielkimi mansardami zmieniającymi linię dachu, niezbyt stary, ale tradycyjny. Szpaler drzew wyznaczał granicę ogrodu z niewielkim stawem i tarasem. Ogród był przyjemny, rosnący nieco bez kontroli. Brama z kutego żelaza stała otwarta, ale Matthew zaparkował na ulicy. Nacisnął dzwonek i niemal natychmiast otworzył mu ubrany w dżinsy mężczyzna w średnim wieku – wysoki, przystojny i o zdrowym wyglądzie. Matthew uświadomił sobie, że już go kilkakrotnie widział – w ich dawnym mieszkaniu w Barnstaple i na

spotkaniach towarzyskich w Woodyard. Zazwyczaj on i Jonathan nie łączyli swoich zajęć zawodowych, ale niekiedy Church ciągał go na spotkania z potężnymi i szlachetnymi – radnymi oraz potencjalnymi donatorami.

– Słucham? – Było oczywiste, że Preece nie przywykł do obcych pojawiających się na jego progu, ten jednak był zbyt dobrze ubrany, aby zamknąć mu drzwi przed nosem. Być może po prostu też go rozpoznał. Uśmiechnął się w typowy dla polityka sposób, starając się nie zrazić do siebie wyborcy, którego mógł już kiedyś spotkać.

– Matthew Venn. Policja Devon. – Matthew wyjął legitymację. – Przychodzę w sprawie Simona Waldena. Wczoraj został zamordowany. Mieszkał w tym samym domu co pańska córka i jej przyjaciółka.

– Oczywiście. Słyszałem o tym. I doprawdy, bardzo mi przykro, powinienem był od razu pana rozpoznać. Jest pan partnerem Jonathana. Proszę wejść.

Poważny wyraz twarzy, szybko złagodzony uśmiechem polityka i silnym uściskiem dłoni. Preece zaprowadził go do pokoju na tyłach domu. Długie okno wychodziło na trawnik i krzewy, a wewnątrz stało pianino oraz wygodne fotele wokół otwartego kominka. Mnóstwo zdjęć Caroline, oprawione dyplomy egzaminów muzycznych, rozety dziecięcego klubu jeździeckiego. Wszystko świadczyło, że miała przyjemne dzieciństwo. Do chwili śmierci matki. Matthew poszukał wzrokiem jej zdjęcia, ale dostrzegł tylko oficjalną fotografię ślubną. Preece i jasnowłosa, szczupła kobieta, stojący na stopniach kościoła. Była w tradycyjnej białej sukni i trzymała bukiet kwiatów. Żadnej późniejszej podobizny.

– Mogę coś zaproponować? Może kawę?

Matthew pokręcił głową.

– Czy znał pan Simona Waldena?

– Spotkałem go kilka razy – odparł Preece. – Caroline prosiła mnie, żebym się nie wtrącał, ale chciałem sam go ocenić.

– Gdzie to było? W domu w Ilfracombe?

– Nie za pierwszym razem. Ale widywałem go tam kilkakrotnie później, kiedy ochłonałem. – Preece milczał chwilę. – Obawiam się, że straciłem panowanie nad sobą, kiedy dowiedziałem się, że pozwoliła mu mieszkać w jej domu. Wydawało mi się to bardzo lekkomyślne. Ale Caroline oświadczyła kategorycznie, że jej lokatorzy to nie moja sprawa. Mogłem pomóc jej wpłacić kaucję za nieruchomości, ale oświadczyła, że to *jej* dom i ona decyduje, kto w nim mieszka. – Kolejny uśmiech, tym razem trochę samokrytyczny, demonstrujący zaufanie do rozmówcy. – Widzi pan, komisarzu, mam wrażenie, że jestem tam mile widziany tylko wtedy, kiedy zostaję zaproszony. Być może tak powinno być. Wciąż myślę o niej jako o mojej małej dziewczynce. Ale rozumiem jej potrzebę niezależności.

– A więc kiedy pan go spotkał pierwszy raz?

Preece odpowiedział dopiero po chwili.

– Zaprosiłem go tutaj. Martwiłem się, że obcy człowiek o ewidentnych problemach ze zdrowiem psychicznym ma się wprowadzić do domu mojej córki.

Matthew zastanawiał się, co jego rozmówca myśli o wyborze zawodu przez Caroline – bądź co bądź, każdego dnia pracowała z ludźmi z zaburzeniami psychicznymi – ale Preece mówił nadal:

– Jak już panu powiedziałem, zamierzałem sam ocenić tego człowieka. – Preece zapatrzył się na ogród. – Nie chciałem spotykać się z Waldenem w Woodyard, gdzie był wolontariuszem. Byłoby to zbyt urzędowe, zbyt skomplikowane. Zawsze starałem się pozostawiać w ośrodku sprawy praktyczne zawodowcom. Wolałem, żeby nie myśleli, że się wtrącam. Oczywiście w tym przypadku ostatecznie tak zrobiłem, ale to były sprawy mojej córki, a nie Woodyard.

– Załatwił mu pan pracę w tamtejszym barku. – *Z całą pewnością*, pomyślał Matthew, *nastąpiła jednak jakaś ingerencja*.

– Jego wolontariat był pomysłem Caroline, komisarzu. Nie miało to nic wspólnego ze mną.

Matthew wyobraził sobie Waldena wezwanego do tego spokojnego i wygodnego domu. Niewątpliwie spotkanie musiało go onieśmielać.

– I jak go pan ocenił?

Preece zastanawiał się chwilę.

– Był inny, niż się spodziewałem. Polubiłem go. – Umilkł znowu. – Powiedział mi, że zabił dziecko. W wypadku drogowym. Pił. Nie przekroczył dopuszczalnej ilości, ale wystarczyło to, aby na chwilę stracił koncentrację. Byłem pod wrażeniem jego szczerości. Powiedział mi, że od tej pory niesie ciężar swojej winy. To mieliśmy wspólne. Poczucie winy. Poczucie winy tego, kto ocalał. Jeżeli będzie pan w Woodyard, usłyszysz pan o mojej żonie.

– Jonathan Church jest moim mężem. Wyjaśnił mi, że odebrała sobie życie. Bardzo mi przykro.

– Becca zaczęła cierpieć na okresowe depresje krótko po tym, jak się poznaliśmy. Pogorszyło jej się w ostatnich pięciu latach życia. Nie rozumiałem tego. Chciałem pomóc, ale nie wiedziałem jak, i był to dla mnie koszmar. Mam obsesję na punkcie panowania nad sytuacją. Naprawiania spraw. Ale nie mogłem naprawić *jej*. I nie mogłem znikąd otrzymać pomocy. Medycyna była całkowicie bezradna. Chyba wyładowywałem na niej swoją frustrację i irytację. Tej nocy, kiedy umarła, kłóciliśmy się. Ostatnią rzeczą, którą jej wtedy powiedziałem, było wyrzucenie jej, że jest samolubna. Że gdyby choć trochę dbała o Caroline, wzięłaby się w garść i poświęciła więcej czasu córce. – Przerwał i się odwrócił. – To było niewybaczalne i od tej pory jestem karany, bo ta rozmowa jest moim ostatnim wspomnieniem o niej. – Odwrócił się znowu do Matthew. – Wyszedłem, żeby się uspokoić, przez godzinę spacerowałem nad rzeką. Kiedy wróciłem, zobaczyłem, że się powiesiła.

– I stało się to w tym domu? – Matthew nie wierzył, że potrafiłby tu dalej mieszkać, mając tak straszliwe wspomnienia. Nie był pewien, co sądzić o Preece'u. Można było odnieść wrażenie, że opowiadanie przychodzi mu łatwo. Czy powtarzał tę historię już tyle

razy, że nabrał do niej dystansu, czy też może zwierzał się Matthew, ponieważ ten był obcym?

– Caroline tu nie było, gdy zginęła jej matka – wyjaśnił Preece. – Był weekend i pojechała na festiwal. Coś dla młodych chrześcijan. Stała się bardzo wierząca jeszcze przed śmiercią matki. Potem nie chciała tu mieszkać, a ja uznałem, że nie mam prawa jej zmuszać. – Znieruchomiał na moment, pogrążony w myślach. – Nie spodziewałem się, że śmierć Bekki wywoła u mnie poczucie winy. Spodziewałem się smutku. Tego, że będzie mi jej brakowało, brakowało kobiety, którą kochałem i z którą się ożeniłem. Ale widzi pan, jakaś częśćka mnie była zadowolona, że nie żyje. Wszedłem do domu, zobaczyłem ją w holu zwisającą z balustrady i przez chwilę poczułem ulgę. Życie z nią pod jednym dachem było takim stresem. Znoszenie jej nastrojów i napadów gniewu, dni całkowitego wycofania, bezradności, bo nie mogłem jej pomóc ani jej uzdrowić. Właśnie ten moment stał się źródłem poczucia winy i skłonił mnie, żeby zaangażować się w Świątym Cuthbercie i utworzyć Woodyard.

Wciąż miał na twarzy ten sam uśmiech sugerujący, że z Matthew łatwo mu jest rozmawiać i właśnie obaj stali się przyjaciółmi. Talent polityka pozwalający sprawić, aby rozmówca poczuł się kimś szczególnym. Dennis Salter, prezbiter Bractwa, który wygłaszał kazanie na pogrzebie ojca Matthew, miał tę samą umiejętność, emanował takim samym ciepłem.

Matthew rozumiał jednak, co Preece miał na myśli, mówiąc o poczuciu winy. Być może to wspomnienie, które przywołało Saltera, jego mentora z czasów dzieciństwa, spowodowało, że nagle w wyobraźni znowu znalazł się na cmentarzu. Obserwował z bezpiecznej odległości nabożeństwo żałobne po śmierci ojca. Widział krokusy u swoich stóp i słyszał dźwięk organów. Zastanawiał się, czy gdy dowiedział się, że tato umarł, także poczuł chwilową ulgę. Być może. W końcu zniknęła potrzeba podejmowania decyzji, czy powinien odwiedzić go w szpitalu. Sytuacja stała się łatwiejsza, czystsza. A teraz znowu ogarnęło go poczucie winy, bo nie miał dość



odwagi, aby pójść do leżącego w szpitalu ojca. By naprawić wszystko.

Zapadła cisza, w której słyszeć było dobiegający z ogrodu głośny i wyraźny śpiew ptaka.

– Stworzyłem w tym rejonie kilka przedsięwzięć biznesowych – powiedział Preece. – Becca była miejscową dziewczyną, ale ja wyrastałem w Londynie. Poznaliśmy się, kiedy byłem tu na wakacjach z paroma przyjaciółmi. Sprowadziłem się tutaj dopiero po naszym ślubie i być może jako ktoś z zewnątrz lepiej niż miejscowi dostrzegałem możliwości inwestycyjne. – Wciąż stał, odwrócony tyłem do długiego okna, z zaczynającym się zielenić ogrodem za jego plecami. – A ja zawsze byłem ryzykantem. Nie wierzyłem, żeby miłość Brytyjczyków do tanich wakacji miała długo trwać. Nie nadawały się dla wymagających młodych ludzi z klas średnich. Wybudowałem osiedle z luksusowymi apartamentami wakacyjnymi w Westward Ho! i przejąłem sfatygowane pole dla kamperów, gdzie zbudowałem elegancki dom letniskowy dla bogatych klientów i luksusowy kemping. Potem zająłem się też barami i restauracjami.

Matthew pokiwał głową, dając znać, że słucha. Niech jego rozmówca wyjaśni wszystko na swój sposób.

Preece mówił dalej.

– Jeszcze zanim zmarła Becca, myślałem o sprzedaży tego wszystkiego. Fascynowała mnie faza początkowa, planowanie, negocjacje, ale kiedy wszystko było już gotowe i działało, zaczynało mnie nudzić. W gruncie rzeczy nie jestem człowiekiem, który lubi wdawać się w szczegóły, i zawsze jestem gotów na nowe wyzwania. Tak więc moja działalność dobroczynna nie była tak altruistyczna, jak mogłoby się to wydawać. Uruchomiłem przychodnię w Świętym Cuthbercie wkrótce po śmierci Bekki, ale potrzebowaliśmy czegoś bardziej profesjonalnego i Caroline udało się to osiągnąć. To, jak rozwinął się projekt, przekroczyło moje najśmielsze wyobrażenia. Wtedy uznałem, że jestem gotów na coś bardziej wymagającego, i wsparłem Woodyard. Podniecało mnie, że jestem częścią całkowicie nowej organizacji, znajduję sposoby obracania na naszą

korzyść przepisów dotyczących organizacji dobroczynnych, sposobów działania organizacji pozarządowych, pomagam zwerbować nowych członków zarządu. Teraz mamy dobry zespół o różnych specjalnościach; księgowego, prawnika, kilku pracowników opieki społecznej wyższego szczebla, a także byłego szefa kasy oszczędnościowo-kredytowej. Udało mi się, przynajmniej na jakiś czas, pozbyć się poczucia winy i smutku. Dzięki temu Caroline jest ze mnie dumna. To było ważne. – Umilkł na chwilę. – Wiem, że może zabrzmieć to staroświecko, ale moja reputacja jest dla mnie ważna i postrzegam obecnie całe Woodyard jako moje dziecko. Moją spuściznę. Zawsze będę z nim kojarzony.

*A teraz, pomyślał Matthew, znowu doszedł do głosu polityk.*

– Powiedział pan, że polubił pan Waldena. Czy coś w nim jednak budziło niepokój, że będzie mieszkał w jednym domu z pana córką i jej przyjaciółką?

– Było w nim jakieś wielkie nasilenie emocji, które uznałem za trochę irytujące. Jakby nie miał żadnej warstwy ochronnej. Być może był zbyt szczery, aby wyszło mu to na dobre. – Znowu chwila milczenia. – Prawdę mówiąc, po spotkaniu z nim bardziej niepokoiło mnie, jak poradzi sobie w jednym domu z dwiema pewnymi siebie młodymi kobietami, niż to, że może być dla nich jakimś zagrożeniem. Gaby Henry ma cięty język i nie jestem pewien, czy sam dałbym radę mieszkać z nią pod jednym dachem. Przez jeden wieczór jest dość zabawna, ale wiem, że po jakimś czasie stałaby się męcząca.

– Kiedy ostatni raz widział pan Waldena?

– Jakies dziesięć dni temu. Caroline zaprosiła mnie na obiad z nimi.

– Ach – stwierdził Matthew. – Jedna ze słynnych piątkowych uczt?

– Wie pan o nich? – Preece uśmiechnął się. – Tak, Simon był wspaniałym kucharzem. Gdybym nadal pracował w branży hotelarskiej, natychmiast zatrudniłbym go jako szefa kuchni.

– Był to więc dobry wieczór?

Preece odpowiedział dopiero po chwili.

– Raczej dziwny. Jakiś nerwowy. Simon przygotował posiłek, ale nie bardzo chciał jeść z nami. Caroline go przekonała. Miała talent do stawiania na swoim. Było jednak wyraźnie widać, że nie ma na to ochoty. Może jestem przewrażliwiony, ale miałem wrażenie, że czuje do mnie niechęć. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłem zrobić, żeby go rozzłościć. Jak już powiedziałem, nigdy nie spotkałem się z nim w Woodyard.

– Czy tego wieczoru Walden pił alkohol?

Gaby wspominała, że czasami w takich sytuacjach Simon się rozklejał.

– Nie i niewykluczone, że to była przyczyna. Usiłował zacząć wszystko od nowa i może trudno mu było zachowywać się towarzysko bez alkoholu, zwłaszcza kiedy wszyscy inni pili. – Preece umilkł i uśmiechnął się krzywo. – Był tam też chłopak Caroline, Edward Craven, którego towarzystwo jest dość krępujące. Wiem, że bardzo go lubił, ale przekonałem się, że trudno zachowywać się całkowicie naturalnie w obecności duchownego.

Matthew mógł zrozumieć jego skrępowanie – całe życie spędził w otoczeniu ludzi bardzo religijnych – ale nie miał zamiaru wyznać tego Christopherowi Preece'owi. Wstał.

– Dziękuję panu za poświęcony czas.

Po wyjściu z domu siedział jakiś czas w samochodzie, zastanawiając się, czy teraz lepiej rozumie mężczyznę, który zginął. Ale z tej rozmowy pozostała mu tylko świadomość ciężącego na Waldenie poczucia winy, zaburzającego jego zdolność oceny, władającego jego życiem.



Słońce nadal świeciło. Matthew pomyślał, że Lucy Braddick pewnie kończy pracę w Woodyard. Jej ojciec postanowił spędzić popołudnie w Barnstaple i miał zabrać ją do domu. Dzięki temu nie będzie musiała jechać autobusem, z którego także Simon Walden codziennie od jakiegoś tygodnia korzystał przed swoją śmiercią.

Być może spowodowało to słońce albo zakłopotanie będące skutkiem rozmowy z Preece'em, ale Matthew nie mógł znieść myśli o powrocie do szarego pudełka komendy policji czy też stawienia czoła z trudem poskramianej energii Rossa. Musi tam się pojawić na wieczornej odprawie, ale nie nastąpi ona tak szybko. Dlatego pojechał do centrum miasta, zostawił samochód i poszedł na dworzec. Jeżeli się pospieszy, zdąży w samą porę na autobus do Lovacott.

Ostatecznie znalazł się tam z pięciominutowym zapasem i poczekał, aż do środka wejdą czekające w kolejce starsze kobiety z torbami na zakupy i kilka matek z niemowlakami. Pokazał siedzącej za kierownicą kobiecie legitymację policyjną i zdjęcie Waldena.

– Poznaje go pani? W ubiegłym tygodniu każdego popołudnia jeździł tym autobusem.

Kobieta pokręciła głową.

– Byłam na macierzyńskim. Dopiero dzisiaj wróciłam. Musi pan zapytać w zajezdni.

Matthew zawahał się, ale zamiast wysiąść i porozmawiać z dyspozytorem, wyciągnął portfel i kupił bilet do Lovacott. Pojedzie tą samą trasą co Simon Walden i zobaczy, co się zdarzy. Miejsce z przodu było wolne, więc usiadł na nim. Nigdy nie wagarował w szkole. Pomyślał, że pewnie gdyby to robił, czułby się tak jak teraz. Wysłał do Jen i Rossa esemesy z informacją, że zapewne nie wróci na komendę do wieczornej odprawy.

Autobus przejechał przez most i zatrzymał się na przystanku, gdzie zazwyczaj wsiadała Lucy. Tym razem nową pasażerką była kobieta w średnim wieku. Woodyard znajdowało się tuż za szosą, Matthew dobrze widział wysoki budynek z czerwonej cegły. Życie będzie tam toczyć się dalej, pod okiem Jonathana dogląającego wszystkiego skutecznie i z humorem. Na przystanku, na którym zazwyczaj wsiadał Walden, nikogo nie było. Czemu szedł ten krótki odcinek w górę skarpy, żeby do niego dotrzeć? Żeby nie widziano go z Woodyard? Matthew zastanawiał się, dlaczego Simon czuł

potrzebę utrzymania w tajemnicy swoich wizyt w Lovacott i spotkań z Lucy Braddick.

Spoglądając na Barnstaple, Matthew widział rozszerzające się w kierunku ujścia zakole rzeki, a także miasto ciągnące się daleko od niego. Autobus okrążył przedmieście Sticklepath, zatrzymał się na szczycie wzgórza przy ośrodku kształcenia ustawicznego, skąd zabrał niewielką grupkę studentów, a potem ruszył w głąb łądu po drogach, które zdawały się ledwo mieścić pojazd o takich rozmiarach.

Matthew uznał, że powinien porozmawiać z pasażerami, pokazać im zdjęcie Waldena, ale co mogliby mu powiedzieć? *Tak, wsiadł facet podobny do niego. Usiadł obok kobiety z zespołem Downa i poczęstował ją słodyczami. Rozmawiali.*

Ostatecznie Lucy powiedziała, że na tym to się kończyło, a ojciec jej wierzył. Ale człowiek, który uszczęśliwiał Lucy, rozśmieszał ją i spowodował, że poprzedniego dnia czekała na przystanku autobusowym w swojej wiosce, bo może jeszcze się pokaże, w niczym nie przypominając ponurego i gniewnego Simona Waldena opisanego przez kobiety z domu w Ilfracombe. A więc co tu się działo? Co było powodem podróży Waldena na wieś i dlaczego starał się zdobyć zaufanie Lucy Braddick? Dlaczego chciał, żeby mu wierzyła?

Obecnie autobus zatrzymywał się już rzadziej i tylko po to, aby wysadzić pasażerów. Było w nim za gorąco i Matthew walczył z opadającymi powiekami. Czuł się niemal odrealniony. Nie podróżował autobusem, od kiedy ojciec nauczył go prowadzić samochód, gdy Matthew chodził jeszcze do szkoły, zapomniał już więc, o ile lepiej z niego widać. Znajdował się wystarczająco wysoko, aby zajrzeć w okna na piętrze domu stojącego przy drodze. Zobaczył łóżko z żółtą, pluszową kapą i ciężką mahoniową szafę. Kobietę odwróconą plecami do okna. Pojechali dalej, zanim Matthew zorientował się, co robi. Za żywoplotem błyszcząca powierzchnia wody – staw albo jezioro, dwa wielkie filary wyznaczały wjazd na zarośniętą drogę znikającą w lesie za jasnożółtą plamą ziarnopłonu.

Autobus zatrzymał się, najwyraźniej na odludziu, aby mogła wysiąść para w podeszłym wieku.

Droga prowadziła stromo pod górę i nagle zobaczyli w dole wioskę Lovacott – grupę domów wokół małego placu, wyglądającego raczej jak rozszerzenie głównej ulicy. Sklepik, w którym sprzedawano chyba wszystko, pub. Nie było tu nic malowniczego. Żadnych strzech. Nigdy nie pokazaliby takiego miejsca w *Morderstwach w Midsomer*. Domy wyglądały solidnie i dość przyjemnie, ale niczym się nie wyróżniały i raczej nie przyciągały turystów. Za placem droga prowadziła do rzędu zbudowanych w latach pięćdziesiątych domów komunalnych. W jednym z nich mieszkali Braddickowie.

Autobus zatrzymał się i pasażerowie wysiedli. Kierująca pojazdem kobieta pozostała w swoim fotelu i wyciągnęła książkę w miękkiej oprawie. Koniec trasy. Na wiacie przystankowej wymalowano sprayem graffiti. Grupa studentów, którzy wsiedli w Sticklepath, stała na chodniku, pałac papierosy i rozmawiając. Matthew wyjął zdjęcie Waldena.

– Widywaliście tego człowieka w autobusie?

– Taa – odezwała się szczupła dziewczyna o ufarbowanych na żółto włosach z czarnymi odrostami, w białej sukience i płóciennych tenisówkach. Ładna buzia, wielkie, ciemne oczy. Wyglądała jak postać z anime. – Siedział koło Lucy Braddick. Sprawiał trochę dziwne wrażenie. Jest słodka i wszyscy ją znamy, ale większość obcych jej unika.

– Był obcy? Nigdy nie mieszkał w Lovacott?

– A czemu chcesz to wiedzieć? – Chłopak miał upiorny trądzik i ubrany był w bluzę z kapturem. Pozował na czarny charakter. Podejrzliwość w tonie głosu i całej postawie.

– Nie żyje. Został zamordowany. Jestem policjantem i prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

Zaszokowane milczenie. Dreszczyk emocji. Matthew pomyślał, że kiedy tylko się odwróci, obecność policjanta w Lovacott natychmiast stanie się tematem numer jeden we wszystkich mediach

społecznościowych. Gdyby mieli dość odwagi, robiliby mu zdjęcia telefonami.

– Nigdy go tu nie widzieliśmy – oznajmiła dziewczyna. – Tylko w autobusie. – Odwróciła się do kolegów i wszyscy potwierdzili to ruchem głowy.

Matthew odszedł od nich i skierował się do „Złotego Runa”. Okazały budynek stał dumnie na początku placu. Podjęto starania, aby przywrócić go do dawnej świetności, tak by przyciągał turystów przejeżdżających tędy na wybrzeże. Na tablicy w holu wejściowym wyeksponowano zdjęcia – zmodernizowane pokoje, jadalnia lśniąca polerowanym drewnem i szkłem, weselni goście zebrani na trawniku z tyłu części hotelowej pubu. Bar pachniał świeżą farbą i politurą. Na większości stołów leżały sztuczki zawinięte w papierowe serwetki, stały małe wazoniki z kwiatami, a na ladzie leżało menu. Był to pub z aspiracjami.

Niedaleko kominka stała skórzana sofa i para foteli. Siedziała tam wpatrzona w laptop kobieta z kawą latte. Miejsce nie wyglądało na naturalne środowisko Simona Waldena. Za barem stała kobieta w średnim wieku ubrana w prostą czarną suknię i z neutralnym makijażem oraz niewielkimi srebrnymi kolczykami. Uśmiechnęła się.

– Co mogę panu podać? – Podobało jej się, że gość ma na sobie garnitur.

– Proszę o kawę.

– Americano?

Oczywiście tu musiał być wybór różnych kaw.

– Chętnie.

Za barem znajdował się elegancki ekspres, a kiedy Venn otrzymał kawę, zobaczył, że na spodeczku leżały małe, domowe herbatniczki. Pokazał kobiecie zdjęcie Waldena.

– Zna go pani?

– Dlaczego pan pyta? – Teraz wydawała się mniej zachwycona.

– Nie żyje. Jestem oficerem policji.

– Tak mi się wydawało, że dziś rano słyszałam o tym przez radio. Zginął pchnięty nożem koło Crow Point?

– Tak. Czy bywał tutaj?

– Owszem. W ostatnim tygodniu prawie każdego dnia. Ale nigdy nie zostawał długo. Wydawało mi się, że czeka na kogoś. Kiedy jest spokojnie, wymyślam sobie historie o klientach. To pomaga zabić czas. Myślałam, że może czeka na kobietę, ale ta nigdy się nie zjawiała. Co wieczora przychodził, prosto z autobusu, jak pan. Siadał przy oknie i czekał. Ale jeżeli liczył, że z kimś się tu spotka, to się przeliczył.

Matthew zastanowił się nad tym.

– Czy pracuje pani w barze codziennie?

– Hotel należy do mojego męża i do mnie. Zazwyczaj pracuję tu po południu, kiedy jest spokojniej.

– I ten mężczyzna nigdy z nikim nie rozmawiał?

Pokręciła głową.

– Nigdy w mojej obecności. Ale kiedy widziałam go po raz ostatni, jakby zniknął. Poszłam do kuchni zamówić kanapki dla klienta, a kiedy wróciłam, już go nie było. Wyszedł wcześniej niż zwykle. Miałam nadzieję, że w końcu przyszła ta kobieta.

– Co pił?

Milczała przez chwilę, jakby pytanie ją zaskoczyło, ale odpowiedziała pewnym tonem.

– Dietetyczną colę. Za każdym razem dwie półlitrowe szklanki.

Kiedy wyszedł na plac, zatrzymał się, aby wczuć się w to miejsce. Zapadł zmierzch i zrobiło się chłodno. W domach wokół placu paliły się światła. Matthew widział dzieci odrabiające lekcje przy stołach kuchennych, przygotowywane posiłki. Nastolatki zniknęły. Na drogach było więcej samochodów ludzi wracających do domu z Barnstaple, Bideford i Torrington, ale chodniki opustoszały. Poszedł przez plac i ulicą w kierunku osiedla, na którym mieszkali Lucy i Maurice Braddick. Nie zamierzał ich odwiedzać, ale był nimi zainteresowany. Za oświetlonymi domami nie było niczego, tylko czarna przestrzeń otwartego terenu. Znajdował się zaledwie dziewięć i pół kilometra od Barnstaple. Równie dobrze mogła to być krawędź świata.



Gdyby pojawiła się tu jakaś kobieta, jak wyobrażała sobie właścicielka hotelu, z całą pewnością ktoś mógłby ją zobaczyć. Nie przyjeżdżała z Waldenem autobusem. Oczywiście tajemnicza kochanka była całkowitą fantazją, ale jeżeli Walden nie zjawiał się tu, aby spotkać się z kobietą, to co sprowadzało go do Lovacott? Dlaczego chciał być całkowicie trzeźwy i opanowany?

Matthew wyjął telefon, żeby zadzwonić do Rossa i poprosić go, aby po niego przyjechał. Bez zatrzymywania się na przystankach i bez objazdów dotarcie tu z Barnstaple zajęłoby tylko piętnaście minut. Nagle zapaliły się reflektory autobusu i zawarczał uruchamiany silnik. Oczywiście, musiał wrócić do zajezdni, nie mógł zostać tu na całą noc. Matthew pomachał do kierowcy i wsiadł do środka.

[5] Założony w Anglii w 1888 roku ruch artystyczny malarzy, rzeźbiarzy, architektów i rzemieślników zainteresowanych tworzeniem sztuki użytkowej, funkcjonalnej, ale zachowującej wartości estetyczne. W Polsce do tych idei nawiązywały Warsztaty Krakowskie, utworzone w 1903 roku.





## *Rozdział dwunasty*

Przed wieczorną odprawą Jen mogła pojechać do domu i sprawdzić, co z dziećmi. Mieszkali w dzielnicy Newport na skraju Barnstaple, blisko szkoły, w której uczył się Matthew Venn. Budynek był wciśnięty w rząd niepasujących do siebie domków jednorodzinnych i miał trzy kondygnacje, w związku z czym górował nad prawie całą zabudową ulicy. Był jednak także bardzo wąski i za mały dla kobiety ze skłonnością do chomikowania i dwójką nastolatków. Zaparkowała w zaułku na tyłach i przeszła przez wąski ogródek. Pięknie się rozwijał, pomimo wielomiesięcznego braku opieki. Żonkile właśnie rozkwitały i wkrótce miały pojawić się tulipany. W czasie pierwszego pogodnego weekendu będzie musiała go uporządkować, usunąć martwe liście. Nie przejmowała się, że w domu jest bałagan, ale uwielbiała zajmować się ogrodem.

Drzwi prowadziły prosto do maleńkiej kuchni. Ella musiała zapełnić zmywarkę i Jen była jej wdzięczna, bo nie weszła do zwykłego chaosu. Dzienny pokój był ciemny i chłodny. Jego okna wychodziły na ulicę, ale były tak małe, że prawie nie wpuszczały światła słonecznego. Usiłowała go rozjaśnić narzutami oraz obrazami i w zimie, kiedy paliło się w kominku, był dość przytulny, teraz jednak sprawiał wrażenie zakurzonego i zagraconego. W rogu kuchni było wejście na schody. Stanęła przy nich.

– Dzieci! Jestem w domu! – zawołała dość głośno, ponieważ ich pokoje były na poddaszu. Jej słowa odbijały się echem. Na schodach rozległy się kroki. Pojawiła się Ella, wciąż w szkolnym sweterku i z długopisem zatkniętym za uchem.

– Co mamy do herbaty?

Jen nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

– Gdzie jest Ben?

– U Maxa. Jego mama powiedziała, że może tam coś zjeść. – Ella zeszła na dół i usiadła na dolnych stopniach. – Nie mogłam znaleźć w domu *nic* do żarcia.

– O Boże, bardzo przepraszam. Miałam zamiar zrobić zakupy wczoraj, wracając z pracy, ale pojawiło się to morderstwo. Chciałabyś, żebym wzięła coś na wynos? – Spojrzała na zegarek. – Jeżeli wyskoczę teraz, powinnam zdążyć z tobą zjeść, zanim będę musiała wyjść.

– Znowu?

– Tak. Ostatnia odprawa dzisiaj. Ale nie powinnam wrócić późno. – Jen pomyślała, że w tych dniach jej życie opiera się na ciągłych kompromisach i nic nie wychodzi jej dobrze. Czuła się winna, że nie może włożyć całej energii w pracę, ponieważ jej uwagę odwraca zastanawianie się, co może dziać się w domu. Bała się, że jej dzieci mogą zejść na złą drogę, bo poświęca im tak mało uwagi. Ben był dziki, rzadko kiedy siedział w domu, natomiast Ella sprawiała wrażenie nieustannie zaniepokojonej i zestresowanej. Niekiedy Jen się o nią martwiła, bo choć dziewczyna była koszmarna, kiedy miała mniej lat, teraz w odczuciu Jen stała się zbyt skrupulatna, poważna i nudna. Od wielu miesięcy chodziła z tym samym chłopakiem, a jej pomysł na dobrze spędzony wieczór polegał na oglądaniu telewizji w saloniku. Jen bardzo nie chciała, aby jej córka wyszła wcześniej za mąż bez żadnych doświadczeń życiowych. Ona sama popełniła ten błąd, dała się nabrać na marzenie o idealnym mężczyźnie oraz idealnym życiu – i proszę, do czego ją to doprowadziło.

– Nie ma sprawy. I tak lepiej mi się pracuje, kiedy nikogo nie ma w domu. – Ella wstała. – Posłuchaj, mogę pójść i kupić jedzenie. A ty weź prysznic i jakoś się ogarnij. Chcesz to, co zawsze?

– Tak, fajnie, dziękuję. – Jen miała głowę tak pełną koncepcji związanych z Waldenem i kobietami z Hope Street, że nawet nie mogła zacząć myśleć o tym, na co miałyby apetyt.

—

Kiedy Jen dotarła na komendę policji, sala była już pełna. Szczególnie zależało jej, żeby przyjść wcześniej i porozumieć się z Rossem, zanim zacznie się odprawa. Czuła podniecenie, gdy wchodziła po kamiennych schodach. Ulgę, że udało jej się uciec z domu i od rodzinnych problemów. Matthew Venn stał z przodu i rozmawiał z kierownikiem zespołu oględzin miejsca przestępstwa. Ross kręcił się obok nich, najwyraźniej usiłując włączyć się do rozmowy. Nie zdawał sobie sprawy, że będzie im przeszkadzał i tylko ich wkurzy. Miał tyle wycucia co dżdżownica, ale ponieważ był ulubieńcem Oldhama, nikt nie miał odwagi mu o tym powiedzieć. Jen podeszła i stuknęła go w ramię, zmuszając go, aby się odwrócił i nie mógł im zawracać głowy.

– Jakież wiadomości o telefonie?

– Tak, właśnie to załatwiłem. Miałem zamiar powiedzieć o tym szefowi. – Zerknął przez ramię.

– No cóż, możesz powiedzieć mnie.

Ross już miał zacząć, kiedy Venn poprosił wszystkich o uwagę. Cisza zapadła tak szybko, że jakby trochę zaszokowała komisarza, uświadamiając mu, jaką władzę dysponuje. Jen bardzo go za to lubiła – za brak samczego pozerstwa, za kurtuazję.

Stał przed nimi i mówił wystarczająco głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć. Wiedział, że nie musi krzyczeć. Zebrani słuchali uważnie.

– Załatwmy sprawę najszybciej, jak można, dobrze? Mamy za sobą długi dzień. Ross, wiem, że miałeś na komendzie konkretne zadanie. Czy po porannych wiadomościach w mediach były telefony z jakimiś istotnymi informacjami?

– Zdołaliśmy oddzwonić do każdego. Zostawiłem na pańskim biurku meldunek ze spisem kontaktów.

– Czy ktoś przyznał się, że jest właścicielem jednego z samochodów, które Colin Marston widział zaparkowane na wydmach po południu w dniu morderstwa?

Jen odniosła wrażenie, że rozmowa z Marstonami w domku poborcy myta miała miejsce kilka tygodni temu. Tak właśnie zawsze było na początku dochodzenia – zbyt wiele osób i pomysłów wciśniętych w zaledwie parę dni. W rezultacie czas wydawał się elastyczny.

– Dwie osoby – odparł Ross. – Para w podeszłym wieku z volvo. Ale to nie brzmi obiecująco. Powiedzieli, że poszli na spacer w innym kierunku: wzdłuż rzeki i daleko od cypla. Pozostawili dane kontaktowe i poinformowałem, że ktoś się do nich odezwie.

– Coś jeszcze?

– Kilka możliwych tropów. Dzwoniła pani Bale, która twierdzi, że wczoraj widziała Waldena rozmawiającego z jakąś kobietą w kawiarni w Braunton.

– To może mieć znaczenie i trzeba wyjaśnić sprawę – stwierdziła Jen. – Według Caroline Preece wczoraj rano Walden nie potrzebował podwiezienia do Barnstaple, bo zamierzał opuścić sesję terapii grupowej. Oświadczył, że ma sprawy do załatwienia. Preece uznała, że wybiera się do Kingsley House, żeby porozmawiać o powrocie do pracy, ale wiemy, że to nie był właściwy powód. Nie mieli zamiaru ponownie go zatrudnić.

– A musiał być w Braunton, jeśli szedł do Crow Point. – Matthew pokiwał głową, potwierdzając, że może to być ważne. – Wiemy, że już nie prowadził samochodu, ale mógł tam dotrzeć na piechotę. A więc zadanie na jutro to dotrzeć do świadka i wziąć od niej zeznanie. Poda nam rysopis kobiety, z którą był Walden, i jeżeli będziemy mieli szczęście, być może usłyszała, o czym mówili. – Po chwili przerwy dodał: – Była też wiadomość pozostawiona dla Waldena. Jen, odsłuchałaś ją z poczty głosowej telefonu w domu w Ilfracombe?

– Nagrałam ją. – Wyjęła komórkę i włączyła odtwarzanie. Głos męczyzny brzmiał słabo i metalicznie w dużym pomieszczeniu. – Mógł dzwonić po prostu stary przyjaciel, który próbował się skontaktować, ale sama nie wiem... – Rozejrzała się po sali. – Może

to tylko moja wyobraźnia, ale mam wrażenie, że słyhać w tym groźbę.

Nikt się nie odezwał, nie mieli ochoty się angażować.

– Wiemy, kto dzwonił? – zapytał Matthew.

Ross podniósł rękę, desperacko pragnąc zrobić wrażenie na zebranych. Jen była ciekawa, czy ona sama kiedykolwiek tak się zachowywała.

– Połączenie wykonano z komórki zarejestrowanej na faceta o nazwisku Springer. Alan Springer. Mieszka w Bristolu.

– To ma sens. W końcu Walden stamtąd pochodził. Oczywiście *może* być po prostu starym przyjacielem, ale musiałby się wysilić, żeby odnaleźć Waldena pod adresem w Ilfracombe. Musiał naprawdę chcieć z nim porozmawiać. Sądzę, że masz rację, Jen. Jest w tym coś dziwnego. – Spojrzał na Rossa. – Wiemy coś o panu Alanie Springerze?

– Nienotowany na policji. Poza tym mam niewiele. Firma telefoniczna odezwała się do nas dopiero pół godziny temu.

– W takim razie mamy następną sprawę na jutro. Zobaczmy, co o nim wiadomo. Sprawdźmy, czy może wyjaśnić, co robił i gdzie był. A nawet jeżeli wykluczymy go jako podejrzanego, może będzie w stanie przekazać nam jakieś informacje o Waldenie. Wciąż jestem ciekaw, dlaczego żonaty mężczyzna, który prowadzi własną restaurację, kończy jako bezdomny i zdaje się na łaskę Kościoła.

– Zabił dziecko – zwróciła uwagę Jen. – Coś takiego może zrobić z człowiekiem straszne rzeczy.

– Masz rację. Oczywiście, że może. – Chwila milczenia. – A jak rodzice dziecka reagowali po wypadku? Czy grozili, że się zemszczą? Żądali odszkodowania? To może być motyw.

– Nie. Sprawdziłem tę sprawę w internecie – odezwał się Ross. Po chwili dodał: – Powiedzieli, że mu wybaczyli. Gazety zrobiły wokół tego wielkie halo.

– Może tak zareagowali bezpośrednio po śmierci dziecka – zauważył Matthew – ale z czasem to mogło się zmienić. Bliscy żałują się pod wpływem tak wielkiej straty. Rośnie rozżalenie.



Chciałbym wiedzieć, czy rodzina nadal jest razem. – Spojrzał ostro na Rossa. – Przypuszczam, że nie nazywają się Springer?

– Nie! – Spojrzał w notatki. – Sally i James Thorne'owie. Wydaje mi się, że możemy wykluczyć ich z naszego dochodzenia. Wyemigrowali, przenieśli się do Australii, aby mieć bliżej do rodziny Sally. Wychowała się tam. Sprawdziłem i są w Adelajdzie.

– Rozmawiałeś z nimi?

– Byli w pracy. Rozmawiałem z matką Sally. Ma zamiar powiedzieć im o śmierci Waldena, ale wydaje się, że nie przejęła się tą wiadomością, zupełnie jakby to nie było dla nich nic ważnego. Oświadczyła, że dla nich to już przeszłość.

Jen pomyślała, że to dziwne. Jak można tak szybko przejść do porządku dziennego nad śmiercią dziecka? Ale być może ludzie bronią się przed tragedią w różny sposób.

Venn zastanawiał się przez chwilę, a potem kiwnął głową. Na zewnątrz było już ciemno. Jedna świetlówka w sali była uszkodzona i migotała, ale nikt się nie ruszył, żeby ją wyłączyć.

– Jen, opowiedz reszcie zespołu o współlokatorkach Waldena. Wiemy o nich już trochę więcej. Zobaczmy, jak do nich pasował.

Jen znowu wstała. Nie przeszkadzało jej znajdowanie się w centrum uwagi, ale po prostu nie pragnęła tego tak bardzo, jak Ross. Usiłowała przekazać atmosferę domu w Ilfracombe, opisać dwie bliskie przyjaciółki, którym udało się mieszkać w harmonii pod jednym dachem pomimo dzielących je różnic.

– To inteligentne kobiety, pewne siebie, dobre w tym, czym się zajmują. Potem pojawił się Walden i zachwiał tę równowagę. Myślały, że wyprowadzi się po Wielkanocy, ale jego szef w Kingsley House poinformował mnie, że ponowne zatrudnienie go nie wchodziło w grę. Tak więc o ile nie znalazł innej pracy, były na niego skazane.

– Dlaczego hotel nie chciał zatrudnić Waldena ponownie?

– Szef kuchni go nie lubił. Nie przypuszczam, żeby chodziło o coś więcej. A Walden był humorzastym sukinsynem i nie chciał się podporządkować.

– Dobrze dogadywał się z szefem kuchni w Woodyard – zauważył Matthew. – Wydaje się, że mieli do siebie zaufanie. Rozmawiałem też z Christopherem Preece'em, ojcem Caroline i jednym z członków zarządu powierniczego Woodyard. Pracował w branży hotelarskiej i powiedział, że gdyby nadal prowadził tego typu biznesy, toby go zatrudnił.

– W Woodyard być może jest mniejsza presja. W Kingsley podają dania najwyższej jakości. To takie miejsce, że obedną cię ze skóry, a i tak wyjdiesz od nich głodny.

W sali na chwilę zapadła cisza. Czekali, co powie Venn.

– Nasz pan Walden najwidoczniej miał skomplikowany charakter – odezwał się w końcu. – Według niektórych świadków humorzasty i agresywny, ale kiedy jeździł do Lovacott, siadał w autobusie obok Lucy Braddick i ją rozśmieszał. Poprawiał jej humor. Nawet Gaby Henry, która go nie lubiła, przyznaje, że było w nim coś, co przyciągnęło jej uwagę. Namalowała Simona w nadziei, że zrozumie go lepiej.

– Czy wiadomo, co robił w Lovacott, szefie? – Pytanie było prawie niegrzeczne. Ross chciał wyraźnie dać do zrozumienia, że nie widzi sensu w analizowaniu charakteru ofiary, nie pojmował, w jaki sposób może im to pomóc w znalezieniu zabójcy. Chciał, żeby zaczęli działać i trzymali się faktów.

– Według właścicielki „Złotego Runa” czekał na kobietę – odparł Matthew. – Ale to tylko domysły. Wygląda na to, że czekał na *kogoś*, kto jednak się nie pojawił.

Oparł się o biurko.

– Będziemy dalej prowadzili dochodzenie w Braunton i Ilfracombe. Ustalmy, co Walden robił, od kiedy wyszedł rano z domu. Jak się dostał do Braunton? Pojechał autobusem czy zawiozła go tam osoba, z którą się spotykał? Na głównej ulicy i na dworcu autobusowym w Ilfracombe jest monitoring; być może znajdziemy coś także w Braunton. Ale chcę wiedzieć więcej o naszej ofierze i dlatego musimy porozmawiać z ludźmi, którzy byli blisko z Waldenem. – Umiłkł i spojrzał na Jen. – Czy możesz pojechać juro

do Bristolu? Chciałbym, żebyś porozmawiała z żoną Waldena. A skoro już tam będziesz, żebyś spotkała się też z Alanem Springerem, facetem, który zostawił wiadomość w poczcie głosowej telefonu na Hope Stret.

– Tak, oczywiście. – Odpowiadając, pomyślała, że będzie to kolejny wczesny początek i późny koniec dnia, że dzieciaki znowu będą musiały same pójść do szkoły, ale nie wahała się ani chwili.

– Weź ze sobą Rossa – dodał Matthew. – Przyda się spojrzeć na wszystko z dwóch punktów widzenia.

*Wspaniale, pomyślała. Po prostu cudownie!*





## *Rozdział trzynasty*

Matthew przyszedł do biura wcześniej następnego ranka. Słońce znowu oświetlało kopiec Wzgórza Zamkowego, sprawiając, że trawa wyglądała na świeżą i nieprawdopodobnie zieloną. Obudził się w czasie przyływu. Szum wody za oknem wtargnął do jego snu. Nawet po obudzeniu wciąż miał wrażenie, że jest w łodzi, a przez chwilę wydawało mu się, że tonie, znika pod czarną falą, wysoką jak góra. Ocknął się, uświadamiając sobie, gdzie jest i że to jego kolej zrobić kawę. Jonathan prawie się nie poruszał i usiadł dopiero, kiedy Matthew wrócił do sypialni, trzymając kubek. Stojąc w drzwiach, Venn patrzył na niego przez moment: jasnowłosego, z nagim torsem. Pięknego.

Siedząc za biurkiem, Matthew przejrzał spis kontaktów, który Ross zostawił dla niego wczoraj wieczorem. Trzeba będzie porozmawiać z kilkoma osobami – zrobi to, a potem ten obowiązek przekaże innym członkom zespołu. Spojrzał na dane kobiety, która widziała Waldena w kawiarni w Braunton rankiem w dniu jego śmierci. Nazywała się Angela Bale, miał też numer jej komórki. Zadzwoił.

– Halo? – odezwała się podejrzliwie, ponieważ nie znała numeru, z którego dzwonił.

– Panna Bale?

– Pani.

– Mówi Matthew Venn. Jestem policjantem pracującym nad sprawą Simona Waldena. Zastanawiam się, czy mogłaby pani przyjść na komendę i złożyć zeznania. Poinformowała pani, że

w kawiarni w Braunton widziała ofiarę w dniu, w którym została zabita.

– Nie mogę przyjść dzisiaj – odparła szybko. – To mi bardzo nie na rękę. Pracuję.

– A gdzie pani pracuje?

– Dla Landmark Trust. W punkcie sprzedaży biletów na „Oldenburg” w porcie Ilfracombe. Sezon dopiero się zaczął i jesteśmy bardzo zajęci.

„Oldenburg” był promem kursującym na wyspę Lundy. Jesienią Venn spędził z Jonathanem kilka dni w małym domku na Lundy. Były szalone i dżdżyste. Na promie się pochorował, ale Jonathan uwielbiał morze podczas sztormu. Przez większość pobytu ukrywali się przed złą pogodą w łóżku lub w „Tawernie Marisco”, pubie na wyspie. Albo sprzeczali się, żeby odpędzić nudę, a potem się godzili.

– Ma pani przerwę na lunch, prawda? Może wtedy moglibyśmy się z panią spotkać?

W telefonie zapadła cisza.

– Mój mąż mówi, że nie powinnam z wami rozmawiać, bo mogłam się pomylić. Że nie powinnam się w to mieszać.

– A co *pani* sądzi? – zapytał Matthew. – Uważa pani, że się pomyliła?

Znowu cisza i wreszcie odezwała się.

– Nie.

– W takim razie bardzo by nam pani pomogła, składając zeznanie.

– Czy będę rozmawiała z panem?

– Jeżeli tak będzie dla pani łatwiej.

– W takim razie spotkajmy się u mnie w pracy. O dwunastej.

Przez chwilę ucieszyło go, że ma wymówkę, aby wyjść z biura. Przyszło mu do głowy, że powinien po drodze do Ilfracombe zajrzeć do Chivenor. Kobieta, która znalazła zwłoki Waldena, też wciąż nie złożyła oficjalnych zeznań. Będzie musiał wkrótce wyjechać, żeby mieć czas na rozmowę z nią. Kiedy o tym pomyślał, poczuł się, jakby z ramion zdjęto mu wielki ciężar. Klaustrofobia, która niekiedy

ogarniała go w biurze, stała się niemal patologiczna. Musiał się z nią uporać. Nie mógł pracować w autobusie albo pijąc herbatę w domu świadka.



Kiedy Matthew dorastał, Chivenor było bazą RAF-u i stacjonowały tam żółte śmigłowce poszukiwawczo-ratownicze straży wybrzeża. Pamiętał, że w któreś Boże Narodzenie, po lunchu, podczas szybkiego spaceru plażą widział, jak ku uciechu innych dzieci opuszczano na piasek wyciągarką oficera przebranego za Świętego Mikołaja. Miał ze sobą worek pełen słodyczy. Matthew był oczarowany. Chociaż rodzice mówili mu co innego, bardzo chciał wierzyć, że Święty Mikołaj istnieje naprawdę. Matka była oburzona i mamrotała głośno o bluźnierstwie oraz wciskaniu dzieciom do głów niebezpiecznych bzdur. Inni rodzice spoglądali na nią gniewnie, przekonani, że niszczy magię świąt.

Obecnie baza nadal tu była, ale sporą część jej terenu sprzedano pod zabudowę. Sharon Winstone, kobieta, która znalazła zwłoki Waldena, mieszkała w zaułku, wzdłuż którego ciągnęły się domy z surowej cegły, oddalone od sąsiednich o niewiele więcej niż piętnaście centymetrów. Było wcześniej i kiedy znalazł się na miejscu, usłyszał głośną muzykę. Przez okno saloniku zobaczył, że kobieta ma włączoną płytę DVD z fitnesssem i ćwiczy przy rozkręconym na cały regulator akompaniamencie. Choć była zaczerwieniona i spocona, jej włosy wyglądające jak brązowy hełm prawie się nie poruszały. Nacisnął dzwonek, ale nie było żadnej reakcji. Przytrzymał przycisk i w końcu dzwonenie przebiło się przez hałas. Odwróciła się, pomachała mu ręką, wyłączyła odtwarzacz i podeszła do drzwi. Miała na sobie fioletowe legginsy w kwiatki i koszulkę gimnastyczną.

– Przepraszam, myślałam, że zdążę wziąć prysznic, zanim pan przyjedzie. – Zdawała się przejmować swoim wyglądem, uznał więc, że poprosi go, aby poczekał, aż się przebierze. Ostatecznie jednak



zaprowadziła go od razu do pokoju, w którym ćwiczyła. – Usłyszałam w telewizji o tym biedaku przy Crow Point. Spodziewałam się, że skontaktuje się pan ze mną.

Zaproponowała mu kawę, przyniosła dwa kubki rozpuszczalnej, położyła na stole z jasnego drewna podkładki i dopiero wtedy usiadła. Powiedziała Rossowi, że ma syna w wieku szkolnym, ale nic na to nie wskazywało. Wszystkie zabawki zostały chyba schowane. Dom był jak z wystawy, idealnie czysty i nijaki. W koszyku z poduszką w kwiatki, o wzorze takim jak na zasłonach, leżał mały piesek. Kiedy Matthew wszedł, uniósł głowę i zaraz zasnął z powrotem.

– Wiem, że rozmawiała pani z moim posterunkowym – zaczął Venn – ale czy mogłaby mi pani opowiedzieć, co się zdarzyło tamtego dnia? Sporządzę notatkę i poproszę, żeby podpisała pani zeznania.

– Oczywiście. – Jeżeli znalezienie martwego człowieka na plaży jakoś nią wstrząsnęło, uczucie to dawno przysło. Uznał, że cieszy się poświęcaną jej uwagą, a może nawet towarzystwem.

– Nie pracuje pani?

– Nie w tej chwili. – Skąpy uśmiech. – Mam przerwę w pracy zawodowej.

Zastanawiał się, co się kryje za tą zgrabną formułką. Została niedawno zwolniona? Zrezygnowała z pracy z powodu stresu? Nie sprawiała wrażenia znerwicowanej, chociaż w jej ćwiczeniach była jakaś determinacja.

– A więc spacerowała pani z psem po plaży przy Crow Point? Przyjechała pani płątną drogą?

– Tak. Zaparkowałam w pobliżu domu na wybrzeżu, przeszłam przez wydmy na plażę i poszłam w kierunku cypla. Wracałam, kiedy zobaczyłam człowieka leżącego na piasku.

– Była pani sama?

Zapadła cisza i zorientował się, że kobieta zastanawia się, czy kłamstwo ujdzie jej na sucho.

– W czasie dochodzenia słyszymy różnego rodzaju rzeczy. Nie wszystkie z nich są istotne i nie wszystko omawiane jest w sądzie. Ale potrzebujemy szczegółów.

– Spotkałam się na plaży z przyjacielem – powiedziała. – Z mężczyzną.

– Będę potrzebował jego danych kontaktowych.

– Dobrze. – Spojrzała na niego z pewnym wyzwaniem. – Ale on jest żonaty. Czy moglibyście więc umówić się z nim w pracy?

Skinął głową.

– Spróbujemy. Gdzie się spotkaliście tego dnia? Czy zaparkowaliście obok siebie? – Pomyślał o zeznaniach Colina Marstona.

Skinęła głową.

– Jeździ passatem, a pani fiestą? On jest od pani starszy?

– Tak! – Absolutne zdumienie. – Był moim szefem i wyszło na jaw, że się spotykamy. To takie krępujące. Musiałam zrezygnować z pracy.

*Nie, wcale nie musiałaś. To raczej on powinien z niej odejść.* Matthew uznał, że powinien zlecić Jen Rafferty, aby przyniosła jej zeznanie do podpisania. Może przemówi tej kobiecie do rozsądku.

Sharon spojrzała na niego.

– Mój mąż o niczym nie wie. Uważa, że rzuciłam pracę, bo nudziłam się w biurze. Nie miał nic przeciwko temu. Lubi, jak jestem w domu, mam sytuację pod kontrolą i zajmuję się synem. – Chwila milczenia. – Tego popołudnia na plaży do niczego nie doszło. Nie jesteśmy dziećmi. Nie kochaliśmy się namiętnie na wydmach. – Znowu chwila milczenia. – Ale będzie mi go brakowało. Uwielbiałam jego towarzystwo.

– Czy widzieliście zwłoki, kiedy szliście do Crow Point?

– Nie, dopiero w drodze powrotnej.

– Ale zobaczylibyście je, gdyby tam były?

– Myślałam o tym – przyznała Sharon. – Rozmawialiśmy, nadrabialiśmy zaległości. Nie widzieliśmy się przez kilka tygodni, bo Dave wyjechał z rodziną na ferie semestralne. Ale wydaje mi się, że

zauważylibyśmy ciało. Nie było w żaden sposób ukryte, a wracaliśmy po naszych śladach.

Skoro tak, Walden został zabity, kiedy Sharon i jej kochanek szli do Crow Point. Ryzykowna sprawa. Być może powinni szukać kogoś, kto lubił niebezpieczeństwo. Albo kogoś zdesperowanego.

Patrzyła w głąb pustego kubka po kawie.

– Nie chciałam zostać na plaży ze zwłokami. Sama. Wiem, że powinnam tak zrobić, ale po postu nie mogłam się na to zdobyć. Dlatego Dave poszedł ze mną z powrotem do samochodów, a potem pojechał do pracy. Miał spotkanie. Zadzwoiłam stamtąd na policję i czekałam.

– Może pani określić jakieś ramy czasowe? – zapytał Matthew. – Kiedy pani przyjechała, kiedy zobaczyła ciało. – Mogłoby to sprecyzować czas zgonu o wiele dokładniej, niż byłby w stanie zrobić to anatomopatolog.

– Miałam się spotkać z Dave'em w południe, ale trochę się spóźnił. – Matthew wyobraził sobie, jak siedzi w samochodzie, coraz bardziej obawiając się, że jej kochanek się nie zjawi. – Prawdopodobnie przyjechał około wpół do pierwszej. Było dziesięć po drugiej, kiedy zobaczyliśmy zwłoki. Spojrzałam na zegarek.

– Czy widziała pani na plaży jeszcze kogoś?

– Nikogo nie zauważyłam. Wie pan, rozmawialiśmy, robiliśmy plany na przyszłość, kiedy nasze dzieci będą wystarczająco duże, żeby zrozumieć.

Matthew kiwnął głową. Podejrzewał, że facet ją zwodził, składał obietnice, których nie miał zamiaru dotrzymać. Ale czy nadal bawiłby ją romans, gdyby przestał być potajemny i podniecający? Doradztwo rodzinne nie wchodziło jednak w zakres jego obowiązków, a poza tym nie był to czas ani miejsce na udzielanie porad. Wstał, powiedział jej, że była bardzo pomocna, i wyszedł z domu. Kiedy otwierał samochód, znowu usłyszał muzykę, natrętną i szaloną. Pomyślał, że Sharon usiłuje ruchem odpędzić swoją nudę i demony.

W Ilfracombe wiatr był silniejszy i wirował w wąskich uliczkach. Matthew wiedział, że wieje z zachodu, bo wysłuchał rano prognozy pogody dla żeglugi, ale bez względu na to, w którą stronę szedł, dmuchało mu prosto w twarz. Tu też był wcześniej – punktualność była jego przekleństwem, odziedziczonym po matce, która uważała, że spóźnienie jest grzechem – zostawił samochód na górze Hope Street i zszedł w dół zbocza, a potem główną ulicą udał się w kierunku portu. Pachniało smażonymi rybami. Optymistycznie nastawiony personel otworzył już na początku sezonu kilka kawiarni. Właściciel sklepu z pamiątkami ustawił wszystkie towary po jednej stronie i mył podłogę mopem.

*Verity*, rzeźba Damiana Hirsta, stała na końcu mola. Wielka, ciężarna kobieta. Z jedną ręką podniesioną w geście triumfu. Gdy patrzyło się na nią z boku, widoczne były wszystkie jej organy wewnętrzne. Przypominała Matthew zwłoki na stole anatomopatologa, z rozchyloną skórą.

W biurze promu kursującego na wyspę Lundy stała krótka kolejka ludzi kupujących bilety. W poczekalni siedziała kobieta otulona płaszczem i patrząca w okno.

– Pani Bale? – Wiedział to, jeszcze zanim zapytał. Sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej, przerażonej, bojącej się całego świata.

Zerwała się z miejsca.

– Mam tylko pół godziny.

– Nie ma sprawy. To nie potrwa dłużej. Może kupię pani lunch?

– Och, nie. Zawsze biorę ze sobą kanapki. Zjem je później przy biurku.

Ostatecznie usiedli na ławce nad wodą. Angela Bale najwyraźniej lepiej czuła się na zewnątrz, gdzie nie można ich było podsłuchać.

– Co robiła pani w Braunton, kiedy zobaczyła pani Simona Waldena?

– Miałam wolny dzień – odparła. – Zawsze odwiedzam wtedy moją matkę. Mieszka w Braunton, pojechałam więc autobusem. Tam

zaprasza mnie na kawę. Mówi, że przynajmniej tyle może dla mnie zrobić, skoro już przyjechałam, żeby ją odwiedzić. Lokal, do którego poszłyśmy, kawiarnia nad strumieniem, w której widziałam pańskiego człowieka, to nasze ulubione miejsce.

Matthew kiwnął głową i zrozumiał, że ta wycieczka do Braunton na spotkanie się z matką jest dla niej najważniejszym punktem całego tygodnia. Kobieta mówiła nadal.

– Potem robię dla niej drobne zakupy w supermarkecie i zanoszę do domu. Mama ma artretyzm i nie może już nosić ciężkich toreb.

– O której zazwyczaj przychodzą panie do kawiarni? – Pomyślał, że prawdopodobnie co tydzień o tej samej porze. To był rytuał jej wolnych dni.

– Autobus przyjechał o dziesiątej czterdzieści pięć i poszłam od razu tam. O jedenastej? Mama już tam była i zajęła nasz ulubiony stolik.

– Przyjechała pani autobusem z Ilfracombe?

Angela Bale kiwnęła głową.

– Przypuszczam, że nie widziała go pani w autobusie? Według nas także przyjechał autobusem z Ilfracombe.

– Nie – odpowiedziała, tym razem pewnym tonem. Przestała już być taka skrępowana. – Był tam przede mną. Siedział przy stoliku obok nas.

– Jak był ubrany?

– W dżinsy. I dżinsową kurtkę. – Przymknęła na chwilę oczy. – Jadł kanapkę z bekonem. Pomyślałam, że wygląda bardzo apetycznie, ale mama i ja zawsze zamawiamy kawę z mlekiem i rożki.

– A kobieta, która z nim siedziała?

– Nie widziałam jej dokładnie, bo była odwrócona do mnie tyłem.

– W jakim wieku? – Matthew bardzo uważał, żeby nie naciskać i nie okazywać rozczarowania.

– Młoda. No cóż, obecnie wszyscy wydają mi się młodzi. – Angela sprawiała już wrażenie bardziej pewnej siebie. – Ciemne włosy. Zielony płaszcz. Chyba w ogóle nie widziałam jej twarzy. –

Pauza. Matthew spostrzegł, że bardzo stara się wszystko sobie przypomnieć. Zadowolić go. – Piła ziołową herbatkę. Czułam jej zapach. Nigdy nie rozumiałam, po co pić tę lurę. I nic nie jadła. Nawet kawałeczka kanapki czy ciastka. Zawsze wydawało mi się bez sensu iść do kawiarni i zamawiać coś, co można by mieć za o wiele mniejsze pieniądze w domu.

– To naprawdę bardzo pomocne. Kto wyszedł pierwszy? Oni czy panie?

Nawet nie musiała się nad tym zastanawiać.

– Och, oni. Nam się nie spieszyło. Miałyśmy czas.

– Widziała pani, kto płacił? Mężczyzna czy kobieta?

Tym razem odpowiedziała dopiero po namyśle.

– Nie płacili przy stoliku, ale przy ladzie, kiedy wychodzili. Wydaje mi się, że ona.

– I raczej nie zauważyła pani, czy gotówką, czy kartą? – Matthew powiedział to lekkim tonem. Nie chciał wywierać żadnej presji. Ale pod blatem zaciskał kciuki. Jeżeli kobieta użyła karty, mogli ustalić jej nazwisko.

Angela pokręciła głową.

– Przykro mi. Nie widziałam. – Spojrzała na zegarek. – Obawiam się, że powinnam już iść.

Matthew wstał.

– Bardzo nam pani pomogła. – Mówił prawdę, bo wciąż istniała możliwość, że tamta kobieta płaciła kartą. Większość młodych ludzi tak robi.

Angela Bale podniosła się z ławki i szybkim krokiem wróciła do biura linii promowej. Matthew stał przez chwilę, usiłując sobie przypomnieć, czy widział którąś z kobiet z Hope Street w zielonym płaszczu.

Przed powrotem do Barnstaple poszedł do kawiarni w Braunton, gdzie Angela Bale widziała Waldena. Razem z Jonathanem byli tu stałymi klientami. W kawiarni podawano wspaniałe weekendowe późne śniadania i w sobotę rano trzeba było czekać na stolik. Teraz było o wiele spokojniej. Parę kobiet piło popołudniową herbatę,

a biznesmen zapatrzony w laptop jadł kanapkę. Przy ladzie stała Lizzie. Była właścicielką i w lokalu obsługiwała głównie ona.

– Cześć, Matt! Co mogę ci podać?

Kusiło go, by wypić kolejną kawę, ale już za długo nie było go biurze.

– Przepraszam, Lizzie, ale jestem tu służbowo. – Położył na ladzie zdjęcie Waldena. – Poznajesz tego człowieka?

Zmrużyła oczy. Kiedy wystawiała rachunki, zakładała okulary, ale była zbyt próżna, by nosić je, gdy obsługiwała gości.

– Nie był stałym gościem.

– To człowiek, którego zabito w poniedziałek po południu koło Crow Point. Mamy podstawy twierdzić, że rano tego dnia pił tu kawę.

Wyjęła okulary z kieszeni fartucha i przyjrzała się dokładnie.

– O której?

– Około dziesiątej trzydzieści. Może trochę później. Sądzymy, że był z kobietą w zielonym płaszczu.

– Nie pamiętam. Wiesz, jak tu jest w rannych godzinach. Dom wariatów i ludzie zmieniają się bardzo szybko.

– On pił kawę i jadł kanapkę z bekonem, a ona wzięła herbatę ziołową i nic nie jadła.

– Ach tak, teraz ich pamiętam – powiedziała triumfalnie. – Właściwie nie ich, ale zamówienie. I nie mogę ci powiedzieć nic więcej poza tym, co już wiesz. Nie potrafię ich opisać. – Zdjęła okulary. – Wiesz, jaka bez nich jestem.

– Płacili kartą czy gotówką?

– Nie jestem pewna. Chcesz, żebym sprawdziła? – Nie czekając na odpowiedź, podeszła do czytnika kart i znowu nałożyła okulary. – Przykro mi, to musiała być transakcja gotówkowa.

– Nie ma sprawy. Możesz popytać personel? Może zapamiętali coś użytecznego. – Podsunął jej swoją wizytówkę. – Daj znać, jeżeli coś sobie przypomnisz.

W jego gabinecie w komendzie ktoś zostawił na biurku notatkę. Charakter pisma był ładny i zastanawiał się przez chwilę, kto w jego zespole ma taki talent. A potem przeczytał treść: *Dzwoniła pańska*

*matka. Czy może odwiedzić ją pan w domu? Powiedziała, że to pilne.*







## *Rozdział czternasty*

Jego matka mieszkała na wzgórzu, w porządnym małym bungalowie stojącym w schludnym osiedlu składającym się z siedemnastu domów na skraju miasta. Rozpościerał się z niego widok aż do ujścia. Bungalow wyglądał, jakby od zawsze należał do starszej osoby, ale rodzina Vennów mieszkała tu, kiedy Matthew był jeszcze dzieckiem. Rodzice kupili go zaraz po ślubie. Matthew nie sądził, że matka pomyślała wtedy o przyszłości, że kiedyś mogą nie być w stanie wchodzić po schodach. Nigdy nie opanowała umiejętności życia trwającym dniem.

Przez chwilę siedział w samochodzie i się martwił. Matka twierdziła, że musi pilnie się z nim zobaczyć, ale gdyby była jej potrzebna pomoc medyczna, wezwałaby kogoś z przyjaciół z Bractwa, a nie jego. Przecież nawet o chorobie ojca dowiedział się od osoby trzeciej. Teraz denerwował się, nie mogąc przewidzieć, jak sam by zareagował, gdyby znowu zrobiła mu awanturę i okazało się, że dzwoniła do niego właśnie po to – żeby znowu oskarżyć go o zabicie ojca.

Zastanawiał się, jak do tego doszło. Ponownie odtwarzał w myślach moment, w którym wiarę zastąpiło inne przekonanie, a w jego życiu nastąpił przełom. Był to jego pierwszy rok na uniwersytecie, przyjechał do domu na ferie wielkanocne. Drugiego wieczoru po przyjeździe rodzice zabrali go na spotkanie, żeby się nim pochwalić. Inteligentnym chłopcem, który poszedł na Uniwersytet Brytorski i był ich chlubą. Ale wszystko zaczynało się już rozpadać, opuszczała go pewność siebie, zastępowana przez niepokój. Mógł być uważany za bystrego w szkole ogólnokształcącej

w Barnstaple, ale miał luki w wiedzy i umiejętnościach poznawczych. Usiłował nawiązać przyjaźnie w Bristolu, ale wiedział, że ludzie wyśmiewali go za jego plecami, czuł się skrępowany, niezadowolony z samego siebie. I został zmuszony, by myśleć samodzielnie, zakwestionować system przekonań, w którym wyrastał.

Spotkanie odbyło się w wynajętej sali gdzieś na obrzeżach Exmoor. Czulo się w niej wilgoć, kurz i zapach nafty z grzejników. Zebrał się prawie tłum, być może pięćdziesiąt osób. Pojawili się tu członkowie Bractwa z całego hrabstwa, nie po to, aby go zobaczyć, ale by wziąć udział w jednej z kwartalnych sesji, na których podejmowano decyzje. Siedział w jednym z tylnych rzędów razem z rodzicami. Nabożeństwo odprawiał Dennis Salter, który przed paroma dniami celebrował pogrzeb jego ojca. Oczywiście był wtedy młodszy, ale już uważano go za przywódcę. Dennis powitał ich, gdy weszli do sali, objął Matthew i trzymał przez chwilę w objęciach.

– Jestem ogromnie z ciebie dumny, synu. – Zupełnie jakby pragnął, by Matthew rzeczywiście był jego synem.

Gdy Matthew patrzył na zebraną grupę, rodziny i gorliwych, młodych neofitów, nagle go olśniło, zupełnie jakby zachodzące słońce zaświeciło przez zakurzone szyby. Było to doświadczenie przypominające niemal religijną iluminację. To wszystko jest oszustwem. Poważne leciwe kobiety w kapeluszach przypominających grzyby, prostoduszni, łagodni mężczyźni – oni wszyscy oszukiwali samych siebie. Znaleźli się tu z różnych powodów – bo dawało im to poczucie władzy nad innymi albo dorastali w tej grupie i nie byli w stanie z niej odejść. Z tchórzostwa lub przyzwyczajenia. Wraz z uświadomieniem sobie tego faktu przyszło wyzwolenie, poczucie, że może teraz robić, co chce, i być, kim chce.

Być może to młodzieńcza arogancja albo jakieś drobne, spowodowane stresem załamanie nerwowe, ale poczuł potrzebę podzielenia się tym nagłym, nowym spostrzeżeniem, ogłoszenia go wszem wobec. Czuł się inaczej, podniecony, rozgorączkowany. Kiedy tak siedział, słuchając nabożeństwa ze świadomością, że nie

wierzy w ani jedno słowo, nagle ogarnęło go pragnienie, by wrzasnąć na nich wszystkich. Nie mógł już tylko siedzieć i udawać. Gdy na zakończenie Salter zapytał, czy ktoś chce powiedzieć coś grupie, Matthew podniósł rękę i wstał.

– To wszystko nieprawda. Przykro mi, ale nie wierzę. Musicie być szaleni, skoro uważacie, że to prawda!

Zapadła cisza. Wciąż pamiętał odwrócone w jego stronę twarze, pełne przerażenia i niedowierzania. Jego matka jęknęła cicho. Z dalszej części zapamiętał niewiele szczegółów. Jedynie niejasne wspomnienia zamętu i zakłopotania. Jak matka i ojciec wyprowadzali go z sali. Smutny Dennis Salter stoi w drzwiach z surową miną.

– Jesteś pewien, chłopcze? Odwracasz się od Bractwa?

– Nie mogę kłamać. – Wciąż był wówczas nieco wyzywający.

– Zawsze powitamy cię znowu, kiedy ujrzysz światło, ale dopóki to nie nastąpi, jesteś dla nas obcy. – Potem drzwi zatrzasnęły się za ich plecami i pojechali do domu. Matka płakała całą drogę.

Następnego dnia wyjechał do Bristolu, spotkał się z opiekunem grupy i powiedział, że opuszcza uniwersytet. Dzień później dostał pracę przy wprowadzaniu danych w firmie ubezpieczeniowej, ponieważ musiał przecież zarabiać na życie. Po tygodniu złożył podanie o przyjęcie do policji. Uświadamiał sobie, że wciąż potrzebuje zasad i poczucia sprawiedliwości, bo chaos wywołuje w nim panikę. Próbował utrzymywać kontakt z rodzicami, ale bez przekonania. Wysyłał kartki z życzeniami urodzinowymi, prezenty na Boże Narodzenie. Nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Początkowo ojciec dzwonił do niego od czasu do czasu, błagając, aby jeszcze raz przemyślał swoją apostazję.

– Czy nie mógłbyś się z tego wycofać ze względu na matkę? Jest załamana.

Ale Matthew był uparty.

– Nauczyła mnie nie mówić fałszywego świadectwa.

Przesłał im wiadomość, kiedy przeprowadził się do Barnstaple, ale nie skontaktowali się z nim. Rozłam trwał tak długo, że żadna ze stron nie wiedziała, jak go zakończyć.

Kiedy Matthew dowiedział się od sąsiada o stanie ojca, natychmiast zadzwonił do matki. Wściekłość niemal odebrała jej głos.

– Nie pojmuję, jak masz czelność się do mnie odzywać. Wiesz, że atak serca ojca to twoja wina? Przeczytaliśmy o tym w „North Devon Journal”. O ślubie z *mężczyzną*. – Ostatnie zdanie wyrzuciła z siebie gwałtownie, jakby splunęła do telefonu. Jakby splunęła na niego.

Chciał odwiedzić ojca w szpitalu, ale nie miał dość odwagi. Obawiał się, iż może być pewna doza prawdy w jej oskarżeniu albo że natknie się na nią na oddziale szpitalnym. Nie miałyby oporów przed urządzeniem sceny. Ale bardzo pragnął zobaczyć ojca, pogadać o piłce nożnej i muzyce, jak robili to w letnie dni, kiedy Matthew odwiedzał z nim farmy na wybrzeżu. Potrzytać go za rękę.

Muślinowa firanka w oknie się poruszyła. Matka go dostrzegła. Wyszedł z samochodu i nacisnął dzwonek. Nie chciałyby, aby zorientował się, że go wypatrywała. Uznał więc, że najlepiej będzie udawać, iż nie zauważył kołyszającej się firanki.

Nie widział jej od dwudziestu lat, jeżeli nie liczyć sytuacji, kiedy przypadkowo dostrzegł ją w oddali, na ulicy. Nie zmieniła się zbyt wiele. Była niska, sprawna jak na jej wiek. Obsesyjne przywiązywanie wagi do zdrowego jedzenia może nie zdołało ocalić ojca, ale w jej przypadku przyniosło rezultaty. Wciąż najczęściej chodziła na zakupy pieszo. Nigdy nie nauczyła się prowadzić samochodu. Szybko odsunęła się, wpuszczając go do środka, najwyraźniej tak zażenowana tym, kim jest, że nie chciała, aby sąsiedzi dowiedzieli się o jego wizycie.

– Oczekiwałam twojego przyjazdu wcześniej.

– Dopiero niedawno otrzymałam twoją wiadomość. Byłam służbowo poza komendą.

Starał się hamować agresję w głosie. Wspominać dobre czasy. Jak czytała mu, kiedy był bardzo mały, i naśladowała różne dziwne odgłosy, aby go rozśmieszyć, jak kibicowała mu w czasie szkolnych dni sportu i nawet kiedy był przedostatni na mecie, powtarzała, że

dobrze wypadł. Jak przekonywała jego i wszystkich, kto chciał słuchać, że wyrośnie na wspaniałego kaznodzieję.

– Jest tu Susan Shapland – powiedziała. – Odchodzi od zmysłów z niepokoju. – Zabrzmiało to trochę jak przeprosiny.

Stali w przedpokoju. Na ścianie była ta sama tapeta z wzorem imitującym drewno. Ojciec malował ściany na nowo co dwa lata. Nadal wyglądały czysto i świeżo, może więc zrobił to tuż przed utratą zdrowia. Matka w dalszym ciągu mówiła szeptem. – Przyszła tu, bo nie wiedziała, co zrobić. Pomyślała, że może zdołasz pomóc.

Susan Shapland była wdową, najbliższą przyjaciółką matki. Pewnie trwała u jej boku w czasie pogrzebu – zamiast Matthew. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Wejź – poleciła matka. – Sama ci wyjaśni.

Wszedł do pokoju od frontu i cofnął się w czasie. To nie były wspomnienia ukryte w magdalenkach Prousta. Ożywały pod wpływem widoku szeregu przedmiotów, a nie smaku czy zapachu. Przycisk do papieru z nasieniem dmuchawca uwięzionym w szkle, drewniany zestaw do gry logicznej samotnik na stoliku do kawy, z gładkimi paciorkami na swoich miejscach. Na okapie kominka fotografie ślubne rodziców, a obok jego zdjęcie w mundurku, zrobione pierwszego dnia w Park School, i kubek, który wykonał na zajęciach plastycznych, kiedy miał jedenaście lat. Susan siedziała w fotelu, koło gazowego kominka. Było to miejsce, które zajmował zazwyczaj jego ojciec, i Matthew przez chwilę poczuł się urażony. Ale kobieta płakała i gniew szybko minął.

– Chodzi o Christine, córkę Susan – powiedziała matka. – Zaginęła.

Dopiero wtedy Matthew przypomniał sobie, że Susan miała córkę mniej więcej w tym samym wieku co on. Czasami bawili się wspólnie, kiedy zebrania Bractwa ciągnęły się w nieskończoność, a członkowie roztrząsali ezoteryczne elementy dogmatów religijnych i spraw praktycznych. Czy na zebraniach należy pozwolić na noszenie kapeluszy czy nie? Co właściwie oznacza niepokalane

poczucie? Zapamiętał, że oba problemy rozważano jednakowo poważnie.

Christine była spokojną, drobniutką, ciemnowłosą dziewczynką o piwnych oczach, chodzącą niezgrabnie i wolno mówiącą. W miarę upływu czasu on dorastał, a ona nie. Zawsze wyglądała inaczej. Kiedy miała trzynaście lat, wciąż przynosiła na zebrania lalkę, wciąż ssała kciuk.

Jej matka wyjaśniała, że nigdy nie dorośnie, ponieważ od urodzenia ma zespół Downa. Że jest to krzyż, który Susan i Cecil muszą nieść, ale także błogosławieństwo, bo dziewczyna zawsze zachowa niewinność. O ile Matthew dobrze pamiętał, Christine nigdy nie wyprowadziła się z domu.

Usiadł na krześle obok Susan.

– Może powiedziałaabyś mi, co się stało?

– Nie chciałam, żeby Christine poszła na pogrzeb twojego ojca. Łatwo się nudzi i obawiałam się, że zacznie chodzić po całej sali, irytując ludzi, przeszkadzając im. Moja siostra mieszka w Lovacott i powiedziała, że Christine może pobyć u niej. Pamiętasz Grace? Moją siostrę? Nie jest zbyt towarzyska i chętnie zostaje w domu. Powiedziała, że Dennis pojawi się na pogrzebie w imieniu ich obojga.

Matthew kiwnął głową. Oczywiście, że pamiętał Grace, ale bardziej jako żonę Dennisa Saltera niż jako ją samą. Była dość miła, ale nieśmiała, chętnie trzymała się w cieniu męża. Dennis Salter miał dominującą osobowość i ciepło, które spajało członków Bractwa. Do wybuchu Matthew na zebraniu trzymał go pod swoimi skrzydłami, dodawał mu otuchy. Nic więc dziwnego, że Venn tak słabo pamiętał tę kobietę. Od czasu do czasu przynosiła na zebrania cukierki dla dzieci i ukradkiem rozdawała je, wyciągając z torebki, kiedy sądziła, że nikt z dorosłych nie patrzy, ale teraz niewiele więcej był sobie w stanie przypomnieć.

– Oczywiście.

Susan mówiła dalej:



– Dennis przyjechał po moją Christine w poniedziałek rano i umówiliśmy się, że zostanie u nich aż do ubiegłej nocy. Oczekiwałam, że wróci przed porą snu. Kiedy jej nie przywieźli, uznałam, że postanowili zatrzymać ją na jeszcze jedną noc. Żebym sobie odpoczęła. Próbowałam dzwonić, ale Grace nie zawsze odbiera. Chodzą wcześniej spać. Pomyślałam, że gdyby był jakiś problem, powiadomiliby mnie.

W miarę opowiadania Susan denerwowała się coraz bardziej i jej lokalna wymowa stawała się coraz wyraźniejsza.

– Zadzwoiłam dziś z samego rana i Grace powiedziała mi, że Christine u nich nie ma.

– Kiedy zaginęła? – Matthew pomyślał, że tylko tego im brakowało. Zaginięcie szczególnie podatnej na zagrożenie osoby w czasie, gdy prowadzą dochodzenie w sprawie morderstwa. Zaczął też dostrzegać powiązania i zbiegi okoliczności. W Lovacott mieszkała przecież Lucy Braddick, również cierpiąca na zespół Downa.

– No cóż, nie wiemy tego. Nie dokładnie.

– Może mogłabyś to wyjaśnić?

– Christine chodzi do dziennego centrum opieki w Woodyard trzy razy w tygodniu. Żeby pozwolić mi trochę odpocząć.

Matthew kiwnął głową, ale poczuł, jak jego tętno zaczyna przyspieszać.

– Wczoraj Dennis odprowadził ją jak zwykle. Po południu przyszedł po nią, ale nie wyszła razem z innymi, więc uznał, że pojechała do domu autobusem. – Nagle ton jej głosu stał się bardzo czuły. – Biedak, jest taki załamany. Oskarża się o to, że zaginęła, bo nie zadzwonił do mnie, żeby sprawdzić, czy wróciła do domu. Ale musiał zająć się inną nagłą sprawą. Jeden z członków Bractwa źle się poczuł i po powrocie do Lovacott musieli pójść prosto do niego. Kiedy dzwoniłam do nich wczoraj wieczorem, byli z nim na ostrym dyżurze.

– Chcesz powiedzieć, że Christine mogła zaginąć wczoraj o dowolnej porze? – Matthew umilkł na chwilę. – Sprawdziłaś

w centrum opieki?

*Byłem tam większość dnia. Mogła zniknąć, kiedy siedziałem w słońcu i gawędziłem z Jonathanem. Pamiętał, jak przechodził przez centrum dzienne, i pomyślał, że to może Christine była wówczas w kuchni i obierała kartofle przy zlewie.*

– *Nic nie zrobiłam!* – odparła Susan. – Nie wiedziałam, jak zacząć. Przyszłam do Dorothy, ponieważ wiem, że jesteś detektywem. Pomyślałam, że będziesz wiedział, jak ją znaleźć.

Niemal zapytał, dlaczego nie zadzwoniła na policję, kiedy tylko zorientowała się, że Christine zaginęła, ale kobieta i tak fatalnie się czuła. Nie ma sensu wysuwać teraz oskarżeń. Była tutaj i on też. Z powrotem w domu rodzinnym. Wreszcie mógł się tu do czegoś przydać.

– Masz zdjęcie Christine?

– Nie przy sobie. – Sprawiała wrażenie bardzo zrozpaczonej i obawiał się, że znowu zacznie płakać. – Nie przyszło mi to do głowy.

– Zawiozę cię do domu – oświadczył Matthew. – Matka może pojechać z tobą i dotrzymać ci towarzystwa. Wolisz tam być, prawda? Na wypadek gdyby Christine jakoś wróciła sama.

– O tak! – Spojrzała na niego z przerażeniem. – W ogóle o tym nie pomyślałam. – Zobaczył, że ogarnia ją absolutna panika.

– Tymczasem zadzwonię na komendę i wydam polecenia. Zobaczymy, czy uda się nam ją znaleźć.



Susan Shapland mieszkała w małym domu w środku trzech identycznych stojących nad dopływem Taw, na nisko położonych terenach w pobliżu Mokradeł Braunton. Znajdował się w odległości zaledwie paru mil od domu Matthew i od miejsca, w którym znaleziono zwłoki Waldena. Kiedy tylko Susan zorientowała się, że Christine zniknęła, musiała przyjechać do matki Matthew taksówką. Był to odruch, ponieważ wiedziała, że sama nie da sobie rady

w sytuacji kryzysowej. Kiedy Matthew był chłopcem, rzeczka była zaniedbana, zarosnięta, na nabrzeżu widniały pozostałości po jej przemysłowej historii i zardzewiałe szczątki niewielkiego dźwigu. W dziewiętnastym wieku cumowały tu barki z węglem przywożonym do hrabstwa i zabierały stąd wydobywaną nieopodal glinę. Teraz była to część rezerwatu przyrody. Zapewne Colin Marston wędrował brzegiem każdego dnia, aktualizując swój spis ptaków.

Dom Shaplandów był niski i wilgotny. Susan przestała już walczyć z wilgocią sączącą się z zewnątrz, więc widać było grzyb na framugach okiennych i rozpełzający się po suficie. Matthew zastanawiał się, czy ktoś zasugerował, że ona i Christine powinny się stąd przeprowadzić. Nowy lokator mógłby kupić budynek i doprowadzić go do stanu używalności, ale obecnie ledwo można było tu mieszkać. Być może jej mąż, Cecil, był osobą, która o wszystko dbała. Zastanawiał się także, kiedy jego matka była tu po raz ostatni. Wyobraził sobie, z jaką rozkoszą otwierałaby na oścież okna, spryskiwała wszystko wybielaczem i szorowała, dopóki nie zaczęłoby lśnić.

Siedzieli w zaśmieconym saloniku, gdy Susan pośpiesznie szukała fotografii.

– Parę miesięcy temu był w Woodyard człowiek, który robił zdjęcia.

Christine wciąż przypominała dziewczynkę, z którą Matthew kiedyś się bawił. Niska, ciemnowłosa, trochę przysadzista. Doszedł do wniosku, że rzeczywiście była kobietą, którą widział, jak pomagała w kuchni w Woodyard. Uśmiechała się nieśmiało do obiektywu.

– To może bardzo pomóc. Ile ma obecnie lat?

– Czterdzieści dwa – odpowiedziała Susan. – Ale nie umysłowo. Pod tym względem nadal jest małą dziewczynką.

– Czy wspominała niedawno, że ktoś ją skrzywdził albo prosił ją, żeby zrobiła coś, co ją zawstydziło?

Jonathan czasami dzielił się z nim w domu obawami, że podopieczni jego centrum mogą być wykorzystywani seksualnie.

Oskarżeniami pod adresem krewnych, opiekunów. Matthew nigdy nie był w stanie wszcząć postępowania w tych sprawach. Były to słowa przeciwko słowom, a ofiary często nie potrafiły wytłumaczyć, co się im przydarzyło. Proces sądowy w najlepszym wypadku wzbudzał strach, a dla osoby takiej jak Christine, o ograniczonej zdolności pojmowania, musiał być czymś o wiele gorszym.

Działo się tu coś niezwykłego. Przez jego umysł przemykały niesprecyzowane i trudne do uchwycenia koncepcje oraz możliwości. Lucy Braddick była dzielna i wyraźnie stwierdziła, że w jej kontaktach z Waldenem nie było nic niewłaściwego. Natomiast jego zachowanie można było uznać za uwodzenie, a nawet prześladowanie, być może Lucy po prostu patrzyła na świat bez cienia podejrzliwości. Co prawda Walden nie sprawiał wrażenia osoby, którą podniecałoby uprawianie seksu z nieporadną umysłowo dorosłą kobietą, ale Matthew nie znał go osobiście. Jeżeli był bliski załamania, może znalazłby jakieś uspokojenie w byciu z kobietą uległą, łatwą do zdominowania. Tylko że Walden nie mógł uprowadzić Christine; już nie żył, kiedy zaginęła. O co więc chodzi? O molestowanie, w które zamieszani są inni ludzie? Gdyby dorosła osoba z problemami rozwojowymi została wykorzystana przez Waldena i jej rodzina by się o tym dowiedziała, czy nie mogłoby to stać się motywem morderstwa?

Susan długo nie odpowiadała, tylko patrzyła na niego z przerażeniem. W końcu się odezwała.

– Moja Christine to dobra dziewczyna. Nie zrobiłaby nic takiego.

– Nie byłaby za to odpowiedzialna – wyjaśnił komisarz. – To nie byłaby jej wina. Rozumiesz? Są mężczyźni, którzy wykorzystują bezbronne kobiety. Jak zachowywała się ostatnio? Była szczęśliwa?

Znowu długa cisza.

– Właściwie nie rozmawialiśmy – odparła Susan. – Nie o takich sprawach. Nie o uczuciach. Chrissie była bardziej związana z tatą. Chyba z nim rozmawiała. Do mnie odzywała się w praktycznych sprawach. Co chciałyby do herbaty i że ma rzeczy do prania. A potem razem oglądałyśmy telewizję. Przywykłyśmy do siebie.

Miałyśmy ustalony plan dnia, rutynę. Denerwowała się tylko wówczas, kiedy zdarzało się coś niespodziewanego. Nienawidziła tego. Tak samo denerwowałoby ją to, co się dzieje teraz. Zakłócenia rutyny, jej dni w Woodyard, oglądania *Coronation Street* w telewizji. – Spojrzała na niego. – Musisz ją znaleźć.

Matthew kiwnął głową. Oświadczył, że pojedzie na komendę zadbać, aby jego funkcjonariusze zdali sobie sprawę z powagi sytuacji. Zostawił Susan w małym, mrocznym saloniku, ale jego matka odprowadziła go do drzwi.

– Czy chciałabyś, żebym później tu wrócił? – zapytał. – Mógłbym odwieźć cię do domu.

– Nie – odparła ostro. – Może zostanę tu na noc, a jeżeli będę musiała wrócić do Barnstaple, zawsze mogę zamówić taksówkę. – Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie zrobił jeszcze dość, by zasłużyć na wybaczenie mu utraty wiary, porzucenia Bractwa.





## *Rozdział piętnasty*

Maurice Braddick postanowił, że zatrzyma Lucy w domu, dopóki zabójca Waldena nie zostanie schwytany. Policja najwyraźniej uważała, że Woodyard jest w jakiś sposób zamieszane w morderstwo, a Maurice nie miał zamiaru narażać córki na niebezpieczeństwo. Nie ma mowy! Uznał, iż dobrze zrobi im obojgu, jeżeli spędzą dzień razem w ogrodzie. Lucy będzie mogła wykonać niektóre z ćwiczeń, o których ciągle mówiła opiekunka społeczna, a ponieważ pogoda się poprawiła, korciło go, żeby wyjść, pobrudzić sobie ręce ziemią i odetchnąć głęboko świeżym powietrzem. A potem będą mogli zrobić sobie frajdę i pójść na herbatę do „Złotego Runa”. Lucy się to spodoba, zawsze cieszyła się z każdej okazji, aby się wystroić.

Dziewczyna miała jednak inny pomysł. Wstała, przygotowała się jak zawsze i kiedy zeszła na śniadanie, miała ze sobą swój plecak.

– Dzień dobry, panienko. Pomyślałem, że dziś odpuścimy sobie Woodyard. – Maurice starał się, aby zabrzmiało to spokojnie.

– Dlaczego? – Sięgnęła po pudełko z płatkami, wypełniła miseczkę po brzegi i spojrzała na niego, żądając wyjaśnień.

– Moglibyśmy spędzić dzień tutaj, a potem pójść do „Runa”. Zrobić sobie przyjemność.

– Możemy tam pójść, kiedy wrócę z Woodyard. – Zaczęła jeść, jakby sprawa została już rozstrzygnięta. Maurice pomyślał, że ma to po matce: upór, niechęć do słuchania dobrych argumentów. Ale wiedział też, że lubi ustalony porządek. Każda zmiana ją złościła.

Mimo wszystko spróbował czegoś innego.

– Ten człowiek z centrum został zabity.



– Ale nie w Woodyard, tato. Na plaży.

Na to nie miał już odpowiedzi.

– Zawiozę cię tam, a potem przywiozę z powrotem. Upewnię się, że jesteś tam bezpieczna.

Oczywiście Lucy się zgodziła, ponieważ dzięki temu nie będzie musiała iść do przystanku autobusowego na placu, a potem stamtąd wracać. Sama jazda, bez Waldena, który z nią rozmawiał i częstował ją słodyczami, też nie była już zabawna.



Wiatr był silniejszy. Gdy jechali drogą w kierunku Barnstaple, Maurice widział, jak marszczy on powierzchnię rzeki. Pomyślał, że pogoda się zmienia, a chociaż stracił już ochotę na pracę w ogródku, powinien tam spędzić trochę czasu przed nadejściem deszczów. Zaparkował w Woodyard, odprowadził Lucy do drzwi, a potem szedł za nią w pewnej odległości, aż przeszła przez oszklony tunel do ośrodka opieki dziennej. Wiedział, że to było absurdalne. Co mogłoby się jej tam stać, wśród tak wielu ludzi?

Ale nawet w ośrodku czasami zdarzały się wypadki. Być może rodzice Rosy, przyjaciółki Lucy, mieli dobry pomysł, żeby zabrać stamtąd córkę i trzymać bezpiecznie w domu. Maurice pomyślał, że koncepcja, aby pozwalać ludziom takim jak Lucy na więcej samodzielności, jest zbyt odważnym posunięciem. Oczywiście nie powinno się wracać do ciemnych wieków, kiedy zamykano ich w zakładach, zupełnie jakby byli czymś wstydlwym. Ale trzeba było zapewnić im ochronę. Odpowiednio o nich dbać. W przeszłości uważał ośrodek dzienny za bezpieczne miejsce. Teraz nie był tego taki pewien.

Maurice nie wyobrażał sobie, że mógłby od razu wrócić do domu, wiedział, że będzie zbyt niespokojny, aby móc się czymkolwiek zająć. Poszedł więc do barku, zamówił tost z kielbasą i siedział, patrząc w okno, obserwując odbijające się w wodzie płynące górą

chmury. W końcu lokal zapełnił się ludźmi i Maurice musiał zwolnić stolik.





## *Rozdział szesnasty*

Wyruszyli wcześniej. Jen wykorzystała to, że była starsza stopniem, i uparła się, że będzie prowadzić, ponieważ w takim wypadku mogła dostać kilometrówkę, a potrzebowała forsy. Kiedy dotarła do nieskazitelnego domku Rossa w eleganckim osiedlu na skraju miasta, Melanie zaprosiła ją do środka.

– Wejź i poczekaj chwilę. Już jest prawie gotów. Wiesz, jak się zachowuje z rana, spędza więcej czasu w łazience niż ja. – Przewróciła oczami w udawanej rozpacz, ale Jen wiedziała, że Melanie wybaczy Rossowi wszystko. Bardzo chciałyby znaleźć jakiś powód, by jej nie lubić. Perfekcyjnie dbała o dom, miała idealną cerę i włosy już ułożone do pracy. Ale była też miłą osobą. Kierowniczką domu spokojnej starości, gdzie zaczęła pracować jako opiekunka zaraz po szkole, w wieku szesnastu lat. Ale i teraz, kiedy brakowało personelu, nadal podcierała tyłki, myła i ubierała martwych. Według Jen jedynym jej niedostatkim był gust w wyborze mężczyzn. Chodziła z Rossem, od kiedy byli nastolatkami, i Melanie nadal go ubóstwiała.

Zszedł schodami, szybko kiwnął głową w kierunku Jen, gestem, który można by było uznać za przeprosiny, że musiała czekać, i przytulił żonę. Prawdziwy uścisk pełen uczucia, ale też seksowny. W tym momencie Jen uświadomiła sobie, że to, co żywi do tej pary, to zazdrość.

Cały czas, gdy jechali M5, Ross mówił, plół o rozegranym w ubiegły weekend meczu rugby z drużyną z Kornwalii i o swoim momencie chwały, kiedy to uratował wynik, zdobywając w ostatniej minucie przyłożenie. Były facet Jen był fanem piłki nożnej i opowieść

Rossa niezbyt się różniła od tych, których musiała słuchać z udawanym zainteresowaniem w domu. Teraz jednak sytuacja przedstawiała się inaczej, ponieważ Ross był tylko kolegą, a ona sama się zmieniła. Nie musiała udawać, że ją też to zajmuje. Kiedy przerwał, aby nabrać powietrza, wtrąciła się:

– Wiesz, że gównu mnie obchodzą te sportowe pierdoły?

Umilkł zaszokowany i obrażony, ostatnie kilka mil jechali więc w ciszy. Potem pomyślała, że zachowała się idiotycznie. Ross nie był Robbiem, a oni mieli robotę do wykonania. Powinna bardziej się starać jakoś z nim dogadywać.

– A więc umówiłeś spotkania z żoną Waldena i Alanem Springerem. Kto będzie pierwszy?

– Springer. Trudno było go zmusić. Nie chciał, żebyśmy przyszli do jego domu.

– Myślisz, że ma coś do ukrycia?

– Być może, ale uznałem, że nie powinienem naciskać. Nie chcielibyśmy, żeby zniknął, a w tej chwili mamy z nim związaną tylko tę rozmowę telefoniczną. Żadne dane z GPS-u w jego telefonie nie świadczą, że w chwili śmierci Waldena był choćby w okolicy Północnego Devonu.

– W takim razie gdzie z nim porozmawiamy? – Jen włączyła kierunkowskaz i zjechała z autostrady.

– W miejscowej komendzie. W Bedminster. Zamówiłem pokój przesłuchań. Szef zna miejscowego komisarza i pociągnął za parę sznurków.

– Springer wolał przyjść na komendę niż rozmawiać z nami w domu?

– Tak.

Jen miała nadzieję, że facet nic nie kombinuje i nie próbuje grać na zwłokę. Liczyła, że rzeczywiście się pojawi.



Ostatecznie okazało się, że Springer przyszedł przed ich przyjazdem. Kiedy weszli do środka, już czekał, i dyżurny funkcjonariusz wskazał go ruchem głowy. Wysoki, dobrze zbudowany i umięśniony, o blond włosach z rudawym połyskiem i niebieskich oczach. W pokoju przesłuchań usiadł naprzeciwko nich, spokojny i odprężony.

– Dziękujemy, że zechciał się pan z nami spotkać.

– Nie ma problemu. Przykro mi z powodu Simona. – Bristolska wymowa, ta sama, którą Jen słyszała w poczcie głosowej.

– Skąd go pan znał? – Uzgodnili, że to ona będzie prowadziła przesłuchanie.

– Byliśmy razem w wojsku. Zaprzyjaźniliśmy się, bo pochodziliśmy z tych samych stron. Sama pani wie. Ożeniliśmy się prawie w tym samym czasie, a ja zdemobilizowałem się wkrótce po nim. Kiedy założył biznes z Kate, swoją byłą, włożyłem w to trochę pieniędzy. – Spojrzał Jen prosto w oczy. – Wielki błąd. Nigdy nie należy robić interesów z kumplem.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.

– Kate była siłą napędową ich firmy. Pracowała w branży turystyczno-hotelarskiej. Kiedy Si wyszedł z wojska, powiedziała, że chciałaby go częściej widywać. Nie lubiła być żoną żołnierza, która musi zostawać sama, przenosić się co kilka lat. Kiedy więc poszedł do cywila, kupili małą restaurację. Był szefem kuchni, a ona zajmowała się administracją i recepcją. Pełne partnerstwo. – Springer umilkł na chwilę. – Si się tym nie przejmował. Był zadowolony, że pracuje w kuchni, kończy o określonej porze. Żadnej odpowiedzialności. Nie był ambitny i potrzebował czasu, żeby przywyknąć do życia w cywilu. Ostatnią rzeczą, której pragnął, było jeszcze więcej stresu.

Umilkł i wyprostował nogi.

– Początkowo wszystko szło dobrze. Si był dobrym kucharzem i zdobyli miejscową klientelę, ale potem wszystko zaczęło się sypać. Być może interes zbyt szybko się rozwinął, może on poczuł presję,

że musi tym kierować. Zaczął pić. Żołnierze często w ten sposób radzą sobie z presją.

– Zaczął pić, ponieważ zabił dziecko.

Springer pokręcił głową.

– Na odwrót. Zabił dziecko, ponieważ pił.

– Ale nie przekroczył normy.

– No cóż. Musiał mieć cholerne szczęście. Byłem z nim tego dnia i na jego miejscu nie usiadłbym za kółkiem.

Cisza w pokoju. Na korytarzu ktoś przeklinał.

– W jakiej sprawie był ten telefon? – wtrącił się do rozmowy zniecierpliwiony Ross. Jen chciała dowiedzieć się więcej o dniu, w którym obaj mężczyźni pili razem, ale Springer już zaczął odpowiadać:

– Chciałem odzyskać pieniądze. Potrzebowałem ich.

– Pieniądze zainwestowane w restaurację?

Kiwnął głową.

– Poszedłem do Kate, ale powiedziała, że sprzedali interes oraz dom i podzielili się majątkiem. Nie chciała mnie słać. Powiedziała, że Simon dostał gotówkę i że była to prywatna umowa pomiędzy mną a nim.

Jen pomyślała, że tłumaczy to, w jaki sposób Walden mógł płacić czynsz za mieszkanie przy Hope Street. Zastanawiała się, gdzie zachomikował resztę pieniędzy. Ktoś z zespołu już powinien sprawdzać rachunki bankowe. Wkrótce będą wiedzieli.

– W jaki sposób go odszukałeś?

– Też poprzez Kate. Powiedziała, że się do niej odezwał. Dzwonił z telefonu stacjonarnego i zanotowała numer. Może się o niego martwiła albo tylko chciała wiedzieć, co się z nim dzieje. – Po chwili dodał: – Znalazła sobie innego faceta. Bardziej do niej pasuje. Prowadzi własną firmę informatyczną, ma wielkie mieszkanie w Clinton. Jej mamie i tacie się spodobał.

– Jej rodzina nie aprobowała Waldena?

Springer wzruszył ramionami.



– Takie odniosłem wrażenie. Si zawsze uważał, że musi udowodniać, ile jest wart. Ale nigdy nie był dość dobry.

– Czy oddzwonił po tym, jak zostawił mu pan wiadomość?

– Tak. Po jakimś czasie. – Springer zacisnął wargi.

– I odzyskał pan pieniądze?

Znowu chwila milczenia.

– Obiecał, że mi odda, ale powiedział to w taki sposób... Nie byłem pewien, czy mu uwierzyć. Oświadczył, że ma gotówkę zamrożoną w projekcie. W czymś, co naprawdę musi zrealizować. Odda mi pieniądze, ale będę musiał poczekać. – Znowu milczał przez chwilę. – Wyjaśniłem mu, że nie mogę czekać. Moja żona chce dziecka. To znaczy oboje chcemy dziecka, ale ona jest zdesperowana, i po prostu się nie udaje. Mieliśmy tylko jedno podejście do in vitro za pośrednictwem Narodowej Służby Zdrowia. Zasugerowali nam, żebyśmy zrobili to prywatnie, tylko że ona jest pomocnicą nauczyciela, a ja pracuję w siłowni i z forszą jest krucho. – Spojrzał na nich. – Ja i Si byliśmy kumplami, służyliśmy razem. Wiedział, jak bardzo potrzebuję zwrotu tych pieniędzy. Wiedział, ile znaczy dla mnie moje małżeństwo. – Znowu milczał chwilę. – Powiedział, że mi je odda. Że rozumie.

– Ale nie dotrzymał słowa?

Springer pokręcił głową.

– Nie, nie dotrzymał. W końcu tego nie zrobił. Nie przed śmiercią. Obawiam się, że teraz nigdy ich nie odzyskam.

– Pojechał pan, żeby się z nim zobaczyć? Kate mogła dać panu jego adres.

Spojrzał na nią.

– Myślicie, że go zabiłem? Za dwadzieścia tysiaków?

Teraz przyszła kolej Jen, by wzruszyć ramionami.

– Ludzie zabijają za mniej.

– Ale nie dostałem pieniędzy. – Wstał zirytowany. – Nie mam pojęcia, co z nimi zrobił. A teraz nigdy się tego nie dowiem.



Żona Waldena, Kate, nie przyjęła nazwiska męża. Mieszkanie, które zajmowała z nowym partnerem, znajdowało się w jednym z wielu eleganckich kamiennych domów przy półkolistej ulicy w Clinton. Otworzyła drzwi i podała rękę na przywitanie.

– Kate Dickinson. – Spokojna i nienaganna. Długie nogi w obcisłych dżinsach, biała lniana koszula. Włosy też miała nienagannie ułożone. Trudno było ją sobie wyobrazić w związku z kucharzem pracującym sezonowo.

Dzielnica Bedminster była ruchliwa, jej chodniki zatłoczone robiącymi zakupy, wózkami spacerowymi, rowerami jeżdżącymi wbrew przepisom po trotuarach, aby uniknąć ruchliwej jezdni. Ekspresowe supermarkety i sklepy z produktami za funta. Kwestujący na cele dobroczynne i uliczni grajkowie. Tutaj miało się wrażenie, że jest się w innym świecie. Spokojniejszym. Jaśniejszym. Mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze i ciągnęło się przez całą szerokość domu, okna od frontu wychodziły na Downs, a od tyłu na dachy miasta. Wypolerowany parkiet z twardego drewna i luksusowe meble. Żadnych rupieci i paleta barw obejmująca różne odcienie szarości.

– Chcecie państwo porozmawiać o Simonie. – Zaproponowała im kawę i Jen zerknęła do kuchni, która była dokładnie taka, jak oczekiwała. Granit i chrom, bez żadnego upapranego garnka na widoku. Zupełnie inaczej niż w artystowskim domu na Hope Street. Albo w jej domu w Barnstaple. Kawa była z ekspresu, który posykiwał dyskretnie, jak na urządzenie z górnej półki przystało. Jen poczuła nieprzeparte pragnienie, by nagryzmolić coś na ścianie kredką świecową.

– Kiedy rozmawiała z nim pani ostatni raz?

Jen siedziała z Rossem na sofie, a Kate na podwiniętych nogach na krześle naprzeciwko nich.

– Wiele miesięcy temu. Z całą pewnością przed Bożym Narodzeniem.

– Mogłaby pani to bardziej skonkretyzować?

Przypomniała sobie i spojrzała na nich z triumfalnym uśmiechem.

– Tak! To był koniec października. Sąsiednie mieszkanie zajmują Amerykanie i na Halloween ustawili na zewnątrz dynie. Pamiętam, że oglądałam je, wychodząc. Szliśmy wtedy do teatru z Guyem, moim partnerem. Wprowadziliśmy się tu niedawno. – Umilkła na chwilę. – Nagle zadzwoniła moja komórka. To był Simon, w koszmarnym stanie. Oczywiście pijany. Byłam do tego przyzwyczajona, ale tym razem był zrozpaczony. W samobójczym nastroju. Nie wiedziałam, co robić i jak mogłabym pomóc.

– Naprawdę był w samobójczym nastroju?

– Chyba tak. Powiedział, że ciężko na nim poczucie winy i nie może żyć sam ze sobą. Jedynym sposobem powstrzymania cierpienia jest zabicie się. Próbowałam przemówić mu do rozsądku, ale nie słuchał. Wiedziałam, że nic mu nie pomagam.

*A twój szpanerski nowy partner na ciebie czekał. Nie chcieliście się spóźnić na pierwszy akt.*

Jen nagle uznała, że to niedorzeczna pretensja. Co Kate mogła poczuć? Jakim prawem Walden obciążał ją swoim poczuciem winy?

– I wtedy rozmawiała z nim pani po raz ostatni?

– Nie! – odparła Kate. – Nie! Powinnam to wyjaśnić do końca. Zatelefonował kilka tygodni później. Usiłowałam dodzwonić się na jego komórkę, ale powiedział, że zgubił ją tamtej nocy, kiedy był naprany. Tym razem użył stacjonarnego.

– Ten właśnie numer przekazała pani Alanowi Springerowi, kiedy przyszedł po pieniądze?

Pytanie wyraźnie ją zakłopotowało. Być może nie chciała, aby uznali ją za skąpą czy nieżyczliwą. Zwłaszcza w tym wspaniałym apartamencie z cudownym widokiem.

– Wiecie o tym? Tak. Simon zrobił bardzo dobry interes na naszym rozwodzie. Uznałam, że spłacenie jego przyjaciela to jego obowiązek.

– Chociaż zainwestował w wasz wspólny biznes?

– To nie było tak. Nie było żadnej formalnej umowy. Po prostu pożyczył pieniądze koledze, kumplowi.

– Proszę mi powiedzieć o drugiej rozmowie. Z telefonu stacjonarnego w Ilfracombe.

Kate odpowiedziała dopiero po chwili.

– Odniosłam wrażenie, że rozmawiam z zupełnie innym człowiekiem, z tym, w którym się kiedyś zakochałam. Mówił normalnie. Spokojnie. Powiedział, że zaczyna układać sobie życie na nowo. Nie użalał się nad sobą, nie wściekał, oświadczył, że skończył z piciem. Znalazł mieszkanie. Nic wielkiego, ale mu wystarczy, dopóki nie uporządkuje swoich spraw. Znowu gotuje, tym razem jako wolontariusz w Centrum Woodyard. – Milczenie. – Prosił, żebym się o niego nie martwiła.

– Pełna transformacja.

– Być może. Ale jak już powiedziałam, był niemal dawnym sobą. Gniewny, nienawidzący samego siebie mężczyzna się zmienił.

– Gdzie się poznaliście?

– W szkole. Byliśmy szkolną parą. Miał parę lat więcej ode mnie. Zakochałam się w nim. Podziwiałam go jakiś czas z daleka i nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście, kiedy zwrócił na mnie uwagę.

– Upiła łyk kawy, wyraźnie pogrążona we wspomnieniach. – Nawet wtedy było w nim coś delikatnego. Ale emocjonalnie, nie fizycznie. Wydało mi się to interesujące. Ta jego wrażliwość. Byłam przekonana, że jestem tak silna, że wystarczy na nas oboje. Pomyślałam, że mogę się nim opiekować. – Podniosła głowę. – Młodzieńcza arogancja, prawda?

Gdzieś w oddali uczniowie grali w piłkę. Tu, w Clinton, zapewne w rugby. Jen słyszała wiwaty, chłopięce okrzyki. Czekala, aż Kate podejmie opowieść, i gniewnie spoglądała na Rossa, ostrzegając, żeby się nie wtrącał. Niekiedy ludzie lepiej opowiadają bez ponaglenia.

– Simon wstąpił do wojska zaraz po szkole. Nie mogłam tego zrozumieć. Chodzi o to, że nigdy nie był typem macho. Ale teraz rozumiem; pewnie szukał poczucia bezpieczeństwa, czegoś

w rodzaju rodziny. Jego mama zajmowała się tylko sobą, była dość dysfunkcyjna. Zmarła parę lat temu. Ale utrzymywaliśmy ze sobą kontakt i spotykałam się z nim za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do domu na urlop. Zaczęłam studia, ale rzuciłam je po roku. Moi rodzice uważali, że winny temu jest Simon, bo się w nim zadurzyłam, ale to nie miało z nim nic wspólnego. Namawiał, żebym została na uniwersytecie i skończyła studia. Ale to nie była moja bajka. Zostałam zatrudniona jako stażystka w sieci luksusowych hoteli typu boutique i systematycznie awansowałam. Wtedy Simon poprosił, żebym za niego wyszła. Było to coś, o czym marzyłam, od kiedy miałam szesnaście lat. Oczywiście się zgodziłam.

– Ale nie było tak, jak sobie pani wyobrażała? – Jen wiedziała, co to znaczy wyjść za mąż zbyt młodo, dać się uwieść romantycznym wyobrażeniom, przymknąć oczy na konkretną osobowość mężczyzny.

– Niezupełnie tak to widziałam. – Kate znowu uśmiechnęła się lekko. – Simon był oficerem prowiantowym w swoim pułku. Wysyłano go do stref działań wojennych, jeździł z żołnierzami na ćwiczenia. Trzeba było ich karmić, bez względu na to, gdzie byli. Często prawie na pierwszej linii. Mogło się zdarzyć, że jednego dnia gawędził z innym oficerem, a następnego dnia pił z innymi, żeby uczcić pamięć tamtego, bo ten pierwszy poległ albo został odesłany do domu jako inwalida. A kiedy wyjeżdżał, nie było mnie tam z nim. Nie odgrywałam żadnej roli w jego życiu. Nie mogłam być posłuszną żoną oficera, czekającą na niego w służbowym mieszkaniu. Nadal pracowałam. Nic dziwnego, że oddaliliśmy się od siebie. – Umilkła. – Na dobrą sprawę, od kiedy już nie chodziliśmy do szkoły, nie spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Trudno się dziwić, że kiedy wrócił, wydał mi się kimś obcym.

– A więc wtedy zdecydował się przejść do cywila. – Jen przyznała w duchu, że kiedy zobaczyła tę kobietę po raz pierwszy, źle ją oceniła. Uznała ją za twardą i zimną tylko dlatego, że ma eleganckie mieszkanie w wytwornej dzielnicy. Ludzie najczęściej są

bardziej złożeni, niż Jen sobie uświadamiała. Zazwyczaj zbyt pochopnie wyciąga wnioski.

– Tak, i postanowiliśmy wspólnie otworzyć biznes. Małą restaurację. Talent kucharski Simona i moje umiejętności administracyjne. Jak mogłoby się nie udać? Trochę oszczędziłam i znaleźliśmy miły lokal w Redland, tu w Bristolu. Uznaliśmy, że wszystko jest idealnie. – Pauza. – I początkowo tak było. Cholernie ciężka robota, ale zajmowaliśmy się nią razem. Dopiero kiedy zaczęliśmy odnosić sukces, mieć dobre recenzje, kolejki pod drzwiami, zaczęły się kłopoty. Simon nie potrafił dać sobie rady ze stresem. Jak już wspomniałam, zawsze był trochę słaby emocjonalnie.

– Ale tym razem nie mogła pani temu zaradzić?

Kate spojrzała na nią zbolalym wzrokiem. Wyraźnie nie nawykła do niepowodzeń.

– Nie. Próbował zrobić to sam. Leczyć się na własną rękę alkoholem. Dość łatwe w tym zawodzie.

– A potem zabił dziecko.

– Tak! – Teraz w jej oczach pojawiły się łzy. – Nigdy nie czułam w najmniejszym stopniu instynktu macierzyńskiego. Ale to dziecko. Takie bezradne i małe. – Poszukała w kieszeni chusteczki higienicznej. – To Simon podjął decyzję, by odejść. Chciałam podtrzymać go na duchu. Odwiedzałam w więzieniu. Ale kiedy tylko wyszedł, zniknął. Nie wiem, dokąd poszedł.

– Do Północnego Devonu, żeby pracować w hotelu?

Kate pokręciła głową.

– Nie. To było później. Jak powiedziałam, zniknął na jakiś czas i nie miałam pojęcia, gdzie jest. Wrócił na krótko do Bristolu, kiedy przeprowadzaliśmy separację. Restauracja nadal dobrze prosperowała i dostaliśmy za nią rozsądną cenę. Nie chciałam prowadzić jej sama. Teraz pracuję w branży turystyczno-hotelarskiej. Mam własną, niewielką firmę. Sprzedałam nasz dom. – Podniosła wzrok. – A potem poznałam Guya. Zatrudnił mnie, abym

zorganizowała przyjęcie dla jego klientów. Nie zakochałam się w nim na zabój, ale jest miły. Solidny.

– Podzieliła się pani zyskiem ze sprzedaży domu i restauracji z Simonem?

– Właśnie tak. Po połowie.

– Ile tego było?

– No cóż. Dom nadal był obciążony hipoteką, było więc tego nieco mniej niż dwieście tysięcy.

– Na dwoje? – Jen zachodziła w głowę, co u licha Simon mógł zrobić ze stoma tysiącami funtów. W jaki sposób mogły być tak zamrożone, że nie był w stanie oddać długu Alanowi Springerowi?

– Nie! – zaprotestowała Kate, jakby był to całkiem idiotyczny pomysł. – Dla każdego.



Jen zmusiła Rossa do przejścia przez ulicę, aby mogli pospacerować po Downs pomiędzy leciwymi osobami wyprowadzającymi psy i młodszymi uprawiającymi jogging. Przed rozpoczęciem jazdy do domu musiała odetchnąć świeżym powietrzem, a było tu ono rzeczywiście świeże. Zachodni wiaterek niósł ze sobą zapach deszczu.

– Co o tym myślisz?

Ross spojrział na zegarek. Jen uznała, że pewnie obiecał Mel, że wróci o rozsądnej porze. I znowu doszła do wniosku, że powinna być bardziej tolerancyjna. Ross był młody, pełen entuzjazmu i szczęśliwy. Kiedy odezwała się znowu, zabrzmiało to bardziej jak żart niż reprimenda.

– Proszę o uwagę, posterunkowy May. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa.

Trochę się zmieszał.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie zniknęły te wszystkie pieniądze. Jeżeli rzeczywiście miał zamiar spłacić kumpla, to gdzie zniknęły?

Żartobliwie zaklaskała.

– W takim razie łap za telefon i dzwoń. Niech ktoś w komendzie zacznie szukać odpowiedzi. I dowiedz się, dlaczego jeszcze nie odnaleźli tej forsy.







## *Rozdział siedemnasty*

Matthew zostawił matkę i Susan w wilgotnym, małym domku koło mokradeł, wrócił do Barnstaple i zaparkował samochód przed komendą policji. W środku sprawdził, jakie postępy poczynił zespół we wstępnych próbach odnalezienia Christine Shapland.

– To ważne. Jest niezaradną dorosłą, cierpi na zaburzenia uczenia się i umysłowo jest na poziomie dziecka. – Przyszło mu do głowy, że Christine różniła się od Lucy, była mniej pewna siebie i bardziej trzymana pod kloszem. – Zaginęła najpóźniej wczoraj wieczorem. A jej zniknięcie może być związane z morderstwem przy Crow Point. – Dodał ostatnie zdanie, aby potraktowali sprawę poważniej. Młodzi funkcjonariusze postrzegali morderstwo jako sprawę ekscytującą, niemal sexy. Natomiast zaginięcie dysfunkcyjnej kobiety w średnim wieku nie dawało takich emocji. – Mieszkała w jednym z domków przy mokradłach, niedaleko miejsca, w którym znaleziono zwłoki Waldena. Nie było jej tam w dniu zabójstwa, przebywała wówczas u ciotki w Lovacott; być może więc jest to zbieg okoliczności, ale muszę ją odnaleźć.

– Sprawdziliśmy w szpitalu i w gabinecie jej lekarza rodzinnego. Nikt tam jej nie widział – powiedział Gary Luke, najstarszy członek zespołu, wyluzowany, w typie tatuśka.

– Czy ktoś zebrał informacje w Woodyard?

– Tak. Z całą pewnością Christine była tam wczoraj cały dzień. Jej wuj przywiózł ją rano i zakładano, że ją także odbierze. Przeszła razem z innymi do recepcji, a kiedy nie wróciła, uznano, że została odebrana albo jak zwykle pojechała do domu autobusem. Centrum zachęca do częściowej samodzielności i dlatego w istocie nikt nie

odprowadzał jej do samochodu. – Vicki Robb była młoda i bystra. Zaimponowała Matthew.

– Rozmawiano z jej ciotką i wujem?

– Jeszcze nie – odparła Vicki. – Jeżeli chcesz, mogę do nich pójść.

– Nie, ja to zrobię. I tak muszę z kimś porozmawiać w Lovacott.

*Może być ciekawie po tylu latach spotkać się z Dennisem Salterem. No i to dobra wymówka, aby wyjść z biura.* Idąc po schodach do samochodu, zastanawiał się, czy jeżeli odzyska Christine dla Susan, matka inaczej oceni jego pracę. A jeżeli nie uda się jej odnaleźć, czy uzna to za kolejny dowód, że nie powiodło mu się w życiu.

Matthew już wychodził, kiedy na szczycie schodów pojawił się nadkomisarz i zawołał go do siebie.

– Matthew, jeżeli masz chwilę...

Gabinet Oldhama był jak jego użytkownik – niechlujny i nieporządny. Matthew zawsze odnosił się do mężczyzny nieufnie. W zachowaniu nadkomisarza wobec siebie wyczuwał może nie niechęć, ale coś zbliżonego do niesmaku. Coś, czego Oldham nie był w stanie przezwyciężyć i co bezskutecznie usiłował kontrolować. Matthew nie był pewien, czy jego przełożony jest homofobem, czy może nie podoba mu się obecność nowego komisarza wśród jego podwładnych. Poza tym było mu żal Oldhama. Parę lat temu jego żona zmarła na raka. Krążyły plotki, że od tego czasu zaglądał do butelki, a także iż codzienne wieczorne piwo z przyjaciółmi w klubie rugby zaczęło mieć pierwszeństwo nad pracą. Nie miał rodziny. Ross, syn przyjaciela, był kimś najbardziej zbliżonym do krewnego.

– To morderstwo koło Crow Point. – Oldham rozparł się w fotelu.

– Jak rozumiem, ofiara pracowała w Woodyard?

– Walden był tam wolontariuszem.

– A twój partner kieruje centrum?

– Mój mąż. Tak. – Chwila milczenia. – I wydaje się, że zaginiona kobieta z zespołem Downa została stamtąd uprowadzona. – Matthew nabrał głęboko powietrze w płuca. – Zastanawiam się, czy

nie powinienem wyłączyć się z tej sprawy. Najwyraźniej nastąpił konflikt interesów. Być może ty powinieneś zostać starszym oficerem dochodzeniowym.

Znowu cisza. Oldham zamknął na chwilę oczy, a potem otworzył je bardzo wolno. Matthew obserwował, jak jego powieki się unoszą; widok skojarzył mu się z jaszczurką albo może z krokodylem.

– Nie ma takiej potrzeby – odezwał się w końcu Oldham. – Mam zaufanie do mojego zespołu. Tylko pamiętaj, żeby informować mnie na bieżąco.

A więc Jonathan miał rację. Lenistwo oraz pragnienie spokojnego życia zwyciężyły. Kiedy jednak Matthew wychodził z gabinetu, Oldham dodał:

– Tylko nie zawał sprawy, dobra? Jeżeli ją spieprzysz, obaj wylądujemy w szambie, a to ostatnia rzecz, której potrzebuję.



Matthew zbiegł po schodach, wsiadł do samochodu i ruszył tą samą trasą, którą w poprzednie popołudnie pokonał autobusem. Ściemniało się i pogoda ulegała zmianie. Nadal było ciepło, ale w powietrzu wyraźnie czuło się, że niedługo zacznie lać. Dojechał do Lovacott szybciej, niż się spodziewał, i zaskoczyło go, że nagle znalazł się na miejscu i wjeżdża do wioski. Nie dostrzegł żadnych charakterystycznych punktów orientacyjnych, które widział z autobusu. Ciotka i wuj Christine mieszkali w wysokim, prostokątnym, solidnie wyglądającym budynku przy placu. Matthew pomyślał, że kiedyś mógł należeć do kupca handlującego wełną i zwiększającego dobrobyt okolicy. Teraz był to dom Grace i Dennisa Salterów, filarów Bractwa Barum. Znał ich od dziecka. Gorzkie słowa Saltera po tym, jak Venn ogłosił swoją niezależność na ostatnim zebraniu, w którym uczestniczył, sprawiły mu ból. Przedtem Matthew lubił Dennisa. Był jednym z niewielu członków Bractwa, który traktował go poważnie, gdy był dzieckiem, odpowiadał na jego pytania. Grace nie pamiętał prawie wcale.

Nie uprzedził telefonicznie o wizycie, ale w pokoju od frontu się świeciło i stał przez chwilę, spoglądając do środka. Był w tym pokoju z rodzicami. Czasami odbywały się w nim spotkania. Dennis odprawiał nabożeństwo, a Alice Wozencroft, najstarsza członkini Bractwa, grała na piszczącej fisharmonii tak wolno, że śpiewający zawsze wyprzedzali ją o kilka taktów. Ściany wyłożone były ciemną, polakierowaną boazerią, pośrodku stał długi wypolerowany stół. Jego rodzice zawsze czuli się tu onieśmieleni – tutaj bowiem spotykała się starszyzna i podejmowano decyzje.

Matthew przypomniał sobie, że Salterowie spędzali większość czasu w pokoju na tyłach domu, blisko kuchni, i jego także zabierano właśnie tam także w czasie bardziej towarzyskich spotkań. To była ich prywatna przestrzeń, wygodniejsza i bardziej przyjazna.

Nacisnął dzwonek i stanął przed nim Dennis. Był oczywiście starszy, ale z łatwością dało się go rozpoznać. Lwia głowa, sprawiająca wrażenie jeszcze większej dzięki dzikiej grzywie siwych włosów, wyraziste rysy.

Matthew wyciągnął rękę.

– Matthew Venn. Być może mnie pan pamięta.

– Oczywiście, że pamiętam. Wejdz, człowieku, nie stój tak w progu. – Rozłożył ramiona w powitalnym geście. Jego reakcja zaskoczyła Matthew. Czy Salter uznał, że Venn powrócił na łono Bractwa? A może Dennis złagodniał z czasem? Może mimo swojego wysokiego stanowiska obecnie jest mniej ortodoksyjny niż Dorothy, matka Matthew. A może równie gościnnie przyjmował w swoim domu grzeszników, jak i wybranych. – Jesteś tu w sprawie Christine.

– Tak. Wciąż się nie znalazła, co nas poważnie niepokoi.

*Oczywiście, Dorothy musiała zadzwonić do Dennisa Saltera i powiedziała mu, że zawiadomiła policję w osobie jej syna. Pewnie najpierw poprosiła go o zgodę. Wizyta Matthew nie mogła być dla niego żadnym zaskoczeniem.*

– Zaopiekował się nią pan, żeby Susan mogła pójść na pogrzeb mojego ojca?

– Tak. A właściwie zrobiła to Grace. Oczywiście sam byłem na pogrzebie. Nie mogłbym go opuścić. Dorothy chciała, żebym odprawił nabożeństwo. Nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak bardzo jesteśmy przygnębieni tym zamieszaniem. I nadal do końca nie jestem pewien, jak do tego doszło.

– Czy pani Salter jest w domu? Jeżeli tak, byłoby dobrze, gdybym mógł z nią również porozmawiać.

– Czy naprawdę musisz rozmawiać z Grace? Czuje się równie okropnie jak ja, chociaż nie odpowiada za to, co się stało. Zupełnie. To wszystko moja wina. – Salter milczał przez chwilę. – Nie jest w najlepszej kondycji i coś nieoczekiwanego może ją wyprowadzić z równowagi. Nie mogłbym znieść, gdyby znowu się przez to pochorowała.

Matthew przypomniał sobie krążące o Grace Salter plotki. Były okresy, kiedy nie uczestniczyła w spotkaniach, mówiono o jej „nerwach”. O pobycie w szpitalu psychiatrycznym w innej części hrabstwa. Inne kobiety były uszczęśliwione, że mogły wówczas opiekować się Dennisem Salterem, przynosić mu paczki z prowiantem i rondle z potrawkami. Matthew nie pamiętał, by ktokolwiek proponował, że odwiedzi Grace.

– Nie zajmę jej wiele czasu, ale chciałbym zadać kilka pytań. Od zaginięcia Christine minęła cała doba. Traktujemy to wyjątkowo poważnie.

– Oczywiście. Jeżeli uważasz, że rozmowa z nią jest ważna... Wszyscy chcemy, żeby Christine się znalazła.

Matthew usiadł przy drugim stole, natomiast Dennis poszedł przyprowadzić żonę. Ten dom bardzo różnił się od małego domku na brzegu rzeczki i Matthew zastanawiał się, jak Christine czuła się tu, spędzając noc po pogrzebie jego ojca. Salterowie nie mieli dzieci i z tego, co Matthew wiedział, Grace nigdy nie pracowała poza domem. Źródłem jej wiedzy o zewnętrznym świecie było to, co mówił jej Dennis po powrocie z biura i inni członkowie Bractwa. Jak mogła poradzić sobie z siostrzenicą? Matthew zastanawiał się, ilu młodych ludzi wciąż należało do wspólnoty, i doszedł do wniosku, że Grace

mogła nie być przyzwyczajona do utrzymywania kontaktów z ludźmi w innym wieku niż ona i jej mąż. Podejrzewał, że obecnie wszyscy członkowie należeli do pokolenia jego matki i powoli wymierali. Za dwadzieścia lat Bractwo Barum, które w jego dzieciństwie wydawało się tak potężne, może przestać istnieć.

Salterowie wrócili. Grace wyglądała jak strach na wróble, wysoka, chuda jak patyk, z rozwichrzonymi siwymi włosami. Miała na sobie spodnie i zrobiony na drutach kardigan, w którym tonęła. Sprawiała wrażenie, że niedawno płakała, i mięła w rękach chusteczkę do nosa.

– Straszne, co się stało. – Jej głos zaskakiwał, wyrażała się jak ktoś wykształcony, bardziej precyzyjnie niż jej siostra. Usiedli przy szczycie długiego stołu, jakby byli członkami komitetu czekającymi na przybycie pozostałych.

– Czy mogłaby pani przedstawić mi wydarzenia ostatnich kilku dni? O ile wiem, Dennis odebrał Christine z domu jej matki przed pogrzebem.

– Tak, w poniedziałek nie poszła do ośrodka dziennej opieki – odpowiedział Dennis, nie Grace. – Spędziła tutaj dzień i wieczór.

– I jakie sprawiała wrażenie?

– Ma zaburzenia funkcji poznawczych – odparł Dennis – i nigdy nie jestem pewien, ile rozumie. Być może nie jestem dość cierpliwy. Wieczorem, kiedy wróciłem z pogrzebu, tak naprawdę nie rozmawialiśmy wiele. Uwielbia telewizję, włączyliśmy jej więc coś, chociaż sami nie przepadamy za taką rozrywką. Wydawała się dość spokojna, prawda, Grace? Zna nas i już wcześniej u nas bywała.

– Znacie ją państwo od niemowlęctwa – zauważył Matthew. – Powinniście zauważyć, gdyby coś było nie tak, prawda?

– Tęskniła za Susan – stwierdziła Grace.

– No cóż, to oczywiste, że tęskniła za matką. – Ton głosu Dennisa sugerował, że nie podoba mu się sposób prowadzenia przesłuchania. Być może wolałby przejąć kontrolę nad rozmową tak, jak zawsze robił w przeszłości w przypadku Matthew. Albo może poczucie winy, że nie upewnił się, czy Christine wróciła bezpiecznie



do Lovacott, powodowało odruch obronny. – Od śmierci Cecila zostały tylko we dwie. Były ze sobą bardzo blisko. Christine nie nocowała poza domem, od kiedy była bardzo mała. Susan jest bardzo opiekuńcza.

– Czy we wtorek rano była zadowolona, że jedzie do Woodyard?

– O tak – potwierdziła Grace. – Uwielbia Woodyard. Może trochę mniej, od kiedy jej przyjaciółka Rosa przestała tam chodzić, ale nadal je lubi.

– Czy Christine mogła pójść do domu Rosy? – zapytał Matthew.

– Jeżeli nie rozminęła się z Dennisem w Woodyard i nie była pewna, dokąd pójść?

Grace w zupełnej ciszy zastanawiała się nad odpowiedzią i zanim jej udzieliła, zerknęła na męża.

– Och, nie sądzę, Rosa mieszka w przeciwległej do Woodyard części Barnstaple. Christine za nic w świecie nie zdołałaby dostać się tam samodzielnie.

Matthew pokiwał głową, ale pomyślał, że weźmie adres Rosy od Jonathana i poprosi któregoś ze swoich funkcjonariuszy, żeby to sprawdził.

– Czy nie była zaniepokojona albo czy może niechętnie szła do centrum tamtego ranka?

– Nie. – Grace znowu spojrzała na męża. – Nie sądzę. Zawoziłeś ją, prawda, Dennis? Nie wydaje ci się, żeby była zmartwiona? – Zupełnie jakby nie potrafiła opowiedzieć na najprostsze pytanie bez zgody męża. Ale tak powinno być w Bractwie. Kobiety zawsze odwoływały się do opinii ich mężów.

*Z wyjątkiem naszego domu, pomyślał Matthew. Zawsze rządziła w nim matka.*

– Wydawała mi się w całkiem dobrej formie. – Dennis najwyraźniej odzyskał spokój. Może uznał, że nie jest obwiniany o zniknięcie Christine. – Naprawdę, Matthew, była taka jak zawsze.

– Zgodnie z planem Dennis miał ją odebrać i przywieźć tutaj na noc, żeby Susan mogła mieć cały wieczór dla siebie?

– No cóż, *myśleliśmy*, że taki jest plan – powiedziała Grace. – Ale kiedy nie wyszła, Dennis założył, że jak zwykle wróciła do domu Susan autobusem z centrum.

– I nie poszedł pan do Woodyard, panie Salter? Żeby ją odnaleźć?

– Dopiero później. – Bardzo się zaczerwienił. – Straciłem poczucie czasu i poszedłem jej szukać, kiedy wszyscy już wyszli. Ośrodek opieki dziennej był pusty. – Zapadła cisza. Pewność siebie opuściła Saltera i nagle wyznał: – Słuchałem przez radio w samochodzie krykieta. Relacji z meczu reprezentacji narodowych na Barbadosie. Ale byłem tam, zaparkowałem tuż obok. Nie wiem, jak mogłaby mnie nie zauważyć. Zna mój samochód. Susan nie prowadzi i parę razy w tygodniu zabieram je wieczorem na zakupy. Oczywiście powinienem bardziej uważać. Czuję się koszmarnie z tym, że zaginęła.

Matthew niemal zrobiło się go żal. Rozumiał, jak mogło do tego dojść.

Zapadła dość niezręczna cisza, przerwana przez Grace.

– Kiedy Dennis wrócił do domu, od razu wyszliśmy. Trzeba było zawieźć na ostry dyżur przyjaciela, jednego z członków Bractwa. Byliśmy przy nim cały wieczór. Dlatego nie odebrałam telefonu od siostry. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Christine zaginęła, dopóki Susan rano nie zadzwoniła ponownie.

Kiedy Matthew wychodził, odprowadzany do drzwi przez Saltera, przypomniał sobie coś, co powiedział mu Christopher Preece.

– Czy nie był pan przed odejściem na emeryturę kierownikiem Towarzystwa Budowlanego Hrabstwa Devon?

– Byłem. – Ewidentny powód do dumy. – W tutejszym oddziale w Lovacott.

– I jest pan w zarządzie Woodyard?

– Tak. Poznałam Christophera Preece'a za pośrednictwem świata biznesu. Zapytał, czy dołączyłbym do nich, i ucieszyło mnie, że uważa moje umiejętności za przydatne. – Umilkł na chwilę, a potem uznał, że powinien dodać dalsze wyjaśnienia. – Początkowo

dość głośno sprzeciwiałem się powstaniu Woodyard. – Uśmiechnął się cierpko. – O ile pamiętam, w jednym z moich wystąpień nazwałem centrum bezużytecznym miejscem dla pozujących na artystów hippisów. Że nie jest to coś, co rada powinna wspierać, kiedy jej środki można przeznaczyć na zaspokojenie tak wielu innych potrzeb. Obawiam się, że uwierzyłem w to, co przeczytałem w miejscowej prasie.

– Ale zmienił pan zdanie?

– Tak, kiedy tylko zrozumiałem, jak różnorodne działania będą tam prowadzone i że ośrodek dziennej opieki będzie częścią centrum. To nic złego przyznać się do pomyłki. Wiedziałem, że Christopher ma dobre wyczucie biznesowe, a oczywiście Grace i ja byliśmy częścią życia Christine od jej niemowlęstwa. Wydawało się nam, że to bardzo cenne przedsięwzięcie.



Stojąc na zewnątrz, Matthew był w stanie pojąć, dlaczego Christine mogła nie chcieć spędzić kolejnej nocy u krewnych w Lovacott. Domek, w którym mieszkała z matką, może i był zawilgocony oraz pełen kurzu, ale znajdowało się w nim mnóstwo jej rzeczy. Razem z Susan mogły obejrzeć telewizję i zjeść posiłek. Było w nim ciepło i dało się tam wyczuć wzajemną więź. W domu, z którego wyszedł, istniało napięcie pomiędzy mężem a żoną, którego Matthew nie potrafił do końca zrozumieć. Relacje wydawały się chłodne i stresujące. Christine mogła po prostu postanowić, że nie chce tu spędzić kolejnej nocy. Jeżeli Dennis siedział w samochodzie, pochłonięty krykietem, mogła podjąć samodzielną decyzję, przejść obok niego niezauważona i wsiąść do autobusu razem z innymi użytkownikami ośrodka. Jeżeli pojechała w stronę Braunton, mogłoby to zawęzić rejon poszukiwań.

Zadzwoił do Jonathana i wyjaśnił sprawę.

– Słyszałem. – W głosie Jonathana wyczuł stres. – Jeżeli zaginęła tutaj, czeka nas koszmar. Pojawią się zarzuty

o niedostatecznym zabezpieczeniu i opiece. Pytania prasy i innych rodziców. I tak część ludzi jest przeciwna naszej polityce zachęcania do większej samodzielności.

– Ale z całą pewnością to wina Dennisa Saltera, że jej nie szukał.

– Niestety, nie sędzę, żeby prasa widziała to w taki sposób.

Matthew rzadko kiedy wyczuwał w nim tak wielkie napięcie.

– Możesz mi wysłać esemesem adres kobiety o imieniu Rosa? Wygląda na to, że przyjaźniła się z Christine. Mało prawdopodobne, ale mogła pojechać do niej.

– Tak, oczywiście. Chodzi o Rosę Holsworthy. Wciąż mamy ją w aktach.

– A mógłbyś zapytać kierowcę autobusu, czy widział Christine?

– Tak. Jasne. – A potem Jonathan dodał: – Mam nadzieję, że z nią wszystko w porządku. Christine jest kochana. Znam ją od lat.

Matthew pozostawił samochód w dotychczasowym miejscu i poszedł ulicą w kierunku półkola komunalnych domów, które widział wczoraj wieczorem. Lampy uliczne się zapaliły.

Maurice Braddick otworzył mu drzwi. Pachniało gotowaniem. Paluszki rybne, frytki.

– Przepraszam – powiedział Matthew. – Przeszkadzam ci w posiłku.

Stary mężczyzna pokręcił głową.

– Proszę wejść. Właśnie skończyliśmy. Zawsze jemy wcześniej. Lucy po przyjściu z ośrodka jest głodna. Mogłaby wtedy zjeść konia z kopytami. – Odsunął się od drzwi. Miał na sobie kaptcie, które pamiętały lepsze czasy, poprzecierany sweter. Przebrał się po powrocie z Barnstaple. – Mieliśmy pójść na herbatę do „Runa” ale uznaliśmy, że zrobimy to w weekend. – Po chwili dodał: – Dziś wieczorem jest w telewizji program, który Lucy bardzo lubi.

– Miałem nadzieję, że zdołam z nią porozmawiać.

– Żaden problem. Mam wrażenie, że audycja zaczyna się później, a poza tym zawsze będzie mogła obejrzeć ją z odtwarzacza. Lepiej wie, jak obsługiwać ten sprzęt, niż ja.

Lucy była w małym saloniku, siedziała na sofie, z kubkiem herbaty na stojącym obok niskim stoliku. Swobodna i bardzo odprężona. Telewizor był włączony, ale kiedy Matthew wszedł, odwróciła się do niego.

- Cześć. – Jakby był starym przyjacielem.
- Moglibyśmy znowu porozmawiać?
- O tym człowieku z autobusu? Dowiedzieliście się, kto go zabił?
- Nie – odpowiedział. – O kimś, kogo, jak przypuszczam, znasz.
- Pomilczał chwilę. – Czy mogłabyś wyłączyć na chwilę telewizor? Zaraz włączysz go znowu.

Trochę niechętnie kiwnęła głową i nacisnęła guzik pilota.

- Znasz Christine Shapland? Ma ciemne włosy.
- Tak. Przychodzi do centrum. Ale nie każdego dnia. Dzisiaj jej nie było. – Po chwili dodała: – Jest moją najlepszą przyjaciółką.
- Czy widziałaś ją wczoraj w Woodyard? W tym dniu, kiedy przyszedłem i rozmawiałem z tobą i twoim tatą?

Lucy pomyślała chwilę i przytaknęła ruchem głowy.

- Rano gotowałyśmy.
- Christine zaginęła, Lucy – powiedział. – Nie wiemy, gdzie jest. Wydaje się, że zniknęła z Woodyard wczoraj po południu, kiedy wszyscy wychodzili. Widziałaś ją?

– Czy nie mogli zadbać o jej bezpieczeństwo? – Niepokój sprawił, że głos Maurice'a stał się piskliwy. – Wysyłamy tam nasze dzieci i oczekujemy, że będą tam bezpieczne. Nie wrócisz tam, panienko. Przynajmniej dopóki to wszystko się nie wyjaśni.

– Lucy? – Matthew rozumiał gniew Maurice'a, ale teraz potrzebował informacji. – Widziałaś Christine, kiedy wychodziłaś wczoraj z Woodyard?

– Nie – odparła. – Zobaczyłam mojego tatę. Czekał na mnie, tak jak dzisiaj, i wróciliśmy do domu samochodem.

– Ale czy Christine wyszła z tobą z centrum? Przeszła z tobą szklanym korytarzem do wielkiego holu wejściowego, gdzie czekał twój tata?

– Nie wiem. – Lucy zdawała się tracić już koncentrację. Jej spojrzenie skierowało się w stronę ciemnego ekranu telewizora. Wyraźnie chciała, żeby Matthew już sobie poszedł, a ona mogła oglądać swój ulubiony program w spokoju.

Mimo wszystko nalegał dalej.

– A jaka była wczoraj? Pamiętasz, przyszedłem do Woodyard i rozmawiałem z tobą o mężczyźnie z autobusu. Ty i Chrissie gotowałyście razem. Czy powiedziała ci, że poprzedniego dnia nocowała u ciotki i wuja tutaj w Lovacott?

Lucy pokręciła głową.

Matthew wyczuł, że nic już od niej się nie dowie, i zapytał Maurice'a:

– Moglibyśmy porozmawiać?

Usiedli w kuchni. Maurice bez pytania włączył czajnik i zaparzył herbatę.

– To nie w porządku. Rodzice tej kobiety muszą odchodzić od zmysłów z niepokoju.

– Ma tylko matkę. Susan Shapland. Znasz ją?

– Spotkałem ją parę razy. Kiedy działał stary ośrodek opieki. I na przyjęciu bożonarodzeniowym w Woodyard. Zaproszono na nie wszystkich krewnych. – Uspokoił się trochę, ale Matthew wciąż wyczuwał jego oburzenie. Ponieważ coś takiego mogło się przydarzyć *jego* córce, był wstrząśnięty, przerażony. Ale pewnie czuł też ulgę, bo zaginęło dziecko kogoś innego. Lucy była bezpieczna, oglądała telewizję, piła herbatę. – Moja żona lepiej ją znała.

– A Christine? Poznałeś ją?

– Tak, znały się z Lucy od jakiegoś czasu. Ale nie w dzieciństwie. Christine poszła do szkoły specjalnej. Jej rodzice uważali, że tak będzie dla niej lepiej. A Susan nie miała takiej woli walki jak moja Maggie, kiedy starała się, by Lucy chodziła do normalnej szkoły.

– Byłeś tam wczoraj po południu i czekałeś na Lucy, żeby ją zabrać do domu. Widziałeś Christine? Albo kogoś, kto by się tam po nią zjawił?

Maurice zastanawiał się chwilę. Matthew wyczuwał, że Braddick bardzo chciałby pomóc.

– Nie wiem – odezwał się w końcu. – Sam wiesz, wypatrywałem Lucy. Chciałem, żeby wiedziała, że po nią przyjechałem. Z powodu tego, co działo się wcześniej tamtego dnia. Była taka zmartwiona, że człowiek, z którym jeździła autobusem, nie żyje. A potem rozmowa z tobą. Cały jej dzień został wywrócony do góry nogami. – Znowu chwila milczenia, a potem coś w rodzaju wyznania. – Wiem, że to głupie, ale martwiłem się o nią. Wyobrażałem sobie różne rzeczy. Poczuję się cudownie, kiedy ją zobaczę, jak wychodzi z pokoju z torbą przewieszoną przez ramię. – Spojrzał na Matthew. – Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś się jej stało. Po śmierci Maggie mam tylko ją.

Matthew skinął głową i uświadomił sobie, że mówiąc te słowa, Maurice czynił go odpowiedzialnym za Lucy. *Musisz dopilnować, że będzie bezpieczna, chłopcze. Liczę na ciebie.*

Wstał. Jen Rafferty i Ross May chyba wrócili już z Bristolu. Powinni zdobyć więcej informacji. Ale nie mógł odpędzić wspomnienia trzynastoletniej Christine Shapland, jak z zagubioną miną tuli do siebie lalkę.

– Czy mógłbyś porozmawiać znowu z Lucy, sprawdzić, czy czegoś sobie nie przypomniała?

Pomyślał, że Lucy nie wydawała się szczególnie przejęta zniknięciem Christine. A przecież były przyjaciółkami. Z całą jednak pewnością pomyślał, że Lucy Braddick uczestniczy w spisku mającym na celu ukrycie Christine Shapland, był absurdalny.

– Spróbuję – obiecał Maurice. Podeszli obaj do drzwi. – Nie puszczę jej jutro do Woodyard. Zostanie w domu, do kiedy okaże się, że już po wszystkim i będę wiedział, że jest tam bezpieczna. Powtórzysz to Jonathanowi?

Matthew skinął głową. Na zewnątrz było bardzo ciemno i spokojnie. Zaczynał padać delikatny deszcz. Venn poszedł do centrum wioski i swojego samochodu. Zatrzymał się na chwilę przed okazałym domem Salterów. Zastłony zaciągnięto i nic nie było widać.







## *Rozdział osiemnasty*

Gaby Henry wróciła do domu jako pierwsza i była zadowolona, że ma czas dla siebie. Bez Simona dom sprawiał inne wrażenie. Pustego. Cichszego. Nie oznaczało to, że mężczyzna bardzo hałasował, może z wyjątkiem chwil, kiedy pracował w kuchni, a wtedy były to tylko bardzo miłe dźwięki. Rytmiczny stukot noża uderzającego w deskę do krojenia, skwierczenie ryby na patelni, grzechotanie garnków. Ostatnio nie pił tak dużo i nawet te odgłosy były spokojniejsze, mniej gorączkowe. Był jednak wyrazistą osobowością, nawet kiedy nie miał w ogóle nic do powiedzenia. Miał w sobie coś, co przyciągało uwagę. Nagle poczuła się osamotniona.

Dzień spędzony w Woodyard był dziwny. Jonathan przyszedł do jej pracowni powiedzieć, że jedna z podopiecznych ośrodka opieki zaginęła. Co prawda był jej szefem, ale zaglądał niekiedy, nie żeby porozmawiać o pracy, ale napić się kawy i obejrzeć jej dzieła.

– Christine Shapland. Łagodna dziewczyna. Z downem. Bardzo spokojna. Trochę wstydliva. Najwyraźniej zniknęła.

– Przykro mi to słyszeć. Nie widziałam jej od ubiegłego tygodnia.  
– Gaby pomyślała, że Jonathan przyszedł do pracowni, aby uciec od paniki panującej w pozostałej części budynku, mieć przez kilka chwil trochę spokoju. Na dobrą sprawę nie mógł się spodziewać, że niedawno widziała tę kobietę. Gaby nie miała nic wspólnego z ośrodkiem opieki dziennej poza prowadzeniem raz w tygodniu zajęć z plastyki.

– Wygląda na to, że wystąpiły jakieś problemy z komunikacją. Jej wuj myślał, że odebrała ją Susan, matka Christine, która z kolei uważała, że zrobił to wuj. Od wczoraj nikt jej nie widział. – Jonathan

stał przy oknie, światło padało na jedną część jego twarzy, sprawiając, że jego włosy wyglądały jak srebrne nitki. – Cholerny koszmar. Jej wuj to Dennis Salter. Jest członkiem zarządu i powinien mieć więcej rozumu w głowie. Pójść po nią albo przynajmniej dobrze jej poszukać. Ale to Woodyard zostanie obarczone winą. Prasa będzie miała używanie.

Odwrócił się w stronę Gaby i pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała go tak spiętego.

– Może porozmawiaj z Christopherem Preece'em? Musi dobrze radzić sobie z mediami.

– Tak, może. – Ale wydawał się nieprzekonany. – Chcę, żeby odnalazła się cała i zdrowa. To wszystko, a na dodatek morderstwo jednego z naszych wolontariuszy przypomina jakiś koszmar. Zawsze uważałem Woodyard za swego rodzaju azyl. Miejsce, w którym ludziom nie zdarzają się żadne straszne rzeczy.



Teraz, na Hope Street, mogła zrozumieć niepokój Jonathana. Zniknięcie kobiety z ośrodka opieki było powodem do obaw. W przekonaniu Gaby łączyło się z morderstwem Simona, było drugim fragmentem tej samej układanki, chociaż nie mogła zrozumieć, w jaki sposób. Jedynym wspólnym elementem było Woodyard. Co innego mogło łączyć Simona Waldena i kobietę z zespołem Downa?

Gaby weszła na górę i wzięła ze swojego pokoju stertę rzeczy do prania, podniósłszy z podłogi upuszczone przedmioty. Zastanawiała się nad zmianą bielizny pościelowej, ale postanowiła nie zawracać sobie tym głowy. W pomieszczeniu gospodarczym w suterenie pralka była wypełniona czyimiś rzeczami. Wilgotne, ale nie mokre, pewnie zostały wyprane już dość dawno i zapomniane. Gaby wyciągnęła je do plastikowego kosza, nawet niezbyt poirytowana, bo zazwyczaj w takich wypadkach to było jej pranie.

Nagle uświadomiła sobie, że ubrania musiały należeć do Simona Waldena. Pewnie włożył je do pralki rano w dniu swojej śmierci albo poprzedniego wieczoru. Bokserki i skarpetki, kilka koszul i dżinsy. Zaczęła składać wilgotne rzeczy. Wydawało się to czymś właściwym, niemal gestem szacunku. Zastanawiała się, co powinna teraz z nimi zrobić. Czy policja zechce je obejrzeć?

Potrząsnęła koszulą i coś wypadło z kieszonki na piersi. Kluczyk Yale z kółkiem i plastikową przywieszką w kształcie ptaka. Przypominającą albatrosa wytatuowanego na jego karku. Klucz nie był do tego domu. Kiedy Simon się wprowadził, dorobiły dla niego klucze do drzwi frontowych i tylnych, ale te miały zupełnie inny kształt. Usiadła na pralce i wpatrywała się w znalezione przedmioty. Nagle usłyszała kroki na schodach. Caroline weszła i stanęła tuż za nią. Spojrzała na wilgotne pranie, natychmiast zorientowała się, do kogo należało, i wtedy zauważyła klucz.

– Co to takiego?

– Musiał należeć do Simona.

Co innego mogła powiedzieć?

– Powinnaś pokazać go policji – oznajmiła Caroline władcym głosem starszej siostry, który zazwyczaj nie przeszkadzał Gaby. Ale dzisiaj irytował ją i sprawiał, że miała ochotę przeklinać. – Może okazać się czymś ważnym.

– To prawda. – Gaby czuła się bezradna, stojąc nad koszykiem z częściowo złożonym praniem. Kiedyś skarżyła się na Simona, a teraz miała ochotę płakać.

– Wezmę go. – Caroline włożyła klucz do swojej małej, czarnej torebki, zanim Gaby zdążyła zareagować.





## *Rozdział dziewiętnasty*

Po wieczornej odprawie w Barnstaple Matthew czuł się zniechęcony. Miał wrażenie, że dopadł go dawny brak pewności siebie, przekonanie, że jest bezużytecznym szalbierzem udającym starszego oficera dochodzeniowego. Być może Oldham lepiej by sobie z tym poradził. Mieli obecnie tak wiele informacji, że powinien stworzyć przynajmniej jakąś koncepcję, kto mógł zabić Waldena, znaleźć jakieś świadectwo solidnego motywu, ale dane nie były konkretne, nie dawały podstawy do działania. Zbyt wiele luźnych wątków, które należałoby zbadać. A Christine Shapland nadal się nie odnalazła. Jej matkę czekała kolejna noc udręki. I kolejna noc, w czasie której Matthew będzie wiedział, że zawiódł *swoją* matkę.

Kiedy wychodził z komendy, zatrzymała go Jen Rafferty.

– Czy nie miałbyś ochoty na drinka? – Chwila milczenia. – Żeby pogadać. Mogłabym się podzielić z tobą paroma pomysłami dotyczącymi Waldena. Dzisiaj w Bristolu miałam wrażenie, że rozmawiamy zupełnie o kimś innym, a nie bezdomnym facecie, który zjawił się w kościele pijany jak bela. Ale nie chciałam omawiać tego tutaj. – Ruchem głowy wskazała budynek. – Wszystko jest zbyt skomplikowane i wydaje mi się, że nie potrafię jasno myśleć przy tak licznej widowni.

– Dobrze.

– Czy nie mógłbyś wpaść do mnie? Od kiedy to wszystko się zaczęło, prawie nie widuję dzieci. Dziś wieczorem raczej też ich nie zobaczę. O tej porze pewnie będą siedziały w swoich pokojach. Ale przynajmniej zorientują się, że jestem obok. Mam wino. – Zauważyła

jego wahanie i uśmiechnęła się. – Kawę bezkofeinową, herbatę ziołową...

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta i bardzo chciał znaleźć się już w domu, z Jonathanem. Ale wierzył w instynkt Jen i wciąż ciążyło mu poczucie obowiązku wbite mu do głowy jeszcze w dzieciństwie.

– Dobra. Ale tylko pół godziny. Muszę się wyspać.



Siedział w domu Jen. Kobieta rozpałała w piecyku na drewno, zanim pobiegła do góry, żeby sprawdzić, co u dzieci, i nastawiła czajnik. W niewielkim pokoju już było ciepło. Zapaliła świecę, zgasła wiszącą lampę. Zakamarki pokoju pogrążyły się w cieniu. Matthew zaczął czuć się ospały i już niemal zasnął, kiedy weszła z tacą, kubkami i paczką herbatników. Dźwięk jej głosu sprawił, że się ocknął.

– Tylko pełnoziarniste. Cholerne dzieciaki pożarły wszystkie czekoladowe.

Przeciągnął się, usiłując się skupić.

– Co cię niepokoi?

– Walden. Kiedy go zidentyfikowaliśmy, zaklasyfikowałam go jako bezdomnego pijaka, którym zaopiekowała się litościwa samarytanka pomagająca mu uporządkować życie. Ale nie mam wrażenia, że zawsze był taki. Rzecz w tym, że moim zdaniem kiedy zjawił się w kościele i spotkał Caroline, rzeczywiście był pijakiem i musiał przeżywać chwilowy kryzys, ale wciąż miał gdzieś pieniądze. Nie mógł przepić dwustu tysięcy funtów. To kupa forsy! Poza tym, kiedy pracował w Kingsley House, miał nadal dochód.

– Mógł być hazardzistą. Lekkomyślnym.

Pokręciła głową.

– Nikt o tym nie wspomniał. Jego biznes zaczął się sypać, bo zbyt szybko się rozkręcił, ale wszyscy uważali, że przyczyną były ambicje Kate, a nie jakieś szastanie forszą przez Waldena. Jego była



żona albo ten kumpel powiedzieliby mi, gdyby był nałogowym hazardzistą.

– A co konkretnie masz na myśli?

– Cóż, nie wydaje mi się, że był bezdomny, kiedy przyszedł do kościoła. Mógł być samotny i przygnębiony, ale po zakończeniu sezonu w Północnym Devonie nie tak trudno znaleźć jakiegoś właściciela pensjonatu, który wynająłby mu mieszkanie. Poza tym jego maleńki pokój na Hope Street był prawie pusty. Walden musiał mieć więcej rzeczy. Kiedy uciekłam od Robbiego bez uprzedzenia, miałam dwie walizki i worek na śmieci. Wiem, że mam dwoje dzieci, ale *każdy* posiada więcej rzeczy niż parę džinsów. – Milczała chwilę.

– Gaby Henry uważała, że Walden nadal dobrze wspominał swoją żonę, ale w jego pokoju nie znaleźliśmy żadnych zdjęć, ani jej, ani kumpli z wojska. Po prostu jakoś tego nie widzę. Jest też luka w czasie pomiędzy zakończeniem przez niego pracy w Kingsley House a wprowadzeniem się na Hope Street. Według tych kobiet spał wówczas na ulicy, ale rozmawiałam z bezdomnym, który się tam kręcił. Powiedział mi, że natknął się na Waldena dopiero wtedy, kiedy ten sprowadził się pod dwudziestkę. W Ilfracombe istnieje taka wspólnota bezdomnych. Znają się nawzajem. Gdyby Walden mieszkał na ulicy, na pewno by się spotkali.

– Sądzisz, że Walden miał gdzieś dom albo mieszkanie i jego rzeczy nadal mogą tam być?

– Uważam, że to możliwe.

– Nikt się nie zgłosił z informacją, że wynajmował coś u niego. – Matthew odstawił kubek na tacę i wziął następny herbatnik.

– Ale czy ci lokatorzy by go poznali? Po takim czasie? Zwłaszcza jeżeli załatwił sprawę w jakimś biurze wynajmującym kwatery?

Milczenie. Jen otworzyła drzwiczki piecyka i dorzuciła następne polano. Matthew zastanawiał się. Gaby Henry nazwała Waldena urodzonym kucharzem. Jeżeli miał pieniądze, możliwe, że chciał mieć własną kuchnię. Miałby swoje prywatne noże, a w domu przy Hope Street ich nie znaleziono. Kobiety powiedziały, że często znikał i spędzał czas sam.

– Czemu Walden udawałby bezdomnego? Dlaczego zgodził się zamieszkać w tym przygnębiającym pokoju na Hope Street, skoro miał lepsze miejsce?

– Nie mam pojęcia – odparła Jen. – Myślałam o tym całą drogę z Bristolu. Przypuszczasz, że potrzebował towarzystwa? Damskiego towarzystwa? Chodzi mi o niewłaściwy sposób bycia, na przykład podglądanie przez dziurkę od klucza. Gaby określiła go jako trochę świrusa.

– A jeżeli mówimy o niewłaściwych rzeczach, to dlaczego nawiązywał rozmowy z Lucy Braddick? Po co urządzał te wyprawy do Lovacott? Sądzisz, że miał tam mieszkanie? – Matthew wciąż obsesyjnie myślał o Christine Shapland i przyszedł mu do głowy nielogiczny pomysł. Jeżeli Walden miał jakąś miejscówkę poza Hope Street, być może zaginiona kobieta jest tam przetrzymywana. Ale to się nie trzyma kupy, prawda? Skoro Walden został zamordowany przed jej zniknięciem, nie mógł jej uprowadzić. Chwytał się brzytwy.

– Niech Ross jutro sprawdzi wszystkie biura wynajmu mieszkań – powiedział. – I agentów handlu nieruchomości, na wypadek gdyby coś sobie kupił. Sprawdźmy też, czy możemy ustalić, co się stało z tymi pieniędzmi.



Kiedy jechał do domu, znowu padało. Braunton było puste, ale w domku poborcy myta się świeciło. Matthew zastanawiał się, czym Marstonowie mogą się tam zajmować, i uznał, że ucieszyłby się, gdyby znaleźli sobie miejsce, które bardziej im się spodoba, i się wyprowadzili. Byli jego najbliższymi sąsiadami, ale przejeżdżając koło ich domu, uświadomił sobie, że jego niechęć do nich jest zdumiewająco intensywna. Jonathan nie zasłonił okien i musiał zobaczyć reflektory jego nadjeżdżającego samochodu, ponieważ wyszedł na zewnątrz, aby się z nim przywitać. Stał tuż za drzwiami, wystawiając twarz na padający drobny deszcz.

– Są jakieś wiadomości?

Oczywiście pytał o Christine Shapland. Jonathan nigdy dotąd nie był aż tak zaangażowany w jakiegokolwiek wcześniejsze śledztwo. W przeszłości słuchał, kiedy Matthew dzielił się z nim swoimi niepokojami związanymi z dochodzeniem, od czasu do czasu udzielał jakiejś rady. Ale teraz było inaczej. Sprawa stała się osobista. Znał tę kobietę, a poza tym zagrożona była reputacja Woodyard, dzieła jego życia. Zanim Venn odpowiedział, Jonathan dodał:

– Przepraszam. Wejdźmy do środka. Nie powinienem tak cię zaskakiwać.

Objął Matthew, przyciągnął, a potem przytulił się do niego. Zupełnie jakby się topił i potrzebował pomocy.





## *Rozdział dwudziesty*

Następnego dnia wczesnym rankiem, kiedy znaleźli się już na komendzie, podnieceni tankowali kofeinę, bo było tak wiele rzeczy do zrobienia. Zbyt wiele tropów i możliwości, ale było to lepsze niż udręka oczekiwania, aż pojawi się coś nowego.

Jen spała głębokim snem i czuła się dobrze. Gdyby wczorajszego wieczoru była sama, otworzyłaby butelkę wina, zapytała Ellę, czy ma ochotę na kieliszek, i wypiłaby większość. Ale był tam Matthew, poprosił o herbatę rumiankową i wino pozostało nieotwarte. Wystłuchał jej, zaufał jej instynktowi w sprawie Waldena. I właśnie od tego zaczęli pracę dziś rano.

– Wiemy już, że Walden miał dostęp do znacznej sumy pieniędzy. Chciałbym, żebyście wyjaśnili tę sprawę. Natychmiast. Nie mogę zrozumieć, dlaczego jeszcze tego nie zrobiliście. Niech się tym zajmie jedna osoba. Odezwijcie się do naszych specjalistów do spraw oszustw. Mają kontakty z bankami. Obecnie trudno jest otworzyć rachunek na lipne nazwisko, więc odnalezienie go nie powinno być trudne. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że Walden przed przeprowadzką na Hope Street miał własne mieszkanie lub dom. Jeżeli znajdziemy jego rachunek bankowy, będziemy mieli też adres. – Matthew stał z przodu sali i mówił cicho, ale w sposób wymagający skupienia uwagi. Jen trochę wiedziała o jego przeszłości i uznała, że wciąż jest w nim coś z fanatyka. Znała zakonnice o takiej samej osobowości, identycznie gorliwe. Mogła pójść za nimi na koniec świata, uwierzyć w każde ich słowo. Dopóki nie wydorosłała.

– A to jest jeszcze ważniejsze. – Matthew rozdawał odbitki fotografii Christine Shapland. – Rozmawialiśmy o niej wczoraj. Już drugą dobę jest zaginiona. Kobieta z zespołem Downa, która we wtorek po południu opuściła ośrodek opieki dziennej w kompleksie Woodyard. Wczoraj rozmawiałem z jej wujem.

Puścił w obieg kolejne zdjęcie. Jen wiedziała, że Venn musiał wcześniej wstać, żeby je zdobyć. Towarzyszyło artykułowi z „North Devon Journal” poświęconemu odejściu Saltera na emeryturę.

– To Dennis Salter. Jest także członkiem zarządu powierniczego w Woodyard, a wybrano go ze względu na jego wcześniejszą działalność w finansach. Miał odebrać Christine z Woodyard, ale twierdzi, że się z nią minął. Poszperajmy trochę i zobaczmy, co znajdziemy. Czy monitoring zarejestrował gdzieś jego samochód we wtorek późnym popołudniem lub wieczorem?

Matthew zrobił przerwę, by odetchnąć głęboko. W sali panowała cisza.

– Uważam za możliwe, że Christine rozmyślnie go ominęła i próbowała samodzielnie dotrzeć do domu. Sprawdziłem w firmie transportowej obsługującej centrum i ustaliłem, że nie przewozili jej tego popołudnia. Mieszka w domku na skraju Mokradeł Braunton. Czy możemy sprawdzić komunalne autobusy jeżdżące w tym kierunku? Przekażmy też wiadomość mediom, może dowiemy się, że ktoś ją podwiózł. Ludzie zawsze chodzą w kierunku wybrzeża ścieżką wzdłuż rzeczki. Ross, pojedź tam i porozmawiaj z miejscowymi. Jeżeli pojawią się podejrzenia, że mogła dotrzeć aż tak daleko, zorganizujemy poszukiwania w okolicach rzeki. Jestem nawet gotów zaangażować w nie lokalną społeczność.

Jen uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Matthew nienawidził szpanerstwa i działania na pokaz. Nie lubił zainteresowania mediów, a zdjęcia gorliwych ochotników maszerujących tyralierą przez solniska na pewno spodobałyby się prasie. Zwrócił się do niej:

– Jen, pojedziesz do Woodyard. Spotkaj się z personelem przychodzącym do pracy. To dziwne miejsce, w którym łatwo się zgubić. Ośrodek dziennej opieki mieści się w osobnym budynku

z tyłu dziedzińca i jest połączony z resztą kompleksu oszklonym korytarzem, ale użytkownicy wchodzi i wychodzą przez główny hol. Korzystają z niego wszyscy. Goście barku, wycieczki szkolne, ludzie przychodzący na kursy dla dorosłych. Ktoś mógł zobaczyć kogoś obcego, kto się do niej zbliżył i rozmawiał z nią. Jest bardzo ufna. Jeżeli usłyszała, że matka poprosiła tę osobę, żeby ją zawiozła do domu, zapewne poszłaby z nią.

Jen kiwnęła głową, ale poczuła się sfrustrowana. Przedstawiła teorię, że Simon Walden miał gdzieś własne lokum, a teraz poczuła, że została wysłana na boczny tor, odsunięta od dochodzenia w sprawie morderstwa. Matthew nadal mówił i można było odnieść wrażenie, że odczytał jej myśli. Jego słowa były skierowane bezpośrednio do niej.

– Jestem przekonany, że zniknięcie Christine i zamordowanie Waldena są jakoś powiązane. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Ale Woodyard znalazło się w centrum śledztwa.

Znowu kiwnęła głową, zastanawiając się przez chwilę, czy nie potraktowano jej jak frajerki, która da się nabrać na pochlebstwa, ale uznała, że to nie w stylu Matthew.



Czekając w recepcji Woodyard, Jen czuła się jak w domu. Większość personelu tworzyły kobiety w jej wieku, ubrane i wyglądające jak ona – artystowskie, robiące wrażenie. Pomyślała, że Matthew wiedział, co robi, wysyłając ją tutaj. Nie należało go nie doceniać. Stała przy drzwiach, zagadując wchodzących i pokazując im zdjęcie Christine. Reakcje były życzliwe, okazywano zainteresowanie, nie przekazano jednak żadnych przydatnych informacji. Zupełnie jakby tamtego popołudnia Christine rozpułyła się w powietrzu. Ale kiedy ludzie rozchodzili się do pomieszczeń, w których odbywały się ich zajęcia, wciąż rozmawiali o zaginionej kobiecie. Wiadomość się rozejdzie.



Jen zobaczyła w oddali Gaby Henry zbliżającą się do budynku i tak skupiła na niej uwagę, że prawie przeoczyła przechodzącego obok mężczyznę. Był jakoś znajomy, ale początkowo nie mogła się zorientować, kto to taki. Niski, łysiejący, w średnim wieku i ubrany bardziej odpowiednio na spacer po okolicy niż do odwiedzin w centrum sztuki, w sztruksowych spodniach i butach turystycznych. W rękę miał podkładkę do pisania. Ostatecznie identyfikację ułatwiła lornetka zawieszona na szyi. Colin Marston, mieszkający z żoną w domku poborcy myta przy drodze do Crow Point. Jen odwróciła głowę w nadziei, że jej nie zauważył albo co najwyżej uznał ją za kolejną kobietę z rozczochranymi włosami i w ekscentrycznym ubraniu. Zanim z nim porozmawia, chciała dowiedzieć się czegoś więcej o jego związkach z Woodyard. Minał ją i wszedł do głównej części budynku.

Przeniósła uwagę z powrotem na Gaby. Dziś plastyczka była ubrana cała na czarno – długa, czarna suknia, czarne rajstopy i czarne buty motocyklowe. Czerwona skórzana torba przewieszona przez pierś jak kabura na koalicjyce. Charakterystyczna czerwona szminka. Jen pomachała do niej, gdy Gaby zbliżyła się do budynku.

Odpowiedziała takim samym gestem i przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby chciała podejść, ale rozmyśliła się i zniknęła w tłumie. Zanim Jen ruszyła za nią, zadzwoniła jej komórka. Nieznany numer.

– Słucham, Jen Rafferty.

– Sierżant Rafferty, tu Caroline Preece. Dałaś mi swoją wizytówkę i powiedziałaś, żebyśmy zadzwoniły, jeżeli będziemy miały coś ważnego do przekazania.

– Tak.

– No cóż. Mam coś, co chciałabym ci pokazać. Ale nie mogę wyjść ze Świętego Cuthberta. Czy mogłabyś się tu zjawić?



Święty Cuthbert znajdował się w środku Barnstaple, przy wybrukowanej alejce prowadzącej do przytułków zbudowanych z pruskiego muru, starych, ale wciąż używanych zgodnie z przeznaczeniem jako domy opieki nad seniorami. Była zbyt wąska dla samochodów, ale piesi używali jej jako skrótów pomiędzy dwiema ruchliwymi ulicami. Sam kościół był późniejszy, wiktoriański i zbyt wspaniały, by pasować do otoczenia. Odwrócony tyłem do ulicy, tłumił hałas przejeżdżających samochodów. Obok niego, otoczona trawnikiem z rosnącymi na nim kilkoma starymi dębami, znajdowała się dawna szkoła, równie stara jak przytułki. Przez wiele lat korzystano z niej jako sali parafialnej, ale niedawno odnowiono ją i oddano do dyspozycji organizacji charytatywnej, w której pracowała Caroline Preece. Jen zawsze lubiła tę część miasta. Czuliła się tu, jakby cofnęła się w czasie i trafiła do oazy spokoju.

Chudy, młody człowiek o fatalnej cerze stał przed dawną szkołą i palił skręta. Nie zwrócił uwagi na Jen. Drzwi miały ościeżnicę zwieńczoną łukiem i były zamknięte. Dzwonka nie było. Młody człowiek w końcu spojrzał na nią.

– Musi pani pójść naokoło, do tylnego wejścia.

Budynek miał z tyłu dobudówkę łączącą go z kościołem, nowy krużganek z kamienia i drewna. Był pięknie wykonany, ale Jen zastanawiała się, jak udało się ominąć przepisy budowlane. Niewątpliwie stara szkoła była w spisie zabytków. Być może Christopher Preece wykorzystał swoje wpływy w zarządzie albo pozwolono postawić dobudówkę, ponieważ nie była widoczna bezpośrednio z ulicy.

Gdy Jen podeszła do drzwi prowadzących do nowszej części budynku, pojawił się młody mężczyzna w koloratce. Skinął jej głową i poszedł krużgankiem do kościoła. Jen doszła do wniosku, że pewnie był to Edward, wikary Caroline.

Wewnątrz znajdowała się recepcja z biurkiem, przy którym kobieta w średnim wieku wpatrywała się w ekran komputera. Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

– W czym mogę pomóc?

- Przyszłam spotkać się z Caroline Preece. Jestem Jen Rafferty.
- Oczywiście. Powiadomię ją, że pani tu jest.

Caroline poprowadziła ją obok sal, w których najwyraźniej odbywano różne formy terapii grupowej. W jednej z nich na podłodze leżała kobieta. Uprawiała jogę albo jakąś inną formę medytacji. Jen podobał się koncepcja jogi, ale sama nie miała do niej cierpliwości. Budynek był zwodniczo przestronny i jasny. Na ścianach wisiały plakaty, quasi-religijne przedstawienia tęczy i gołębic, ze sloganami o czerpaniu mocy i miłości do wewnętrznego „ja”. Można było odnieść wrażenie, że mówienia o miłości oraz możliwości odkupienia jest tu aż za dużo, i w rezultacie Jen miała ochotę komuś przyłożyć.

Gabinet Caroline mieścił się w starej szkole. Zapewne kiedyś była to mała klasa, ale obecnie biurko, regały i szafki na dokumenty łśniły nowością. Przez okno widać było dziedziniec i drzewa. Dwa fotele stały przy niskim stoliku koło biurka. Caroline usiadła w jednym z nich i czekała, aby Jen zrobiła to samo. Sierżant podejrzewała, że tu właśnie rozmawia z interesantami, zdesperowanymi ludźmi o skłonnościach samobójczych, z chorymi.

– Chciałaś mnie widzieć. – Jen i tak zamierzała z nią porozmawiać, ale doszła do wniosku, iż dobrze będzie, jeżeli Caroline uzna, że wyświadczyła jej uprzejmość, przychodząc tutaj.

Caroline wyjęła klucz Yale na kółku z przyczepionym do niego plastikowym ptakiem i położyła go na biurku.

– Znalazłyśmy go wczoraj. W zasadzie Gaby znalazła go w praniu, które Simon zostawił w pralce. Pomyślałam, że może to być coś ważnego.

Leżał na stoliku między nimi. Potwierdzenie teorii, że Walden miał gdzieś kryjówkę. Myślała o niej jako o tajemnym miejscu, ponieważ nigdy o nim nie wspominał, prawda? Wszyscy uważali go za bezdomnego i przyjęto go z dobroci serca. Ale warto to ponownie sprawdzić.

– Nie wiesz, do czego może być? Nigdy nie wspominał o innym miejscu zamieszkania?

Caroline pokręciła głową.

– Ten ptak to albatros, prawda? Jak tatuaż na jego karku. Musiał należeć do Simona.

– Może do jego dawnego domu, domu jego żony – zasugerowała Jen, chociaż ani przez chwilę w to nie wierzyła. – Mógł go zatrzymać z powodów sentymentalnych.

– Nie sądzę. – Caroline znowu pokręciła głową. – Zawsze mówił, że zostawił dawne życie za sobą.

Jen pomyślała, że wyślą zdjęcie klucza i kółka z przywieszką do Kate, aby to sprawdzić.

– Miałam zamiar się z tobą spotkać – stwierdziła. – Musimy znowu porozmawiać o Simonie Waldenie.

– Jasne. – Caroline zamrugnęła oczami zasłoniętymi wielkimi, okrągłymi okularami. – Oczywiście. Zrobię wszystko, żeby pomóc.

– Kiedy tamtej nocy zjawiał się w kościele pijany, zdesperowany, uznałaś, że jest bezdomny?

– Tak. – Jen wyczuła jednak, że Caroline straciła już pewność siebie. Na zewnątrz, w korytarzu, słychać było kroki, jakby ktoś chodził tam i z powrotem.

– Czy powiedział, że nie ma gdzie mieszkać?

– Tamtej nocy był tak zagubiony i przygnębiony, że w ogóle niewiele mówił. A w każdym razie nic, co miałoby jakiś sens. – Caroline przymknęła oczy, jakby usiłując sobie przypomnieć. Zatrzymaliśmy go w Świątym Cuthbercie, ponieważ pozostawienie go samego było niebezpieczne. Czuł tak wielkie obrzydzenie do samego siebie. Ewidentnie miał myśli samobójcze. Mówił, że lepiej, żeby nie żył.

– To był koniec października. Halloween.

– W Kościele nie uważamy tego za święto. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Ale tak, pamiętam, że zanim poszłam na spotkanie, dzieci biegały po Hope Street i wymuszały słodycze. – Milczenie. – Gaby je zachęcała. Przebrała się za czarownicę i wyskakiwała z ukrycia, kiedy pukały do drzwi, aby je przestraszyć. – Znowu milczenie. – Chyba po prostu założyłam, że jest bezdomny. Odszedł rankiem następnego dnia z potwornym kacem, ale w kolejnym

tygodniu znowu się pojawił. Czekał przed drzwiami, kiedy o dziewiątej przyszedłam do pracy. Zaprowadziłam go do mojego biura, aby dokonać oceny. Chciałam poznać jego historię medyczną. Oświadczył, że od kiedy wyszedł z wojska, nie widział lekarza. – Spojrzała na Jen. – Wtedy zapytałam go o adres, bo musiałam go mieć do dokumentacji.

– I co odpowiedział?

– Właściwie nic – odparła Caroline. – W każdym razie nic konkretnego. Pomyślałam wtedy, że jest zakłopotany, bo nie ma dachu nad głową. Nie wyglądał, jakby od dawna sypiał na ulicy, ale uznałam, że może pomieszkuje gdzieś na waleta. Albo że została w nim jakaś duma i znalazł sobie jakieś miejsce, żeby wziąć prysznic. Niektórzy chodzą do centrów sportowych. Powiedział mi, że przestał pracować w hotelu pod koniec września, a jego zakwaterowanie wiązało się z zatrudnieniem. Wyciągnęłam wniosek, że od tej pory nie znalazł nigdzie stałego miejsca zamieszkania. Może powinnam bardziej go nacisnąć, dowiedzieć się, jak sobie radził w międzyczasie.

– Wydaje się, że miał pieniądze. I przypuszczamy, że mógł wynajmować coś w innym miejscu. Czy może pani wyjaśnić, dlaczego zgodził się na pokój przy Hope Street, skoro miał własne mieszkanie?

Zapadła cisza zakłócana jedynie skrzeczeniem mew za oknem, ciągłymi krokami człowieka w korytarzu.

– Może był samotny – odezwała się w końcu Caroline. – Może obawiał się, że jeśli będzie mieszkać sam, zrobi coś głupiego. Dobrze się zaaklimatyzował w Świętym Cuthbercie, ale działamy tylko za dnia. Noce musiały mu się wydawać bardzo długie i bardzo samotne.

Jen pokiwała głową. Miało to sens. Możliwe, że Walden uznał, że nie będzie mile widziany na Hope Street, jeśli kobiety dowiedzą się, że ma już dom. Gaby i bez tego zachowywała się nieprzyjemnie. Byłaby zadowolona, gdyby miała taki pretekst, żeby go wypędzić.

– Zaginęła kobieta z zespołem Downa, która przychodzi trzy dni w tygodniu do ośrodka opieki dziennej w Woodyard. – Wiatr poruszał młodymi liśćmi na drzewie za oknem. – Nazywa się Christine Shapland. Czy to coś ci mówi? Czy Simon kiedykolwiek o niej wspominał? Wiemy, że zaprzyjaźnił się z Lucy Braddick, inną kobietą przychodzącą do ośrodka.

Caroline pokręciła głową. Jen pomyślała, że wciąż stara się przetrwać wiadomość, że Walden korzystał z jej miłosierdzia, a jednocześnie mógł mieć własny dom. Czy czuła się oszukana, bo nie zaufała jej wystarczająco, żeby się jej zwierzyć? Myślała, że ocaliła go propozycją udostępnienia pokoju, zapewnienia towarzystwa. Teraz wyglądało na to, że wcale nie potrzebował jej tak bardzo, jak wierzyła.

– Oczywiście, to może być zbieg okoliczności – ciągnęła dalej Jen – ale wydaje się dziwne. Dwa dramaty związane z Woodyard w czasie kilku dni.

Czekała, aby Caroline skomentowała jej słowa. Jednak nie zareagowała i Jen mówiła dalej.

– W czasie paru tygodni przed śmiercią Simon jeździł do Lovacott tym samym autobusem co Lucy i siadał obok niej. Możesz to wyjaśnić?

– Nie! – Caroline sprawiała wrażenie załamanej. Jej idealny podopieczny, człowiek, którego jej zdaniem uleczyła, uczyniła znowu sobą, miał przed nią tajemnice i odprowadzał do domu kobietę z zaburzeniami. Może był drapieżnikiem, śledzącym ją dewiantem, całkiem innym, niż uważała.

Jen zastanawiała się, czy mogłoby to podkopać wiarę Caroline w wykonywaną pracę. I czy teraz będzie się chętniej dzielić informacjami o Waldenie, kiedy już odkryła, że on nie był z nią całkowicie szczery. Grzechy zaniedbania pozostawały grzechami.

– Dlaczego myślisz, że Simon mógł chcieć ukryć wszystkie te tajemnice?

– Nie przypuszczam, że miał jakieś tajemnice – odparła Caroline.  
– Był skryty, i to wszystko. Po prostu mógł chronić swoją prywatność.

Jen miała już oznajmić, że to bzdury i tylko wymyślił całą tę historię, która niewiele miała wspólnego z prawdą, kiedy zadzwonił jej telefon. Ross.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Wyszła z gabinetu do korytarza.

Od razu wyczuła, że Ross jest podniecony. Wiedziała, że miał być na mokradłach, rozmawiać z wolontariuszami oraz ludźmi systematycznie spacerującymi tam z psami i pokazywać im zdjęcie Christine Shapland.

– Ktoś widział zaginioną?

– Nie – odparł. – To ślepa uliczka. Całkowita strata czasu. Ale właśnie miałem telefon z Barnstaple. Znaleźli to.

Pomyślała, że wie, o czym Ross mówi, ale mimo wszystko zapytała.

– Co znaleźli?

– Mieszkanie Waldena.

– A więc miałam rację.

Ale Ross nie słuchał i z całą pewnością nie był gotów uznać jej chwili triumfu.

– Jest w Braunton. Mieszkanie nad punktem bukmacherskim. Jedna z ulic odchodzących od głównej. Już tam jadę.

– No jasne.

– Nie możemy jeszcze wejść do środka. Agent wynajmujący mieszkanie jest jedyną osobą dysponującą kluczem, a wyjechał na cały dzień. Matthew powiedział, żebyśmy się tam spotkali najszybciej, jak się da. Może uda nam się znaleźć sposób, żeby wejść do środka. Podejrzewa, że pracownicy w punkcie bukmacherskim mogą mieć klucz.

– Nie ma takiej potrzeby. – Umilkła, rozkoszując się chwilą. – Chyba to ja go mam.







## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Matthew był u Rosy Holsworthy i jej rodziców, kiedy otrzymał wiadomość, że Jen miała rację i Simon rzeczywiście nie był bezdomny. Poszedł odwiedzić Holsworthych pod wpływem impulsu; wczoraj wieczorem zapomniał poprosić kogoś, aby to zrobił. Poza tym mieszkali blisko komendy, w rzędzie domów, które kiedyś wychodziły na dawno już nieistniejący targ bydła, i ucieszyła go możliwość spaceru.

Rosa była młodsza niż Lucy Braddick, szczuplejsza i ciemnowłosa. Mniej dojrzała. Matthew nie zorientowałby się, że ma problemy z przyswajaniem wiedzy, gdyby nie ledwo dostrzegalny niepokój w jej spojrzeniu, wrażenie, że świat jest dla niej tajemnicą, miejscem, gdzie nie czuje się bezpieczna. Wciąż podrygiwała, jakby nie mogła ustać spokojnie. Kiedy mu ją przedstawiano, uśmiechnęła się przelotnie.

– Wszystko w porządku? – Jakby musiała się upewnić, że wszyscy wokół niej czują się dobrze. Jakby chciała ich zadowolić. A może to było takie przyzwyczajenie. Oboje rodzice byli z nią w domu. Ron Holsworthy chodził o lasce.

– Artretyzm – wyjaśniła jego żona. – Ma to od młodości. Musiał zrezygnować z pracy i strasznie cierpi. Opieka społeczna zabrała mu zasiłek. Uznali, że gdyby zechciał, mógłby pracować. Sama pracuje nocami w domu spokojnej starości.

– To musi być trudne.

Byli wobec niego nieufni, a zgodzili się na jego wizytę tylko dlatego, że nalegał. Matthew pomyślał, że ich całe życie było walką – z biurokracją, lekarzami, pracownikami opieki społecznej. Mogli

być podejrzliwi wobec każdego przedstawiciela władzy, który pojawił się na ich progu.

– Zabraliście państwo Rosę z Woodyard.

– Nigdy się jej tam nie podobało – powiedział Ron. – To było za duże miejsce. Inne niż ośrodek, w którym bywała przedtem.

– Nic się nie wydarzyło? Nic, co skłoniłoby państwa, żeby ją stamtąd zabrać?

– Nie, do niczego takiego nie doszło – stwierdziła Janet, matka Rosy. – Woleliśmy po prostu, żeby była w domu. Kiedy ja pracuję, Ron ma towarzystwo, a Rosa to dobra dziewczyna. Opiekuje się nim, robi mu herbatę, kiedy musi iść do łazienki, pomaga mu.

Matthew pokiwał głową. Doskonale rozumiał, dlaczego państwo Holsworthy postanowili zatrzymać córkę w domu. Była osobą, którą należało się opiekować, ale także opiekunką.

– W dawnym ośrodku opieki była przyjaciółką Christine Shapland. Christine zaginęła. Zastanawiam się, czy może macie państwo jakiś pomysł, gdzie może się znajdować.

Mąż i żona popatrzyli na siebie z przerażeniem. I być może z poczuciem, że podjęli słuszną decyzję, zatrzymując córkę w domu.

– Nie – odparł Ron. – Nie widzieliśmy Christine, od kiedy Rosa przestała chodzić do Woodyard. Najczęściej pozostajemy tylko we własnym gronie. Czasami rozmawiam z Maurice'em Braddickiem, bywa tu z córką na herbacie. Ale bardzo rzadko. Czasem całymi dniami nie widzę żywej duszy. Janet odsypia nocę. Pozostaje tylko Rosa. Zginąłbym bez niej.

Matthew właśnie znowu pomyślał, że rodzice mają ważny powód, aby trzymać Rosę w domu, kiedy otrzymał wiadomość, że odnaleźli tajną kwaterę Waldena.



Matthew stał z Rossem przed punktem bukmacherskim, czekając na Jen. Ross zabrał go z komendy i razem pojechali do Braunton. Stojąc na chodniku, musieli wyglądać jak dwaj ociągający się klienci.

Ross był zdania, że powinni wejść do środka i poprosić kierownika punktu o klucz do mieszkania piętro wyżej, ale Matthew postanowił, że trochę jeszcze poczekać – chciał najpierw wczuć się w okolicę. Przeszli nieco dalej, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Bądź co bądź, bywali tu głównie miejscowi i obcy budzili zainteresowanie. Na rogu znajdował się sklepik z podstawowymi artykułami, nieco dalej z materiałami budowanymi i piekarnia, w której sprzedawano ciastka z lukrem o jaskrawych barwach. Nic zdrowego. Nic dla turystów. Nadal wiał łagodny, zachodni wiatr. Matthew wyobraził sobie Waldena żyjącego w tym mieszkaniu, wychodzącego od czasu do czasu, aby kupić jedzenie i gorzałę. Przeżywał trudne chwile. Był przygnębiony, dręczony poczuciem winy i ostro pił. Gdyby nie to, dlaczego pojawił się w kościele w Barnstaple, szukając zbawienia? Dlaczego przeniósł się do domu na Hope Street?

Wszedł do sklepu spożywczego, pozostawiając Rossa na zewnątrz. W środku było niemal pusto – zbyt późno dla dzieci kupujących słodycze po drodze do szkoły, za wcześnie dla klientów kupujących jedzenie na lunch. Na półkach za ladą stały słoje ze staroświeckimi wyrobami cukierniczymi – cytrynowymi landrynkami, rabarbarowymi i śmietankowymi cukierkami do żucia, miętówkami. Właśnie tutaj Walden musiał kupować słodycze, którymi częstował Lucy. Venn pokazał mężczyźnie za ladą zdjęcie Simona.

– Poznaje go pan?

Sklepiarz pochodził z Azji Południowej, był przystojny, o lśniących włosach. Oderwał spojrzenie od swojego telefonu i przyjrzał się fotografii.

– Tak. Przez jakiś czas był stałym klientem, a potem przestał przychodzić. Pomyślałem, że się wyprowadził. Ale ostatnio znowu pojawił się kilka razy.

– To człowiek, którego zabito przy Crow Point. Przypuszczamy, że mieszkał gdzieś w pobliżu.

Mężczyzna pokręcił głową, jakby nic mu to nie mówiło. Na ladzie leżał stos „North Devon Journal” z nagłówkiem: *Mężczyzna zabity*

w miejscowej atrakcji turystycznej, wielkim i krzykliwym. Sklepiarz najwyraźniej sprzedawał gazety, ale ich nie czytał.

– Czy może mi pan coś o nim powiedzieć? Czy przyjaźnił się z kimś w okolicy?

– Przykro mi. – Brzmiało to szczerze. Mężczyzna obecnie poświęcał Matthew pełną uwagę. – Na początku przychodził do sklepu co kilka dni, to wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

– Co kupował?

Na to pytanie ekspedient odpowiedział bez problemu.

– Herbatę, mleko i chleb. Oraz alkohol. Zawsze alkohol. – Po chwili dodał: – Pomyślałem, że musiał skończyć z piciem, bo kiedy był tu ostatnio parę razy, kupował tylko słodczyce. Być może mu w tym pomagały. Jak tym ludziom, którzy rzucają palenie.

Przez szklane drzwi Matthew zobaczył Jen idącą ulicą w ich stronę. Miała na sobie długi niemal do kostek płaszcz przeciwdeszczowy i otulała się nim, chroniąc się przed mżawką. Głowę miała odkrytą, a jej rude włosy były eksplozją koloru pośród okolicznej szarości. Zeszła z chodnika, aby przepuścić starszą kobietę z wózkiem na zakupy. Matthew podziękował sklepiarzowi i wyszedł na zewnątrz.

– Przepraszam, że musieliście czekać. Rozmawiałam z Caroline w Świętym Cuthbercie i nie mogłam wyjść bez pożegnania. – Jen, uśmiechając się szeroko, zamaszystym gestem wyciągnęła klucz z kieszeni niczym magik królika z cylindra. – Mam nadzieję, że będzie pasował. W przeciwnym razie wyjdę na zupełną cipę. – Uniosła go tak, żeby mogli zobaczyć przywieszkę w kształcie albatrosa. – Gaby Henry znalazła go w rzeczach pozostawionych przez Waldena w pralce.

Pasował. Klucz obrócił się w zamku gładko i bez trudu. Drzwi do mieszkania wychodziły prosto na chodnik i znajdowały się obok wejścia do punktu bukmacherskiego. Za nimi widniała wąska, pusta klatka schodowa. Stanęli tuż za drzwiami, aby bez zwracania powszechnej uwagi z trudem nałożyli kombinezony w ciasnym korytarzu oświetlonym gołą żarówką wiszącą nad ich głowami.

– Halo! – zawołał Matthew w górę schodów. Wciąż miał irracjonalną nadzieję, że może znajdą tu Christine Shapland, i nie chciał, żeby się przestraszyła. Trójka policjantów wyglądająca jak z filmu grozy w maskach i kombinezonach mogła zrobić na niej wrażenie jakichś kosmitów, a nie ludzi.

Odpowiedzi nie było, więc wszedł na górę.

Oczekiwał, że zobaczy pustą, czystą, zorganizowaną przestrzeń, jak w sypialni Waldena w Ilfracombe. Facet był w wojsku. Nawet w depresji mógł z przyzwyczajenia dbać o porządek. Ale zastali chaos. Schody prowadziły prosto do przestrzeni mieszkalnej, kuchni i pokoju dziennego odseparowanych barem śniadaniowym. Podłoga była zasypana sztućcami i potłuczonymi talerzami, szuflady były wywrócone dnem do góry, sypkie produkty wyrzucono z opakowań, a szare linoleum było pokryte niebieskim proszkiem do prania niczym śniegiem. Za barem stała mała sofa i szafka z telewizorem. Poduszki wyciągnięto z powłoczek, dół sofy był pocięty, a zawartość szafki leżała na podłodze. Detektywi stali nieruchomo.

– Co o tym myślicie? – odezwał się Ross. – Waldenowi odbiło? Miał jakiś psychiczny atak i rozpieprzył mieszkanie?

– Nie sędzę, żeby zrobił to Walden. – Chociaż wyglądało to na chaotyczny bałagan, Matthew uznał, że czegoś szukano. I zrobił to ktoś, kto bardzo się spieszył albo był zbyt zdesperowany, aby załatwić sprawę cicho i ostrożnie. Ale kipsisz przeprowadzono dokładnie. Jeżeli szukano czegoś konkretnego, zapewne zostało to znalezione. Mało prawdopodobne, aby policyjne przeszukanie zdołało coś odkryć.

Starął się myśleć wolno i metodycznie, ale ten bezsensowny chaos grał mu na nerwach, utrudniając precyzyjne rozumowanie.

Przeszedł przez sypialnię, zdając sobie sprawę, że Ross i Jen idą za nim. Nagle przyszło mu do głowy, że Walden byłby wściekły. Z powodu najścia. Bałaganu. Miał nadzieję, że nie widział tego przed śmiercią. Co prowadziło do pytania, *kiedy* mieszkanie zostało splądrowane. Z całą pewnością po śmierci Waldena, uznał Venn. Nie było śladów włamania. Być może klucz znaleziony w praniu Simona

był zapasowy, a użyto tego, który ukradziono zabitemu razem z telefonem komórkowym, portfelem i kartami kredytowymi. Chyba że miały w tym udział kobiety z domu przy Hope Street i były bardzo, ale to bardzo sprytne, a po rewizji Gaby tylko udawała, że znalazła klucz w pralce.

Walden miał w sypialni fotografie, ale były nietknięte. Wszystko świadczyło, że intruz szukał czegoś większego niż skrawek papieru łatwy do ukrycia za zdjęciem. Szkła nie były potłuczone. Kolejna wskazówka, że była to rewizja, a nie zemsta czy działania spowodowane nienawiścią. Zdjęcia przedstawiały tę samą kobietę w różnym wieku, od uczennicy po elegancką bizneswoman, stojącą dumnie przed restauracją.

– Jego żona?

Jen kiwnęła głową.

– Tak, to ona. Chyba nadal był w niej trochę zakochany.

Poza tym zobaczyli tylko dwie inne fotografie: pary w starszym wieku i samego Waldena w mundurze, w otoczeniu kolegów żołnierzy. Obejmowali się ramionami i śmiali się.

Jen wskazała jednego z mężczyzn na zdjęciu.

– Alan Springer, gość, z którym rozmawialiśmy w Bristolu. Ten, który twierdzi, że Walden wisił mu pieniądze.

Reszta pokoju zarzucona była stertami ubrań i pościeli. W małej łazience zerwano panele wokół wanny i zdjęto pokrywę ze spluczki. Poza tym żadnych szkód nie było.

– Zamkniemy mieszkanie i wezwiemy techników. – Matthew uznał, że nie ma sensu zwiększać bałaganu i zaczynać własnego przeszukania. – Wątpię, by osoba, która to zrobiła, zostawiła swoje odciski palców, ale byłoby ciekawie sprawdzić, czy był tu ktoś inny, kto pojawia się w dochodzeniu.

Stali na zewnątrz, a Ross dzwonił. Padał już normalny deszcz, może nie ulewny, ale podstępny i zwodniczy. Matthew czuł, jak woda spływa mu po szyi pod kołnierzykiem koszuli. Otworzył drzwi do bukmachera i wszedł do środka. Za kontuarem stała kobieta w średnim wieku. Paru mężczyzn tkwiło przed automatami do gier,

a jeszcze jeden stał przylepiony do telewizora nadającego relację z wyścigów konnych. Wszyscy zerknęli na niego przelotnie, a potem wrócili do swoich zajęć. Z wyjątkiem kobiety za kontuarem. Odwróciła się w jego stronę.

– Siema!

Miał wrażenie, że zabłąkał się do innego, kuszącego świata. Oczywiście, Bractwo zdecydowanie ganiło hazard, grzech stawiany na równi z cudzołóstwem i sodomia. A także nienoszeniem kapelusza na zebraniach. Tu było ciepło i przytulnie. Jako dziecko przemykał obok drzwi salonów gier i bukmacherów, obawiając się, że może ulec pokusie. Nawet teraz sam pobyt tutaj wywoływał dreszczyk grzesznej przyjemności.

Kierowniczka miała plaketkę z imieniem Marion. Przedstawił się, ale nie wyjaśnił prawdziwego powodu zainteresowania mieszkaniem na piętrze. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, było, aby opowiedziała o tym prasie. – Wygląda na to, że na górze doszło do włamania. Ciekaw jestem, czy coś słyszałaś.

– No nie! – Była zaciekawiona, ale uznał, że nie skojarzyła lokatora z człowiekiem zabitym przy Crow Point. – W tych czasach człowiek nigdzie nie jest bezpieczny, prawda? Dużo zabrali?

– Trudno powiedzieć. – Umilkł. W tym samym czasie konie skończyły bieg i gracz z obrzydzeniem podał kupon. – A więc nic nie słyszałaś?

Pokręciła głową.

– Nie byłam nawet pewna, czy lokal nadal jest wynajęty. Nigdy nie widziałam nikogo idącego na górę. Pomyślałam tylko, że muszą cały dzień być w pracy.

– I nikt nie kręcił się na zewnątrz?

Roześmiała się.

– Każdy, kto kręcił się na zewnątrz, mógł być moim klientem, który wyskoczył na dymka.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i już miał wyjść, kiedy zawołała go z powrotem.



– Poczekaj, jest list do niego. Przyszedł parę dni temu. Był za duży do skrzynki i trzeba było podpisać odbiór, więc listonosz przyniósł go do nas. Jeden z młodziaków obsługiwał i go odebrał. Gdyby listonosz trafił na mnie, powiedziałabym mu, że to nie ma sensu. Nigdy nie widzieliśmy lokatora i nie mamy klucza.

Odpowiedź na kolejne pytanie.

Zniknęła w pokoju na zapleczu i pojawiła się z dużą, białą kopertą. Wziął ją od niej i opuścił ciepłe, przyjemne pomieszczenie. Ross i Jen wciąż stali na chodniku z nieszczęśliwymi minami. Położył im dłonie na ramionach i poczuł, jak mokre są ich płaszcze.

– No dalej! Na co czekamy?



Siedzieli w jego gabinecie. Zrobił im kawę, ponieważ nigdy nie chciał być szefem, który wymagałby od podwładnych, aby go obsługiwali, a poza tym wiedział, że gdyby ich o to poprosił, nigdy nie otrzymaliby porządnego napoju. Odesłał Rossa i Jen jej samochodem, a sam czekał na parkingu w końcu alejki w aucie, którym przyjechał Ross, do chwili, kiedy otrzymał esemesa od techników, że są już na miejscu i czekają, aby wpuścić ich do środka. Teraz położył wciąż nieotwartą kopertę przed nimi na biurku.

– Pozostawiono ją dla Waldena u bukmachera. Sprawdziłem stempel. Nadano go zaledwie tydzień temu.

Wziął nóż do papieru i rozciął górę koperty, nie oderwał zaklejonej części. Obecnie większość kopert była samoprzylepna, ale jeżeli trzeba było ją poślinić, być może na kleju znajdzie się DNA.

W środku znajdowała się gruba broszura formatu A4, informująca o usługach kancelarii adwokackiej Morrish i Sandford w Exeter. Był też list na grubym, kremowym papierze, napisany przez jednego z adwokatów, Justina Cramera.

*Piszę, aby potwierdzić termin Pańskiej wizyty uzgodniony telefonicznie w dniu dzisiejszym, i załączam prospekt*

*przedstawiający świadczone przez nas usługi. Czekam na sposobność porozmawiania o Pańskich problemach w czasie naszego spotkania w dniu 11 marca o 10.30 w naszych biurach.*

Wizyta miała nastąpić za niecały tydzień. Nie było wzmianki, jakie problemy skłoniły Waldena do kontaktu z prawnikami. Matthew zastanawiał się, po co mógł mu być potrzebny adwokat. Może postanowił kupić nieruchomość za całe posiadane pieniądze. Ale dlaczego wybrał kancelarię w Exeter, oddalonym o co najmniej godzinę jazdy? Bo dostarczała potencjalnym klientom eleganckie broszury na lśniącym papierze? Matthew miał właśnie zadzwonić na numer podany w liście, kiedy do drzwi gabinetu zastukała Vicki, młoda posterunkowa odpowiedzialna za poszukiwania Christine Shapland. Była zaczerwieniona, podekscytowana.

– Pomyślałam, że chciałby pan o tym wiedzieć. Otrzymaliśmy meldunek. Pasażer autobusu do Lovacott uważa, że widział Christine. To jednak może nie być nic istotnego. Powiedział, że dostrzegł ją przelotnie z autobusu. Koło lasku przy stawie. Kiedyś stał tam duży dom, ale wiele lat temu spłonął i nie pozostało z niego zbyt wiele. Ktoś tam siedział, niedaleko wody. Było zbyt daleko, aby mógł dostrzec twarz, ale rozpoznał odzież, opisał ją dokładnie.





## *Rozdział dwudziesty drugi*

Jechali w kierunku Lovacott, ale deszcz już nie padał. Gdy wysiadali z samochodu, chmury rozstąpiły się na tyle, aby przepuścić snopy światła słonecznego. Ziemia pod nogami była jednak mokra, woda kapała z drzew, a po oczekiwaniu przed mieszkaniem Waldena w Braunton płaszcz Jen był nadal wilgotny. Umierała z głodu, nie mogła przypomnieć sobie, kiedy ostatnio jadła. Chciała wpaść na chwilę do kantyny, żeby kupić jakąś czekoladę czy kanapkę, ale szef oświadczył, że nie ma na to czasu. Jen pomyślała, że przejmuje się zaginioną kobietą tak, jakby to była dla niego sprawa osobista.

Zaparkowali na poboczu przy samym skraju długiego pasa trawy, aby nie utrudniać przejazdu innym samochodom. Matthew polecił jej prowadzić i usiadł obok niej z mapą rozłożoną na kolanach, głośno informując, jak ma dalej jechać. Był pod tym względem staroświecki i nie ufał nawigacji satelitarnej. Zostawili Rossa na komendzie, aby zadzwonił do adwokatów w Exeter, i wszyscy byli zadowoleni z tego ustalenia. Matthew uznał, że nie powinni pojawić się tam całym tłumem. Jeżeli Christine Shapland rzeczywiście tam jest, i tak mogła być wystarczająco przerażona.

Byli już na zewnątrz. Wszystko naokoło lśniło i wyglądało dziwnie. Światło słoneczne padające przez prześwitę w chmurach sprawiało wrażenie bardziej jaskrawego niż zazwyczaj, bardziej skupionego, elementy krajobrazu prezentowały się jak oświetlone reflektorem. Przeszli przez bramę o pięciu poziomych belkach i ruszyli szpalerem drzew w kierunku stawu. Kiedyś był to zapewne park, artystyczna aranżacja mająca zapewnić idylliczny widok

z wielkiego domu. Teraz sprawiała wrażenie bezsensownej, nieco szalonej. Surrealistycznej.

Po wyjściu z samochodu Jen pomyślała, że będzie to szukanie wiatru w polu. Jak kobieta taka jak Christine Shapland mogła dotrzeć aż tutaj? To miejsce znajdowało się wiele mil od jej domu. A jeżeli ktoś ją tu przywiózł, nie wróżyło to niczego dobrego. Są ludzie, którym sprawia przyjemność poniżanie tych, którzy są ufnie i odmienni. Stanowią łatwą ofiarę. Jeżeli Christine stała się celem człowieka czującego potrzebę dominacji, uważającego, że okrucieństwo ujdzie mu na sucho, równie dobrze mogą szukać zwłok, a nie żywej kobiety, głodnej i wdzięcznej za odnalezienie. Jen przeżyła wstrząs, uświadamiając sobie, że poszukiwanie również dla niej stało się czymś osobistym. Jej samej trudno było stawiać opór mężczyźnie usiłującemu ją zdominować, o tak żalonym ego, że aby udowodnić swoją siłę, musiał bić kobietę. Dla kogoś takiego jak Christine, zdeorientowanej i już nawykłej do traktowania z góry, protekcyjnie, mogło to być jeszcze gorsze.

Matthew szedł z przodu szybkim krokiem i już dotarł do stawu. Aleja docierała do zaniedbanego lasu i łąnu ziarnopłonów wyglądającego zdumiewająco, niemal nieprzyjemnie w żółtym świetle. Natomiast staw miał cieszyć oczy. Na jednym jego końcu, nad największym fragmentem wody, znajdował się kamienny most. Niczemu nie służył. Brzegi jeziora porośnięte były irysami, stał tu także mały drewniany pomost z wciąż przycumowaną do niego łodzią wiosłową. Dopiero kiedy dotarli bliżej, zobaczyli, że deski pomostu są spróchniałe, a woda pełna wodorostów i zielona od glonów.

– Christine widziano przy moście – stwierdził Matthew. – Nie umiem sobie wyobrazić, dlaczego świadek mógłby zmyślać. Opisał to idealnie. Sam przejeżdżałem we wtorek obok tego miejsca i widać je było wystarczająco dobrze.

Jen czuła, że komisarz usiłuje przekonać bardziej siebie niż ją.

– Obejdźmy staw naokoło, dobrze? – zaproponowała. – Nawet jeżeli już jej tu nie ma, będziemy mogli znaleźć jakieś ślady.

– No cóż, z całą pewnością ktoś niedawno tu był.

Kiedyś nad brzegiem biegła ścieżka, teraz zarośnięta, z trawą rosnącą w szczelinach bruku. W niektórych miejscach była zgnieciona.

– Mógł to być ktokolwiek. Miejsce jest dość szczególne. Sam widzisz, dlaczego może przyciągać spacerowiczów, miejscowych ludzi. – Nie chciała, żeby robił sobie zbyt wielkie nadzieje, a potem się rozczarował.

Jen zobaczyła ją pierwsza. Tuż za mostem stała ławka zasłonięta przez kamienne balustrady. Zrobiono ją z kutego żelaza, kiedyś pomalowano na czarno, ale teraz zżerała ją rdza i farba się łuszczyła. Kobieta leżała na wznak na siedzeniu, z twarzą zwróconą ku słońcu, jakby ciesząc się jego ciepłem. Była ubrana tak, jak podano we wszystkich opisach wysłanych do prasy – granatowe spodnie, fioletowy, zrobiony na drutach kardigan, czarny anorak. Na nogach niebieskie skarpetki i białe adidas. Spodnie były na nią trochę za krótkie i widzieli kilka cali białej nogi. Wszystko mokre, buty i spodnie pochłapane błotem.

Matthew pobiegł przodem, kucnął obok niej i ujął jej rękę, by zbadać puls.

– Nadal żyje. – Odsunął z jej twarzy wilgotne włosy. – Christine. To ja, Matthew Venn. Pamiętasz mnie? Chodziliśmy razem na zebrania.

Jen wyjęła telefon i wybrała numer 999, aby wezwać karetkę.

– Brak zasięgu. Wróć na drogę i sprawdź, czy tam się uda.

Christine otworzyła oczy i usiadła powoli. Wcale nie sprawiała wrażenia przestraszonej, ale osłabionej.

– Przyszedeś – odezwała się. – Powiedzieli, że przyjdiesz. – A potem znowu powieki jej opadły i nie mogli się zorientować, czy zasnęła, czy straciła przytomność.

Ostatecznie Jen została i we dwoje zanieśli Christine do samochodu. Sprawiała wrażenie zziębniętej i dezorientowanej, a jej tętno było tak słabe, że Matthew obawiał się, że nie przeżyje oczekiwania na karetkę.

– Nie ma gwarancji, że na drodze znajdziesz zasięg, a jeżeli była tu całą noc, może mieć hipotermię.

Położyli ją na tylnym siedzeniu, okryli swoimi kurtkami, włączyli ogrzewanie i nawiew gorącego powietrza. Jen prowadziła bardzo szybko, wracając do Barnstaple, a Matthew zadzwonił pod 999 i poprosił o instrukcje.

– Mamy ją zawieźć na ostry dyżur do szpitala okręgowego Północnego Devonu – przekazał Jen. – Będą na nas czekać.

Jen chciała go zapytać, co znaczący słowa Christine. *Przyszedłeś. Powiedzieli, że przyjdiesz.* Na kogo czekała? Nie mogła jednak się dowiedzieć, ponieważ Matthew odwrócił się od niej i sprawdzał stan pasażerki, upewniając się, czy nadal oddycha. A potem znowu zadzwonił.

– Mamo? To ty?

Wiedziała, że to poważna sprawa, ponieważ Matthew *nigdy* nie mówił o swojej rodzinie, która należała do jakiejś dziwacznej sekty i wyrzekła się go jako apostaty. Kiedy go kiedyś zapytała o tę kwestię, odpowiedział jej żartem. Lekceważąco, jakby się tym nie przejmował. Ale wiedziała, że się przejmuje. Świadczył o tym sposób, w jaki zawsze pytał o jej rodzinę, zaniepokojone spojrzenia, kiedy przychodziła do pracy skacowana albo z opowieściami o nowym, nieodpowiednim facecie. Uważał, że nie tak powinna zachowywać się dobra matka, że zawsze powinna na pierwszym miejscu stawiać dzieci. *Poczekaj, aż sam będziesz miał dzieci*, miała ochotę powiedzieć. *Odbierają ci energię i osobowość, a czasami potrzebujesz czasu dla samego siebie. Czuję się wystarczająco paskudnie bez wywoływania we mnie poczucia winy.*

Teraz prowadziła jak wariatka krętymi drogami wśród szpalerów drzew, usiłując dyskretnie słuchać rozmowy pomiędzy szefem a jego mamą. Dobrze, że Jen jest kobietą nieźle dającą sobie radę z wykonywaniem wielu zadań naraz. Pomyślnie było także to, że matka Matthew należała do pokolenia, które uważało, że trzeba krzyczeć do słuchawki, żeby być słyszonym. Dzięki temu Jen słyszała każde słowo obojga rozmawiających.



– Znaleźliśmy Christine – powiedział Matthew. – Chciałem cię poinformować. – Zupełnie jakby mówił o drobnostce, jakby poszukiwania prowadzone od chwili, kiedy dowiedział się o zaginięciu, nie były dla niego udręką.

– Żyje? – Jedno słowo. Pytanie i oskarżenie. Ta kobieta nie mogła uwierzyć, że jej syn odniósł sukces.

– Tak. Ale jest bardzo wyziębiona i trochę zdezorientowana. Wieziemy ją na ostry dyżur.

– Wreszcie! – Nie gratulowała mu znalezienia Christine, ale obwiniła, że nie zrobił tego wcześniej.

– Pomyślałem, że chciałabyś powiadomić Susan. – Powiedział to bez żadnej urazy w głosie. – Przekaż jej, że znaleźliśmy Christine i będzie w szpitalu.

– Dobrze. Mogę tak zrobić.

*Oczywiście, że możesz. Tobie przypadnie wdzięczność, należne komu innemu pochwały.* Przekazywał jej wielki dar.

Matka Matthew nadal mówiła.

– Zadzwoń do kogoś z Bractwa. Zabiorą Susan i zawiozą do szpitala. Będę mogła się z nią tam spotkać.

Na chwilę zapadło milczenie. Jen czuła, że Matthew staranie dobiera słowa.

– Ale nie proś o to Dennisa Saltera. Nie uważam tego za bardzo dobry pomysł. Jest za mocno powiązany z moim dochodzeniem.

Teraz nie odzywała się druga strona. Jen wydawało się, że komisarz jest spięty; spodziewał się, że matka sprzeciwi się jego żądaniu. Dłoń trzymająca komórkę drżała lekko. Kiedy jednak Dorothy Venn się odezwała, przyznała mu rację.

– Dobrze – powiedziała. – Rozumiem, że zapewne tak będzie najlepiej. – Znowu pauza. – Jestem pewna, że znajdę kogoś, kto mieszka bliżej niż w Lovacott, żeby pojechał do Braunton i zabrał Susan.

– Ja też jestem tego pewien.

Wyglądało na to, że rozmowa dobiegła końca. Dojeżdżali do przedmieścia. Matthew miał już wyłączyć telefon, kiedy matka

odezwała się znowu. Dwa słowa, ostre, szorstkie.

– Dziękuję ci.





## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Matthew zostawił Jen w szpitalu przy Christine, a sam ruszył z powrotem do komendy. Chciałby być przy niej, ale nie przypuszczał, żeby pamiętała go po tak długim czasie. Po raz ostatni widzieli się, gdy był nastolatkiem, a teraz wyda się jej tylko kimś obcym. Obcym mężczyzną, wdzierającym się do jej w przeważającym stopniu kobiecego świata. Poza tym Jen łatwiej będzie porozumieć się także z Susan Shapland, miała swobodny, niestwarzający zagrożenia sposób bycia. I lepiej poradzi sobie z jego matką. Było zbyt wiele zaszłości, aby mógł się przy niej rozluźnić. Kusilo go, żeby poczekać i zobaczyć się z Dorothy. Z całą pewnością będzie chciała zachować się uprzejmie, być bardziej ciepła w stosunku do niego. Jednocześnie obawiał się, że nadal będzie zawiedziona i będzie okazywać chłód oraz dezaprobatę. Że nadal będzie obwiniać go o chorobę i śmierć ojca.

Spojrzał na zegarek. Było później, niż przypuszczał, tylko godzina dzieliła go od wieczornej odprawy. Matthew pomyślał, że powinien pojechać do domu, wziąć prysznic, przebrać się w czyste, suche ubranie. A potem przypomniał sobie, że Jonathan dziś pracuje do późna. Nadal będzie w Woodyard. Naraz podróż do domu przestała mu się wydawać tak atrakcyjna. Poza tym musiałby się spieszyć, a nienawidził pośpiechu. Zamiast do domu pojechał do Woodyard i zastał męża w jego gabinecie, pochylonego nad stertą papierów.

Nawet z korytarza Matthew mógł się zorientować, że każda minuta poświęcona na pracę, której nienawidził, jest dla Jonathana katorgą. Doskonale radził sobie z praktycznymi sprawami, nie

obawiał się zajmować instalacją elektryczną czy hydrauliką, potrafił przygotować wymyślny posiłek dla przyjaciół. Ale administracja była jego słabą stroną. Zawsze zmagał się z nią przez wiele dni i ostatecznie Lorraine, jego asystentka, załatwiała wszystko za niego. Zawsze tak robiła. Pewnego razu Matthew zaproponował mu pomoc i była to jedna z bardzo rzadkich sytuacji, kiedy Jonathan stracił panowanie nad sobą. *Chcesz powiedzieć, że nie potrafię wykonać swojej pracy? Że jestem niekompetentny?* Podniósł głos i twarz mu poczerwieniała.

Matthew otworzył drzwi.

– Słyszałeś, że znaleźliśmy Christine? Prosiłem Rossa, żeby cię zawiadomił.

– Tak! – Jonathan wstał i objął Venna, uściśnął go mocno. – Nie wiem, jak ci dziękować. Zacząłem już myśleć, że nigdy jej nie odzyskamy. – Wciąż promieniał, siadając. – Ustaliłeś, co się stało?

– Jeszcze nie. – Matthew usiadł w jednym z foteli stojących przed biurkiem. Przyptyw spowodował, że rzeka wezbrała i światła uliczne na drugim brzegu odbijały się w wodzie. – Z Christine wszystko w porządku, ale nie potrafi wyjaśnić, co zaszło. Co tam robiła. Jest wychłodzona i odwodniona. Wydaje się, że na kogoś czekała. Być może źle zrozumiała coś, co Dennis Salter jej powiedział, usiłowała dostać się na własną rękę do Lovacott i za wcześnie wysiadła z autobusu.

– Ale nie sądzisz, że tak właśnie było. – To nie brzmiało jak pytanie.

Matthew wzruszył ramionami.

– Za wcześnie, by cokolwiek powiedzieć. Sprawdziłem autobus, którym zazwyczaj jeździ Lucy. Jego kierowca nie rozpoznał Christine, a pewnie rzucałyby się w oczy.

W gabinecie zapadła cisza, którą nagle przerwało dobiegające z dziedzińca zawodzenie saksofonu. W barku trwała tradycyjna noc jazzowa. Matthew pomyślał, że obaj powinni tam być, siedzieć w półmroku z butelką wina na stoliku przed nimi, a nie zadręczać się sprawą martwego mężczyzny i kobiety, która tajemniczo zniknęła.

– Chciałbyś, żebym z nią porozmawiał? – zapytał Jonathan. – Nie dziś wieczór, ale jutro, jeżeli wypiszą ją do domu. Znam Christine i jej mamę od lat. Jeszcze z dawnego dziennego ośrodka. Christine nie jest tak pewna siebie jak Lucy, nie bardzo przywykła do obcych osób.

Matthew kiwnął głową.

– Tak, to byłoby dobre. – Ostatecznie jego potrzeba zobaczenia się z Jonathanem przyniosła jakieś pozytywne rezultaty. – Muszę iść. Wieczorna odprawa.

– A ja muszę skończyć tę pieprzoną papierkową robotę. Nie potrafię dodać nawet prostych liczb. Zobaczymy się w domu. Przy tym tempie mojej pracy będziesz tam przede mną.

– Nie wracaj zbyt późno. – Była to wypowiedź najbardziej zbliżona do żądania, na jaką Matthew potrafił się zdobyć, ale mimo wszystko miał wrażenie, że ryzykuje.



Znowu sala odpraw komendy. Biała tablica oraz ta do przypinania zdjęć. Funkcjonariusze rozparci w krzesłach i czekający, żeby było już po wszystkim, dzięki czemu mogliby pojechać do domu i położyć się spać. Oldham wyszedł już bardzo dawno, ale nikt tego nie komentował. Reszta zespołu musiała pracować w nadgodzinach, poszukując Christine Shapland. Matthew zastanawiał się, czy czują się urażeni, że to *on* ją znalazł, na pozór bez żadnego wysiłku. Mogli pomyśleć, że siedział w gabinecie i po prostu odebrał telefon od obywatela. Oni zaś cały dzień łazili w deszczu, pukali do drzwi, szukali odcisków stóp w okolicach mokradeł i rzeczki.

– Wielkie gratulacje z powodu odnalezienia Christine Shapland. Gdybyście nie przekazali informacji tak szybko i tak dokładnie, nigdy nie doczekalibyśmy się telefonu od świadka. Właśnie sprawdziłem w szpitalu, będzie dobrze. Dziękuję wszystkim w imieniu bardzo wdzięcznej matki. – Rozejrzał się po sali. Żadnej wyraźnej zmiany w zachowaniu, ale zrobił, co mógł. I mówił szczerze. – Nie jesteśmy

pewni, czy zniknięcie Christine jest w jakiś sposób powiązane z zamordowaniem Waldena. Wydaje się zbiegiem okoliczności, tym bardziej że kilka dni przed swoją śmiercią nawiązał znajomość z inną kobietą mieszkającą w Lovacott, Lucy Braddick, też mającą dysfunkcje poznawcze. A dom Christine znajduje się bardzo blisko miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Ale nie ma żadnego dowodu, że Walden znał Christine, dlatego nie powinniśmy wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Dziś posunęliśmy się jednak znacznie do przodu, podsumujmy więc wszystko, czego dowiedzieliśmy się do tej pory, i zaplanujmy działania na jutro. Potem będziemy mogli zakończyć i skorzystacie przynajmniej z ostatniej godziny przed zamknięciem pubów.

W tylnym rzędzie rozległy się słabe wiwaty.

– Odkryliśmy, że Walden korzystał nie tylko z pokoju przy Hope Street dwadzieścia. Miał mieszkanie w Braunton. Musimy podziękować za ustalenie tego Jen Rafferty. Nie ma jej tutaj, dlatego mogę wam to powiedzieć bez obawy, że poczuje się niezastąpiona. – Chwila milczenia i znowu słabiutkie wiwaty. – Bardzo więc jestem ciekaw, dlaczego wprowadził się do domu w Ilfracombe, zajmowanego przez dwie kobiety.

Siedząca z tyłu Vicki Robb podniosła rękę.

– Może po prostu czuł się samotny i zrozpaczony? Miał myśli samobójcze i uznał, że potrzebuje towarzystwa, dla bezpieczeństwa?

Matthew też o tym myślał. Rozpatrywał coś takiego z własnej perspektywy. Potrzebował samotności o wiele bardziej niż towarzystwa, ale nie każdy był taki jak on. Kiwnął głową.

– Tak – powiedział. – Słuszna uwaga. Tak, to ma sens.

Policjantka zaczerwieniła się z zadowolenia, a Matthew mówił dalej.

– Ktoś był w tym mieszkaniu i je zdemolował. Według mnie wyglądało to bardziej jak przeszukanie niż działania wandalą. Prowadzone przez kogoś, kto się spieszył. Musiał narobić mnóstwo hałasu – rozbite szkło i talerze – wynika więc z tego, że doszło do



tego w nocy, kiedy punkt bukmacherski na dole jest zamknięty. Albo bardzo wcześnie rano. Czy możemy jutro wysłać kilkoro ludzi do Braunton, aby przeszli się po okolicznych domach i popytali? Zorientowali się, czy ktoś widział albo słyszał coś niezwykłego? Nie było włamania, więc intruz musiał posłużyć się kluczem. Być może zabójca ukradł go Waldenowi po tym, jak go zamordował. Mówimy tu o wieczorach pomiędzy poniedziałkiem a środą włącznie. Wydaje się prawdopodobne, że przeszukujący mieszkanie Waldena był zamieszany w jego zabójstwo, i dlatego to ważne.

Ross podniósł rękę.

– Mógł wykorzystać klucz, którego użyliśmy, aby wejść do mieszkania. Ten pozostawiony przez Waldena na Hope Street.

– Masz rację, Ross, ale to by oznaczało, że w sprawę zamieszana jest jedna z mieszkających tam kobiet. Niech ludzie przeprowadzający wywiad w domach wezmą ze sobą zdjęcia Preece oraz Henry i pytają, czy konkretnie któraś z nich była tamtej nocy w Braunton.

Matthew przyszło na myśl, że mogą być bliscy zakończenia dochodzenia. Wszystko mogło okazać się łatwe: zdobędą rysopis kogoś czającego się przed mieszkaniem i będą mieli winowajcę. W myślach badał różne scenariusze, które mogłyby pasować do sprawy. Czy Walden mógł zostać zamordowany po prostu po to, aby ktoś inny zyskał dostęp do mieszkania? Może zrobił to ktoś, kogo Walden poznał w Świątym Cuthbercie? Narkoman na głodzie, zdesperowany do tego stopnia, że popełnił morderstwo. Niewykluczone, że Matthew za dużo o tym myślał, doszukiwał się złożonych motywów, które w rzeczywistości nie istniały. Możliwe, że rozeszła się wiadomość o bogactwie Waldena i zabito go po prostu dla pieniędzy. Chciwość często jest wystarczająco silnym motywem. Ale przecież Simon chyba nie był taki głupi, żeby trzymać gotówkę w domu, prawda?

Odwrócił się znowu twarzą do sali.

– Czy odnaleziono konta bankowe Waldena?

Ross pokręcił głową.

– Przykro mi, ale wygląda na to, że nie ma żadnych rachunków na jego nazwisko.

– Hotel musiał przelewać mu pensję do banku. Nikt już nie dostaje wypłaty do ręki.

– Sprawdzę u nich jutro.

– Trzeba traktować to priorytetowo.

Matthew usiłował ukryć irytację. Doszedł do wniosku, że nawet jeżeli Walden nie trzymał pieniędzy w mieszkaniu w Braunton, mogły tam być informacje, dzięki którym intruz zdobyłby do nich dostęp – hasła, czytniki pozwalające na przelewanie funduszy czy książeczki towarzystwa budowlanego. Chciwość coraz wyraźniej stawała się głównym motywem tej sprawy. Przyjacielskie kontakty Waldena z Lucy Braddick i zniknięcie Christine Shapland mogły być tu jedynie dekoncentrującymi zbiegami okoliczności.

– Otrzymaliśmy list – mówił dalej – który miał być doręczony Waldenowi, ale pozostawiono go w punkcie bukmacherskim piętro niżej. Wysłano go z kancelarii adwokackiej w Exeter. Ross, sprawdzałeś tę sprawę.

Ross wstał. Matthew nie miał okazji pozmawiać z nim wcześniej i czekał z takim samym zainteresowaniem jak pozostali.

– Walden skontaktował się z prawnikami najpierw po to, aby sporządzić testament – oznajmił Ross – ale najwyraźniej potem porozumiał się z nimi znowu, aby zasięgnąć porady w jakiejś innej sprawie. Nie mogli mi podać szczegółów przez telefon, ale jeden z partnerów będzie jutro w Północnym Devonie i gotów jest „włączyć nas do swojego rozkładu dnia”. – Nakreślił palcem w powietrzu znak cudzysłowu. – Szczerze mówiąc, to najbardziej nadęta banda dupków, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia. Przekonanie recepcjonistki, żeby mnie połączyła, zajęło mi ponad godzinę.

– O której się z nami spotka?

– Przyjdzie do komendy o trzeciej. – Ross umilkł na chwilę. – Lepiej będzie, jeżeli ty się z nim spotkasz, szefie. Wątpię, czy będzie gotów rozmawiać z prostym posterunkowym.

Matthew kiwnął głową, akceptując propozycję nie dlatego, że miał ochotę podporządkować się prawnikowi, ale dlatego, że chciał usłyszeć, co ten ma do powiedzenia. – Tak więc jutro musimy skupić się na finansowych aspektach życia Waldena. Wrócimy do Świętego Cuthberta i zobaczymy, czy któryś z ich podopiecznych nagle się nie wzbogacił. Ross, musisz koniecznie pójść do banków i zobaczyć, co się tam dzieje. Jen będzie dalej zajmować się Christine Shapland. W dalszym ciągu możemy mieć do czynienia z przestępstwem: uprowadzeniem lub wykorzystaniem. Nie jestem w stanie uwierzyć, że przez trzy dni błąkała się nad stawem. Bardziej prawdopodobne, że przetrzymywano ją w jakimś miejscu, a potem porzucono tam, gdzie nie odnaleziono by jej przez jakiś czas. Zobaczymy się jutro na wieczornej odprawie.

Rozeszli się do domów i rodzin. Grupka młodszych, samotnych funkcjonariuszy wybrała się razem do pubu. Zapytali Matthew, czy do nich dołączy, ale wiedział, że w gruncie rzeczy nie spodziewają się, że odpowie „tak”. Uważali go za trochę sztywnego, zbyt poważnego i nie potrafiliby się dobrze zrelaksować w jego obecności.

Kiedy dotarł do domu, z przyjemnością zauważył, że samochód Jonathana już tam stoi. Matthew wątpił, że był to wynik jego perswazji, ale chciał w to wierzyć. Padający w dzień deszcz ustał i na rzece widać było światło księżyca. Jonathan sprawiał wrażenie niespokojnego. Nie czuł się dobrze, siedząc cały dzień za biurkiem, a sterta dokumentów, rachunków i niepokój o Christine Shapland też robiły swoje. Matthew wiedział, że tak się stanie. Jonathan będzie siedział do późna, przełączając kanały w telewizorze i pijąc za dużo whisky.

– Masz ochotę na spacer? Jest jeszcze dość jasno. – Matthew wydawało się, że to może pomóc, a poza tym sam też jeszcze nie był gotów pójść do łóżka. Poza tym nie potrafiłby zasnąć przed Jonathanem.

Wyszli przez bramę w murze na skraju ogrodu i znaleźli się na plaży. Trudno było zgadnąć, gdzie kończy się rzeka, a zaczyna

morze. Szli pod rękę, a cień rzucany przez światło księżyca zmienił ich w jedną osobę, zniekształconą i dziwną.





## *Rozdział dwudziesty czwarty*

Gaby dowiedziała się o odnalezieniu Christine Shapland, gdy pracowała w swoim studiu. Jonathan Church zaszedł do niej aż na górę budynku, żeby jej o tym powiedzieć. Przez chwilę była zła, że jej przeszkodził – całkowicie skupiała się na fragmencie obrazu przedstawiającego Crow Point, a zawsze trudno jej było odzyskać koncentrację po tym, jak oderwano ją od pracy. Jonathan był jednak tak szczęśliwy, tak pewny, że podzieli jego ekscytację, że nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Jak się czuje? – Gaby oczyściła pędzel.

Chwila inspiracji minęła, ale pewnie i tak była pora zakończyć pracę. Śpiewała amatorsko – w pewnym momencie życia marzyła nawet o scenie, o bogactwie i sławie – ale malarstwo zawsze było na pierwszym miejscu. Co miesiąc w barku w Woodyard organizowano wieczór jazzowy i zaproszono ją, aby wystąpiła z kapelą, którą uwielbiała. Musiała się przebrać, porozmawiać z muzykami. To nie była wielka sprawa, ale większość jej przyjaciół miała przyjść, aby jej posłuchać. Caz i Ed też będą. Nawet Simon zapowiedział, że wpadnie. Nie była pewna, co ma o tym myśleć. Teraz zastanawiała się przez moment, czy nie powinna się wycofać, czy nie będzie brakiem szacunku występowanie tak szybko po zamordowaniu go. Ale zaproszenie do wyjścia na scenę było zaszczytem, a poza tym udział w wieczorze był płatny. Forsa się przyda.

– Christine ma się dobrze. Odwodniona, wychłodzona i dlatego zatrzymają ją na noc w szpitalu, ale nie doznała żadnych trwałych obrażeń, przynajmniej fizycznych. Ale źle to wpłynie na jej matkę. Zawsze była trochę nerwowa, a ta sprawa nie pomoże.

– Czy policja wie, co się stało?

– Nie. Znaleźli Christine koło stawu niedaleko Lovacott. Nikt nie ma pojęcia, jak się tam znalazła.

– Nawet twój mąż? – Dzięki plotkom krążącym po centrum Gaby wiedziała, że Matthew Jonathana jest detektywem, ale zorientowała się, że jest też komisarzem kierującym dochodzeniem w sprawie śmierci Simona, dopiero wtedy, kiedy zobaczyła ich obu jedzących lunch przed barkiem w Woodyard.

– Nawet on. – Jonathan umilkł na chwilę. – A ty dobrze się czujesz? Utrata współlokatora musi być trudnym przeżyciem, nawet jeżeli nie byliście bardzo blisko. Wiesz, że zawsze możesz wziąć kilka dni wolnego.

Był tak życzliwy, że niemal poczuła pokusę, aby mu się zwierzyć. Wyznać mu prawdę. Ale dorastała w przekonaniu, że tajemnice są czasami wszystkim, co mamy, i tylko pokręciła głową.

– Nie. Nic mi nie będzie. Chcę to skończyć.

Odsunęła się, aby mógł zobaczyć obraz.

Przez chwilę się nie odzywał, a kiedy to zrobił, ton jego głosu był bardzo poważny.

– To fantastyczne, wiesz? Sądzę, że powinniśmy porozmawiać o zorganizowaniu wystawy twoich prac, postarać się ściągnąć tu londyńską prasę. Christopher Preece ma kontakty w mediach i zawsze chętnie zrobi coś, co zapewni nam rozgłos.

Spojrzała na niego, aby zobaczyć, czy to nie jest tylko uprzejmość z jego strony, ale Jonathan wciąż był zapatrzony w jej obraz.



Kiedy dotarła do barku, Caz i Edward już tam byli. Sądziła, że koncert będzie niezupełnie w guście Eda, ale być może Caz pokusiła się o jakiś cud i sprawiła, że złagodniał. Wypił kilka kieliszków wina i objął swoją dziewczynę ramieniem. Gaby pomyślała, że wygląda na dojrzałego i bardziej spragnionego miłości niż zazwyczaj. Caz



rozpuściła włosy, miała prostą, czerwoną sukienkę i srebrne kolczyki w uszach.

Gaby uścisnęła ją.

– Wyglądasz obłudnie.

– No cóż, musiałam trochę się postarać na twój pierwszy publiczny występ.

Gaby zorientowała się, że komplement sprawił przyjaciółce przyjemność. Na ten wieczór zmieniono wystrój sali, oświetlając ją świecami i lampkami choinkowymi. Kapela już zaczęła grać. Siedzieli z tyłu, dalej od sceny, przy małym stoliku, na którym stało wiaderko z lodem i butelką hiszpańskiego wina musującego. Wszystko normalnie.

Kiedy muzyka ucichła, mieli możliwość chwilę porozmawiać.

– Słyszeliście, że znaleziono tę zaginioną kobietę? – zapytała Gaby. – Jonathan przyszedł do mojej pracowni, żeby mi powiedzieć.

– Tak. – Twarz Caroline była ukryta w cieniu i trudno było zgadnąć, co myśli. – Tata do mnie zadzwonił. Pomyślał, że chciałabym wiedzieć.

– Musi być zadowolony.

Caroline nie zareagowała na te słowa.

– Detektyw, która rozmawiała z nami na Hope Street, Jen Rafferty, przyszła dziś do Świętego Cuthberta. Dałam jej klucz, który znalazłaś w praniu Simona. Też wyglądała na zadowoloną.

– Och. – Gaby nie była pewna, co o tym myśleć. – Czy twój tata wie coś o śledztwie? Czy uważają, że uprowadzenie Christine łączy się z zamordowaniem Simona? Nie zapytałam Jonathana. Jest mężem oficera prowadzącego sprawę, więc i tak nic by mi nie powiedział, nawet jeżeli sądzą, że istnieje jakiś związek.

– Oj, tato nie mógłby nic wiedzieć na ten temat. Niby skąd?

Gaby nie uważała, że to koniecznie musi być prawda. Jej zdaniem Christopher Preece był wpływowym człowiekiem, który macza we wszystkim palce.

Caroline mówiła nadal.

– Jen Rafferty uważa, że kiedy Simon do nas przyszedł, wcale nie musiał być bezdomny. A nawet mógł mieć własne mieszkanie. Nie przypuszczam jednak, że byłby w stanie utrzymać to w tajemnicy. W czasie spotkań w Świętym Cuthbercie bardzo otwarcie mówił o innych aspektach swojego życia.

Gaby wyjęła butelkę z wiaderka i dolała sobie wina do kieliszka.

– Nie możesz tego wiedzieć. To, że siedział w kręgu, słuchając, jak inne osoby z depresją obnażają swoje dusze, nie oznacza, że był gotów wydusić z siebie wszystkie szczegóły życia osobistego. Każdy z nas potrzebuje tajemnic, tak po prostu, aby zachować zdrowe zmysły, czuć, że świat nie ma nas na własność. – Zobaczyła, że jej dłoń z kieliszkiem lekko drży. Napiła się i odstawiła go.

Caz nic nie odpowiedziała. Może wspominała swoje własne tajemnice.

Kiedy nadeszła pora jej występu, Gaby wstała i przeszła przez pogrążoną w półmroku salę. Nagle opanowała ją taka trema, że nie była pewna, czy zdoła wejść na niski podest. Przed przyjściem do barku przebrała się w pracowni i miała na sobie nadal czarną, ale obcisłą suknię i szpilki. Wzięła podany jej mikrofon i przez chwilę patrzyła na salę. Twarze słuchaczy były podświetlone od dołu przez świece i przypominały bardziej maski niż ludzkie oblicza. Kapela zagrała wstęp i wkrótce muzyka pochłonęła ją całkowicie, a raczej to ona w nią uciekła, śpiewając o miłości i utracie. Kiedy skończyła, spojrzała na tył sali, gdzie siedziała jej grupa, i z zaskoczeniem spostrzegła Christophera Preece'a stojącego za swoją córką. Gaby poczuła się wzruszona, że przyszedł, aby ją wesprzeć. Caz i Ed, o twarzach oświetlonych blaskiem świec, trzymali się za ręce, wpatrzeni w siebie w sposób, który wydał się Gaby bardzo rozczulający. Oddała mikrofon i zaczęła wracać na swoje miejsce. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że po twarzy sphywają jej łzy.





## *Rozdział dwudziesty piąty*

Jen Rafferty siedziała w szpitalu. Był wieczór i wyłączono światła. Christine poddano bardzo wielu badaniom. Czuła się świetnie, ale lekarz specjalista postanowił zatrzymać ją do rana. Dyżurne pielęgniarki rozmawiały szeptem. Jen czuwała razem z matką Christine i matką Matthew, Dorothy Venn. Sama Christine była pogrążona w głębokim śnie, przerywanym niekiedy głośnym chrapnięciem, które sprawiało, że poruszała się niespokojnie, ale nigdy się nie budziła.

Obie starsze kobiety siedziały z jednej strony łóżka, na fotelach przeznaczonych dla gości i pacjentów, a Jen po drugiej, na twardym krześle z plastikowym siedzeniem; przyniosła je z korytarza. Zastony wokół łóżka były zaciągnięte. Pomimo niewygody Jen przysypiała. Matthew powiedział, że powinna odejść, jeśli odniesie wrażenie, że Christine najprawdopodobniej nie przekaże żadnych istotnych informacji – zawsze będzie mogła wrócić rano – ale Jen mimo wszystko została. Zresztą miała powód: podsłuchiwała rozmowę Susan i Dorothy. Wydawało się, że zapomniały, iż siedzi naprzeciwko nich.

– Nie rozumiem, co Chrissie robiła aż tak daleko – powiedziała Susan.

– To wcale nie tak daleko od domu Grace i Dennisa. – Dorothy Venn siedziała dalej od Jen. Twarz miała w cieniu, ale jej słowa dobrze było słyszeć. – Nie w linii prostej. Kiedy byliśmy dziećmi, często chodziliśmy z Lovacott do stawu na letnie pikniki Bractwa. Pamiętasz te pikniki, Susan? Cóż to były za cudowne czasy! Wyścigi parami ze związaną jedną nogą, zabawa w chowanego. Nasze matki

piekły ciasta, pole było pokryte jaskrami i koniczyną, całe żółte i różowe. – Umilkła, jakby pogrążona we wspomnieniach, by po chwili dodać ostrzejszym tonem: – To żadna odległość, skoro nawet maluchy dawały radę.

– Co ty mówisz? Że Dennis mimo wszystko zabrał ją do ich domu, a Chrissie uciekła? To by znaczyło, że kłamał!

Teraz cisza trwała tak długo, że stawała się kłopotliwa. Ostatecznie przerwała ją Susan.

– Grace nie pozwoli powiedzieć o nim złego słowa.

– Grace jest lojalną żoną – przytaknęła Dorothy. Znowu milczała chwilę, zanim dodała: – Matthew mówi, że nie powinnaś pozwolić Chrissie tam wracać. Przynajmniej zanim nie skończy się śledztwo w sprawie tego martwego mężczyzny.

– I nie pozwolę – stwierdziła Susan. Tym razem jej głos brzmiał twardo, bez żadnego wahania. – Nie spuszczę jej z oczu, obojętne kto proponowałby się nią zaopiekować. Od tej pory będzie ze mną.

W tym momencie Jen uznała, że powinna zostawić obie kobiety same. Susan będzie tu, w razie gdyby pojawiła się mała prawdopodobna potrzeba zapewnienia Christine ochrony. Ona sama będzie mogła porozmawiać z Christine jutro, kiedy obie kobiety będą odsypiać noc. A teraz wróci do domu. Potem będzie miała więcej do powiedzenia.

Pożegnała się i wyszła. Dopiero kiedy dotarła do domu, przypomniała sobie, że kiedy rano rozdawała ulotki o zaginionej kobiecie, widziała Colina Marstona wchodzącego do Woodyard. Była już północ, za późno, żeby dzwonić do Matthew Venna. To może poczekać do jutra.







## *Rozdział dwudziesty szósty*

Następnym rankiem Matthew przygotowywał się do porannej odprawy. Było tuż po siódmej, szaro na zewnątrz i musiał zapalić światła. Stał w pustej sali, starając się uporządkować myśli, zaplanować cały dzień. Pierwszeństwo miało ustalenie, co przydarzyło się Christine Shapland. W tym momencie nie mogli oddzielić jej zniknięcia od dochodzenia w sprawie morderstwa, bo oba wątki były jakoś powiązane z Woodyard. Ten fakt rozpraszał uwagę i dlatego tak ważne było ustalenie, czy kobieta odeszła sama, czy też została uprowadzona i czy miało to jakiś rzeczywisty związek z Waldenem. Czuł na sobie ciężar odpowiedzialności za wszystko, co się dzieje, i znów zaczął mieć wątpliwości, czy jest właściwym człowiekiem do tego zadania. Stres narastał, napięcie powodowało ból mięśni oraz zwiększało irytację. Wkrótce panowanie nad sobą będzie wymagało wysiłku z jego strony.

Zespół zaczął przybywać dość wcześnie. Pełen zapału. Czuli możliwość uzyskania pomyślnego wyniku. Matthew nie był tego taki pewien. Optymizm nigdy nie był jego mocną stroną. Ross śmiał się i żartował z kolegami. Jen wślizgnęła się do tylnych rzędów w ostatniej chwili. Była wyraźnie zmęczona, trochę rozczochrana. Matthew zastanawiał się, czy wieczorem po powrocie ze szpitala zajrzała do kieliszka. Nie potępiłby jej za to.

– Christine Shapland. – Oparł się o biurko stojące z przodu sali i pomyślał, że musi wyglądać jak jeden z trochę śmiesznych starych nauczycieli ze swojej szkoły. – Przede wszystkim musimy ustalić, co się z nią stało. Nawet gdybyśmy nie prowadzili dochodzenia w sprawie morderstwa. Jest niepełnosprawną umysłowo dorosłą

osobą, a jeżeli rzeczywiście miało miejsce uprowadzenie, musimy znaleźć sprawcę. Niedawno dzwoniłem do szpitala i dowiedziałem się, że jest w dobrym stanie. Wypiszą ją dziś rano. Jen, chciałbym, żebyś poczekała, aż znajdzie się w domu, i pojechała do niej. Jonathan zaproponował, że ci potowarzyszy. Zna tę kobietę od lat, jej matka także mu ufa. Chce być przy rozmowie. Poznałaś Susan w szpitalu, a nie chciałbym wprowadzać na tym etapie kogoś nowego.

Jen kiwnęła głową. Matthew pomyślał, że wolałaby raczej uczestniczyć w głównym dochodzeniu, związanym z Waldenem, ale potrafiła dostrzec sens w jego poleceniu. Odwrócił się plecami do sali i trochę podniósł głos. Wreszcie mógł pozwolić sobie na okazanie zniecierpliwienia.

– Ross, co wiemy o finansach Waldena? Tych zaginionych dwustu tysięcy? Nie mogły tak po prostu rozplątać się w powietrzu.

– Zostawiłem wiadomość facetowi z działu personalnego w hotelu Kingsley. Zaraz znowu spróbuję dowiedzieć się, jak Waldenowi płacono, kiedy tam pracował.

– Jestem pewien, że uważasz tego rodzaju grzebanie w szczegółach za nudne, Ross. Nie tak ekscytujące, jak lubisz, ale sprawa jest ważna, dlatego prosiłem cię, żebyś potraktował ją priorytetowo.

W sali zapanowała pełna zdumienia cisza. Matthew nigdy nie krytykował kolegi publicznie. Ross zaczerwienił się i poprawił na krześle, ale Venn tracił cierpliwość do tego faceta. Jego niemożność znalezienia pieniędzy Waldena stawała się niedorzeczna.

– Adwokat, który zajmował się testamentem Waldena, przyjedzie dziś po południu. Jeżeli wszystko inne zawiedzie, może on będzie miał jakieś pojęcie o jego finansach.

– Załatwię to – oświadczył Ross markotnym, obrażonym tonem.

– Bardzo proszę. – Matthew odwrócił się do Jen. – Chciałbym, żebyś po rozmowie z Susan wróciła do Świętego Cuthberta. Czy nagle któryś z podopiecznych Caroline zaczął mieć pieniądze? Albo

nieoczekiwanie wycofał się z programu? Zobaczmy, czy zdołamy znaleźć człowieka, który przeszukał mieszkanie Waldena.

Matthew miał właśnie zakończyć odprawę i wysłać ich do wykonywania zadań, kiedy Jen podniosła rękę.

– Kiedy wczoraj przepytywałam obsługę Woodyard, pojawił się Colin Marston z domku poborcy myta. Sprawiał wrażenie, jakby był tam oficjalnie. Nie rozmawiałam z nim i nie sądzę, aby mnie rozpoznał, ale wydało mi się to dziwnym zbiegiem okoliczności.

---

Natychmiast po odprawie Matthew pojechał do Marstonów. Od samego początku dręczyły go podejrzenia wobec pary mieszkającej na skraju mokradeł. Ich zainteresowanie sprawą wydawało mu się niewspółmiernie duże, a poza tym mieszkali niedaleko domku Shaplandów. Nikt nie odpowiedział na stukanie do drzwi, a ich samochodu nie było. Stał, niepewny, co ma robić dalej, zastanawiał się, czy nie wpaść do swojego domu na kubek dobrej kawy i kilka chwil spokoju, kiedy w oddali zobaczył Marstona na szczycie wału oddzielającego mokradła od rzeki. Dzień był bezwietrzny, pochmurny, mglisty i z tej odległości widać było właściwie tylko jego sylwetkę. Marston stał nieruchomo, odwrócony tyłem do Matthew, patrzył w kierunku ujścia. Komisarz wycofał samochód drogą i zaparkował blisko domu. Przeżył chwilę paniki, kiedy stracił mężczyznę z oczu, bo zasłonił go jeden z budynków gospodarczych, rozsypujący się hangar dla łodzi. Obawiał się że Marston mógł odejść w kierunku cypla, uznał jednak, że byłoby śmieszne, a nawet niewłaściwe, gdyby za nim pobiegł i zadyszany, spocony dogonił go, żeby zadać pytania.

Kiedy jednak wysiadł z samochodu, ujrzał, że Marston nadal tam stoi i spogląda na wodę. Padający drobny deszcz sprawiał, że przeciwległy brzeg był jedynie rozmytym zarysem. Wszystkie ptaki latające we mgle musiały być widoczne tylko jako sylwetki.

Mężczyzna odwrócił się, słysząc Matthew wspinającego się na skarpę za jego plecami.

– Cieszę się, że pana zobaczyłem – odezwał się Matthew. – Poszedłem do waszego domu, ale nikogo nie zastałem.

– Hilary jest w pracy. – Wciąż obserwował brzeg.

– Nie ma sprawy. Chciałem porozmawiać właśnie z panem.

– Ooo? – Teraz mężczyzna przeniósł całą uwagę na Matthew.

– Był pan wczoraj rano w Centrum Woodyard.

– Tak, zgadza się. Jestem tam w każdy czwartek. Chyba że postanowimy przeprowadzić zajęcia w terenie, ale zdarza się tak tylko raz w miesiącu.

– I co pan tam robi?

– Prowadzę kurs na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Z historii naturalnej. Głównie ornitologii, ale ostatnio bardziej zainteresowałem się botaniką i mogę wyklądać również na jej temat. – Marston milczał przez chwilę. – Nawet sprawia mi to przyjemność. Wie pan, dzielenie się wiedzą z zainteresowanymi nowicjuszami. Zacząłem dopiero w okolicach Bożego Narodzenia. Poprzedni wykładowca zachorował i poproszono mnie, żebym przejął zajęcia.

Matthew mógł go sobie wyobrazić stojącego przed klasą, pokazującego swoje zdjęcia ptaków, wyjaśniającego szczegóły upierzenia i miejsca występowania gatunków. Trochę pompatycznego, zadowolonego, że jego hobby spotkało się z uznaniem, jakiego nigdy nie odczuł w domu.

– Czy kiedykolwiek widział pan w Woodyard Simona Waldena? Tego człowieka, którego zabito tu w pobliżu w poniedziałek po południu?

– Oczywiście oglądaliśmy dzienniki. Interesowaliśmy się tym szczególnie, ponieważ zdarzyło się to tak blisko naszego domu. Ale nie znałem go. Na pewno nie był członkiem naszej grupy. – Po chwili dodał: – Wszyscy na Uniwersytecie Trzeciego Wieku mamy ponad pięćdziesiąt lat, a większość moich kursantów jest znacznie starsza.

– Nie widział go pan gdzieś w centrum? Pan Walden bywał tam regularnie. Pracował jako wolontariusz w kuchni barku. Nigdy go pan

tam nie widział?

Marston przecząco pokręcił głową, ale dopiero po chwili wahania oznajmił:

– Rzadko bywam w barku. Jest tam dla mnie zbyt hałaśliwie i trochę za drogo. Biorę ze sobą termos z kawą.

Coś takiego mogła powiedzieć matka Matthew. Według jej zasad oszczędność była czymś bliskim pobożności. Venn zastanawiał się, czy dlatego Marston wydawał mu się tak obłudny. Był człowiekiem, który przekształcił swoje osobiste sympatie i antypatie w kodeks moralny. Ponieważ nie lubił wydawać pieniędzy w barku w Woodyard, uważał ludzi, którzy to robili, za moralnie podejrzanym. Członkowie Bractwa byli bardzo do niego podobni. Matthew uważał, że stworzyli Boga na własne podobieństwo, tak samo surowego, zimnego i nieustępliwego.

– I był to pański jedyny kontakt z Woodyard? Prowadzi pan tam tylko zajęcia z historii naturalnej? – Matthew patrzył na ujście. Nastąpił odpływ, mgła rozwiła się nieco, odsłaniając drugi brzeg, prążkowane ślady pozostawione przez fale na piasku. Nie przychodziło mu na myśl, jaki Marston mógł mieć powód, aby zabić Waldena, ale był to kolejny zbieg okoliczności, o jeden za dużo.

– Od jakiegoś czasu. Udzielałem także porad prawnych członkom zarządu i mam nadzieję, że będę bardziej zaangażowany w te sprawy, kiedy przeprowadzimy się do Barnstaple. – Z dala od żony wydawał się bardziej pewny siebie i Matthew zorientował się, że z tego powodu lubi go mniej. Współczucie przekształciło się w antypatię. – Sądzę, że mogliby wykorzystać moje umiejętności organizacyjne, a Hilary zawsze mi powtarza, że powinienem znaleźć bardziej użyteczne sposoby spędzania czasu niż uganianie się za ptakami. – Odwrócił się w stronę Matthew Venna. – Prawdę mówiąc, w chwili obecnej administracja tam jest w totalnym nieładzie. Gdyby ktoś przeprowadził tam porządny audyt, całe centrum zostałoby zapewne zamknięte.

– I uważa pan, że mógłby pomóc?

– No cóż, tak. Prawdę mówiąc, uporządkowanie ich systemu byłoby wyzwaniem. Obecnie to ich fakturowanie to jeden wielki koszmar. Różne organizacje wynajmują pomieszczenia, zatrudniają personel. Różne sumy pieniędzy przekazywane są przez służby socjalne, rozmaite pozarządowe organizacje artystyczne i opiekuńcze. Jestem pewien, że samo Woodyard na tym traci. To wszystko wymaga uproszczenia.

Matthew nie był pewien, jak ma zareagować. Pomyślał, że Marston zapewne ma rację, ale godząc się z taką diagnozą, czułby się, jakby zdradzał Jonathana.

Marston musiał wychwycić jego sprzeczne uczucia.

– Och, przepraszam. To było nietaktowne z mojej strony. Zapomniałem że pański... – zawahał się, szukając właściwego słowa – ...partner kieruje tym cyrkiem.

Wcale nie zabrzmiało to jak przeprosiny, Matthew uznał więc, że mało prawdopodobne, aby była to luka w pamięci. W słowach Marstona było coś złośliwego, oskarżycielskiego. Zastanawiał się, czy cała rozmowa nie była nieudolną próbą złożenia oferty na stanowisko administratora. Być może Marston tęsknił za statusem, który miał w pracy, albo parze skończyły się pieniądze i szukał możliwości zatrudnienia. Matthew nie dziwił się, że mężczyzna chciał uciec od Hilary.

– Mój mąż. Tak. Ale prowadzi centrum z dnia na dzień, starając się uszczęśliwić te wszystkie różnorodne organizacje. Cyrkiem kieruje, jak pan to określił, zarząd powierniczy. – Zmusił się do uśmiechu. – Z całą pewnością będą zachwyceni, jeżeli zaoferuje pan swoje usługi na froncie administracyjnym, bo zawsze szukają członków rady o konkretnych umiejętnościach.

– No cóż, wspomniano mi o tym. – Ale Marston mimo wszystko sprawiał wrażenie zadowolonego. Spojrzał na zegarek. – Muszę ruszać. Pora na następny punkt obserwacyjny.

– Jeszcze chwila.

– Tak? – Wyraźnie zniecierpliwiony mężczyzna odwrócił się do Matthew.

– Zna pan panie Shapland? Kobiety mieszkające w jednym z domków nad rzeczką, niedaleko rezerwatu przyrody. Musi pan przechodzić obok niego w dniach, kiedy zajmuje się pan obserwacją ptaków. Christine ma zespół Downa. Chodzi do ośrodka dziennej opieki w Woodyard.

– To ona zaginęła? – zapytał Marston.

– Tak.

– Przykro mi, komisarzu. Hilary i ja trzymamy się z dala od innych. Jak pan się zorientował, nie mamy wiele wspólnego z naszymi sąsiadami. Obawiam się, że nie mogę panu pomóc. – Mówił, idąc już wałem. – Proszę się skontaktować znowu, kiedy będzie pan miał więcej pytań.

Zbiegł ze zbocza na plażę i ruszył w kierunku Crow Point. Wkrótce stał się cieniem we mgle. Matthew stał przez chwilę, wpatrując się w wodę.

W samochodzie sprawdził telefon. Była w nim wiadomość głosowa od Maurice'a Braddicka. Dziwny komunikat, jakby mówiący potykał się o każde słowo. *Zastanawiam się, czy zachciałbyś się ze mną zobaczyć. Jest coś, co powinienem był powiedzieć wcześniej, kiedy byłeś u mnie tamtego wieczoru. To mnie niepokoi.*

Matthew natychmiast oddzwonił.

– Dostałem twoją wiadomość. Jak mogę pomóc?

– Mam wrażenie, że to nie rozmowa na telefon. Chciałem, żeby Lucy została w domu, aż wszystko się wyjaśni, ale jest tak samo uparta jak matka i dopilnowała, żebym ją tam zawiózł. Zostawiłem ją w Woodyard i jestem teraz w domu, ale jeżeli wolisz, mógłbym przyjechać do Barnstaple.

– Nie – stwierdził Matthew. – Przyjadę. – Doszedł do wniosku, że Maurice będzie swobodniej mówił we własnym domu, a poza tym, kiedy był w ruchu, wydawało mu się, że czyni postępy, przynajmniej stara się osiągnąć jakieś rezultaty.



Jak poprzednio siedzieli w kuchni wychodzącej na ogród z tyłu domu, ze starannie urządzonym warzywnikiem i wybiegiem dla kur na końcu. Kwoki chodziły po nim, szukając jedzenia. Herbata została zaparzona i nalana, zanim Maurice zaczął mówić.

– Pytałeś o Dennisa i Grace Salterów.

– Tak. Noc przed zaginięciem Christine Shapland spędziła u nich. Masz mi coś o nich do powiedzenia?

Maurice był wyraźnie niespokojny, ale Matthew dostrzegł coś jeszcze w wyrazie jego twarzy. Skrępowanie? Lęk? Mogły to być zwykłe uprzedzenia rozbudzone przez członków małej wspólnoty religijnej, którzy trzymali się na dystans, wyznawali poglądy sprawiające wrażenie osobliwych i anachronicznych. Dorastając, Matthew był wyśmiewany przez rówieśników, przez co dręczyły go różne lęki. Wiedział, jakie to uczucie. Ale miał wrażenie, że antypatia Maurice'a wynika z czegoś więcej niż tylko z nieufności wobec innych.

– Masz mi coś o nich do powiedzenia? – powtórzył Matthew. – Coś, co mogłoby nam pomóc dowiedzieć się, kto uprowadził Christine?

– To trudna sprawa – odparł Maurice. – I nienawidzę plotek. Wszyscy w Lovacott mówią, że Salter jest wspaniałym człowiekiem. Ma w sobie coś, co każe mu wierzyć. Kiedy mówi, ludzie go słuchają. Jeżeli spotykam go na ulicy, wita mnie, jakbym był jego starym przyjacielem, jakbym był kimś szczególnym.

Matthew pokiwał głową.

– Znałem go w dzieciństwie. Zawsze miał taki talent. Jakieś ciepło. Empatię.

– Sądzę, że bije żonę. – Maurice spojrzał na niego z wyzwaniem, jakby sprawdzał, czy mu wierzy. – Wiem, że pobił ją przynajmniej raz.

Matthew usiłował się w tym połapać, dopasować informację do Saltera, którego znał, witającego każdego szeroko rozpostartymi ramionami, jak do uścisku. Człowieka, który potrafił go rozśmieszyć i dodać nastolatkowi pewności siebie. Ale też który odtrącił go, kiedy



nie mógł już dłużej wierzyć w przedstawianą przez Saltera wersję Boga.

– Opowiedz mi o tym.

Maurice wpatrywał się w niego, wciąż zaniepokojony, wciąż niechętny, by mówić.

– Pewnej nocy, kiedy moja Maggie nadal żyła, pojawiła się u nas Grace Salter. Zapłakana. Bez płaszcza, chociaż to był środek zimy. Maggie wyprosiła mnie z domu. *Może poszedłbyś na drinka do „Złotego Runa”, Mo? Nie wracaj, dopóki nie zamkną.* No to poszedłem. – Uśmiechnął się krótko do Matthew. – Zawsze robiłem, co kazała mi Maggie. Wiedziała lepiej.

– I co się stało?

– Nie wiem – odparł Maurice. – Nie znam żadnych szczegółów. Ale kiedy wychodziłem z domu, pod okiem Grace rosła opuchlizna i miała zaschniętą krew pod nosem. Maggie obiecała jej, że nie powie nikomu, i nigdy tego nie zrobiła. Czuję się niezręcznie, mówiąc ci o tym. Jakbym sprawiał zawód Maggie. Dlatego nic nie powiedziałem, kiedy byłeś tu wcześniej. – Milczał chwilę. – A także ze względu na opinię, jaką ma Salter. Dobrego, miłego człowieka. Nie byłem pewien, czy mi uwierzysz.

– Muszę dowiedzieć się wszystkiego, co możesz wiedzieć. – Matthew pomyślał, że Maggie wciąż stanowi część życia jego rozmówcy. Jest głosem w jego uszach, dłonią na ramieniu. Chociaż utracił związek z religią wiele lat temu, wychował się w wierze w życie pośmiertne. Być może to było czymś najbardziej zbliżonym do interwencji z za grobu.

– Kiedy wróciłem z pubu, Grace już wyszła. Maggie była smutna jak nigdy. Chyba usiłowała ją przekonać, aby opuściła męża, ale dla Grace było to zbyt trudne. Oboje należeli do tej dziwnej grupy religijnej. Niewybaczającej. Może gdyby tak zrobiła, byłaby zmuszona opuścić i ją. I całą swoją rodzinę.

*Och, wiem, co to za uczucie.*

– A czy ktoś inny w Lovacott wie o tej nocy? – Matthew był przekonany, że w takim miejscu niewątpliwie musiały pojawić się

plotki.

Maurice pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek wiedział, że Grace Salter uciekła od męża i przyszła tutaj. Było ciemno, niewiele osób mogło przebywać poza domem. I nigdy nie słyszałem żadnych plotek, że jest okrutny wobec żony. Grace zawsze sprawiała wrażenie nieśmiałej kobiety. Cichej. Ale Dennis jest tak silną osobowością, że mogła czuć się przytłoczona. Zastanawiam się jednak, czy się go bała i to dlatego była taka cicha. Bo nie ośmielała się odezwać.

– Dobrze zrobiłeś – stwierdził Matthew – mówiąc mi, co wiesz. – Pomyślał, że wszystko staje się zbyt skomplikowane. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Zbyt wiele osób krąży wokół siebie, ale właściwie się nie styka. Nie ma żadnego dowodu, że Simon Walden znał Christine Shapland czy Dennisa Saltera. Jedynym punktem wspólnym było Woodyard i znowu cała sprawa za bardzo dotyczyła go osobiście.





## *Rozdział dwudziesty siódmy*

Jen Rafferty siedziała w małym, mrocznym domku Shaplandów, który zdawał się wyrastać z mokradła, i słuchała, jak mąż jej szefa rozmawia z Christine. Już kilkakrotnie miała okazję spotkać Jonathana – na imprezie bożonarodzeniowej w pracy i raz w ich wspólnym domu, kiedy przyjechała zabrać Matthew na wczesną odprawę – ale komisarz wolał oddzielać życie prywatne od spraw służbowych i nigdy tak naprawdę nie poznała Churcha dokładnie. Dorothy Venn, która w szpitalu towarzyszyła Susan Shapland, teraz nie było. Matthew powiedział, że rodzina wyrzekła się go na długo przez zawarciem przez nich małżeństwa, ale Jen była zdania, że gejowski związek musiał być trudny do przełknięcia dla chrześcijańskiej fundamentalistki. Być może kobieta nie mogła znieść przebywania w jednym pokoju z mężem swojego syna.

Na zewnątrz mgła wisiała nisko nad rzeczką i można było odnieść wrażenie, że wilgoć sączy się przez ściany do pokoju. Na palenisku kominka płonął węgiel i Jen wydawało się, że cofnęła się w czasie o ponad pięćdziesiąt lat, do chwili, kiedy Susan Shapland była młodą kobietą, a Północny Devon całkiem innym miejscem. Na koronkowej serwetce stał dzbanek z herbatą, a obok talerz z już posmarowanymi masłem bułeczkami.

Jonathan i Christine siedzieli w fotelach tuż przy kominku. Mężczyzna mówił tak cicho, że Jen niekiedy z trudem słyszała słowa. Christine była w bluzie i spodniach od dresu, szarych z różowymi lamówkami. Policzki miała zaczerwienione od ognia. Choć na dworze panował chłód, Jonathan ubrany był w swoje charakterystyczne szorty i koszulkę z krótkim rękawem. Jen

zastanawiała się, czy na swój ślub też włożył szorty, i doszła do wniosku, że on i Venn stanowią dziwną parę. Matthew zawsze w garniturze, elegancki, a Jonathan sprawiał wrażenie, jakby właśnie zszedł z plaży. Siedziała przy stole, miała przed sobą telefon i notes. Rejestrowała rozmowę oraz sporządzała notatki, bo jej odczucia mogły okazać się równie przydatne jak słowa Christine.

– Najważniejsze, co muszę ci powiedzieć, to to, że nie masz w ogóle najmniejszych kłopotów. – Głos Jonathana był ciepły i spokojny. Dodawał otuchy. – Nie zrobiłaś nic złego. Zupełnie nic. Chcemy tylko dowiedzieć się, co się stało. O tym właśnie rozmawiamy. I dlatego że miło mi, że mogłem na trochę uciec z Woodyard i spróbować bułeczek twojej mamy.

Christine spojrzała na niego, ale się nie odezwała. Nie mogła się zorientować, do czego Jonathan zmierza.

– Może zacznijmy od początku. Myślałaś, że twój wujek Dennis we wtorek wieczorem ma cię odebrać z Woodyard. Byłaś u niego i twojej cioci Grace w poniedziałek i następnego ranka zawiózł cię do ośrodka.

Christine kiwnęła głową.

– Ale kiedy wyszłaś we wtorek po południu z Woodyard, nie zobaczyłaś go?

Christine spojrzała na matkę siedzącą przy stole obok Jen i drobiącą bułeczkę na talerzyku.

– Możesz powiedzieć mu prawdę – oświadczyła Susan. – Nikt z Bractwa nigdy się tego nie dowie. – Jen zorientowała się, że nawet teraz ma znaczenie, co członkowie Bractwa o niej pomyślą. – Teraz będziemy wiedziały tylko ty i ja, panienko.

– Ktoś przyjechał samochodem – odezwała się Christine. – Powiedział mi, że zawiezie mnie z powrotem do Lovacott. Że wszystko zostało zorganizowane.

– Mężczyzna czy kobieta? – spytał Jonathan.

– Mężczyzna.

– Możesz powiedzieć, jak wyglądał?

Sprawiła wrażenie zaskoczonej.

– No, czy był ubrany jak ja? W szorty i koszulę z krótkim rękawem?

Rozśmieszyło ją to.

– Nie! Był elegancki, jak wujek Dennis na spotkaniach.

Susan wtrąciła się.

– Ma na myśli, że miał marynarkę i krawat.

– Znałaś tego mężczyznę? Widziałaś go wcześniej? Jeżeli był przyjacielem twojego wujka, może bywał na spotkaniach, tak jak ty.

Christine pokręciła głową.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– W porządku. Wsiadłaś z nim do samochodu. Z przodu czy z tyłu?

– Z tyłu.

– A więc tak, jakbyś wsiadła do taksówki.

Christine pokiwała głową.

– A co się stało potem, Christine? Opowiedz nam o tym, jakby to była historyjka. Twoja historyjka. – Jonathan rozsiadł się wygodnie w zjedzonym przez mole fotelu, jakby miał mnóstwo czasu. Na dworze mgła wciąż wisiała nad wodą. Równie dobrze mógłby to być zimowy wieczór. Błysnęła biel, gdy łabędź wystartował z rzeczki, słysząc było uderzenia jego skrzydeł.

– Poszliśmy do domu – odparła Christine. Mówiła trochę niewyraźnie i Jen z wysiłkiem rozróżniała słowa, ale Jonathan dokładnie rozumiał, co mówi.

– Domu twojego wujka i cioci?

– Nie! Nie takiego dużego jak tamten.

– Domku takiego jak ten? Z wszystkimi pokojami na jednym piętrze? – spytał Jonathan. Jen pomyślała, że ma cierpliwość świętego. Ona sama w żaden sposób nie byłaby w stanie wydobyć tych informacji z Christine. Potrafiła dobrze prowadzić przesłuchania, gdy mogła wczuć się w sposób myślenia świadka i zobaczyć świat jego oczami, ale w tym przypadku potrzebny był szczególny talent.

– Wszystkie pokoje były na jednym piętrze – oświadczyła Christine – ale wchodziło się do nich po schodach.

– Czyli to było mieszkanie?

Kiwnięcie głową.

– Czy to był duży budynek z wieloma piętrami i wieloma mieszkaniami?

– Nie! Tylko jedno mieszkanie nad sklepem.

*Mieszkanie Waldena*, pomyślała Jen. *Zabrał ją do mieszkania Waldena. Wiedział, że go tam nie będzie, bo już nie żyje. Być może przyjechaliśmy tam wkrótce po tym, jak zabrał ją nad staw. Nie mogła powstrzymać się przed zadaniem pytania.*

– Czy wiesz, jaki sklep był pod tym mieszkaniem?

Ale Christine tylko pokręciła głową.

– Co robiłaś w mieszkaniu? – Jonathan znowu zaczął zadawać pytania.

– Oglądałam telewizję. – Krótka pauza. – Lubię telewizję.

– Razem z mężczyzną, który cię tam zawiózł?

– Został tam na trochę. Dał mi trochę chipsów i tabliczkę czekolady. Puskę picia z bąbelkami. – Zerknęła na matkę. Pewnie w domu nie dostawała napojów gazowanych.

– Pytałaś, dlaczego *on* cię odebrał?

– Nic nie powiedział.

Jonathan pochylił się i ujął jej dłoń.

– Czy ten człowiek jakoś cię skrzywdził? Dotykał cię?

– Nie – odparła. – Zadawał mi bardzo dużo pytań. To było jak na teście. Nie potrafiłam na nic mu odpowiedzieć.

– Jakie pytania?

– Nie wiem! – Była bliska płaczu. – Nie rozumiałam, czego chce. Mówiłam, że chcę pójść do domu. Z powrotem do domu mojej mamy. Nie chciałam zostać w tym mieszkaniu i nie chciałam iść do domu wujka Dennisa i cioci Grace. Chciałam tylko wrócić do domu.

Jen usłyszała, że Susan mamrocze coś obok niej. Jakby przeprosiny czy modlitwę. Odwróciła się i zobaczyła, że kobieta płacze. Wyjęła chusteczkę i podała jej.

Christine opowiadała dalej.



– Ten mężczyzna powiedział, że nie może zabrać mnie do mamy, bo musi wyjść. Ma ważne rzeczy do zrobienia. Mogę czuć się tu jak w domu, dopóki nie przyjdzie wujek. Że jeżeli będę chciała się przespać, jest tam sypialnia. A w kuchni więcej czekolady i picia.

– Twój wujek przyszedł? – zapytał Jonathan.

– Nikt nie przyszedł. – Christine, wspominając przeżyta panikę, znowu zaczęła się denerwować, dygoczącymi palcami mięła materiał bluzy. – Byłam sama i nie wiedziałam, co robić. Pomyślałam, że wyjdę i znajdę kogoś, ale nie mogłam wyjść. – Podniosła głowę. – Zamknął mnie. Ten człowiek mnie zamknął.

– To musiało być bardzo straszne – oznajmił Jonathan. – Bardzo mi przykro, że musiałaś przez to przejść.

– Nie wiedziałam, co się dzieje. Chciałam tylko być znowu w domu z mamą.

– Ile nocy tam byłaś, Christine?

Zmarszczyła czoło, z wysiłkiem usiłując sobie przypomnieć. Ale znowu ogarnęła ją panika i nie mogła się skupić.

– Czy dwa razy robiło się ciemno?

– Byłam tam bardzo długo. – Jen pomyślała, że kobieta rzeczywiście nie wie. Była przerażona i zdezorientowana. W tym momencie Christine spojrzała na nich i jej słowa zabrzmiały jak jęk bólu. – Nikt nie przyszedł!

– Szukaliśmy cię, naprawdę. – Jonathan wyglądał na równie przejętego jak ona. – Ale nie mogliśmy cię znaleźć.

– Skończyła mi się czekolada, picie i nie miałam nic do jedzenia. Na ulicy na dole byli ludzie. Panowie palili, śmiali się, a ja krzyczałam do nich, ale nie mogłam otworzyć okna i mnie nie słyszeli.

– A co stało się potem?

– Potem ten mężczyzna wrócił. – Wpatrywała się w nich, chcąc, żeby zrozumieli, przez co przeszła.

– Czy kiedy przyszedł, byli ludzie na ulicy?

– Nie – odpowiedziała. – Na ulicy było cicho. Pusto. Wciąż było ciemno.

– A więc pewnie wcześniej rano... – Teraz Jonathan zdawał się mówić do siebie. – I co wtedy zrobił?

– Wziął mnie do samochodu i znowu jechaliśmy, a potem poszliśmy na spacer.

– Co widziałaś w czasie spaceru? Mogłaś coś zobaczyć?

– Krowy – odparła. – Nie lubię krów.

– Czy coś jeszcze?

– Były kwiaty. Żółte kwiaty. A potem przyszedliśmy nad jakąś wodę i powiedział, że mam tu czekać. Ktoś po mnie przyjdzie. – Spojrzała na Jen. – I przyszłaś po mnie.

*Ale po wielu godzinach, pomyślała Jen. Jeżeli zostałaś zabrana z mieszkania wczesnym rankiem. My przyjechaliśmy późnym popołudniem. Siąpiło i nie miałaś porządnego płaszcza. Musiałaś być zrozpaczona.*

– Czy mogę zadać pytanie? – zwróciła się do Jonathana.

Zmarszczył się lekko.

– Tylko jedno. Dużo wycierpiała.

– W jakim stanie było mieszkanie, do którego cię zaprowadził? Porządne? Czy bardzo niechlujne?

– Jak tam mieszkałam, zrobiło się dość nieporządne – odparła Christine. – Nie wiedziałam, co zrobić z moimi śmieciami. Ale kiedy tam przyszłam, było czysto.

Jeśli więc Christine zaprowadzono do mieszkania w Branton, musiano je przetrząsnąć na krótko przed tym, zanim Matthew, Ross i ona do niego dotarli, między momentem, w którym mężczyzna w garniturze wyszedł z Christine, a przybyciem detektywów. Czy przypuszczano, że Christine zdołała im przekazać informacje? Nie dostali jej, więc ostatecznie musieli szukać czegoś w takiej panice? I czego dotyczyły te wszystkie pytania?

Jen chciałyby dążyć, ale widziała, że Jonathan ma rację i Christine przeszła wystarczająco dużo. Nie byłaby już w stanie skupić się na żadnym dodatkowym pytaniu. Susan wstała, by usiąść na poręczu fotela i objąć mocno córkę.

– Nie martw się, kochana. Nigdy więcej nic takiego ci się nie przydarzy. Zostaniesz ze mną i dopilnuję, żebyś była bezpieczna.



Jen zostawiła Jonathana w domku Shaplandów i pojechała z powrotem do Barnstaple. Patrząc na rzekę, w kierunku jej ujścia, poczuła przyływ tęsknoty za inną rzeką i innym ujściem. Za Liverpooliem i Mersey. Miastem pełnym życia i działania. Ale wiedziała, że żale są już daremne. Zaparkowała przy komendzie i poszła na piechotę przez miasto do wybrukowanej alejki na tyłach kościoła Świętego Cuthberta. Hałas ruchu ulicznego i zgiełk głosów ucichł. Dotarła do starej szkoły i zastała tam siedzącą w recepcji tę samą kobietę.

– Muszę porozmawiać z Caroline Preece.  
– Obawiam się, że jest w tej chwili z grupą.  
– Jestem funkcjonariuszką policji i widziałam się z nią już wcześniej.

W westybulu siedziały w fotelach dwie kobiety i gawędziły. Słyszając, jak Jen się przedstawia, spojrzały na nią. Zaciekawione i trochę nieufne.

– Może pani powiedzieć Caroline, że tu jestem?  
– Nie jestem pewna. – Młoda recepcjonistka wyglądała na spłoszoną. – Właśnie prowadzi sesję z kobietami i nie lubi, żeby jej przeszkadzać, gdy pracuje z grupą.  
– Jedna osoba z jej grupy została zamordowana. Wydaje mi się, że zechce się ze mną zobaczyć. Chciałabym też porozmawiać z uczestniczkami sesji.

Gawędzące kobiety zaczęły gapić się na Jen. Przesunęła jeszcze jeden fotel i usiadła przed nimi, częściowo blokując korytarz. Recepcjonistka precyzyjnie się obok niej i zniknęła w pokoju.

– Znała pani Simona Waldena? – zapytała sierżant jedną z kobiet.

– Tak. – Była bardzo chuda. Proste blond włosy i biały top tworzyły ramę bezbarwnej twarzy. – Był w mojej grupie medytacyjnej.

– Co pani o nim myślała?

Wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo ma się okazję do rozmowy, kiedy leży się na plecach z zamkniętymi oczami.

– A pani? – Jen zwróciła się do drugiej, starszej kobiety, ubranej jak torysowska radna. – Znała go pani?

– Nie bardzo. Wpadałam tu na niego. A nasza paczka po zakończeniu zajęć często chodzi do barku w Woodyard na lunch i czasami tam gotował. – Chwila milczenia. – Można było pomyśleć że jest tam szczęśliwy. W kuchni.

Pojawiła się trochę skołowana recepcjonistka.

– Caroline właśnie zakończyła swoją sesję. Zatrzymała grupę dla pani.

– Wspaniale. – Jen już stała. Wyjęła dwie wizytówki i podała je kobietom. – Jeżeli przyjdzie paniom do głowy coś, co może pomóc, proszę zadzwonić.

W pokoju siedzieli w kręgu około dwunastu kobiet. Kiedy weszła Jen, Caroline wstała.

– To sierżant detektyw Rafferty. Chciałaby coś powiedzieć.

Jen nie tak miała zamiar przeprowadzić rozmowę. Miała nadzieję, że spotka się z podopiecznymi Caroline indywidualnie, skłoni je do plotek, zapyta, czy ktoś nagle miał przyływ gotówki. Raczej wolałyby nie rozmawiać z nią w obecności koleżanek i pracownicy opieki społecznej. Poza tym już się wierciły niespokojnie, chcąc wyjść na dymka lub kawę, musiała więc pogodzić się z sytuacją, nim całkowicie przestaną się nią interesować.

– Pewnie już słyszałyście, że Simon Walden, który był członkiem tej społeczności, został zamordowany w poniedziałek po południu.

– Uważasz, że zrobiła to któraś z nas? – Wysoka, reagująca emocjonalnie młoda kobieta. – Tylko dlatego, że tu przychodzimy?

Bo mamy problemy ze zdrowiem psychicznym?

– Nie. Ale Simon był trochę samotnikiem. Pewnie znałyście go lepiej niż ktokolwiek inny.

Cisza i mur niechęci. Jen wiedziała, że przegrywa bitwę.

– Słuchajcie, tylko pomyślcie o tym, dobrze? Jeżeli przypomnicie sobie coś dziwnego, nawet jeżeli uznacie to za nieistotne, zadzwońcie do mnie. Szczególnie interesuje mnie, czy ktoś z waszego otoczenia nagle się wzbogacił. Nazywam się Jen Rafferty, a to numer mojego telefonu i adres mailowy. – Przypięła wizytówkę do korkowej tablicy obok motywacyjnych komunikatów podobnych do tych, które jej bardziej porąbani znajomi zamieszczali na Facebooku. – Proszę się ze mną skontaktować.

Kobiety wyszły, pozostawiając Caroline i Jen w pokoju.

– Przepraszam, jeżeli wydały ci się nieuprzejme – powiedziała Caroline. – Niektóre z nich nie mają dobrych doświadczeń z policją. I brakuje im pewności siebie. Agresja jest dla nich często jedynym sposobem, aby się określić.

Jen kiwnęła głową. To chyba miało sens. Kiedy pracowała w Merseyside, sama była humorzastą, wściekłą krową. Praca była jedynym miejscem, gdzie mogła stawiać opór.

– Czy kiedy zabito Simona, ukradziono mu portfel? – spytała Caroline. – Dlatego pytałaś o pieniądze?

– Przypuszczamy, że miał inne źródło dochodu i być może został też okradziony. Czy nie zauważyłaś, że któryś z twoich podopiecznych zaczął nagle szastać forszą? Kupił nowe ubranie? Nagle przeniósł się do innego mieszkania?

Caroline pokręciła głową.

– Przykro mi. – Wstała i wyprowadziła Jen z pokoju. Miała eleganckie czarne pantofelki na niewysokim obcasie, które stuknęły o drewnianą podłogę, wybijając rytm. Na korytarzu obie się zatrzymały. Gawędzące kobiety już sobie poszły. Jen czuła, że Caroline chce coś powiedzieć. Czekwała.

– Myślałam o pogrzebie – odezwała się Caroline. – Jeżeli nie ma nikogo innego, chciałabym się tym zająć. To znaczy zorganizować

go. Ed by mi pomógł. Chyba że żona Simona...

Jen przypomniała sobie rozmowę z Kate w wielkim mieszkaniu z widokiem na Downs. Jak wspominała Simona jako ucznia i żołnierza.

– Nie jestem pewna. Chciałabyś, żebym ją spytała?

– Tak! – Caroline była wyraźnie zadowolona, wdzięczna. – Mam wrażenie, że zawiodłam Simona, kiedy żył. Przynajmniej teraz mogłabym coś dla niego zrobić.







## *Rozdział dwudziesty ósmy*

Matthew wrócił na komendę z Lovacott w samą porę, aby zjeść kanapkę przed przybyciem Jasona Cramera, adwokata z Exeter. W drodze powrotnej detektyw przez cały czas zastanawiał się nad relacją Maurice'a o tym, jak Grace Salter znalazła się w domu Braddicków, zdesperowana, posiniaczona i krwawiąca. Usiłował wymyślić jakieś inne wytłumaczenie tego, co się stało. Wciąż trudno mu było pogodzić wspomnienie prawego, pryncypialnego człowieka, którego podziwiał jako chłopiec, z nowym obrazem brutala i damskiego boksera.

Cramer pojawił się punktualnie. Był rumianym, dobrodusznym mężczyzną, który spędził rano, grając w golfa, potem był w klubie. Matthew miał nadzieję, że nie przyjechał z pola golfowego do Barnstaple zaraz po wypiciu swojego lunchu. Kiedy jednak usiedli naprzeciwko siebie przy biurku i zaczęli rozmawiać, zorientował się, że jego obawy były płonne, a Cramer jest zupełnie trzeźwy i bardzo inteligentny. Matthew uznał, że jego jowialny sposób bycia jest profesjonalną maską, wybiegiem mającym skłonić przeciwników, aby go lekceważyli.

– Wiedziałem, że na wybrzeżu zabito mężczyznę, ale nie skojarzyłem tego zdarzenia z moim klientem. Chociaż w zaistniałych okolicznościach być może powinienem tak zrobić. W jaki sposób dowiedział się pan o moich powiązaniach z panem Waldenem?

- Wysłał pan list na jeden z jego adresów.
- Rzeczywiście, uzgadniałem spotkanie.
- Czy może mi pan powiedzieć, w jakiej sprawie się konsultował?

– Nie szczegółowo. – Cramer usiadł wygodniej. – Co nie oznacza, że chcę stwarzać trudności. Po prostu sam nie mogłem się zorientować, czego dokładnie chce.

– Spotkał się pan z nim?

– Nie. Odbyliśmy dwie rozmowy telefoniczne, a potem napisałem list, potwierdzając spotkanie z nim w kancelarii w Exeter.

– Właśnie ten list nam przekazano. – Matthew wziął pismo w plastikowej przezroczystej obwolucie i położył na biurku.

Cramer zerknął na nie.

– Tak.

– Czy orientuje się pan, dlaczego Walden postanowił iść ze swoimi sprawami do pana, a nie do jakiegoś miejscowego adwokata? – Sprawa dręczyła Matthew, od kiedy zobaczył list. Walden nie prowadził samochodu, a podróż pociągiem w Barnstaple wzdłuż doliny Taw do Exeter była malownicza, lecz bardzo wolna.

Cramer wzruszył ramionami.

– Pewnie poczta pantoflowa. Ludzie właśnie w taki sposób najczęściej wybierają prawników. – Zachichotał. – A poza tym jesteśmy bardzo dobrzy.

Matthew nie sądził, by Walden stykał się z wieloma ludźmi, którzy poleciliby mu prawnika działającego w stolicy hrabstwa.

– Musi pan się choć trochę orientować, dlaczego potrzebował pańskiej porady, skoro dwa razy rozmawiał pan z nim przez telefon.

– Prawdę mówiąc, nie jestem tego pewien. Zrobił na mnie wrażenie dość dziwnego jegomościa. Reagującego emocjonalnie. Początkowo wydawało się, że chodzi o prostą sprawę spisania testamentu. Nie miał żadnych żyjących krewnych i rozważał darowiznę na cele dobroczynne.

– Wie pan, komu chciał przekazać pieniądze?

– Centrum Woodyard. Sprawdziłem to. Jest finansowane przez fundusz charytatywny. Ma pan całkowitą rację. Jeżeli nie posiadał wielkich aktywów, o wiele sensowniej zrobiłby, konsultując się z miejscową kancelarią prawną. Zasugerowałem mu to i pomyślałem, że skorzystał z mojej rady, ponieważ nie odzywał się

przez jakiś czas. Potem zadzwonił znowu i zapytał, czy mógłby do mnie przyjechać. Był uparty i powiedział, że sprawa jest pilna. Stwierdził, że ma pewne wątpliwości związane z testamentem. A poza tym jest jeszcze jedna sprawa, w której jego zdaniem mógłbym mu pomóc. – Cramer podniósł wzrok i się uśmiechnął. – Wyjaśniłem mu naszą strukturę opłat, sądząc, że go to zniechęci. Mamy skłonność do wystawiania honorariów nieco wyższych niż zwyczajne stawki. Przypuszczam, że na tamtym etapie uznałem go trochę za fantastę. Północny Devon zdaje się przyciągać dziwaków, nie uważa pan? Oczywiście z wyjątkiem tu obecnych.

– Jakiego rodzaju fantastę?

– Nie było w tym nic konkretnego, ale czułem paranoję. Zrobił na mnie wrażenie kogoś, kto pasjonuje się dziwacznymi teoriami spiskowymi. – Cramer spojrzał ostro. – Ale to, że ktoś jest paranoikiem, nie oznacza jeszcze, że ktoś nie może chcieć go dopaść. Czy nie tak się mówi, komisarzu? Mam wrażenie, że źle oceniłem tego człowieka. Ponieważ z całą pewnością ktoś próbował go dopaść. I najwyraźniej mu się udało.

Przez chwilę panowała cisza. Stworzony przez Matthew obraz Simona Waldena wydawał się jeszcze bardziej niekonkretny, niepewny, zmieniający się po każdej rozmowie na jego temat.

– Czy nie mógłby mi pan powiedzieć czegoś jeszcze o waszej rozmowie? Czegoś, co pomogłoby mi zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależało mu na spotkaniu z panem? Co sprawiało, że wydawał się paranoikiem? Każdy drobiazg może być ważny.

– Przykro mi, komisarzu. Nic takiego nie było w tej rozmowie. Trochę mnie zirytowało, że domaga się spotkania ze mną twarzą w twarz i nie umawia się za pośrednictwem mojej sekretarki. Wydawało mi się, że paranoja powodowała także niechęć do szczerego mówienia przez telefon. Albo może pan Walden dzwonił z miejsca, gdzie ktoś mógł go podsłuchać albo mu przerwać. W tle były jakieś dźwięki.

– Jakiego rodzaju?

Cramer pokręcił głową z frustracją. Wyraźnie chciałby pomóc.

– Przykro mi, komisarzu. Szmer głosów. Mógł być na ulicy albo w pokoju. Poza tym nic więcej nie wiem.

Matthew miał już go pożegnać, podziękować mu za poświęcony czas i pozwolić mu wrócić do przyjaciół w klubie golfowym, nadrobić zaległości w dżinie i zawodowych plotkach, kiedy Cramer położył na stole kopertę. Uśmiechał się szelmowsko, jakby oczekując, że go zadziwi i sprawi detektywowi przyjemność.

– Ale jest jeszcze to. Przyszło do kancelarii we wtorek rano.

*Dzień po znalezieniu zwłok Waldena na plaży koło Crow Point. Musiał wysłać ten list rano w dniu swojej śmierci.*

Koperta była już otwarta. Wewnątrz była odręczna notatka i czek kasy oszczędnościowo-kredytowej na sumę 200 000 funtów wystawiony na kancelarię adwokacką Sandford i Marsh. Notatka brzmiała:

*Proszę przechować to dla mnie. Wyjaśnię w czasie spotkania z panem.*

– Miałem pracowity tydzień – stwierdził. – Nie zdołałem poprosić sekretarki, aby przelała pieniądze na rachunek klienta. Rozumie pan, dlaczego uznałem Waldena za dość niezwykłego gościa? Zazwyczaj musimy walczyć, aby wydostać należność od naszych klientów. Nie wysyłają nam pocztą czeków na wielkie sumy.

Matthew spojrzał na czek. Był wystawiony przez Kasę Oszczędnościowo-Kredytową Hrabstwa Devon.



Po wyjściu Cramera Matthew siedział przez chwilę za biurkiem. Było jasne, że kilka tygodni przed śmiercią Walden przeżywał jakiś kryzys. Coś, co skłoniło go, by jeździć autobusem do Lovacott z Lucy Braddick i wrócić do Cramera, aby umówić się na spotkanie. A także by wysłać do prawnika czek na wielką sumę. Matthew zastanawiał się, co mogło spowodować tak dziwne zachowanie. Czy było możliwe, że jak sugerował adwokat, Walden mógł mieć jakieś zaburzenia psychiczne? Ale kobiety w domu w Ilfracombe nie

wspominały, że Walden był w tym czasie mniej zrównoważony czy racjonalny, a Caroline była przecież profesjonalistką. Z całą pewnością dostrzegłaby w jego zachowaniu coś niezwykłego czy niebezpiecznego.

Rozległo się stukanie do drzwi gabinetu i wszedł Ross. Zaczął mówić, zanim znalazł się w pokoju, chcąc najwyraźniej zrehabilitować się w oczach szefa.

– Ustaliłem, gdzie Walden trzymał pieniądze.

*No cóż, najwyższa pora! Ale sądzę, że już to wiem.* Matthew nie odezwał się. Nie miało sensu psuć Rossowi przyjemności, a poza tym wyraźnie nie był nastawiony na to, by słuchać.

– Masz szczegóły?

– Oczywiście. – Ross położył na biurku między nimi zadrukowane kartki i przyciągnął krzesło. Był tak blisko, że Matthew czuł zapach żelu na jego przylizanych włosach. – W istocie miał dwa rachunki, bieżący w NatWest, na który wpłacano jego wypłatę z hotelu Kingsley, i rachunek oszczędnościowy w...

Matthew nie był już w stanie się powstrzymać.

– W Kasie Oszczędnościowo-Kredytowej Hrabstwa Devon.

– Tak! Skąd wiedziałeś? – Ross miał tak zawieszoną minę, że Matthew zrobiło się go niemal żal.

– Dowiedziałem się od Cramera, tego adwokata. – Matthew prawie nie zauważył reakcji Rossa na tę wiadomość. Był zbyt zajęty zadawaniem sobie w myślach pytań. Dlaczego Walden uznał za konieczne wysłać Cramerowi czek? Czy jest zbiegiem okoliczności, że Walden umieścił pieniądze otrzymane za dom oraz restaurację w Bristolu w kasie oszczędnościowo-kredytowej, której kierownikiem był kiedyś Dennis Salter? I dlaczego postanowił wycofać całą sumę? Co takiego zaszło, że zmienił decyzję o zapisaniu w testamencie wszystkich pieniędzy Centrum Woodyard?





## *Rozdział dwudziesty dziewiąty*

Gaby zgodziła się spędzić popołudnie z Caz i jej ojcem, Christopherem Preece'em. Wciąż nie była do końca pewna, w jaki sposób dała się na to namówić. Poprzedniego wieczoru, po jej występie na wieczorze jazzowym w barku, Caz wzięła ją na stronę.

– Co robisz jutro po południu?

– Właściwie nic. Nie pracuję w piątkowe popołudnia.

– Wybierzesz się gdzieś z tatą i ze mną? – Powiedziała to dziwnie błagalnym tonem i Gaby pomyślała, że Caz nieczęsto prosiła ją o jakąś przysługę, więc owszem, zgodziła się. Choć to wydało jej się dziwną prośbą. – Zaproponował spacer – dodała Caz. – A potem posiłek w barze.

– Nie chciałabyś spędzić z nim trochę czasu sama?

Popatrzyły na Christophera stojącego przy barze i kupującego drinki dla nich wszystkich. Gaby pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko takiemu ojcu.

– To rocznica śmierci mojej matki – wyjaśniła Caz. – Nie zniosę, jeżeli zacznie być sentymentalny. Przy tobie tego nie robi.

Reakcje na jej śpiew i kilka kieliszków musującego wina sprawiły, że Gaby bez oporów przyjęła propozycję.

– Dobra – oświadczyła. – Czemu nie? – Doszła do wniosku, że przynajmniej zje darmowy posiłek.

Teraz siedziały w cichym domu, pijąc razem kawę przed wyjściem na spotkanie z Christopherem Preece'em. Caz zaczęła opowiadać o śmierci matki; po raz pierwszy podała jakieś szczegóły. Gaby tylko słuchała.



– Nie było mnie w domu – oznajmiła Caz. – Weekendowy obóz z kościelną grupą młodzieżową. Nikt z nas nie wziął telefonu. Taka była umowa. Człowiek prowadzący ośrodek dziennej opieki przyszedł do mnie do pokoju i poinformował, że moja matka nie żyje. Tylko tyle, żadnych konkretów. Nic o tym, w jaki sposób umarła. Przyjaciółka odwiozła mnie do domu, ale poprosiłam ją, żeby nie wchodziła. Tato czekał tam na mnie. Powiedział, że matka popełniła samobójstwo, powiesiła się. – Caz milczała chwilę. – Wściekłam się. Zaczęłam wrzeszczeć. Oskarżać go.

Gaby trudno było sobie wyobrazić, że Caz, zazwyczaj tak opanowana i spokojna, straciła nad sobą kontrolę, ale przyjaciółka nadal mówiła.

– Powiedziałam różne okropne rzeczy. *Myślałam, że zajmujemy się tym wspólnie. Staramy się, żeby mama była bezpieczna. Jak mogłeś do tego dopuścić?* Próbował mnie objąć, ale go odepchnęłam. – Spojrzała na Gaby. Jej oczy za okularami sprawiały wrażenie bardzo dużych. – To już dziesięć lat i być może powinniśmy zawrzeć pokój. Ale nie chcę być z nim sama. Nie w tym szczególnym dniu. Rozumiesz mnie?

Gaby nie była pewna, czy rzeczywiście rozumie – czy chrześcijanie nie powinni wybaczać? – ale kiwnęła głową.

Zgodnie z umową spotkały się z Christopherem na parkingu National Trust<sup>[6]</sup> z widokiem na morze i klify. Obecnie, na początku sezonu, było tu bardzo mało ludzi. Niewiele samochodów. W dół klifu prowadziła na plażę ścieżka, a powietrze sprawiało wrażenie rozrzedzonego i lekkiego.

– To było ulubione miejsce mojej matki – powiedziała Caz.

Christopher przyjechał wcześniej, wysiadł już z samochodu i patrzył w kierunku wyspy Lundy, najwyraźniej pogrążony w myślach. Sprawiał wrażenie zaskoczonego obecnością Gaby. Widać Caz nie zapowiedziała, że przyjedzie z przyjaciółką, i Gaby pomyślała, że było to nietaktowne z jej strony. Ale Christopher zdołał dobrze ukryć zdziwienie.

– Na co macie ochotę? – zapytał. – Spacer do cypla? A potem kolacja w pubie? – Był ubrany jak ziemianin, w koszulę w kratkę i półgolf.

– Jasne. Świetnie – stwierdziła Caz. Gaby pomyślała, że przyjaciółka też wygląda fajnie. Ale zachowywała się chłodno, prawie lodowato. Wciąż nie była pewna, dlaczego Caz chciała, aby tu była. Żeby mieć świadka pojednania? Aby wszystko odbyło się kulturalnie? Niezależnie od tego, jakie były motywy Caz, Gaby miała wrażenie, że została w pewien sposób wykorzystana.

Chmury i mgły rozwiały się. Znowu powróciła wiosna. Nisko wiszące słońce sprawiło, że wszystko stało się ciepłe i złote. Caz zaczęła mówić, gdy tylko ruszyli ścieżką do cypla. W powietrzu czuć było miodowy zapach janowca.

– Mam stąd takie cudowne wspomnienia mamy. Wtedy czuła się dobrze, odprężona, zrelaksowana. Chodziłyśmy razem na plażę, kiedy pracowałeś, tato. – Caz odwróciła się do Gaby. – Był wtedy w pełnym trybie biznesowym, załatwiał swoje interesy, rozwijał plany. – Christopher szedł w milczeniu, a Caz ciągnęła dalej: – Uwielbiałam badać zagłębienia z wodą w skałach. A czy pamiętasz, jak kupiła mi małą deskę surfingową? Byłam taka podniecona!

– Pamiętam.

– Naprawdę, tato? Nie byłam pewna, czy zwracałeś uwagę na cokolwiek, co wtedy robiłyśmy. Można było uznać, że myślisz o jakichś innych sprawach.

Gaby znowu zdziwiła się, że Caz jest tak okrutna, i zastanawiała się, dlaczego potrzebowała do tego publiczności.

– Może powinnam wrócić – stwierdziła. – Żebyście porozmawiali we dwoje.

– Nie! – Caz ponownie stała się władcą starszą siostrą. – Proszę, Gaby. Potrzebuję cię tutaj.

Jakiś czas szli w milczeniu.

– Mam to zdjęcie mamy. – Caz nadal wspominała. – Byłam w morzu na tej plaży w dole, a mama mi się przyglądała. Była na

bosaka, miała spodnie podwinięte do kolan, luźną, białą koszulę, opalone ręce i okulary słoneczne kryjące prawie całą twarz.

Gaby spojrzała na Christophera, czekając na reakcję, ale wyraz jego twarzy był beznamiętny, niemal niewzruszony, jakby nie był do końca pewien, co się dzieje. Poczła się tak fatalnie, jakby miała zaraz zemdleć. W szumie fal pod nimi i krzykach krążących wyżej mew było coś powodującego zawrót głowy.

Kiedy Christopher w końcu odezwał się do Caz, zadał pytanie o Simona Waldena.

– Czy policja rozmawiała z tobą ponownie? Może wiesz, czy są bliżej wykrycia zabójcy?

– Spotkałam się w Świątym Cuthbercie z tą rudą sierżant Rafferty – odparła Caz. – Pytała mnie, czy któryś z naszych podopiecznych nagle się wzbogacił. Nie wytłumaczyła dlaczego.

Gaby zastanawiała się, czy Caz wspomniała ojcu o kluczu, który ona znalazła w praniu Simona, ale się nie odezwała. W istocie Caz nie miała szansy powiedzieć niczego więcej, ponieważ Christopher Preece zatrzymał się nagle i odwrócił w stronę córki, blokując jej dalszą drogę.

– Wiesz, że wszystko, co robię, robię dla ciebie. Że znaczysz dla mnie więcej niż cokolwiek na świecie. – Pauza. – Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Gaby przyglądała się temu z mieszanymi uczuciami – fascynacją i wyjątkowym zażenowaniem. Co się tu dzieje? To brzmiało niemal jak spowiedź.

Christopher zszedł ze ścieżki i usiadł na trawie. Gaby, pamiętającej Preece'a zawsze nienagannie ubranego, przyszła do głowy absurdalna myśl, że pobrudzi sobie spodnie. Zwrócił się do córki.

– Kochałem twoją matkę. Wiesz o tym.

– Wiem, że kochałeś ją na początku – oświadczyła Caz. – Zanim zachorowała. Zanim zrobiło się trudno.

Znowu cisza przerywana szumem fal i krzykiem mew.

– A czy ty kochałaś ją pod koniec? – Christopher odwrócił się w stronę Caz, a w jego słowach zabrzmiało prawdziwe zainteresowanie, a nie jakieś oskarżycielskie tony. – Kiedy była taka rozżłoszczona, nieprzewidywalna?

– Była moją matką! Oczywiście, że ją kochałam! – Jej okrzyk miał tę samą tonację co wrzaski mew.

– Rzeczywiście? To prawda? Czy kochałaś Beccę, kiedy pojawiła się w twojej szkole? Kiedy powiedziała twoim nauczycielom, że musisz zabrać ze sobą, ponieważ będzie koniec świata i musicie obie dotrzeć tu na plażę, aby uniknąć katastrofy? Nie sprawiałaś wrażenia, że ją kochasz, kiedy przyjechałem, żeby zabrać ją do domu. Byłaś przerażona. Ponieważ wyglądała jak szalona, prawda? Z rozczochranymi włosami, w aksamitnej sukni, którą zawsze nosiła w okresach kryzysów, łkająca w kącie gabinetu dyrektora?

Caz nie odpowiedziała. Żadne z nich nie zwracało już uwagi na Gaby. Zupełnie jakby jej tu nie było.

– Próbowałem jej pomóc, zrozumieć, co się z nią dzieje – odezwał się w końcu Christopher. – Ale masz rację, w końcu stało się to zbyt trudne. Uciekłem w pracę. Postanowiłem, że muszę zarobić dość pieniędzy, aby zadbać o was obie, zapewnić opiekę twojej matce.

– A co z innymi kobietami? – krzyknęła na niego Caz. – Też były twoją ucieczką?

Spojrzał na nią, jakby uderzyła go w twarz, ale nadal mówił spokojnie, tak cicho, że Gaby musiała wyęźać słuch, aby Preece'a nie zagłuszały szum fal i mewy.

– A ty, Caroline? Czy nie znalazłaś sobie sposobów ucieczki? Najpierw klub jeździecki, a potem Kościół. Zawsze lubiłaś, żeby twoje rozrywki były zorganizowane. Miały swoją hierarchię. Stanowiły rytuał, dzięki któremu nie musiałaś zbyt się wysilać, by myśleć samodzielnie.

Caroline wyglądała, jakby miała się rozplakać, ale Gaby nie była w stanie interweniować. Obserwując rozwój wydarzeń, czuła jakąś koszmarłą fascynację.

– Przepraszam – oznajmił Christopher. – To, co powiedziałem, było niesprawiedliwe. Byłaś młoda i oczywiście chciałaś jakoś ułożyć sobie życie. W domu tego nie miałaś, a nie mogłaś ponosić odpowiedzialności za opiekę nad Beccą. To był mój obowiązek. – Milczał chwilę. – Czułabyś dumę z tego, co oboje osiągnęliśmy w Świętym Cuthbercie, prawda? I pokochałabyś Woodyard. Wspaniałe rzeczy, które tam się dzieją. Muzykę i teatr. Sztukę. Pamiętasz, jak tańczyła?

– Tak, tak, była świetna. – Caz odwróciła się do niego. – Czy dlatego zaangażowałaś się w to wszystko?

– Oczywiście. Chyba musiałaś zdawać sobie z tego sprawę.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – stwierdziła Caz.

– Usiłowałem ci powiedzieć.

– Może to prawda. Ale zawsze byłam zajęta. Matura, a potem uniwersytet.

– Zastanawiałem się, dlaczego wróciłaś do Północnego Devonu po skończeniu uczelni – podjął. – Mogłaś zamieszkać gdziekolwiek. Musiałaś mieć takie przykre wspomnienia związane z tym miejscem.

– Ale też szczęśliwe. Tu właśnie miałam też te najlepsze, związane z mamą. Poza tym brakowało mi tego wszystkiego, kiedy byłam poza domem. – Caz nagle jakby podjęła decyzję. Podeszła do ojca. Stała nad nim i patrzyła oskarżycielskim wzrokiem.

– Zabiłaś ją?

Gaby pomyślała, że właśnie dlatego się tu znalazła. W charakterze świadka, na wypadek gdyby Christopher został zmuszony do powtórzenia zbrodni sprzed dziesięciu lat.

– Nie, oczywiście, że nie! – Szok i natychmiastowe zaprzeczenie.

– Tak właśnie myślałaś? Przez te wszystkie lata?

– Widziałam cię – oznajmiła Gaby – z kobietą. Jak lećcie na siebie. W barze w Barnstaple, kiedy myślałaś, że jestem w domu. Wymknęłam się, żeby spotkać się z przyjaciółmi. – Chwila milczenia. Więcej szczerości. Gaby miała wrażenie, że to jedna z gier w prawdę, w jakie bawiła się jako studentka. – Sądziłaś, że pilnuję

mamy, ale spała, a ja nie mogłam znieść kolejnej nocy sam na sam z nią.

Na chwilę zapadła cisza.

– Miała na imię Sophie. – Christopher Preece mówił bardzo cicho. – Uważałem, że jest piękna. Pracowała ze mną. Miała dyplom z prawa i prowadziła wszystkie nasze kontrakty. Była bardzo inteligentna, pełna idei.

– Zakochałeś się w jej umyśle – stwierdziła Caz. Gaby uznała, że zabrzmiało to jak kiepskie szyderstwo.

– Zakochałem się. Ale za nic w świecie nie zabiłbym twojej matki, żeby być z Sophie.

– Mama wiedziała? Nie byłeś zbyt dyskretny.

Pokręcił głową.

– Nie sądzę. W tym czasie już nie widywała żadnych swoich przyjaciół. Kto mógłby jej donieść? A w domu byłem bardzo ostrożny.

– Odwrócił się do córki. – Nie chciałem jej zranić.

– Jednak było wygodne, że mama nagle zniknęła ze sceny. Co się stało? Mogłeś bez przeszkód być z Sophie. Nadal się z nią spotykasz? Chowasz ją na poddaszu, kiedy przychodzę z wizytą?

– Myślę o Sophie. Była po prostu przyjemną rozrywką. Nie chciała żadnych długoterminowych związków i z całą pewnością nie była gotowa, żeby mieć nastoletnią pasierbicę. Poza tym uważałem, że nie zasługuję na szczęście. Nie zabiłem twojej matki, ale zmarła przeze mnie. – Znalazł długie źdźbło trawy i odrywał suche kłoski jeden po drugim. – Usiłowałem ponownie zatracić się w interesach, odzyskać emocje z nowych inwestycji, ale to nie działało. W rezultacie po kilku latach pozbyłem się ich i zorganizowałem Świętego Cuthberta, a następnie włączyłem się do kampanii na rzecz finansowania Woodyard. Włożyłem w to całe swoje pieniądze i energię. W stworzenie miejsca, dzięki któremu ludzie cierpiący jak twoja matka mogą być bezpieczni. – Spojrzał na nią. – Chciałem, żebyś była ze mnie dumna.

Chwila milczenia.

– Jestem dumna – powiedziała Caz. – Oczywiście, że jestem.

Jej ojciec poderwał się i zaczął znowu iść. Caz dołączyła do niego. Gaby poczekała chwilę, a potem ruszyła za nimi. Jej uwagę zwróciło światło padające na lico klifu. Widać było porosty i jakiś kolczasty krzew. Rokitnik? Zastanawiała się, jak mogłaby namalować ten pejzaż. A potem usłyszała, że idący przodem Christopher i Caz zaczęli znowu rozmawiać.

– Poznałem Simona Waldena.

– Wiem, że go poznałeś. Byłeś parę razy na piątkowych ucztach.

– Wcześniej. – Znowu zabrzmiało to tak, jakby chciał się do czegoś przyznać. Cała rozmowa nadal toczyła się w atmosferze spowiedzi. – Chciałem się z nim spotkać, zanim wprowadził się pod dwudziestkę. Zaprosiłem go do domu.

– Naszego domu?

Christopher kiwnął głową.

– Chciałem sprawdzić, czy jest w porządku. Mógł być jakimś mordercą. Szaleńcem.

– Och, tato, jestem dorosła. Nie musiałeś tego robić.

– Nie musiałem, teraz wiem. – Milczenie i kolejny moment szczerości. – Ale nie zniósłbym, gdybym stracił i ciebie.



Później poszli do krytego strzechą pubu w wiosce nieco oddalonej od wybrzeża. W sadzie za drogą znajdowało się niewielkie pole namiotowe i w lecie pękałoby w szwach. Ponieważ nadal było tanie, przyciągało młodych ludzi świętujących koniec sesji egzaminacyjnej, zdobycie dyplomu, wolności. Gaby ściągnęła tu grupę przyjaciół ze szkoły plastycznej wkrótce po rozpoczęciu pracy w Woodyard. Wszyscy przyjechali z Londynu i rozkoszowała się ich podziwem. *Strasznie tu fajnie. I naprawdę będziesz tutaj pracowała przez następne trzy lata?* Ależ będą zdumieni, że została wplątana w śledztwo w sprawie morderstwa. Byli przekonani, że to miejsce jest zupełnie inne niż miasto, a przemoc nigdy się tu nie zdarza.

Był piątkowy wieczór i Gaby pomyślała, że razem z Caz powinny być na Hope Street, przygotowywać posiłek i wspominać wcześniejsze piątkowe wieczory z Simonem. Nie powinna tkwić tu i rozmawiać na błahe tematy z jednym z szefów. Czuła się w pułapce. Nie miała samochodu, a byli wiele kilometrów od domu. Nawet gdyby była tak odważna i postanowiła ich opuścić, nie miała pieniędzy na taksówkę.

Caz rozwiązała problem.

– Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybyśmy tu nie jedli, tato? Gaby i ja wołałybyśmy w ten wieczór być same.

Christopher wyglądał, jakby poczuł ulgę.

– Oczywiście – oświadczył. Ale nie ruszyli się z miejsca i nadal rozmawiali. Już nie o matce Caz, ale o Woodyard i planach Christophera związanych z tym miejscem. Gaby przestała się przysłuchiwać. Znowu zaczęła myśleć o świetle słonecznym na licu klifu, barwach porostów i ostrych, wyraźnie widocznych kolcach rokitnika. Zrobiła zdjęcie i chętnie obejrzałaby je w telefonie, ale wiedziała, że byłoby to nietaktowne.

W kącie siedziało kilku starych mężczyzn, stałych klientów. Byli tu, kiedy londyńscy przyjaciele Gaby obozowali w wiosce. Zastanawiała się wtedy, czy przypadkiem nie są statystami zatrudnionymi przez właściciela, aby nadać lokalowi trochę miejscowego kolorytu. Teraz jednak uznała, że po prostu zaznaczają swoje prawo do tego miejsca. Było jeszcze wcześniej, w pubie panowała cisza i głos Christophera był białym szumem stanowiącym tło jej myśli.

– Chciałbym, żeby to dochodzenie policyjne się już skończyło – mówił – i zespół mógł wrócić do pracy. Nie możemy tkwić w bezruchu. Osiągnęliśmy tam tak wiele, a prasa wkrótce powiąże Waldena z Woodyard. Opinia ma wielkie znaczenie. Może wesprzeć albo zniszczyć projekt.

Gaby poprawiła się w krześle i spojrzała na przyjaciółkę. Caz zrozumiała komunikat.



– Posłuchaj, tato, pozwolisz, że już pójdziemy? To był męczący tydzień.

Jeżeli poczuł się rozczarowany, nie okazał tego. Wstał.

– Oczywiście, ale dawaj znać, co słyszeć. W każdej chwili.

Caz też się podniosła.

– Dzięki. I cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę.

Kiwnął głową.

– Mówiłem szczerze. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. – Położył pieniądze na stole i chociaż właśnie zamówił kawę, wyszedł razem z nimi i odprowadził je na parking.

[6] Brytyjska organizacja zajmująca się ochroną zabytków i przyrody w Anglii, Walii i Irlandii Północnej. W Szkocji jej odpowiednikiem jest National Trust for Scotland.





## *Rozdział trzydziesty*

Kiedy Matthew wyszedł z komendy, wybiła szósta. Jonathan mógł już być w domu, otworzył piwo, przygotowywał jedzenie. Matthew niejasno pamiętał, że na obiad byli zaproszeni przyjaciele, pomyślał więc, że powinien przełożyć spotkanie z Dennisem Salterem na następny dzień. Jonathan był tolerancyjny i rozumiał wymogi jego pracy, ale w tym przypadku mógł to być o jeden krok za daleko. Potem Venn przypomniał sobie przedstawiony przez Maurice'a Braddicka opis pobitej i sponiewieranej Grace Salter i wysłał Jonathanowi esemesa z wiadomością, że zapewne się spóźni i powinni zacząć bez niego. Kiedy uruchomił samochód i ruszył już znajomą trasą do Lovacott, musiał uczciwie przyznać, że zapewne obiad i tak nie sprawiłby mu przyjemności. Meryl i Jo były od lat przyjaciółkami Jonathana. Z kolei Matthew dopiero niedawno został wprowadzony do jego kręgu znajomych. Obie kobiety zajmowały się garncarstwem i pracowały w spółdzielni rzemiosła artystycznego na skraju Exmoor. Były aktywistkami politycznymi bardzo nieufnymi wobec policji.

Kiedy zaparkował przed domem, na placu było już ciemno. Naprzeciwko, w „Złotym Runie”, ludzie gromadzili się na jakąś uroczystość. Młode kobiety w obcisłych, skąpych sukniach i starsze w długich, obszytych cekinami. Mężczyźni w różnego rodzaju strojach wizytowych, jeden miał na sobie kilt, co zdziwiło Venna. Słysząc było śmiechy. Ktoś przyszedł, niosąc pęk srebrnych balonów z namalowaną na nich liczbą 60. Jakaś impreza urodzinowa. Coś, czego nienawidził.

Wiedział, że pozwala myślom błędzić, ponieważ nie ma ochoty spotykać się z Salterem, ale wysiadł z samochodu i nacisnął dzwonek. Zapaliło się światło w holu. Matthew zobaczył je przez długie, przesuwane okno koło drzwi, które uchyliła Grace. Jej oświetlona od tyłu twarz była mizerna, same kąty i płaszczyzny. Szare oczy wpatrywały się w niego.

– Tak?

– Jestem Matthew Venn. Chciałbym porozmawiać.

– Chodzi o Christine? Tak się ucieszyliśmy, że ją znaleźliśmy. – Nie odsunęła się, żeby wpuścić go do środka, i jej głos był właściwie bez wyrazu, bez autentycznego zadowolenia. Matthew pomyślał, że jest w niej coś z robota.

– Jest Dennis?

– Nie – odparła. – Poszedł na zebranie. Na radę zarządu tutejszej szkoły podstawowej.

– Może mógłbym wejść i porozmawiać z tobą.

– Sama nie wiem. Może tam być jeszcze jakiś czas. – Stała nieruchomo w drzwiach, blada, chuda i kanciasta.

– O co chodzi, Grace? Czy Dennis nie lubi, jak rozmawiasz z ludźmi pod jego nieobecność? Czego się obawia?

Po tych słowach go wpuściła. Siedzieli w dużym, oficjalnym pokoju od frontu. Nie włączono w nim ogrzewania i wchodząc do środka, poczuł chłód. Z kuchni słychać było salwy podłożonego śmiechu. Chyba słuchała przez radio jakiejś komedii.

– Czy zrobić ci herbatę? – Nie mogła usiedzieć i już wstała z krzesła.

– Byłoby cudownie. – Czuł, że zachowuje się okrutnie, powodując u Grace tak wielki stres.

Była w kuchni tak długo, że zaczął podejrzewać, że się przed nim ukrywa. Radio zostało wyłączone i w domu nagle zapadła cisza. Potem dobiegł go stłumiony głos i pomyślał, że dzwoni do męża przez komórkę, zostawia mu wiadomość, prosi, żeby przyszedł do domu. Asekuruje się, na wypadek gdyby Dennis rozzłościł się na nią, bo wpuściła Matthew.

W końcu przyszła z tacą. Nalała herbatę i zaproponowała mleko. Zwrócił uwagę, jak bardzo różni się od Susan. Siostry, ale tak do siebie niepodobne. Ich jedyną wspólną cechą była przynależność do Bractwa. Nie wiedział, jak skłonić Grace do mówienia. Wcześniej, kiedy jechał wąskimi drogami z Barnstaple, wydawało mu się to łatwe.

– Jesteś bardzo blisko z siostrą? O ile pamiętam, w młodości byłyście wielkimi przyjaciółkami?

– Byłyśmy. Wielkimi przyjaciółkami. – Grace na chwilę przymknęła oczy.

– A teraz?

– Sprawy się zmieniają – odparła, nie patrząc na niego. Nie wyjaśniła swoich słów.

– Jak często Christine zostaje u was?

Otworzyła oczy i obserwowała go czujnie.

– Nie tak często jak kiedyś.

– Dlaczego?

– Jesteśmy starsi. To nie takie łatwe. Być może jesteśmy przywiązani do naszego porządku dnia i naszych rytuałów.

– Czyj był pomysł, żeby przebywała u was w czasie pogrzebu mojego ojca? – Matthew milczał przez chwilę. – Miałem wrażenie, że oboje chcielibyście tam być. Dennis był jego dobrym przyjacielem.

– Dennis tam był – odparła Grace. – A ja byłam zadowolona, że zostanę z Christine. Nie był to jeden z dni, kiedy uczęszczała do Woodyard. Wiedziałam, że Susan chciałaby towarzyszyć Dorothy.

– A więc zaproszenie Christine wyszło od ciebie?

Nie odpowiedziała od razu.

– Szczerze? Nie mogę sobie przypomnieć. – Spojrzała na niego nad stołem. – Nie jestem pewna, czy zadawanie tych wszystkich pytań przyniesie coś dobrego. Christine jest bezpieczna, i tylko to się liczy.

Patrzyli na siebie. Matthew zastanawiał się, czy jej słowa nie są zaszyfowaną prośbą, by się nie wtrącał. Może obawiała się, że Dennis wyładuje na niej całą wściekłość, bo wpuściła Matthew. Ze

„Złotego Runa” po drugiej stronie placu dobiegło basowe dudnienie rytmów disco.

– Muszę cię zapytać o Dennisa. – Matthew pomyślał, że powinien poruszyć tę sprawę teraz, zanim Salter wróci z zebrania. – Słyszałem pogłoski, że nie potrafi zapanować nad gniewem i że w przeszłości cię uderzył.

– Znasz Dennisa. – Głos miała matowy i wyprany z wszelkich emocji. – Nie zrobiłby niczego takiego. Jest dobrym człowiekiem.

– Dobrym człowiekiem, który pozwolił, aby jego cierpiąca na dysfunkcje poznawcze siostrzenica została porwana i przetrzymywana przed dwie noce wbrew jej woli.

– Był zdekoncentrowany. Słuchał sprawozdania z krykieta. A potem dostał wiadomość od członka Bractwa, który go potrzebował.

– Jesteś pewna? – Z placu doleciał wybuch piskliwego śmiechu. – Jesteś pewna, że to nie on stał za tym porwaniem? Że przynajmniej o nim nie wiedział?

– Nie bądź śmieszny!

Pamiętał, że Grace przed zamążpójściem była nauczycielką. Jego matce bardzo to imponowało i powiedziała mu, że pewnie zostanie kierowniczką przedszkola. Teraz Salter powiedziała te słowa, jakby był niemądrym czterolatkiem – z rozbawieniem, ale i z wyraźną irytacją.

– Czy cię uderzył, Grace? Możemy ci pomóc znaleźć jakieś inne miejsce zamieszkania.

– Nie bądź śmieszny! – powtórzyła. – Mogłeś złamać serce matce, porzucając Bractwo i żyjąc z mężczyzną, ale musisz nadal wiedzieć, jak to wszystko działa. Pewne rzeczy nie są możliwe. Jestem szczęśliwa jako żona Dennisa. Potrzebuje mnie. – Spojrzała mu prosto w oczy, a ton jej głosu był mocny i stanowczy. – I chcę nią pozostać.

Matthew widział, że mówi prawdę. Chciała nadal być zameżna. W jej małym świecie fakt, że jest żoną Dennisa, zapewniał jej status, poczucie bezpieczeństwa i celu w życiu, których się zrzekła, gdy

przestała pracować. Zapewne przekonywała samą siebie, że zdoła go zmienić albo że jego wybuchy złości są jej winą. Albo to Dennis ją przekonał, zrobił jej pranie mózgu, zmuszając do uległości. Matthew trudno było uwierzyć, że wydarzenia tamtej nocy, kiedy zjawiała się w domu Braddicka pobita i zdesperowana, były odosobnionym incydentem.

Rozległ się dźwięk klucza przekręcane go w zamku i pojawił się Dennis ze swoją lwią głową i grzywą siwych włosów, natychmiast stając się centralną postacią w pokoju. Ramiona już miał rozpostarte w powitalnym geście. Rytuał, który teraz wydawał się nic nieznaczącą pozą. Matthew zorientował się, że jego obecność nie była zaskoczeniem dla gospodarza. Miał rację. Grace zadzwoniła do męża, żeby go ostrzec.

– Matthew! Jak dobrze cię widzieć! Wspaniała wiadomość, że nasza siostrzenica została bezpiecznie oddana matce. To błogosławieństwo i radość.

– Była trzymana w zamknięciu przez dwie noce – oznajmił Matthew. – Jak sądzimy, uwięziona w mieszkaniu w Braunton. To bardzo poważne przestępstwo. Oczywiście nadal prowadzimy dochodzenie.

Nie było natychmiastowej reakcji na wzmiankę o Braunton, ale obecnie komisarz był zdania, że ten człowiek nie zareagowałby spontanicznie na nic. Jego życie było spektaklem, a twarz maską. Znowu rozłożył szeroko ramiona.

– Oczywiście, musisz tak robić!

– Została porzucona niezbyt daleko stąd, w okolicy stawu koło Lovacott – mówił dalej Matthew. – Według mojej matki urządzałaś tam letnie pikniki Bractwa. Znasz więc to miejsce.

– Oczywiście, że je znamy. Bardzo dobrze. Jakie to były szczęśliwe czasy! Być może powinniśmy zacząć znowu organizować te pikniki, Grace. Chociaż obawiam się, że wielu członków naszej wspólnoty jest obecnie w podeszłym wieku i trudno by było ich tam sprowadzić. – Dennis roześmiał się dyskretnie. – I nie jestem



pewien, czy wielu z nas zdołałoby wziąć udział w wyścigu parami z jedną związaną nogą.

– Och, nie sądzę, aby w linii prostej było to aż tak daleko – stwierdził Matthew. – Jeżeli masz mapę, mógłbym ci to pokazać.

Dennis tylko się uśmiechnął, jakby dając do zrozumienia, że nie potraktował propozycji poważnie.

Grace wstała i postawiła herbaciane utensylia na tacy.

– Pozostawię was, panowie, abyście mogli porozmawiać. O ile nie mogę w czymś jeszcze pomóc, Matthew? – Teraz, kiedy jej mąż powrócił, wydawała się bardziej swobodna, niemal dziewczęca.

Matthew zaczął się zastanawiać, czy nie zinterpretował źle relacji w rodzinie Salterów. Czy Braddick nie przesadził, opisując, jak Grace przybyła do jego domu, aby porozmawiać z Maggie, albo czy czegoś opacznie nie zrozumiał? Ale przy drzwiach Grace zatrzymała się, bo z tacą w rękach nie mogła nacisnąć klamki, i podszedł, aby pomóc jej wyjść. Zobaczył, że dłonie, w których trzymała tacę, były białe i dygotały. Być może ona także opanowała sztukę udawania.

Dennis Salter zaczął mówić, gdy tylko Matthew wrócił do stołu.

– Mogę w czymś ci pomóc, Matthew? Oczywiście chcemy, żeby sprawa została jak najszybciej wyjaśniona. Prasa wężąca wokół Woodyard może zaszkodzić prowadzeniu centrum i jego finansowaniu.

– Simon Walden miał rachunek oszczędnościowy w Kasie Oszczędnościowo-Kredytowej Hrabstwa Devon. – Matthew wiedział, że porusza się po omacku. Nie był pewien, do czego zmierzają jego pytania.

– Doprawdy? To nic niezwykłego, sam wiesz. Nie tutaj. Kasa jest lokalnym przedsiębiorstwem, a nasi klienci są bardzo lojalni.

– Walden nie był miejscowym. Poza tym nie wydaje się, aby uważał, że jego pieniądze są tam bezpieczne. Przed śmiercią wysłał czek do swojego adwokata.

– Och, Kasa Hrabstwa Devon jest całkowicie bezpieczna. Nie ma najmniejszych obaw w tej kwestii. Sam trzymam w niej oszczędności.

– Woodyard też z niej korzysta, jak sądzę. – Odpowiedzi nie było i Matthew spojrzał na Saltera. – Jak dawno przeszedłeś na emeryturę?

– Parę lat temu. To była doskonała pora, aby odejść nieco wcześniej. Teraz Grace i ja możemy spędzić trochę czasu razem.

– Jesteś w zarządzie Woodyard. – Miał wrażenie, że błądzi na oślep w gęstej mgłę, bez określonego celu. – Powiedziałeś, że znasz Christophera Preece'a.

– Tak. Chociaż oczywiście stykałem się z nim już wcześniej. W Północnym Devonie środowisko biznesowe jest niewielkie. – Popatrzył na Matthew, uśmiechając się jednym ze swoich typowych uśmiechów. – Jonathan Church wiedział wszystko o decyzji Christophera, zaproszeniu mnie do zarządu, i przedstawił mnie innym członkom. Jest szarą eminencją centrum. Ale oczywiście wiesz o tym. Znasz go dobrze.

W słowach kryła się aluzja, która brzmiała niemal jak groźba. Być może był to tylko złośliwy przytyk do związku, który Salter uważał za odrażający, ale Matthew odebrał je jak coś bardziej agresywnego. Jak oskarżenie.

– Gdzie byłeś wczoraj rano? – Komisarz wiedział, że pytanie jest absurdalne. To nie Salter był człowiekiem, który zawiózł Christine nad staw w Lovacott, kobieta na pewno rozpoznałaby własnego wuja, ale przyszło mu na myśl, że to Dennis mógł przeszukać mieszkanie Waldena w Braunton.

Po raz pierwszy Salter sprawiał wrażenie nieco zaniepokojonego.

– Dlaczego pytasz?

– Prowadzimy szereg dochodzeń. To tylko rutyna. Jestem pewien, że rozumiesz. Zadajemy te same pytania każdemu, kto był jakoś powiązany z panem Waldenem.

– Ale ja nie byłem powiązany z panem Waldenem. O ile wiem, nigdy go nie spotkałem. – Salter nie powiedział tego spokojnym, jowialnym tonem, ale niemal warknął. – A poza tym, czy nie został zabity w poniedziałek? Wiesz, że tego dnia byłem na pogrzebie twojego ojca.

– Ale jesteś powiązany z Christine Shapland, a uważamy, że oba przestępstwa się łączą.

Zapadła cisza, znowu zakłócona przez odgłosy imprezy po drugiej stronie placu, ten sam nieustający rytm.

– Byłem tu – odparł Salter. – Grace to potwierdzi. Czy mam ją zawołać, żebyś mógł ją zapytać?

– Nie ma takiej potrzeby.

Bo oczywiście Grace potwierdzi. Potwierdzi wszystko, co powiedział jej mąż.



Kiedy Matthew wrócił do domu na wybrzeżu, goście Jonathana wciąż tam byli. Znajdowali się w salonie – jedna kobieta siedziała rozparta na sofie, druga na podłodze, z łokciami opartymi na poduszkach. Jonathan na wpół leżał w fotelu. Już byli po posiłku. Talerze nadal stały na dużym stole w kuchni, garnki moczyły się w zlewie. Niepozmywane naczynia zirytowały Matthew bardziej, niż powinny. Cała trójka piła whisky.

– Zaproponowałem Meryl i Jo, żeby przenocowały – odezwał się Jonathan z fotela. – Mają tak daleko do domu, a jutro sobota, więc wolne.

*Ale nie dla mnie. Wciąż będę pracował.* Pomyślał, że zachowuje się gburowato. Miał nadzieję, że będzie miał Jonathana dla siebie. Wciąż nie przyzwyczał się do dzielenia się nim, do bycia towarzyskim. Sam miał niewielu przyjaciół w mieście, a znajomi Jonathana mogli wypełnić Queen's Theatre w Barnstaple.

– Zostawiliśmy ci trochę jedzenia – oznajmił Jonathan. Zsunął się z fotela i trochę niepewnym krokiem poszedł do kuchni. Matthew ruszył za nim i przyglądał się, jak wyjmuje z piekarnika żaroodporną formę do zapiekanek i nakłada potrawę na talerz. – Pewnie umieras z głodu.

Matthew chciał go zapytać o Saltera i Preece'a, ponieważ Jonathan był jego wewnętrznym źródłem informacji. Znał ich lepiej

niż ktokolwiek inny powiązany z dochodzeniem. Ale drzwi były otwarte i kobiety nadal prowadziły z Jonathanem głośną rozmowę o jakimś filmie, który zamierzały obejrzeć.

– Postaw to na tacy i dołącz do nas – rzekł Jonathan. – Należę ci wina.

Matthew zamierzał zostać w kuchni i zjeść w spokoju, za zamkniętymi drzwiami, ale wrócił z Jonathanem do salonu i usiadł w fotelu przy kominku.

– Dobra – powiedział. – Czemu nie.





## *Rozdział trzydziesty pierwszy*

W sobotę rano Matthew obudził się pierwszy. Poszedł do łóżka przed innymi i teraz, kiedy wszedł do kuchni, zobaczył, że musieli przed pójściem spać zapełnić zmywarkę oraz wyczyścić blaty. Poczłł idiotyczny przyptłw niechęci, poniewaŝ nie miał juŝ ŝadnego uzasadnienia dla swojego gniewu. Zrobił kawę i właŝnie miał zanieŝć kubek Jonathanowi, kiedy do pomieszczenia wszedł jego mŝ, na bosaka i w krótkim szlafroku.

– Przepraszam za ostatni wieczór – powiedział. – Powinienem zdać sobie sprawę, ŝe ostatnią rzeczą, której potrzebujesz w samym ŝrodku dochodzenia, sŝ nieplanowanie nocujŝcy tu goŝcie, ale wiesz, jaki jestem po paru kieliszkach. I był to piŝtek. Nienawidzē samotnych piŝtków. Wydaje siē to jakoŝ bluŝniercze. Piŝtek powinien byē obchodzony i ŝwiētowany wspólnie, a nie byētem pewien, jak długo ciē nie bēdzie. – Skinŝł głowŝ w kierunku sypialni zajmowanej przez obie kobiety. – Powinny wkrótce wyjechać. Muszŝ byē w domu jeszcze dziŝ rano. Obiecaētem, ŝe zrobiē im ŝniadanie. Moŝe spróbowałbyŝ przyjechać na lunch? Do tej pory juŝ ich nie bēdzie. – Siēgnŝł do lodówki po jajka i torbē z pieczarkami.

– Wŝtpię, czy uda mi siē uwolnić. – Matthew uŝwiadomił sobie, ŝe zabrzmiało to opryskliwie. – Ale spróbujē. To wspaniały pomysł.

– A wiēc mi wybaczyłeŝ? – W jego głōsie brzmiał niepokój, jakby byēło to coŝ wiēcej niŝ wyŝwiechtany zwrot. Adoptowany chłōpiec martwiŝcy siē, ŝe zostanie wykluczony, szukajŝcy dla siebie rzeczywistego miejsca.

– Oczywiŝcie.

Matthew zawsze mu wybaczał. Pomyślał, że wybaczyłby Jonathanowi wszystko.



W komendzie było cicho. Ross już był i gapił się w ekran komputera. Matthew usiadł właśnie przy biurku, kiedy zadzwoniła Jen, pytając, czy nic się nie stanie, jeżeli przyjedzie później.

– Naprawdę muszę spędzić trochę czasu z dziećmiakami. Ella i Ben wkrótce zapomną, jak wyglądam, a jeżeli nie zrobię zakupów, zaczną się zjadać nawzajem.

– Jasne, nie ma sprawy. – Matthew miał nadzieję, że to nie wymówka, że nie wzięła wczoraj udziału w jakiejś szalonej imprezie i nie wróciła właśnie chwiejnym krokiem do domu, zbyt padnięta, by pracować.

– Dostałeś moją wiadomość o rozmowie Jonathana z Christine Shapland oraz spotkaniu z Caroline i podopiecznymi Świętego Cuthberta? Nie dowiedziałam się niczego użytecznego. Przepraszam. – Brzmiała całkiem trzeźwo.

– Tak. – Matthew miał nadzieję w ubiegły wieczór pomówić z Jonathanem o sprawach Woodyard, poprosić go o opinię i wymienić się pomysłami. Uznał, że powinien tak właśnie zrobić, a nie jechać do Lovacott, aby porozmawiać z Salterami. Teraz wiedział, że był to stracony czas. Nie przemyślał wszystkiego w wystarczający sposób przed rozpoczęciem rozmowy z Grace i efektami były tylko frustracja i gniew. A Salter został ostrzeżony, że Matthew wie o jego życiu rodzinnym. Stanie się jeszcze bardziej niedostępny i skryty.

– Dzięki – powiedziała Jen. – Będę później. Jeżeli zdarzy się coś ważnego, zadzwoń do mnie.

Odłożył słuchawkę i podszedł do biurka Rossa.

– Dostaliśmy coś od techników po zbadaniu mieszkania Waldena w Braunton?



Jeżeli znaleźli odciski palców, chciałby wiedzieć, czy któreś nie zostały już zidentyfikowane. Cieszyłby się z dowodu świadczącego, że Salter był w mieszkaniu. Wyobraził sobie, że wzywa go, aby przyszedł na komendę w celu przeprowadzenia badań daktyloskopijnych, i jak stoi tu z tuszem na palcach niczym z piętrem hańby. Ale Salter nie był durniem. Jeżeli to on przeszukał mieszkanie, z całą pewnością był w rękawiczkach. Matthew musiał być ostrożny – jego antypatia do tego człowieka zakłócała jego osąd. Nie miał prawdziwego dowodu, że Salter był agresywny albo w jakiś sposób powiązany ze śmiercią Waldena.

– Właśnie miałem ich pogonić.

Matthew nie skomentował tego. Wciąż czuł się nie w porządku, że stracił cierpliwość do Rossa w obecności innych funkcjonariuszy. Nienawidził utraty panowania nad sobą. Czując się uwięziony i zdenerwowany, wrócił do swojego oszklonego zakątka we wspólnej przestrzeni biurowej. Bardzo chciałby znaleźć bardziej konkretne powiązania pomiędzy Dennisem Salterem a Simonem Waldenem. Jak na razie nie było żadnego dowodu, że się kiedykolwiek spotkali. Paskudna insynuacja Saltera, że Jonathan może mieć jakiś wpływ na dochodzenie i Matthew próbuje ochronić swojego męża, sprawiła, że znowu pomyślał o wycofaniu się ze sprawy. Ale także gniewała go. W jego przekonaniu było niemal religijnym aksjomatem, że Jonathan nie mógł być zamieszany w morderstwo czy porwanie.

*Muszę wszystko załatwić do końca weekendu. Jeżeli do tej pory nie rozwiążę sprawy, pójdę z nią do góry. Powiem Joemu Oldhamowi, że Jen Rafferty doskonale sama sobie z nią poradzi.*

Przez szklaną ściankę działową obserwował, jak Ross rozmawia przez telefon. Nagle zrobił podekscytowaną minę i uniósł pięść. Pomachał do niego i Matthew znowu poszedł do niego pomiędzy biurkami i terminalami komputerowymi.

– Co się stało? Wygrałeś na loterii?

– Lepiej!

– No to gadaj. – Matthew nie był skłonny do agresji, ale chwilami Ross prowokował go do tego stopnia, że miał ochotę go walnąć.

A teraz był w takim nastroju.

– Technicy przekazali wstępny raport o mieszkaniu Waldena w Braunton i znaleźli parę zidentyfikowanych odcisków palców. Mamy potwierdzenie, że Christine Shapland tam była.

– Och, sądzę, że tego już się domyślaliśmy.

– Ale zidentyfikowano także inne.

– Podaj mi nazwisko, Ross. Przestań się wygłupiać.

– Wiesz, że w celu eliminacji zdjęliśmy odciski palców kobietom z Hope Street?

– Nie wiedziałem, ale to było sensowne. Dobra decyzja.

– Wygląda na to, że Gaby Henry była w mieszkaniu w Braunton. Nie ma żadnej wątpliwości. Znaleźli jej odciski palców w łazience i na komódce w sypialni.

Matthew zastanowił się i zdumiał, dlaczego nie jest tym bardziej zaskoczony.

Po powrocie do swojej klitki zadzwonił na telefon stacjonarny na Hope Street. Pomyślał, że nikogo tam nie ma albo że jeszcze śpią, i właśnie miał nagrać się na automatyczną sekretarkę, kiedy podniesiono słuchawkę.

– Caroline Preece. – Głos miała zmęczony i sprawiała wrażenie chorej.

– Mówi Matthew Venn. Czy mógłbym porozmawiać z Gaby?

– Nie ma jej, komisarzu. W soboty w porze lunchu Gaby prowadzi kurs malowania pastelami na Uniwersytecie Trzeciego Wieku w Woodyard. To nie jest jej ulubione zajęcie, ale życiowa konieczność. Wyszła pół godziny temu. Oświadczyła, że chce popracować nad czymś swoim. Ma nadzieję, że uda się jej skończyć obraz, zanim pojawią się kursanci.



Matthew znalazł samotną Gaby w jej pracowni w Woodyard. Pracowała nad obrazem przedstawiającym Crow Point.

– Już jest prawie skończony? – Nie był w stanie stwierdzić, jak mogłaby go bardziej poprawić. Był piękny. Przesycony światłem zza chmur. Zafascynował go przez chwilę.

– Tak. – Opuściła pędzel, ale nie mogła przestać patrzeć na obraz. Wciąż nie poświęcała Matthew pełnej uwagi.

– Tamtego ranka spotkałaś się z Simonem, prawda? W każdym razie wypił kawę i zjadł kanapkę z bekonem, a ty wzięłaś herbatę ziołową.

Odłożyła pędzel na półeczkę na dole sztalugi i odwróciła się w jego stronę.

– Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami.

– Policyjna rutyna. – Dopiero w tym momencie dostrzegł zielony płaszcz wiszący na haczyku na drzwiach. – Świadek widział was razem w kawiarni w Braunton i opisał twój ubiór. – Nie odpowiedziała i ciągnął dalej: – Czy byliście w związku?

– Nie jestem pewna, co chcesz przez to powiedzieć.

– Ale byłaś w jego mieszkaniu w Braunton. Wiedziałaś, że ma inne miejsce zakwaterowania.

Nie odpowiedziała.

– Wiemy, że tam byłaś – stwierdził. – Znaleźliśmy twoje odciski palców.

Wciąż milcząc, wpatrywała się w Matthew.

– Zabiłaś go?

– Nie! – odpowiedziała, sprowokowana w końcu do jakiejś reakcji. – Nie! Oczywiście, że nie!

– No cóż, bardzo się postarałaś utrudnić nam dochodzenie i przyznajesz, że w krytycznym czasie byłaś w tym rejonie. – Milczał chwilę. – Musisz zdawać sobie sprawę, jak to wygląda, Gaby. Kłamałaś.

– Nie – zaprotestowała. – Nie kłamałam, ale nie powiedziałam wszystkiego, co wiem.

Stali, patrząc na siebie.

– Powiniennem zabrać cię na komendę – oznajmił – udzielić pouczenia o przysługujących prawach i przesłuchać w obecności adwokata.

Odsunęła włosy z twarzy. Zobaczył małą smugę farby na jej policzku. Zielonej, w tym samym odcieniu co płaszcz.

– Proszę, nie rób tego. Potrzebuję tej rezydentury. Wiem, że skamle, ale bez niej nie przeżyję.

– Nie mogą cię wyrzucić za pomaganie policji w dochodzeniu.

– Nie mówimy teraz o Jonathanie. Jest wporzo. Chodzi mi o zarząd. Miejscowi biznesmeni, najczęściej mężczyźni, i politycy, też głównie mężczyźni. Nie wiedzą, po co ta sztuka. Woleliby raczej wynająć to pomieszczenie na warsztat rzemieślniczy komuś, kto chciałby robić tanie bzdety dla turystów. Dzięki temu mogliby żądać czynszu. Tylko szukają pretekstu, żeby się mnie pozbyć. Robią to, od kiedy się pojawiłam.

Matthew przesunął krzesło i usiadł.

– Ile masz czasu do przyścia kursantów?

– Godzinę.

– Zrób mi kawę i pogadamy.

Usiedli oboje i aromat kawy zmieszał się z zapachami farb, terpentyny i pyłu kredowego.

– Dlaczego kłamałaś o Waldenie? Czemu udawałaś, że go nie lubisz?

– Już powiedziałam. Nie kłamałam. Początkowo go nie lubiłam. To nie były pozory. Nie cierpiałam myśli, że jest w tym domu. Jego niepokojącej obecności. Jego ponurych nastrojów. – Przesunęła zaplamionymi farbą palcami po obrzeżu kubka.

– Ale uznałaś go za atrakcyjnego? Przyznałaś to w czasie ostatniej naszej rozmowy.

– Uznałam go za interesującego.

– Dlaczego ukrywałaś przede mną wasze relacje? I przed swoimi przyjaciółmi?

Trochę potrwało, zanim znalazła odpowiednie słowa.

– Byłam zażenowana. Tak się sprzeciwiałam jego pobytowi w tym domu i nagle, ni z tego, ni z owego, zaczęłam o nim śnić. Myśleć o nim. O byłym żołnierzu, alkoholiku, który nie miał pojęcia o sztuce.

– Znowu milczała przez chwilę. – I wiesz, trzymanie tego w tajemnicy było podniecające. – Matthew rozumiał jej zakłopotanie. Obawa przed wyjściem na durnia prześladowała go przez całe dorosłe życie. Trzeba było Jonathana, by zaczął go z tego leczyć.

– Mimo wszystko powinnaś nam powiedzieć. To dochodzenie w sprawie morderstwa. Twoje zażenowanie nie ma znaczenia. Znalezienie zabójcy: tak.

– Kiedy zaczęłam kłamać, nie mogłam przestać. Obawiałam się, że pomyślicie, iż to ja go zamordowałam.

Matthew spojrzał na nią nad krawędzią kubka.

– Zrobiłaś to?

– Nie! Tylko utrzymywałam nasze relacje w tajemnicy. Przed wami i moimi przyjaciółmi.

– A co sądził o tym Simon? Mógł odnieść wrażenie, że trochę się wstydzisz związku z nim? – *Z całą pewnością*, pomyślał Matthew, *mógł się poczuć tym urażony*.

– Nie! – Uśmiechnęła się czule. – Simon wołał w ten sposób. Powiedział, że skoro ma tak wiele tajemnic, cóż znaczy jedna więcej.

– Jak sądzisz, co miał na myśli?

– Nie wiem. – Gaby milczała przez chwilę, sprawiając wrażenie pogrążonej w myślach. – Pewnego dnia, kiedy parę tygodni temu byliśmy w mieszkaniu w Braunton, zaczął mówić o tajemnicach. Już wiedziałam, że był żonaty, ale tu chodziło o coś innego, coś, co go niepokoiło. Zapytałam, co go gnębi. Przez chwilę myślałam, że mi powie, miałam wrażenie, że chce się podzielić myślami. Ale wtedy tylko się roześmiał. Oświadczył, że jeżeli wyjawি mi wszystko, nie będzie miał już żadnych tajemnic, a nie wie, jak się będzie wtedy czuł. Że ponieważ tajemnice go określają, nie będzie już tym samym człowiekiem. Jakby utracił wtedy poczucie winy.

Matthew pomyślał o jej słowach.

– Czyli w żaden sposób nie dał do zrozumienia, co go dręczy?

– Nie. Oświadczył, że musi coś załatwić. Wydawał się niemal z tego zadowolony. Stwierdził, że to jego odpowiedzialność. Szansa na naprawienie zła.

Matthew dopił kawę. Było jasne, że w ostatnich tygodniach życia Simona Waldena miał miejsce jakiś dramat. Dokonał odkrycia, które doprowadziło do jego śmierci. W tym okresie zaczął jeździć do Lovacott, wysłał pieniądze do adwokata w Exeter i bardzo chciał się z nim spotkać. W tym czasie życie Waldena było związane ze Świętym Cuthbertem, Woodyard i domem w Ilfracombe. Można było odnieść wrażenie, że używa mieszkania w Braunton tylko po to, aby spotykać się z Gaby.

– Czy orientujesz się, co miał na myśli?

Gaby pokręciła głową.

– Zwierzałam mu się z wielu rzeczy, ale on nadal nie był gotów dzielić się ze mną osobistymi problemami. Albo może lubił być tajemniczy.

– Jak zaczęły się wasze relacje? – Matthew nadal nie był w stanie wyobrazić sobie tych dwóch osób jako kochanków. Ale z drugiej strony kto mógł kiedykolwiek sobie wyobrazić, że on i Jonathan zostaną parą?

– W ten wieczór, o którym ci mówiłam, w piątek, kiedy gotował dla nas. Kiedy Caz poszła spać, zastukałam do drzwi jego sypialni i weszłam. Byłam pijana. Chciałam przesunąć palcami po jego kościach policzkowych, mięśniach pleców. – Popatrzyła na Matthew i uśmiechnęła się. – Tak to sobie tłumaczyłam. Że chodzi mi wyłącznie o zrozumienie struktury kości, o moją sztukę, natchnienie do obrazu, który malowałam.

– Zostaliście kochankami.

– Nie tamtej nocy. Wtedy po prostu leżeliśmy na jego łóżku i rozmawialiśmy.

– Ale nie zdradził swoich tajemnic? – Mógł sobie wyobrazić ich na wąskim łóżku, szepczących do siebie do chwili, kiedy dźwięki z ulicy uświadomiły im, że jest prawie rano, a Gaby powinna wrócić do swojego pokoju.

– Nie. Jak wspomniałam, to głównie ja mówiłam. O miejscach, w których mieszkałam w Londynie, o mojej matce i jej brutalnych, skurwysyńskich facetach, o tym, że nigdzie nie byłam do końca pewna, czy tam jest moje miejsce. Simon słuchał. Był wspaniałym słuchaczem.

– Kiedy zabrał cię do swojego mieszkania w Branton?

– Dopiero niedawno. Jakies trzy tygodnie temu. A potem byliśmy tam kilka razy. – Gaby uśmiechnęła się, jakby prowokując go do wyrażenia dezaprobaty. – Kochaliśmy się popołudniami, kiedy nie miał dyżuru w Woodyard, a ja nie prowadziłam zajęć.

– Czy Simon wyjaśnił ci, po co mu to miejsce, dlaczego uważa za stosowne ukrywać je przed innymi, przed ludźmi takimi jak na przykład Caroline ze Świętego Cuthberta, która mu pomagała?

– Nie, chociaż zapytałam go, dlaczego sprowadził się do nas, mimo że ma własne mieszkanie. – Gaby sprawiała wrażenie zadowolonej, że może mówić. *Musiąo być jej trudno*, pomyślał Matthew, *opłakiwać Waldena w samotności. W tajemnicy*. Nawet jeżeli to ona pchnęła go nożem w ataku zazdrości albo gdy została odtrącona. Chociaż Venn lubił tę kobietę, nie mógł wykluczyć, że jest zabójczynią.

– Powiedział, że osamotnienie go zabija – kontynuowała. – Ponure nastroje. Miał wrażenie, że pochłania go poczucie winy. Gdyby dłużej pozostał sam, zapiłby się na śmierć. Potrzebował wsparcia grupy ze Świętego Cuthberta, ale nie przypuszczał, aby Caroline okazała mu współczucie, gdyby wiedziała, że ma własne mieszkanie i trochę pieniędzy. – Znowu uśmiechnęła się krzywo. – Powiedziałam mu, że ja też nie byłabym zbyt życzliwa.

– Czy kiedykolwiek rozmawialiście o jego finansach? Odkryliśmy, że miał pokaźne oszczędności, ale wydaje się, że przestał mieć zaufanie do kasy oszczędnościowo-kredytowej, w której je trzymał. A może miał jakieś plany, co z nimi zrobić?

Pokręciła głową.

– Nie byliśmy na takim stopniu zażyłości. Nigdy nie zamierzaliśmy mieć wspólnych rachunków bankowych ani nie

włóczyliśmy się razem po Ikei. Wszystko było ulotne, intensywne i wiedzieliśmy, że nie potrwa długo. Żadne z nas nie nadawało się do rozkoszowania się domowymi pieleszami. Wkrótce wszystko by się wypaliło.

– Czy wiesz, dlaczego przez kilka ostatnich tygodni przed śmiercią jeździł autobusem do Lovacott? Podejrzewamy, że zamierzał się tam z kimś spotkać. Z tobą?

– Nie! Chcesz powiedzieć, że miał inną kobietę?

– Nic tego nie potwierdza. Ale czy to by cię zaskoczyło?

Roześmiała się smutno.

– Poczulałabym się zraniona, byłabym zazdrosna, ale nie, nie zaskoczona. Nie wydaje mi się, że cokolwiek, co by zrobił, mogłoby mnie zaskoczyć.

– Czy możesz opowiedzieć mi o dniu jego śmierci?

Usiadła wygodniej na krześle, tak że światło z długiego okna padło na jej twarz, i Matthew spostrzegł, że wygląda na bardzo zmęczoną, o wiele starszą.

– Jak już mówiłam, spotkaliśmy się na kawie. Tego ranka byłam wolna i wiedziałam, że on także nie zamierza iść do Woodyard, pomyślałam więc, że wrócimy do mieszkania i uda mi się spędzić z nim trochę więcej czasu.

Matthew przerwał jej.

– Pojechaliście razem do Braunton?

Pokręciła głową.

– Wsiadł do wcześniejszego autobusu, ja przyjechałam później. Stwierdził, że musi coś sprawdzić. Poza tym... – Jej głos powoli cichł.

– Poza tym musiałaś podtrzymywać wrażenie, że się nienawidzicie – dokończył za nią. – Wszystko było częścią przedstawienia.

– Tak, coś w tym rodzaju. Teraz wydaje mi się to jakimś szaleństwem. Bezsensem. Marnowaliśmy czas, który moglibyśmy spędzić razem.

– Co więc zdarzyło się tego dnia po spotkaniu na kawie?



Matthew zdawał sobie sprawę, że czas ucieka. Wkrótce przyjdą kursanci z Uniwersytetu Trzeciego Wieku, zaczną stukać do drzwi pracowni, domagając się, aby Gaby się nimi zajęła.

– Pojechałam na wybrzeże i szukałam odpowiedniego krajobrazu do namalowania. Zrobiłam trochę szkiców, fotografii i straciłam poczucie czasu. Wieczorem miałam zajęcia z grupą w Woodyard i dotarłam tam w samą porę, żeby przed przyjściem kursantów spotkać się w barku z Caz na wczesnej kolacji. – Spojrzała na niego. – Potem nie widziałam już Simona. Nie zawiozłam go do Crow Point i nie zabiłam go.

Matthew chciał jej uwierzyć. Pomyślał, że Marston zobaczyłby jej samochód, gdyby przywiozła Waldena do cypla. Nie wykluczało to jednak możliwości, że zaparkowała gdzie indziej i poszła brzegiem na spotkanie kochanka. Mogłaby go wówczas zabić.

– A Simon? Jakie były jego plany?

– Och, zamierzał ocalić świat. Takie sprawiał wrażenie. W końcu wielki projekt, który go absorbował, zbliżał się do punktu kulminacyjnego. *Może wreszcie zdołam się pozbyć tego albatrosa z karku, Gabs. W końcu będę w stanie znowu stawić czoła światu.* Ale nie powiedział nic konkretnego. Nic, co mogłoby się przydać.

Zapadła cisza, a kiedy Gaby się odezwała, jej słowa zabrzmiały jak wyznanie.

– Kochałam go, wiesz? To było wariactwo i nigdy nic by z tego nie wyszło, ale go kochałam.





## *Rozdział trzydziesty drugi*

Maurice Braddick lubił soboty. Często razem z Lucy jeździł do Barnstaple, robili tam drobne zakupy, szli na kawę do jednej z kawiarni, które pojawiły się w całym mieście, i niekiedy spacerowali wzdłuż rzeki, zmierzając do parku. Tam siedzieli w słońcu, jedli lody i przyglądali się dzieciom na placu zabaw. Robili to samo, co za życia Maggie, ale jego żona była bardziej energiczna niż on i czasami brała Lucy na pływalnię. Maurice siedział wtedy na widowni, obserwował basen, oddychał parnym powietrzem przesyconym zapachem chloru, a obie kobiety się pluskały. To był ich czas i cieszyły się nim.

Lucy przygotowywała się do wyjścia w swojej sypialni. Poszedł ją zawołać, powiedzieć jej, że pora wychodzić. Stał na podeście i słuchał, jak mamrocze pod nosem. Niekiedy tak robiła. Pracownica opieki społecznej nazywała to rozmową z samą sobą, ale Lucy wyjaśniła, że mówi do swoich przyjaciół na niby, wymyślając jakąś historię. Tym razem opowieść sprawiała wrażenie ekscytującej i Maurice mógł się zorientować, że Lucy jest główną postacią narracji. Zawsze lubiła nutkę dramatyzmu, a kiedy była dzieckiem, uwielbiała grać w szkolnych przedstawieniach. Razem z Maggie siedzieli wtedy w pierwszym rzędzie i dopingowali ją, nie dbając, co pomyślą inni rodzice.

W samochodzie, jadąc do miasta, usiłował rozmawiać z Lucy o Christine Shapland.

– Widzisz, panienko, musisz być ostrożna. Miała szczęście. Znaleźli ją w samą porę. Są źli ludzie. Ale ty znasz wszystkie

zasady, prawda? Nie idź z nikim, nawet jeżeli go znasz. Trzymaj się blisko mnie.

Widział jednak, że Lucy właściwie nie słucha. Kiwała się w rytm muzyki płynącej z samochodowego radia. Uwielbiała stację Radio 2.

Dzień był słoneczny, wietrzny. Przed wyjazdem Maurice wyprał prześcieradła ich obojga. Maggie zmieniała je co tydzień, ale on nie zawracał sobie tym głowy tak często. Dzisiaj jednak był idealny dzień na suszenie i Lucy pomogła mu rozwieszać pranie. Zmagali się, usiłując przyczepić je do sznura. Wiatr szarpał wilgotny materiał, skręcał go i zanim zdolali przypiąć go klamerkami, niemal owinął Lucy prześcieradłem niczym całunem.

– Spójrz na nas, Lucy. Jak my wyglądamy? Jak dwoje ramoli. – Nie lubił tego przyznawać, ale artretyzm dawał mu się we znaki, usztywniał ramię i powodował ból biodra. Jego lekarz powiedział, że mogą go umieścić na liście do wymiany stawu biodrowego, ale Maurice uznał, że nie warto. Kto zaopiekuje się Lucy, kiedy on będzie leżał w szpitalu?

Zaparkował na jednej ze znanych mu małych bocznych uliczek i powoli poszli w kierunku centrum. Powoli, bo Lucy nigdy nie chodziła szybko, a jemu wciąż dokuczał przeszywający ból.

Najpierw poszli na kawę. Wracając do domu, podjadą do wielkiego supermarketu na skraju miasta, żeby zrobić najważniejsze zakupy. Teraz wybrali kawiarnię zbudowaną na miejscu przeniesionego dworca autobusowego i usiedli przy swoim ulubionym stoliku z widokiem na rzekę. Maurice zastanawiał się, czy wszyscy starzy ludzie mają to samo – wszędzie, gdzie pójdą, widzą cienie przeszłości. Dawne miejsca i dawnych ludzi. Wciąż myślał o Lucy jak o nastolatce. Dlatego wolał skupiać się raczej na przeszłości, a nie przyszłości, bo nie wiedział, co stanie się z Lucy po jego śmierci. Musiał uporządkować te sprawy – obiecał Maggie, że tak zrobi – ale nie wiedział, jak zacząć. Kiedy ta cała sprawa z Woodyard się skończy, porozmawia z Jonathanem i zobaczy, co ten mu zaproponuje.

Lucy zapatrzyła się na ciasto czekoladowe w szklanej gablotce, kupił więc kawałek. Pomyślał, że smakołyk poprawi córce nastrój – jej przyjaciółka zaginęła, człowiek, którego znała z autobusu, został zamordowany. A poza tym nie był w stanie niczego jej odmówić. W kawiarni zaczęło robić się tłoczno. Lucy uśmiechała się i machała ręką do wszystkich wchodzących, jakby byli jej przyjaciółmi.

Kiedy wrócili na ulicę, spacerowali wzdłuż sklepów. Lucy lubiła oglądać ubrania. Maurice miał wrażenie, że dziewczyna przypomina ptaki wabione przez jaskrawe, lśniące przedmioty. Bardzo intensywne barwy i szalone wzory. Od czasu do czasu napotykali znajomych i zatrzymywali się, by porozmawiać.

Byli już blisko końca głównej ulicy i wracali do samochodu, kiedy Maurice zauważył Pam, kobietę zatrudnioną kiedyś u rzeźnika, u którego on sam pracował całe życie. Znowu wrócił do przeszłości, zaczęli wymieniać się wspomnieniami i anegdotami. Pam postarzała się, była już wdową, ale pozostała tak samo energiczna i zabawna. Utrzymywała kontakty z większością kolegów i poinformowała go o najnowszych zdarzeniach – niektórzy umarli, inni byli w domach opieki, a jeszcze inni pozostali w świetnej formie i pełni życia.

– To tylko loteria, co się z nami dzieje, prawda? – powiedziała. – Weźmy twoją Maggie. Zawsze była taka zdrowa i człowiek myślał, że będzie żyła wiecznie.

W tym momencie Maurice uświadomił sobie, że nie ma obok niego Lucy. Odwrócił się, oczekując, że zobaczy ją wpatrzoną w wystawy okolicznych sklepów z zamiarem przedstawienia mu swojej listy życzeń, usłyszy przymilny głos. *Tato, tylko popatrz na ten szalik, na te buty.*

Nigdzie jej nie było. Musiała odejść gdzieś dalej, znudzona słuchaniem, jak dwoje przyjaciół rozmawia o ludziach, których w ogóle nie znała. Maurice stracił rachubę czasu.

– Gdzie jest Lucy? – Trudno mu było nie mieć pretensji do Pam, że odwróciła jego uwagę, chociaż wiedział, że właściwie to jego wina. – Widziałaś, dokąd poszła?

Pam pokręciła głową. Pewnie była równie samotna i rozmowa musiała wciągnąć ją tak samo jak jego.

Maurice poczuł, że panika odbiera mu oddech.

– Zostań tutaj, na wypadek gdyby wróciła. Poszukam jej.

– Oczywiście, kochany – odpowiedziała spokojnie i pobłażliwie. – Wiesz, że musi być gdzieś w pobliżu. Co tutaj mogłoby się z nią stać?

W tej chwili Maurice pomyślał, że jej nienawidzi. Nie miała pojęcia, co może grozić Lucy. Szedł wzdłuż ulicy najszybciej, jak mógł, otwierał drzwi sklepów, wołał jej imię, nie dbając, że musi wyglądać jak szaleniec. I nagle ją znalazł. Zobaczył ciemne włosy i fioletowy sweter. Wpatrywała się w wystawę jubilera, niewątpliwie marząc o srebrnym wisiorku albo pierścionku z kolorowym kamieniem.

– Lucy – powiedział. – Panienko, nie masz pojęcia, jak mnie przestraszyłaś. Nigdy więcej nie znikaj w taki sposób.

Kobieta odwróciła się i uśmiechnęła. Usłyszała niepokój w jego głosie, ale nie słowa. To nie była Lucy. Obca kobieta, która w niczym jej nie przypominała.



Później, już w domu, w czasie rozmowy z Matthew Vennem, partnerem Jonathana, nie był w stanie wyjaśnić, co mogło się zdarzyć.

– Była ze mną, a potem po prostu zniknęła.

– Jesteś pewien, że Lucy była z tobą, kiedy zacząłeś rozmawiać z Pam? – Venn był cierpliwy. Nie popędzał Maurice'a, nie obwinił go o to, co się stało, ale Maurice sam zdawał sobie sprawę, że czas ucieka. Im dłużej będą trwały te pytania, tym mniej go pozostanie na odnalezienie Lucy przed zapadnięciem ciemności.

Próbował się skupić na odpowiedziach, być szczerym.

– Zobaczyłem Pam po drugiej stronie ulicy i poszedłem szybko, żeby ją złapać, zanim pójdzie dalej. Nie zauważyła mnie, dopóki do

niej nie podszedłem. Nie chciałem jej zgubić. – Nie powiedział, że zawsze podkochał się w Pam, nawet kiedy był żonaty. Nic sobie nie powiedzieli i z całą pewnością do niczego nie doszło, ale mimo wszystko coś było. Jakaś więź. – Być może Lucy została w tyle. Myślałem, że poszła za mną, ale może oglądała witryny i nie dostrzegła, że odszedłem.

– Jak sądzisz, co mogła wtedy zrobić? Kiedy odwróciła się i zobaczyła, że cię nie ma?

– Nie wiem. – Maurice był bliski płaczu i ze wszystkich sił starał się opanować. – Zawsze byłem przy niej.

– Czy ma komórkę?

– Tak. Kupiłem ją Lucy jakiś czas temu. Wierciła mi o nią dziurę w brzuchu. Uwielbiała ją, wysyłała mi esemesy, kiedy jechała autobusem do domu, i używała jej do kontaktowania się z niektórymi znajomymi. Ale nie wzięła jej dzisiaj. Poprosiłem, żeby jej nie zabierała. Powiedziałem jej, że dla odmiany będzie mogła poświęcić całą uwagę swojemu staremu tacie.

– Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście. Jest w jej pokoju. Przyniosę ją.

Maurice zatrzymał się w drzwiach do sypialni i wszedł do środka dopiero po chwili. Pamiętał, jak Lucy przed wyjazdem rozmawiała sama ze sobą, i pomyślał, że zupełnie zwariuje, jeżeli nie odzyska jej wkrótce. Przyniósł telefon i podał go policjantowi.

– Znajdź ją – powiedział. – Tylko ją znajdź.







## *Rozdział trzydziesty trzeci*

Jen Rafferty cieszyła się czasem spędzonym w domu razem z dziećmi. Kiedy były młodsze, miała problemy z radzeniem sobie z nimi po powrocie z pracy. Uważała, że powinna być zachwycona, widząc je znowu, ale nigdy tak nie było. Wiedziała, że dobra matka tęskniłaby za swoimi dziećmi i przepadała za ich towarzystwem, ale za każdym razem po powrocie do domu hałas i chaos powodowały szok. Dopiero po jakimś czasie przyzwyczała się do ich bójek, tarzania się po podłodze, nadaktywności i nieposłuszeństwa. Wiedziała, że rozrabiają, być może karząc ją w ten sposób za jej nieobecność, za odebranie ich ojcu. W końcu uspokajały się, łatwiej było znowu sobie z nimi radzić, ale pierwszych kilka godzin ponownego kontaktu było koszmarem. W pracy panowała nad sytuacją. W domu miała wrażenie, że nie panuje nad niczym.

Teraz było łatwiej. Szczerze mówiąc, było łatwiej, bo nie widywała dzieci zbyt wiele. Były bardziej samodzielne. Spędzały mnóstwo czasu w swoich pokojach i jeżeli pozostawiała ich same sobie, spały do południa. Nie zasypywały jej żądaniami. Stały się też lepszymi kompanami. Mogła z nimi żartować, bo te same rzeczy były dla nich zabawne. Lubiła je po prostu jako ludzi, a kochała, bo były jej dziećmi.

Dzisiaj wyciągnęła je z łóżek o dziesiątej i zawiozła do Instow na późne śniadanie. Ucztę. W małym barku robili najlepsze kanapki z kielbasą na świecie i doskonałą kawę. Instow znajdowało się w miejscu, gdzie zbiegały się dwie rzeki, i za rozległym rozlewiskiem mogła dostrzec Crow Point, gdzie znaleziono martwego mężczyznę. Widok ten dał jej nową perspektywę, zarówno na krajobraz, jak i na

sprawę. Choć podjęła mocne postanowienie, by poświęcić całą uwagę Elli i Benowi, zorientowała się, że wraca myślami do pierwszego popołudnia dochodzenia, do założeń, które przyjmowali w stosunku do Waldena, komplikacji, które pojawiły się od tej pory.

Było południe, kiedy wróciła do domu i jej telefon zadzwonił. Matthew.

– Tylko nie mów mi, szefie, że chcesz, żebym się zjawiała. – Wciąż była wyluzowana po posiłku, po wypadzie z dziećmi. – Miałam zamiar przed przyjazdem na komendę spędzić godzinę na poskramianiu mojego ogródka.

– Mamy kolejną zaginioną osobę. Lucy Braddick. Wygląda na to, że rozplynęła się w powietrzu. W sobotni rano na głównej ulicy Barnstaple, pełnej kupujących. – W jego głosie brzmiało coś przypominającego rozpacz. – Maurice jest roztrzęsiony.

– Gdzie mam dotrzeć? – Już nie żartowała.

– Jestem z Maurice'em w Lovacott. Pomyślałem, że lepiej go tam odwiedzić. Ross ma jej najnowsze zdjęcie. Czy mogłabyś się z nim spotkać w śródmieściu? Ktoś musiał ją widzieć. Wyróżnia się, rzuca w oczy. Trzeba wypytać sprzedawców i przechodniów.

Dzieci już zniknęły znowu w swoich sypialniach. Zawołała do nich, że musi iść do pracy. Odpowiedziały, ale zdawały się tym nie przejmować.



W mieście była pora lunchu. Jen ostatecznie przyszła z domu na piechotę, bo uznała, że tak będzie szybciej, a po drodze będzie mogła wypatrywać Lucy. Według Matthew Maurice z córką zamierzali po zakończeniu zakupów iść do parku na lody, a jeżeli straciła ojca z pola widzenia, mogła pójść tam sama.

Wiatr tworzył na rzece małe fale i niósł ze sobą woń mułu i słonych mokradeł, która przebijała się przez zapach trawy i świeżo skopanych kwietników. Połączenie dzikiego i oswojonego. Jen pomyślała, że to kwintesencja tej części Devonu. Stała przez chwilę,

patrząc na plac zabaw, na którym rodzice popychali dzieci siedzące na huśtawkach albo wpatrywali się w telefony, gdy tymczasem ich latorośle bawiły się same. To mogła być ona. Zła rodzicielka. Dziś byli to głównie ojcowie. Może samotni, spędzający czas ze swoimi dziećmi. Albo po prostu troskliwi mężczyźni dający matkom parę godzin na odpoczynek. W końcu muszą istnieć na świecie jacyś troskliwi mężczyźni.

Lucy nie było.

Jen przyspieszyła kroku, idąc ścieżką nad rzeką. Obok muzeum i dalej, w kierunku głównej ulicy. Zadzwoiła do Rossa.

– Jakież wieści?

– Nic. Gdzie jesteś?

– Właśnie wchodzę na główną ulicę. Sprawdziłam po drodze Rock Park, ale żadnego śladu Lucy. – Szła tak szybko, że musiała się na chwilę zatrzymać, by odetchnąć.

– Złapię cię.

Zobaczyła go, zanim on zauważył ją. Pokazywał zdjęcia, ale robił to zbyt pośpiesznie, nie starając się porozmawiać z robiącymi zakupy. Byłby lepszym detektywem, gdyby nauczył się cierpliwości, ale prawdopodobnie zachowywała się tak samo, kiedy była młodsza. Potrzebowała działania. Natychmiastowych rezultatów.

– Załatwiłem główną ulicę – oznajmił. – Parę osób ją rozpoznało. Widzieli ją z tatą, ale nikt nie zauważył jej samej. I nie było żadnego zamieszania.

– A więc co według nas się stało? – Jen przypomniała sobie, że znalazła się kiedyś w podobnej sytuacji z trzyletnią Ellą, która nie chciała, aby matka wiozła ją spacerówką. Były w zatłoczonym sklepie w Liverpoolu i dziewczynka zniknęła, jakby za sprawą jakiejś magicznej sztuczki. Jen szalała. Wyobraziła sobie, że jej córka została porwana, a jednocześnie przerażała ją reakcja jej męża na taki brak opieki. Ponieważ byłaby to jej wina i musiałyby za to zapłacić. Ostatecznie ekspedientka znalazła Ellę w jednej z przymierzalni, w kapeluszu, który miała zdjęta z jednej z półek. Był tak wielki, że niemal zakrywał jej twarz. Dziewczynka stała na

krześle i przeglądała się w lustrze. Jen poczuła ogromną ulgę, płakała i śmiała się jednocześnie. Nigdy nie powiedziała o tym Robbiemu. Dałaby mu tylko kolejny pretekst do wpadnięcia w furję.

Nikt nie zauważył, jak Ella odchodzi, chociaż miała na sobie jaskrawozieloną sukienkę i mnóstwo rudych loków na głowie. Ludzi pochłaniały zakupy albo rozmowy z przyjaciółmi. *Teraz, pomyślała Jen, środkiem głównej ulicy Barnstaple mógłby przemaszerować słoń i nie wszyscy zwróciliby na niego uwagę.*

– Sam nie wiem – powiedział Ross. – Może to być ktoś, kogo znała, komu ufała...

– Być może. – Jen nie była do końca przekonana. Nie wiedziała wystarczająco dużo o ludziach z zespołem Downa, ale z tego, co mówił Matthew, wynikało, że Lucy była energiczna, pewna siebie i miła. Gdyby ktoś poprosił ją o pomoc, być może poszłaby z nim, nawet gdyby był obcy. – Czy możesz sprawdzić monitoring ulicy? Ja jeszcze raz popytam. Może znajdę ludzi, z którymi nie rozmawiałeś.

*Dam im czas pomyśleć, nie będę ich poganiać ani wprawiać w panikę.*

Kiwnął głową. Zobaczyła, jak znika w piekarni, i pomyślała, że pewnie przed powrotem na komendę weźmie sobie lunch. To znowu skierowało jej myśli na Lucy. Była dużą kobietą, która najwyraźniej lubiła jeść. Walden zaprzyjaźnił się z nią dzięki słodyczom, kiedy zaczęli gawędzić w autobusie. Ktoś mógł ją zwabić na przykład propozycją darmowego poczęstunku ciastem lub herbatnikiem, wywabić z tłumu.

Zaczęła wracać główną ulicą, wciągając ludzi w rozmowę o Lucy, opisując jej ubranie, sprawiając, że stawała się dla nich bardziej rzeczywista.

– Można ją było zobaczyć tutaj w towarzystwie jej ojca. Bywa tu w większość sobót. Chodzi do ośrodka opieki dziennej w Woodyard. Ma uroczy uśmiech. Zaginęła i jej tato jest w koszmarным stanie. Można to sobie wyobrazić.

Tylko jedna osoba widziała Lucy samą. Właścicielka sklepu z prezentami, po przeciwnej stronie ulicy od miejsca, gdzie Maurice

rozmawiał z Pam.

– Stała na chodniku i patrzyła na rzeczy na wystawie. Urocza, powiedziałam do siebie. Pomachałam do niej, a ona odpowiedziała tym samym. Było spokojnie, nikogo w sklepie. Taka pora roku, pomiędzy Bożym Narodzeniem a Wielkanocą, wie pani. Zawsze trochę większy spokój. Nie, nie widziałam, żeby z kimś rozmawiała.

– Kobieta była szczęśliwa, że ma z kim pogawędzić. Jak powiedziała, w sklepie było pusto. Musiała się nudzić.

– Nie widziała pani, żeby ktoś do niej podszedł? Albo patrzył na wystawę razem z nią?

Kobieta myślała przez chwilę.

– Odwróciła się. Mam wrażenie, że ktoś się potknął na chodniku i odwróciła się, aby spojrzeć albo pomóc. Potem jej nie widziałam.

– A osobę, która się potknęła?

– Właściwie nie. Żadnego szczegółu. Po prostu nagle zrobił się mały tłum, ktoś mówił o wezwaniu pogotowia. Wie pani, jak to jest, kiedy sytuacja staje się trochę dramatyczna. Ludzie zaczynają się gapić. Drzwi sklepu były otwarte i trochę słyszałam, co mówiono.

– Nie poszła pani zobaczyć, co się dzieje? – Jen wydawało się, że ta kobieta chciałaby popatrzeć. Jeżeli nudziła się tak, jak mogło się wydawać, z całą pewnością była zaciekawiona.

– Nie. Właśnie miałam wyjść i się przyjrzeć, kiedy na zapleczu zadzwonił telefon. Klient z zamówieniem. Kiedy wróciłam do sklepu, wszystko było już normalnie. Karetka się nie pojawiła, przypuszczam więc, że osoba, która upadła, w gruncie rzeczy nie zrobiła sobie krzywdy.

Jen zakłęta w myślach, używając słów, przy których nawet Ben by się zaczerwienił. Gdyby ta kobieta miała możliwość dokładnie wszystko zobaczyć, byłaby wspaniałym świadkiem. Jen miała nadzieję, że cały incydent zarejestrowały kamery monitoringu. Przynajmniej wiedzieli już, gdzie zacząć szukać.

– Ale musiała pani dostrzec, kto upadł. Mężczyzna czy kobieta?

– Przykro mi, ale tak naprawdę nie widziałam. Zanim doszłam do drzwi, ludzie już stali między mną a osobą leżącą na chodniku. –

Milczała chwilę. – Wydaje mi się, że to był mężczyzna. Mignęły mi dżinsy i adidasy. Ale nie mam całkowitej pewności.

– Czy Lucy nadal tam była?

– Tak. Stała na skraju grupy i się przyglądała. Dostrzegłam ją na chwilę przed dzwonkiem telefonu.

– A kiedy wróciła pani do sklepu?

– Powiedziałam już. Wszyscy się rozeszli. Nikogo nie było.

Jen po powrocie na chodnik miała więcej pytań do przechodniów.

– Czy widziałeś kogoś, kto jakiś czas temu tu upadł? I pomagającą mu kobietę z zespołem Downa?

Ale wydarzyło się to przed prawie dwiema godzinami i na ulicy byli już nowi kupujący. Jen wypytała ekspedientki z sąsiednich sklepów. Nie widziały, by ktokolwiek się przewrócił.



W komendzie panowało zamieszanie. Dorośli szczególnej troski często stawali się obiektami drapieżników seksualnych, tyranów, którzy w rzeczywistości byli słabymi i żalnymi osobnikami z niezaspokojoną żądzą panowania nad innymi. Christine Shapland i Lucy Braddick miały dobrą opiekę, mieszkały ze swoimi rodzinami. Christine nie została zgwałcona ani zmolestowana. Nie było żadnego konkretnego motywu ich porwania.

Matthew wrócił do Barnstaple. Zostawił Maurice'a Braddicka pod opieką sąsiada. Teraz stał przed zespołem, usiłując doszukać się jakiegoś sensu w tym wszystkim. Jen słuchała w tylnym rzędzie.

– Wiemy, że porywacz Christine Shapland zadawał jej pytania, mnóstwo pytań – stwierdził. – Ale to niewiele nam pomaga, ponieważ nie potrafiła zrozumieć, czego od niej chce. Albo przeraził ją do tego stopnia, że zbyt się bała, aby go słuchać. Może świadczy to o tym, że nie przywykł do rozmawiania z osobami z jakimikolwiek zaburzeniami. Był niecierpliwy. – Przerwał i Jen zauważyła, że próbuje zebrać myśli. – Wiemy również, że istnieje związek pomiędzy uprowadzeniami a morderstwem Waldena, ponieważ



Christine była przetrzymywana w jego mieszkaniu w Branton. Mieszkanie jest opieczętowne i kręcą się w nim technicy kryminalistyczni, z czego wynika, że Lucy tam nie zabrano. Mam nadzieję, że ktoś ma pomysł, co się tu dzieje, bo ja nie. A Maurice Braddick, jej ojciec, przeżywa piekło.

Spojrzał na zebranych, chcąc, żeby zdali sobie sprawę, że sprawa jest ważna, być może ważniejsza od znalezienia zabójcy Waldena.

– Istnieje jeszcze jedno powiązanie tego uprowadzenia z ofiarą morderstwa. W tygodniu poprzedzającym jego śmierć Walden siadał koło Lucy w autobusie do Lovacott. Wciąż nie mam pewności, czy może to być istotne. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Jen podniosła rękę.

– Czy Walden mógł powiedzieć Lucy coś, co mogłoby wskazać zabójcę?

Na chwilę zapadła cisza i Jen czuła, że wszyscy w sali czekają na odpowiedź szefa. Byli jak dzieci w klasie, niepewni, jakiej odpowiedzi udzieli ich kolega, i niechcący zwracać na siebie uwagi.

– Mogło tak być – przyznał Matthew. – Ale po co porywać także Christine?

Znowu cisza. Rozejrzał się po sali i dodał:

– Wysłaliśmy ludzi, żeby sprawdzili teren wokół stawu w Lovacott, gdzie zostawiono Christine, ale jeszcze nic nie znaleźli. Ross, sprawdzałeś nagrania monitoringu z głównej ulicy. Czy mógłbyś nam pomóc? Dać nam jakiś punkt zaczepienia? – Jen nigdy dotąd nie słyszała go tak zdesperowanego.

– Jak dotąd nic nie mam.

– Rozmawiałam z właścicielką sklepu – odezwała się Rafferty. – Widziałam Lucy oglądającą jej wystawę. Wtedy najwyraźniej ktoś potknął się na chodniku. Zastanawiam się, czy nie było to umyślne odwrócenie uwagi. Czy Lucy mogła zostać uprowadzona w czasie, gdy wszyscy patrzyli na poszkodowaną osobę? A jeżeli był tam ktoś, kogo Lucy знаła, być może dała się namówić i weszła do samochodu.

Matthew kiwnął głową.

– Ross, mógłbyś sprawdzić, czy na monitoringu jest zapis tego wypadku? Przynajmniej mamy od czego zacząć. – Po chwili dodał: – Musimy sprawdzić alibi wszystkich osób pojawiających się w dochodzeniu. Kobiet z Hope Street, Salterów, Christophera Preece'a.

– A co z Marstonami, małżeństwem z domku poborcy myta?

– Tak, ich też. Wiem, że Gaby Henry była tego ranka w Barnstaple. Spotkałem się z nią w Woodyard w sprawie jej relacji z Waldenem. Zgranie w czasie mogło być trudne, ale nie należy jej wykluczać.

Jen znowu podniosła rękę.

– Zastanawiam się, czy nie powinnam wrócić do Christine Shapland i z nią porozmawiać. Po przespanej nocy mogła już się trochę uspokoić i przypomnieć sobie jakieś przydatne strzępki informacji. Przyjaźniła się z Lucy. Jeżeli Lucy bała się czegoś czy czymś się martwiła, Christine może o tym wiedzieć.

Tym razem nie zaproponował, aby pojechał z nią Jonathan. Jen zastanawiała się, czy słyszał, co mówi się półgębkiem na komendzie. Plotki zaczęły krążyć. Mówiono, że Matthew jest o wiele za bardzo powiązany ze sprawą, a nawet że Jonathan powinien być uważany za podejrzanego. Bądź co bądź, w chwili śmierci znajdował się na wybrzeżu i zna obie uprowadzone kobiety. W rezultacie także stał się jedną z głównych postaci dochodzenia.





## *Rozdział trzydziesty czwarty*

Matthew wysłał wszystkich funkcjonariuszy, których mógł do tego zaangażować, z powrotem do miasta, aby zadawali pytania i pokazywali zdjęcie Lucy. Polecił Rossowi, żeby poszedł z nimi. Posterunkowy przez wiele godzin oglądał zapisy monitoringu i mógł stracić koncentrację. Aby zauważyć wszelkie szczegóły, potrzebny był ktoś niezmęczony i bardziej cierpliwy niż Ross. Wiedział, że musi poprawić swoje relacje z podwładnym, ale nie była to odpowiednia pora.

Natychmiast zadzwonił do Jonathana.

– Czy przychodzi ci na myśl, gdzie może być Lucy? Zadzwoniłem do rodziny Rosy, lecz jej nie widzieli. Może jednak ma jakąś przyjaciółkę, która mieszka gdzieś blisko śródmieścia? Jeżeli Lucy nagle znalazła się sama, mogła poszukać u niej pomocy.

Rozmowa z Jonathanem była bardziej poszukiwaniem moralnego wsparcia niż konkretnych informacji. Nie mógł uwierzyć, że zniknięcie Lucy także jest zbiegiem okoliczności, nie spodziewał się, że będzie w domu jakiejś przyjaciółki czekać na odnalezienie. Jonathan w czasie trudnych spraw zawsze był do jego dyspozycji, chętny do okazania zrozumienia czy zachęty. Ale tym razem to Matthew musiał udzielić wsparcia. Nawet w słuchawce mógł wyczuć szok i przerażenie swojego partnera.

– Nikt nie może tego uznać za twoją winę – stwierdził Matthew. – Nie ma żadnego związku z Woodyard. Lucy była ze swoim ojcem.

– Nie o to chodzi! Ona jest świetna! Zabawna i pewna siebie. Poza tym znam ją od lat. – Dopiero po tych słowach Jonathan odpowiedział na pytanie. – Mogła pójść do Woodyard. Mogła uznać

centrum za bezpieczne miejsce. Zaraz pójde, zbiorę personel i zaczniemy poszukiwania. – Zawsze lepiej się czuł, kiedy miał coś konkretnego do zrobienia.

Matthew postąpił inaczej. Zamknął się w swoim małym gabinecie i usiłował przemyśleć wszystko, co wiązało się ze zniknięciem Lucy, wyłączyć zakłócenia wywołane przez tło emocjonalne – jego podejrzenia i niepokoje. Tu nie chodziło o niego, ale o Lucy Braddick. Nie mógł jednak powstrzymać się przed odtworzeniem w myśli wydarzeń kilku minionych dni, chociaż było to jak drapanie strupa pokrywającego poczucie winy. Czy jego wieczorny przyjazd do Lovacott i Salterów sprowokował porwanie Lucy? Decyzja została podjęta bardziej z chęci zaspokojenia swojego ego niż z potrzeb dochodzenia, miała wymazać z pamięci upiory dzieciństwa. Czy powinien zdać sobie sprawę, że Lucy może znaleźć się w niebezpieczeństwie? Ostatecznie uznał jednak, iż takie grzebanie się w niezliczonych ewentualnościach nie przyniesie nic dobrego, i wrócił do telefonowania.

Christopher Preece odezwał się natychmiast.

– Preece.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan był dzisiaj około jedenastej przed południem?

– Słucham?

– Zniknęła kolejna kobieta z zaburzeniami rozwoju. Pytam wszystkich, którzy mają choćby minimalne powiązania z Simonem Waldenem albo Woodyard, czym zajmowali się dziś rano.

– Byłem tutaj – odparł Preece. – Sam.

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybym wysłał funkcjonariusza, aby sprawdził pańską posesję? Odebrał zeznania.

– Matthew zazwyczaj był uprzejmy i rozważny, ale tym razem nie dbał o to, że może urazić biznesmena, ojca Caroline.

– Oczywiście, że nie mam, jeżeli pana zdaniem w czymś to pomoże. – Chwila ciszy. – Kto zaginał?

– Lucy Braddick, kobieta, z którą Simon Walden najwyraźniej zaprzyjaźnił się w ostatnich dniach życia.

Znowu milczenie.

– Zostanę w domu do przybycia pańskiego funkcjonariusza – oznajmił Preece. – I proszę dać mi znać, jeżeli będę mógł zrobić coś jeszcze.

Następny telefon Matthew wykonał na Hope Street. Nikt nie odpowiedział, zostawił więc krótką wiadomość. Poprosił Jonathana, aby sprawdził, czy Gaby jest nadal w Woodyard i pracuje w swoim studiu. Potem zadzwonił na komórkę Caroline. Odebrała prawie natychmiast i przedstawiła się.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie była pani dziś rano? – Matthew zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to oficjalnie, niemal obcesowo, ale czuł mijające minuty i wciąż dręczyło go wspomnienie głosu Maurice'a.

– Od dziesiątej jestem w Świętym Cuthbercie.

– Ośrodek jest otwarty w weekend?

– Nie jestem w ośrodku – odparła – ale z Edem w kościele.

– Oboje byliście tam cały ranek?

– Tak. Właściwie tak. Jakiś czas temu Ed miał parę spotkań z parafianami, a ja poszłam do miasta, ale poza tym byliśmy oboje w kościele.

– Kiedy znalazła się pani w Barnstaple?

– Około południa. – Milczała chwilę. – O co w tym wszystkim chodzi?

Uznał, że w im więcej ludzi będzie wiedziało, tym lepiej. Dzięki temu więcej osób będzie wypatrywać zaginionej.

– Lucy Braddick, kolejna kobieta z zespołem Downa, zniknęła dziś późnym rankiem z głównej ulicy Barnstaple. Nie widziała jej pani, kiedy była pani w mieście?

– Nie – powiedziała, a potem dodała natychmiast: – Myśli pan, że została uprowadzona jak Christine Shapland?

– Nie jestem pewien. – Co innego miał powiedzieć?

– Niech pan posłucha, jeżeli Ed i ja możemy coś zrobić... na przykład szukać albo cokolwiek innego, proszę dać nam znać. – Chwila milczenia. – Ed kiedyś pomagał nam w ośrodku opieki

dziennej. Bardzo lubi naszych podopiecznych. Wiem, że chciałby wziąć w tym udział.



Następnie Venn zadzwonił do domku poborcy myta. Nikt nie odebrał i zdziwiło go to. Światło słoneczne przygasało – z całą pewnością było już zbyt ciemno, aby Colin nadal obserwował ptaki – a Matthew nie uważał Marstonów za towarzyską parę. Nie mógł sobie wyobrazić ich na przykład na obiedzie u przyjaciół czy w pubie przy paru kufkach ze znajomymi. Wybrał podany mu przez Marstona numer komórki i natychmiast włączyła się poczta głosowa. Przekonywał sam siebie, że w tym braku kontaktu nie ma nic złowrogiego. Spośród wszystkich ludzi powiązanych z Woodyard i dochodzeniem akurat Marstonowie nie mieli żadnego motywu. Colin prowadził kursy historii naturalnej dla starszych podopiecznych Woodyard, udzielał zarządowi konsultacji prawnych, nigdy jednak nie spotkał Simona Waldena, a Matthew nie umiał sobie wyobrazić, w jaki sposób mógł zetknąć się z Christine lub Lucy.

Matthew wciąż martwili Salterowie. Zastanawiał się, czy to jego rozmowa z nimi poprzedniego wieczoru mogła być przyczyną zniknięcia Lucy. Usiłował odtworzyć w myślach jedno pytanie, które zdało się wywołać niepokój, ale doszedł do wniosku, że może wyobraził sobie tę reakcję. Nie rozumiał, w jaki sposób mogło się ono wiązać z zamordowaniem Waldena, a bądź co bądź, to właśnie zapoczątkowało dramat.

Przyszło mu do głowy, że dzwonienie do Salterów byłoby błędem. To oczywiste, że Grace kłamała o Dennisie i z całą pewnością skłamałaby znowu, aby dać mu alibi. Zatelefonował do Rossa.

– Chcę, żebyś pojechał do domu Salterów w Lovacott. Weź paru mundurowych. Bądź uprzejmy. Superuprzejmy. I przepraszaj za wszystko. Nie mamy żadnych podstaw do wystąpienia o nakaz, musisz więc być bardzo przekonujący, żeby pozwolili ci wejść. Zrzuć



winę na mnie. Albo wymyśl jakąś mętłą historyjkę, że Lucy widziano w tej okolicy. Jeżeli pozwolą ci się rozejrzeć po domu, będzie to oznaczało, że jej tam nie ma, ale może natrafisz na coś interesującego. Ustal, co robili w czasie zniknięcia Lucy. Warto się dowiedzieć, czy w porze lunchu byli w Barnstaple.

– Jasne, szefie. Oczywiście. – Matthew czuł, że Ross jest zachwycony uwolnieniem go od rutyny chodzenia po mieście od domu do domu i obsługiwania telefonu. Dotychczasowy ponury nastrój zniknął w okamgnieniu. Nie miał żadnych emocjonalnych obciążeń związanych z Salterami i powodu, aby obawiać się tej rozmowy.

Matthew także pragnął jakiejś zmiany. Zawołał do pozostałych członków zespołu, że nie będzie go przez godzinę i mają do niego dzwonić, gdy tylko pojawią się jakieś informacje, po czym skierował się do centrum miasta.



Poszedł do Świętego Cuthberta zobaczyć się z Edwardem i Caroline. Po drodze zatrzymał się chwilę na cichej brukowanej uliczce. Za nią w dawnych przytułkach zapalały się światła. Przez okno bez zasłon widział parę w starszym wieku, siedzącą na sofie i oglądającą telewizję. Mężczyzna obrócił się i pocałował żonę w pomarszczony policzek. Uśmiechnęła się i ujęła jego dłoń. Pomyślał, że nigdy nie widział takiego uczucia między swoimi rodzicami i zastanawiał się nad Mary Brownscombe, farmerką, którą w dzieciństwie odwiedzał razem z ojcem. Miał nadzieję, że tato znalazł tam miłość.

W kościele odbyło się jakieś spotkanie i Caroline z Edwardem sprząтали, składając krzesła. Wchodząc, Matthew wpadł na mężczyznę w średnim wieku oraz troje nastolatków, ale wikary był obecnie sam ze swoją dziewczyną. Nie usłyszeli, jak Venn wszedł, więc zatrzymał się na chwilę. Rozmawiali.

Matthew stał przy drzwiach i się rozglądał. Bractwo odprawiało swoje nabożeństwa w zakurzonych salach i ciemnych salonikach. Ten kościół urządzony był zgodnie z ewangelicką tradycją i miał kolorowy wystrój. Chorągwie na ścianach, tęcze i gołębie, przesłania mówiące o pokoju i odkupieniu. Wazony z kwiatami. W rogu pudełko z zabawkami dla dzieci nudzących się w czasie mszy. Edward Craven był wysoki i szczupły. Miał na sobie dżinsy i koszulę rozpiętą pod szyją. Gdyby Venn nie wiedział, że to duchowny, uznałby, że też jest pracownikiem opieki społecznej.

Ich rozmowa sprawiała wrażenie ważnej, ożywionej, ale Matthew był za daleko, aby usłyszeć, co mówią, a gdy tylko zaczął iść nawą, usłyszeli jego kroki, umilkli i odwrócili się w jego stronę.

Caroline podeszła do Venna. Światło w kościele odbijało się od jej okrągłych okularów i właściwie nie mógł zobaczyć jej oczu.

– Komisarzu. Właśnie rozmawialiśmy o tej zaginionej kobiecie z Woodyard. Czy są jakieś wiadomości?

Matthew pokręcił głową.

– Znała ją pani?

– Nie z pracy, ale słyszałam, jak Gaby o niej mówi. Gabs chodzi do ośrodka opieki dziennej raz w tygodniu, żeby uczyć plastyki. – Spojrzała za siebie, na stojącego z tyłu wysokiego mężczyznę. – To Edward Craven, mój chłopak i wikary w tej parafii. To on zainspirował projekt poradni zdrowia psychicznego przy Świętym Cuthbercie.

Matthew spojrzał na niego.

– Pracuje pan także jako wolontariusz w Woodyard?

– Kiedyś tak, zanim zaangażowałem się we wszystko, co dzieje się tutaj. – Głos Eda był ciepły i głęboki. Matthew pomyślał, że to głos odpowiedni dla kaznodziei, chociaż trudno mu było wyobrazić sobie tego człowieka na ambonie. Wydawał się zbyt lękliwy, zbyt niespokojny. Z drugiej jednak strony niektórzy nieśmiali ludzie byli wspaniałymi aktorami. – Jak pan sądzi, co stało się z tą kobietą?

– Nie wiemy. Miała zaburzenia poznawcze. Oczywiście, że jesteśmy zaniepokojeni. Zwłaszcza po tym, jak w ostatnim tygodniu

zaginęła inna kobieta z zespołem Downa. Wydaje się, że mogła zostać uprowadzona.

Wciąż stali blisko ołtarza, spoglądając na siebie.

– Gdzie byliście oboje dziś rano między jedenastą a dwunastą?

Spojrzeni na niego zaszokowani i przez chwilę żadne się nie odezwało.

– Chyba nie myśli pan, że mamy z tym coś wspólnego? – zapytała przerażonym tonem Caroline.

– Pytamy wszystkich, którzy znali Simona Waldena – oświadczył Matthew. – Przypuszczamy, że zniknięcie Lucy jest powiązane z jego zamordowaniem. Zaprzyjaźnili się.

– Mówiłam już, że pojechałam do Barnstaple zrobić trochę zakupów, ale to było później. Wyszłam stąd dopiero tuż przed dwunastą. – Odwróciła się do swojego chłopaka. – Ed miał dyżur w biurze. Księża i wolontariusze pełnią go według harmonogramu i to była jego kolej.

Matthew zastanawiał się, czy będzie mówiła za Cravena, kiedy wyjdzie za niego, bo że się pobiorą, był prawie pewien. Ich relacje miały w sobie coś ustalonego, niewzruszonego. Postrzegał Caroline jako jedną z oddanych i dość wtrącających się w życie męża żon, uważających dbanie o dobrostan małżonka za swoją misję. Będzie organizowała działalność parafii, pozostawiając mu rolę figuranta.

– Miałem trzy spotkania i widziałem się z pięcioma osobami – oświadczył Edward. – Z parą planującą ślub. Potem ustalenie terminu chrztu i wizyta u starej kobiety, aby omówić pogrzeb jej męża. – Milczał przez chwilę. – Są dni, kiedy całe moje życie wiąże się ze śmiercią. Nawet nie mógłbym zgadnąć, ile pogrzebów odprawiam w ciągu roku.

Matthew pomyślał, że on też zdaje się mieć obsesję na punkcie umierania i śmierci. Być może ich praca nie tak bardzo się różni.

Caroline spojrzała z pewną dezaprobatą i Matthew oczekiwał, że jakoś skomentuje te słowa. Ale nic nie powiedziała i tylko położyła dłoń na ramieniu Eda. Gest współczucia. Albo ostrzeżenie, żeby uważał, co mówi.

Matthew zwrócił się do niej:

– Jak długo była pani w Barnstaple?

– Parę godzin. W gruncie rzeczy niczego nie kupiłam. Chodziło po prostu o to, żeby nie wchodzić Edowi w drogę, kiedy pracuje. Umówiliśmy się, że spotkamy się na późniejszym lunchu. Poszłam na kawę, a potem przyglądałam się wystawom. Właściwie było to spokojne spędzenie sobotniego ranka.

Matthew znowu spojrzał na wikarego.

– Był pan tu, kiedy po raz pierwszy zjawił się Simon Walden?

– Tak. Byliśmy oboje, Caroline i ja. Trwało nabożeństwo i siedział na zewnątrz. Tak pijany, że prawie nie mógł ustać na nogach. Ośrodek był zamknięty, ale wpuściliśmy go mimo wszystko. Lał deszcz i powiedział, że nie ma gdzie się podziać.

– A jednak wychodzi na to, że miał dom. Mieszkanie w Branton.

– Wtedy o tym nie wiedzieliśmy.

Przez chwilę panowała cisza.

– Czy utrzymywał pan z nim kontakt? – zapytał Matthew. Bo przecież to właśnie zapewniali duchowni: opiekę duszpasterską.

Ale Craven pokręcił głową ze smutkiem.

– Spotkałem się parę razy z Simonem w domu Caroline w Ilfracombe, nigdy jednak nie widziałem się z nim ponownie na płaszczyźnie zawodowej. Caroline jest wykwalifikowaną pracownicą opieki społecznej zajmującą się w Świętym Cuthbercie problemami zdrowia psychicznego. Usiłuję ją wspierać, wykonuje cudowną pracę, ale większość mojej energii pochłania praca w parafii.

Matthew wyjął zdjęcie Lucy.

– To ta zaginiona kobieta. Czy widziała ją pani dzisiaj? Była w Barnstaple w tym samym czasie co pani.

Caroline wzięła fotografię.

– Nie, nie widziałam jej dzisiaj, komisarzu. Obawiam się, że nie mogę pomóc.





## *Rozdział trzydziesty piąty*

Jen Rafferty siedziała w stojącym niedaleko rzeki domu Shaplandów i bardzo ostrożnie rozpoczynała rozmowę z Christine i jej matką. Chociaż na zewnątrz nie było jeszcze zupełnie ciemno, Susan zaciągnęła zasłony i zapaliła światło. W kominku znowu płonął ogień. Na tacy stał dzbanek z herbatą. Bułeczek nie było, bo Jen przyszła nieoczekiwanie. W słabym, sztucznym świetle grzyb na suficie pozostawał prawie niewidoczny. Było ciepło i miło.

A raczej byłoby – gdyby nie temat rozmowy.

– Zaginęła Lucy – powiedziała Jen. Siedziała w tym samym miejscu co Jonathan podczas poprzedniej wizyty, tak blisko Chrissie, że mogła wyciągnąć rękę i jej dotknąć. – Sądzymy, że zabrał ją ten sam człowiek co ciebie. Wiem, że bardzo nie chcesz znowu o tym rozmawiać, ale chyba mogłabyś nam pomóc. – Po chwili dodała: – Pokażę ci teraz fotografie kilku mężczyzn. Jeżeli zobaczysz tego, który cię zabrał, będziesz mogła mi powiedzieć? – Zdjęła tacę ze stolika i postawiła ją na podłodze. Potem rozłożyła zdjęcia na koronkowej serwecie.

Odnalazła fotografię Christophera Preece'a. Zrobiono ją w czasie uroczystości otwarcia Woodyard. Z szerokim uśmiechem przecinał złotą wstążkę. Jonathan stał w tle i Jen musiała popatrzeć dwa razy, zanim upewniła się, że to on, bo miał na sobie garnitur.

Początkowo myślała, że nie sposób będzie znaleźć podobiznę Colina Marstona, ale okazało się, że jego zdjęcie jako wykładowcy figuruje na stronie internetowej Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Wydrukowała je. Było niewielkie i kiedy je powiększyła, stało się

nieostre, ale było lepsze niż nic. Miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową i zawieszoną na szyi lornetkę.

Dodała fotografię Dennisa Saltera jako swego rodzaju niewiadomą. Nie mogła uwierzyć, że Christine nie rozpoznałaby swojego wuja, ale gdyby jakoś się przebrał, zmienił wygląd, może dałaby się oszukać. Był też Edward Craven na zdjęciu zrobionym do „North Devon Journal” w czasie uroczystości z okazji rozpoczęcia pracy w parafii. Wyglądał dość okazale w koloratce i sutannie. Jen nie wyobrażała sobie, aby w sprawę zamieszany był jeszcze jakiś inny mężczyzna, a Christine wyraźnie mówiła, że zabrał ją do samochodu właśnie mężczyzna. Jeżeli Matthew miał rację i uprowadzenia były związane z osobą Simona Waldena, to jeden z ludzi na zdjęciach musiał przetrzymywać Lucy. Przyszło jej na myśl, że być może powinna dołączyć do kolekcji większe zdjęcie Jonathana Churcha, ale z całą pewnością gdyby to on był porywaczem, Christine by go poznała. A poza tym Jen doszła do wniosku, że byłoby to zdradą wobec Matthew.

Wolałaby, żeby światło było lepsze, tworzyło mniej cieni, ale Susan chyba bardzo oszczędzała, kupowała żarówki o niewielkiej mocy. Jen po kolei pokazywała zdjęcia Christine, pochylając je, aby były jak najlepiej oświetlone. Obserwując Christine oglądającą fotografie, pomyślała, że kobieta sprawia wrażenie skupionej i uważnej. Nie była spanikowana jak poprzedniego dnia.

– Możesz mi pomoc, Christine? Poznajesz któregoś z tych ludzi?

– To mój wujek Dennis.

– Tak, zgadza się. Świetnie.

Christine rozpromieniła się, słysząc pochwałę.

Susan spojrzała ostro na Jen.

– Co on tu robi?

Jen uśmiechnęła się.

– Po prostu chciałam sprawdzić, jak pani córka rozpoznaje twarze.

– Zawsze była dobra z obrazkami. – Susan uspokoiła się.

– Czy *pani* rozpoznaje kogoś jeszcze?



Susan wskazała Preece'a.

– To gruba ryba z Woodyard. Góra pieniędzy i jest w zarządzie. Hojny. Bez niego nie dałoby się utworzyć tego miejsca. – Jej palec przesunął się nad stolikiem. – A wikary, kiedy nastał, kilka razy przychodził i pomagał w ośrodku opieki. – Parsknęła. – Ale ostatnio jakoś go nie widuję. Wielu jest takich. Dobroczyńcy uważający, że odmienią życie naszych bliskich, ale szybko się nudzą i zaczynają zajmować innymi sprawami. – Podniosła głowę. – Z ludźmi takimi jak Christine i Lucy nic nie dzieje się szybko. Trzeba cierpliwości, by z nimi pracować.

– Czy jeszcze ktoś?

– Nie sędzę.

– A ty, Christine? Czy widzisz tu człowieka, który zabrał cię sprzed Woodyard, prowadził samochód, którym zawiózł cię do tamtego mieszkania? I zadawał ci te wszystkie pytania?

Christine znowu popatrzyła na zdjęcia, a potem pokręciła głową. Wydawała się zmartwiona, że nie była w stanie pomóc.

– Przepraszam.

– Nie ma za co, kochanie. Wspaniale sobie radzisz. – Jen milczała chwilę, starannie dobierając słowa. – Jesteś dobrą przyjaciółką Lucy. Czy kiedyś rozmawiała z tobą o innym przyjacielu? Mężczyźnie, który nazywa się Simon Walden? Parę razy, kiedy wracała z centrum do domu, spotykała go w autobusie.

Panowała cisza. Absolutna cisza. Szosa była daleko i nie docierały tu odgłosy przejeżdżających samochodów.

– Lucy powiedziała, że ma zamiar mu pomóc – odezwała się Christine. – W czymś ważnym.

– Co to było, kochanie? Jak Lucy miała zamiar mu pomóc?

Christine pokręciła głową.

– Nie powiedziała mi. To była tajemnica.

– Lucy nic ci o tym nie powiedziała? Mogłoby to nam pomóc ją znaleźć.

Christine spojrzała na nią.

– Powiedziała, że ma zamiar pomóc mu ocalić Woodyard. – Wzdrygnęła się, chociaż w pokoju było bardzo ciepło.

Susan podeszła i ją objęła.

– Miała dreszcze cały dzień. To musiał być rezultat szoku po tym wszystkim, co przeżyła. Wiesz co, kochanie? Dam ci sweterek. Będzie ci wygodnie. – Zdjęła z oparcia jej krzesła zrobiony na drutach, rozpinany kardigan i otuliła nim córkę jak kocem.

Jen spojrzała na niego. Był fioletowy. Maurice powiedział, że w chwili zaginięcia Lucy miała na sobie fioletowy kardigan.

– Czy Lucy Braddick miała podobny?

– Tak – powiedziała Susan. — Dokładnie taki sam! Tuż przed Bożym Narodzeniem pojechałyśmy z Woodyard na wycieczkę i drobne sprawunki do Plymouth i obie kupiły po jednym.

– Czy Christine nie miała go na sobie, kiedy wprowadzono ją z ośrodka? – Jen usiłowała przypomnieć sobie, w co kobieta była ubrana, kiedy znaleźli ją nad stawem w Lovacott. Jej ubranie było mokre, zabłocone, niemal nie do rozpoznania, ale z całą pewnością miała na sobie ten sweter.

– Tak. Miałam zamiar go wyrzucić, ale Chrissie tak go kocha. Mówiły, że są dokładnie takie same, jej i Lucy. No więc ostatecznie włożyłam go do pralki i jest jak nowy. To nie prawdziwa wełna i gorąca woda jej nie szkodzi.

Jen zostawiła je siedzące przy sobie w cieple i poszła do samochodu, by zadzwonić do Matthew.



– Wydaje mi się, że może to być sprawa pomyłonych tożsamości. Kierowcy polecono, żeby zabrał z ośrodka kobietę z zespołem Downa ubraną w fioletowy kardigan, i pomylił Christine z Lucy. Powiedział jej, że kazano mu ją odwieźć do Lovacott. A obie kobiety tam właśnie miały jechać.

– Christine jednak nie bardzo przypomina Lucy. Ma krótsze włosy.

– Ale od tyłu, opatulone w fioletowy sweter, trudno byłoby je odróżnić. Poza tym Christine siedziała w samochodzie na tylnym siedzeniu i kierowca widział ją tylko w lusterku. A kiedy dostarczył ją do mieszkania, co mógł zrobić? Miał po prostu powiedzieć, że się strasznie pomylił, i odwieźć ją do Woodyard, gdzie ktoś mógłby go zobaczyć? Być może uznał, że ona wie to samo, co Lucy, i mimo wszystko zadawał jej pytania. – Na zewnątrz było już dość ciemno. Nie było księżyca. Ani lamp ulicznych.

– Potem zdenerwował się, zabrał ją do Lovacott, do którego miała początkowo pojechać, i porzucił nad stawem – stwierdził Matthew. – To nawet ma sens. Ale świadczy także, że w tę sprawę zaangażowany jest nie tylko jeden człowiek. Ktoś wydaje rozkazy i ktoś je wykonuje.

– Zapytałam Christine o przyjaźń Lucy z Waldenem. Lucy powiedziała jej, że oboje chcieli ocalić Woodyard.

Matthew odezwał się dopiero po chwili.

– Mam zamiar wycofać się z dochodzenia. Powinienem był zrobić to na samym początku. Od pierwszego dnia miał miejsce konflikt interesów, a Woodyard jest najwyraźniej w samym centrum tej sprawy. Rano skontaktuję się z kierownictwem. Od jutra ty będziesz kierowała śledztwem. Przynajmniej tymczasowo, dopóki nie zadecydują, co zrobić dalej.

Jen nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miała mieszane uczucia. Nigdy nie kierowała tak ważną sprawą, a od wstąpienia do policji było to jej ambicją. Ale tu chodziło o Matthew. Dobrego człowieka i dobrego detektywa.

– W takim razie, szefie, lepiej rozgryźmy ją jeszcze dzisiaj. Jadę na komendę. Spotkajmy się tam.





## Rozdział trzydziesty szósty

Ross i Jen dotarli do komendy mniej więcej w tym samym czasie. Dzień był tak pełen wydarzeń, że Matthew miał wrażenie, jakby zbliżała się północ. W rzeczywistości sobotnia noc w Barnstaple dopiero się zaczęła i siedząc w komendzie, słyszał muzykę oraz głosy imprezowiczów idących do restauracji i barów.

Zadzwoił Jonathan.

– Przeszukaliśmy każdy centymetr Woodyard. Ani śladu Lucy.

Matthew chciał porozmawiać z nim o wspomnianym przez Lucy tajnym planie Waldena ocalenia centrum. *Wiesz, o co tu chodzi? Dlaczego Woodyard wymaga ocalenia?* Ale uznał, że już za bardzo zaangażował Jonathana w tę sprawę. Venn zawsze widział sens przepisów, potrzebę porządku. Dlatego wstąpił do policji. Decyzja była jego własną, małą próbą ocalenia świata przed chaosem. Gdy utracił wiarę, miał wrażenie, że ten lada chwila pochłonie ich wszystkich. Życie nierządzące się prawami Bractwa wydawało się oparte na przypadku i bez określonego znaczenia. Nie rozumiał, jak poszczególni osobnicy podążający własną drogą, samolubni, słabi mogą utworzyć jakiegokolwiek porządne społeczeństwo. Prawo zapewniało strukturę, własną moralność. Sieć asekuracyjną.

Teraz nie był w stanie przekazać informacji o trwającym dochodzeniu komuś, kto mógł być zamieszany w sprawę i z całą pewnością był blisko osób, które rzeczywiście zamieszane były.

– To będzie długa noc.

– Nie przejmuj się – odparł Jonathan. – Tylko ją znajdźcie. Będę na ciebie czekał.

Wpadł Ross, otwierając drzwi tak gwałtownie, że omal nie wypadły z zawiasów. Jak znudzony nastolatek nie potrafił ukryć frustracji.

– Tych cholernych Salterów nie ma. Ani śladu, ani popiołu. Zmarnowany wyjazd.

– Lucy też nie ma?

– Obeszliśmy cały dom dookoła, ale nigdzie się nie świeciło. Zaglądałem przez okna na parterze, tylko że było już prawie ciemno. Nie sposób się zorientować, czy tam jest. – Ross umilkł. Wiedział, co Matthew sądzi o przepisach, nie był pewien, czy komisarz mógłby podjąć próbę wejścia siłowego. – Nie znalazłem żadnego sposobu, by dostać się do środka. Na wszelki wypadek sprawdziłem wszystkie drzwi i okna, ale bez skutku. Salterowie bardzo dbają o bezpieczeństwo. Prawie paranoicznie.

Matthew kiwnął głową i pod wpływem impulsu zadzwonił na telefon stacjonarny matki. Wciąż pamiętał numer z czasów, kiedy mieszkał z rodzicami. Był tylko trochę zdziwiony, kiedy usłyszał jej głos.

– O, jesteś w domu – powiedział. – Sądziłem, że dziś wieczorem możesz być na jakimś zebraniu Bractwa. Albo na jakimś spotkaniu towarzyskim. Usiłowaliśmy się skontaktować z Salterami, ale nikogo nie ma w domu.

– Nie – odpowiedziała. – O ile wiem, nie ma niczego w tym rodzaju. – Ton jej głosu nie był tak ostry, jak w przeszłości, ale nie zamierzała dać mu satysfakcji i zapytać, dlaczego chciałby wiedzieć. Matthew był jej za to wdzięczny. Odłożył słuchawkę. Myśli krążyły mu w głowie jak mewy szukające pożywienia nad ujściem rzeki. Starał się znaleźć wyjaśnienie i czuł, że w końcu zaczyna dostrzegać sens w tym, co może kryć się za śmiercią Waldena. Nigdy nie uważał dumy za jeden ze swoich grzechów, ale teraz przyszło mu do głowy, że Jen może mieć rację. Może rozwiązać sprawę tej nocy. Potem uświadomił sobie, że Lucy wciąż pozostaje zaginiona i że ma niewiele powodów do dumy.

Rafferty pojawiła się w chwili, gdy skończył rozmowę.

– Powiedziałam dzieciakom, że będę miała nockę, ale to nie powód, żeby urządzali imprezę. Nie chcę wrócić rano do zarzyganego mieszkania, z leżącą we frontowym pokoju bandą otumanionych nastolatków w śpiworach, wyglądających jak gigantyczne ślimaki.

Uśmiechnął się, wdzięczny za poprawienie mu nastroju. Sama jej umiejętność podnoszenia go na duchu czyniła z niej bezcenną członkinię zespołu. Zrobił kawę w ekspresie i usiedli przy jednym ze stołów w sali. Ross dołączył do nich.

– Mam wrażenie, że mamy do czynienia ze znową – oświadczył Matthew. – Jeżeli Jen ma rację i Christine uprowadzono przez pomyłkę, wzięły w tym udział przynajmniej dwie osoby. – Odwrócił się do Jen. – Nie potrafiła rozpoznać tamtego mężczyzny na twoich zdjęciach?

Jen pokręciła głową.

– Ale fotografie, które zdołałam wydrukować, nie były doskonałej jakości. Nie wydaje mi się, że matka Colina Marstona poznałaby go na jedynym zdjęciu, które udało mi się znaleźć.

– Przez cały wieczór usiłowałam się do niego dodzwonić. Nie odbiera.

– Nie pojmuję, dlaczego Marston miałby być ważny – stwierdził Ross. – Nie ma tak silnych więzi z Woodyard, jak pozostali. Tylko raz na tydzień wyklada na kursie. Poza tym mam wrażenie, że gdyby porwał Lucy, raczej by odbierał telefony, aby nie budzić podejrzeń.

– Powiedział mi, że przedstawił zarządowi parę nieoficjalnych porad prawnych. – Matthew pamiętał rozmowę na wybrzeżu. Uznał Marstona za pompatycznego, podkreślającego własne znaczenie człowieczka, ale być może był bardziej zamieszany w sprawy Woodyard, niż sądzili. Znowu w jego myślach połączyło się parę wątków śledztwa i wydało mu się, że w końcu może dostrzec motyw. – Musimy odnaleźć Colina i Hilary Marstonów oraz Salterów, którzy najwyraźniej tajemniczo i w bardzo dogodnej chwili także zniknęli. Możesz rozesłać wiadomość? Chcę, żeby sprowadzono ich na



komendę, kiedy tylko zostaną znaleźni. Mamy rejestracje ich samochodów.

– Jako podejrzanych? – Powiedziała zaszokowanym tonem Jen.

– Jeszcze nie. – Matthew uśmiechnął się. – Będą pomagali nam w dochodzeniu. Tacy szanowani ludzie jak oni powinni z radością pomóc policji.

Ross wstał i się przeciągnął. Za długo pozostawał bez ruchu. On i Jen spoglądali na Matthew, czekając na wyjaśnienie, ale jego myśli były w tej chwili zbyt mało konkretne. Gdyby wyraził je słowami, mogłyby zniknąć.

– Czy może chodzić o pieniądze? – odezwała się Jen. – Wiemy, że Walden miał plan wykorzystania tych dwustu tysięcy, ale nagle wysłał je do adwokata na przechowanie. Wiemy, że zamierzał przekazać wielką darowiznę Woodyard, ale potem się rozmyślił. Może odkrył, że dzieje się tam coś podejznanego. Organizacja Woodyard wydaje się nieco chaotyczna i dokonanie oszustwa mogłoby się okazać stosunkowo łatwe. Preece i Salter są członkami zarządu i obaj pracowali wcześniej w finansach. Czy mogliby wyprowadzać darowizny albo fundusze charytatywne i przeznaczać je na własny użytek? Takie rzeczy się zdarzają w instytucjach dobroczynnych. W prasie pisano o kilku takich przypadkach. Jeden gość zwiął z setkami tysięcy. A takie przestępstwo może wyjść na jaw dopiero po latach. To pasowałoby do hipotezy zmywy. – Spojrzała na Matthew. – Jonathan nie mógłby o tym wiedzieć. Zarządza centrum, ale jak sądzę, nie ma nic wspólnego z administracją finansową.

Matthew nie widział, co odpowiedzieć. Był wdzięczny Jen za życzliwość. Chciał jej powiedzieć, że Jonathan jest najuczciwszym człowiekiem, jakiego spotkał w życiu, że jego mąż pracowałby w Woodyard za darmo, byle tylko centrum funkcjonowało, że martwił się, kiedy uważał, że dał za mały napiwek kelnerowi w przeciętnym hotelu, ale dopóki nie znajdą zabójcy Waldena, nadal będzie podejrzany.

– Byłoby ciekawie zapoznać się z rachunkami bankowymi Preece'a i Saltera. Sprawiają wrażenie dość zamożnych, ale mogą mieć problemy z pieniędzmi.

Pamiętał, że Preece wpłacił kaucję za dom na Hope Street. Matthew miał wrażenie, że usiłuje kupić uczucie córki. Zapewne wciąż łoży na jej wydatki. Być może to oraz wywołana poczuciem winy dotacja pozwalająca na rozpoczęcie budowy Woodyard nadwerężyły jego oszczędności.

– Włączmy do sprawy także Preece'a, jeżeli nie zniknął jak inni. Będziemy przesłuchiwali każdego osobno i zobaczymy, czy uda się znaleźć jakieś niespójności w ich zeznaniach.

Nie mógł sobie wyobrazić, jakie finansowe sekrety mógł mieć Salter. Może były związane z Kasą Oszczędnościowo-Kredytową Hrabstwa Devon? Czy mógł z niej kraść?

Ross kaszlnął z zakłopotaniem. Matthew zorientował się, że przygotowywał się do tego przez całą rozmowę, zbierał odwagę.

– Może powinniśmy się także przyjrzeć rachunkowi *Jonathana*. Po prostu żeby oczyścić atmosferę, gdyby prasa dostrzegła jakieś związki.

Jen zerwała się w bojowym nastroju.

– To twój pomysł czy Oldhama? Znowu włąziłeś mu w tyłek, Ross? Kolejne miłe pogawędki przy paru piwach? Masz nadzieję na kolejny szybki awans?

Matthew podniósł ręce, dając znak, że się zgadza i prosi o spokój.

– Masz zupełną rację, Ross. Przekażę księgowym sądowym wszystkie szczegóły rachunków Jonathana i mojego. Musimy być transparentni. I ponieważ wszystkie ofiary i świadkowie wydają się powiązani z Woodyard, poinformowałem już Jen o konflikcie interesów. Jutro przejmie dochodzenie. Zameldujesz się u niej z samego rana.

Odesłał ich i przez chwilę siedział sam w gabinecie. Nie czuł się urażony żądaniem ujawnienia jego spraw finansowych, ale wolałby, żeby załatwiono to w inny sposób. Decyzja w oczywisty sposób była

autorstwa Oldhama, ale została przekazana przez Rossa. Sam nadkomisarz był albo za leniwy, albo za tchórzliwy, by zrobić to sam, a nie było to uczciwe ani wobec Rossa, ani jego. Podejrzał, że Jonathan uzna pomysł potraktowania go jako podejrzanego za dość zabawny, zwłaszcza jeżeli za motyw uznano by chciwość. Pieniądze nigdy nie miały większego znaczenia dla żadnego z nich.

Matthew spróbował odsunąć na bok biurowe napięcia i odtworzyć w pamięci rozmowy z Salterem i Preece'em. Nagle jego punkt widzenia zmienił się całkowicie. Było coś, co miało większe znaczenie dla obu mężczyzn niż pieniądze. Odtworzył chronologię wydarzeń od momentu otwarcia Woodyard, szukając przyczyny, czegoś, co mogło doprowadzić do jednego morderstwa i dwóch uprowadzeń. Nagle wstał i ruszył do drzwi.

– Dokąd idziesz, szefie? – zapytał siedzący przy swoim biurku Ross. Trochę przygnębiony, ale urażony, że wciąż musi siedzieć w komendzie i czekać.

– Muszę porozmawiać ze świadkiem. – Wciąż uważał, że jest zbyt wcześnie, aby powiedzieć zespołowi o swoich podejrzeniach. Był ktoś, kto miał o wiele więcej do stracenia.



Dom Opieki Rosebank był piętrowym, specjalnie zaprojektowanym budynkiem z wąskim ogrodem od frontu. Parking dla personelu i gości znajdował się z tyłu i większość miejsc była obecnie pusta. Tylko w kilku oknach paliło się światło. Wybiła dopiero dziewiąta, ale wydawało się, że większość podopiecznych znajduje się już w łóżkach.

Drzwi były zamknięte, więc nacisnął dzwonek. Brzęczenie i trzeszczący głos w domofonie.

– Kto tam?

– Komisarz Venn do pani Janet Holsworthy.

Chwila ciszy.

– Znajdzie mnie pan w biurze na końcu korytarza. – Zamek w drzwiach szczęknął i Matthew wszedł do środka.

Przez otwarte drzwi sypialni widział opiekunów w różowych bluzach, pomagających pozostałym pensjonariuszom przygotować się do snu. Matthew wyobraził sobie swojego ojca w takim miejscu – z całą pewnością jego oddział szpitalny nie różnił się w jakiś istotny sposób – i pomyślał, że są rzeczy gorsze niż śmierć. Jedna z kobiet siedziała na sedesie pokojowym. Odwrócił się i pospiesznie odszedł, zanim go zobaczyła. Matka Rosy znajdowała się w małym gabinecie, na biurku przed nią stał talerz ze zjedzoną do połowy kanapką i skórka od banana. W ręku trzymała kubek z kawą.

– Nie mogę długo rozmawiać – oświadczyła. – Mam tylko przerwę. – Ale wyglądało na to, że nie pozostała w niej wola walki. Czekala, aż usiądzie na krześle po przeciwnej stronie biurka.

– Muszę dowiedzieć się więcej o Rosie – stwierdził. – Jeden człowiek nie żyje, a jej przyjaciółka, Lucy Braddick, zaginęła.

Skinęła głową. Pomyślał, że jest bardzo zmęczona. Musi bardzo mało spać, skoro pracuje całą noc, a za dnia opiekuje się mężem i córką.

– Czemu mi pani nie powie, co naprawdę się stało? Dlaczego Rosa nie chodzi już do Woodyard?

– Poznał ją pan – odparła kobieta. – Taka zawsze była. Uczuciowa. Kochająca. Trzymała obcych za rękę. Kiedy była dziewczynką, wskakiwała na kolana każdego, kto się do niej uśmiechnął. Próbowaliśmy jej wytłumaczyć, że niedobrze jest tak robić, a kiedy ma na sobie spódniczkę, powinna siedzieć ze złączonymi kolanami, że nie każdy chce, by się do niego przytulano, ale nie rozumiała tego. Bo niby jak? Była niewinna.

Matthew się nie odezwał.

– Kiedy ośrodek dziennej opieki przeniesiono do Woodyard, uważaliśmy, że będzie bezpieczna. Cały personel również tam przeszedł. Lubiliśmy Jonathana. Nie był zbyt praktyczny, ale jednak wszystkim kierował. – Znowu chwila milczenia. – Aż pojawił się tam

gość. Ktoś, kto przyszedł i ją wykorzystał. Wykorzystał ją, bo była taka ufna.

– Czy Rosa powiedziała pani, co zaszło?

– Nie od razu. Mogłam się zorientować, że coś się stało, kiedy wróciła tamtego popołudnia. Powiedziała, że źle się czuje i następnego dnia musi zostać w domu. Pomyśleliśmy, że zdenerwowały ją przenosiny. Że to nic poważnego.

W oddali jedna z pensjonariuszek zaczęła krzyczeć:

– Pomocy! Mamo! Proszę, pomóż mi!

– Musi pani do niej pójść? – zapytał Matthew.

Janet Holsworthy pokręciła głową.

– To Eunice. Krzyczy każdej nocy, zanim pójdzie spać. Zaraz się uspokoi.

Rozległ się jeszcze jeden okrzyk, cichy i błagalny, a potem znowu zapanował spokój.

– Kiedy zdała pani sobie sprawę, że Rosa została wykorzystana seksualnie?

– Pomyślałam, że może kąpiel ją uspokoi. I wtedy zobaczyłam, że jej bielizna jest porwana. Miała siniaki.

– Została zgwałcona?

Janet wzruszyła ramionami.

– Nie była w stanie powiedzieć szczegółowo, co się stało. Nie mogła określić tego słowami. Ale użyto wobec niej przemocy.

– Dlaczego nie poszła pani na policję? Albo do lekarza? – Ale Matthew znał odpowiedź. Sprawa była delikatna, osobista. Nie chcieli opowiadać o niej komuś obcemu. – Powinna pani zawiadomić Jonathana. Zna go pani. – Matthew starał się nie mówić emocjonalnym tonem.

– Był nieobecny. Wyjechał na trzy tygodnie w podróż poślubną. Poszłam do wielkiego szefa. Coś trzeba było zrobić.

– Wielkiego szefa?

– Przewodniczącego zarządu. Christophera Preece'a. – Milczała chwilę. – Najpierw do niego zadzwoniłam. Zaprosił mnie do siebie do domu, powiedział, że tam najlepiej będzie się rozmawiało.

Matthew wyobraził ją sobie, jak stoi przed domem koło parku, zdenerwowana, ale spodziewając się współczucia, tego, że coś można będzie zrobić.

– Kiedy weszłam, nie był sam – powiedziała Janet. – Oświadczył, że zarzut jest tak poważny, że musiał skonsultować go z kolegami. Było ich trzech. Trzech mężczyzn.

– Kto poza nim? – Matthew mógł tylko sobie wyobrazić, jak onieśmielająca była sytuacja.

– Członek zarządu, Dennis Salter. Nie spotkałam go wcześniej. I jeszcze ktoś, o kim mówili, że jest ich doradcą prawnym.

*Colin Marston*. Ale Venn nie mógł sobie wyobrazić, co ktoś, kto zajmował się kontraktami w przemyśle motoryzacyjnym, mógł mieć do powiedzenia w sprawie kryminalnej napaści seksualnej. Znalazł się tam wyłącznie po to, by skuteczniej zastraszyć kobietę.

– To musiało być dla ciebie przerażające. Rozmowa z tymi ludźmi.

– Używali słowa *insynuacja*. Jakbym wszystko sama wymyśliła. Pan Preece oznajmił, że nie może zrozumieć, jak mogłoby do czegoś takiego dojść w Woodyard, gdzie wszędzie jest personel. Tłumaczyłam im, że to się wydarzyło w czasie konsultacji. Zaczęli je organizować, kiedy ośrodek został przeniesiony do Woodyard. Rozmowa w cztery oczy w małych pokojach, użytkownicy ośrodka opowiadali o tym miejscu, swoich pomysłach i nadziejach na przyszłość. – Spojrzała na Matthew. – Zapytał, czy mam dowód. Czy byłam u lekarza albo na policji. Zupełnie jakbym nie mówiła prawdy. Tłumaczyłam, że nie mogłam narażać na to Rosy. Jeszcze nie. Że dlatego właśnie z nim mówię, żeby mógł nam pomóc w czasie procedury. Rosa nie zrozumie tego bez wsparcia. Będzie roztrzęsiona i nie będzie w stanie niczego wyjaśnić. Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby musiała pójść do sądu?! – Znowu pauza. – Ale powiedziałam mu, że zachowałam podarte majtki. Były poplamione. Nie powiedziałam mu jednak o spódnicy i o tym, że też była zaplamiona. Przemilczałam to. To był mój sekret. – Podniosła głowę. – Pomyślałam o amerykańskim prezydencie i tym skandalu

z młodą dziewczyną. Wtedy właśnie spódnica była dowodem, że mówiła prawdę. Bo widzi pan, nie ufałam im. Na obu tych rzeczach powinno być DNA, prawda?

– Powinno.

– Nie sądzę, by się spodziewali, że będę miała dowód.

– Co się stało, Janet? Dlaczego pani nie kontynuowała?

Spojrzała na niego i zorientował się, że kobieta płacze.

– Bo mnie przekupili. Dali mi pieniądze, żebym była cicho. To był straszny okres. Mąż właśnie stracił pracę i nie było żadnych dochodów. Czekał, żeby ludzie z opieki społecznej ustalili, co mu się należy. Dostawałam dodatek pielęgnacyjny na Rosę, ale to były nędzne grosze. Zalegaliśmy z czynszem przez wiele tygodni. A Preece zaproponował mi pieniądze.

Potrząsnęła głową, jakby usiłowała odpędzić wspomnienia.

– Wiem, że zrobiłam źle, ale on był taki przekonujący. Zupełnie jakby wcale nie chodziło tu o pieniądze. Nie w istocie. Powiedział, że Woodyard jest wspaniałym projektem, a jakakolwiek fama może oznaczać wstrzymanie finansowania, a w takim wypadku wszyscy korzystający z centrum zostaliby bez opieki. Obiecał trzymać winowajcę jak najdalej i upewnić się, że Rosa otrzyma pomoc. Nigdy więcej nie pozwoli mu się na coś takiego. – Ciche westchnienie. – A potem wypisał czek. *Kup coś ładnego dla Rosy, powiedział. Wyjedź gdzieś z nią na jakiś czas. Na weekend.* Nie była to duża suma, ale wystarczyło, by spłacić zaległy czynsz. Wystarczyło, żeby się jakoś utrzymać. – Znowu milczenie. – Dlatego nie powiedziałam o Rosie, kiedy przyszedłeś szukać Chrissie Shapland. Wciąż było mi wstyd, że wzięłam ich pieniądze. Kiedy to zrobiłam, oświadczyli mi, że jest to pewnego rodzaju umowa. Że obiecuję milczeć. Zachować wszystko w tajemnicy.

– Czy tylko Preece podpisał czek? – zapytał Matthew. – Czy pan Salter także? – Jeżeli był na nim wspólny podpis, mógł obciążać rachunek Woodyard, a nie osobiste konto Preece'a, wtedy zaś zostałyby zarejestrowany. Stanowiłby ślad, na który mógł natrafić

Walden. Drzwi do biura zawsze były otwarte, a Jonathan nigdy nie zauważyłby żadnych niezgodności w rozliczeniach.

– Podpisali go obaj.

Matthew kiwnął głową, ale nadal nie okazywał emocji.

– Czy ktoś jeszcze pytał o sprawę Rosy? Może mężczyzna, który nazywał się Simon Walden?

– To ten człowiek, którego zabito przy Crow Point? – Sprawiała wrażenie zaszokowanej.

– Tak. Był wolontariuszem w Woodyard. Przypuszczam, że interesował się tym, co zdarzyło się Rosie.

– Nie – odparła. – Nigdy go nie widziałam.

Matthew był rozczarowany. Jego teoria, nadzieja na zamknięcie dochodzenia, opierała się na założeniu, że Simon dowiedział się o molestowaniu Rosy.

Janet mówiła dalej.

– Jediną osobą z Woodyard, którą widziałyśmy ostatnio, jest Lucy Braddick. Wiesz, przyjaciółka Rosy. – Spojrzała na niego znowu. Oczy miała tak zmęczone, że sprawiały wrażenie podbitych. – Powiedział pan, że zaginęła?

Kiwnął głową.

– Dlatego jestem tu i panią niepokoję. Musimy ją znaleźć, to naprawdę ważne.

– To było parę tygodni temu. Obie esemesowały do siebie od czasu do czasu, wysyłały sobie jakieś bzdury. A potem zadzwonił Maurice i powiedział, że Lucy tęskni za Rosą. I zapytał, czy mógłby ją przywieźć do nas po Woodyard. Przyjechali na herbatę. Było cudownie odnowić znajomość, a dziewczyny jak zawsze dobrze sobie radziły. Zniknęły na piętrze i nie widzieliśmy ich, dopóki nie musiałam wyjść do pracy.

Matthew rozmyślał przez chwilę.

– Czy Lucy wzięła ze sobą spódnice? Mam wrażenie, że Rosa musiała jej powiedzieć, co się stało. Może tuż po samym wydarzeniu. Być może Lucy spostrzegła, że Rosa jest smutna.



A jeżeli Lucy powtórzyła to Waldenowi, mógł ją poprosić, aby pomogła mu znaleźć dowód. Na tym właśnie mogła polegać jego wielka kampania, ich wspólna tajemnica.

– Nie wiem! Spódnica była w plastikowej torbie, którą włożyłam do szafy. – Janet zastanawiała się. – Nie sprawdzałam, czy tam jest. Nie ostatnio. – Pauza. – Ale tego dnia dziewczyny były w moim pokoju. Słyszałam ich kroki na piętrze i krzyknęłam, żeby nie były bezczelnymi małpami. Myślałam, że przymierzają moje ubrania. Rosa lubiła to robić. Przebierać się w moje rzeczy, wkładać moje pantofle na wysokich obcasach. Schodziła na dół z twarzą całą w makijażu. Mam zadzwonić do męża i powiedzieć mu, żeby sprawdził?

– Jeżeli nie będzie to dla niego za trudne.

– I tak jest już na górze i szykuje się do snu.

Matthew siedział nieruchomo i usiłował nie słuchać rozmowy, nie pozwolić, aby emocje go zaślepiły. Spojrzał na kobietę dopiero wtedy, kiedy wyłączyła komórkę.

– Spódnica zniknęła – oświadczyła. – Szukał jej wszędzie.

– Czy Lucy przyszła na wizytę z jakąś torbą?

– Tak – odparła Janet. – Z torbą na ramię. Maurice powiedział, że przed pójściem na górę może ją zostawić jemu, ale wzięła ją ze sobą.

*Schowwała do niej spódnicę i zaniosała ją do Woodyard Waldenowi. I dotrzymała obietnicy nawet wtedy, kiedy Chrissie zaginęła, a Waldena zabito. Dochowała tajemnicy.*

– Dziękuję – powiedział Matthew. – Bardzo dziękuję.

Odstawiła kubek na talerz i spojrzała na zegarek.

– Muszę już iść – oznajmiła. – Moja przerwa skończyła się pięć minut temu.

– Kto to był, Janet? Kto skrzywdził twoją córkę?

To była przełomowa chwila. Pomyślał, że mimo wszystko może odmówić odpowiedzi.

– Duchowny. – Wstała. – Młody wikary. Można by pomyśleć, że najbardziej ze wszystkich powinno się mieć zaufanie właśnie do

duchownego.





## *Rozdział trzydziesty siódmy*

Matthew zdumiał się, kiedy po powrocie na komendę zorientował się, że minęło zaledwie czterdzieści minut. Wciąż miał wrażenie, że czas zwolnił, dając mu szansę na odnalezienie Lucy. Nadzieję, że będzie żywa i zdrowa.

Ross czekał na niego w komendzie.

– Jak dotąd mamy tylko Preece'a. Jest z nim Jen. Jeszcze z nim nie zaczęła, zatrzymała go w pokoju przesłuchań do twojego powrotu. Ani śladu Saltera czy Marstona i ich samochodów. Ale jeszcze nie sprawdziliśmy domu Marstona.

– Na razie poczekajmy z tym. – Matthew nie chciał spłoszyć Marstona, dopóki nie uporządkuje w myślach szczegółów sprawy. Z całą pewnością nie chciał, aby podjechał tam radiowóz z wyjącą syreną. – Zobaczymy, co Preece będzie miał do powiedzenia. Może wiedzieć, gdzie jest Lucy. Nawet jeżeli nie był zaangażowany w uprowadzenie, uczestniczył w początkowej zмовie. – Zrelacjonował swoją rozmowę z Janet Holsworthy.

– Dlaczego zrobili coś takiego? Ukryli napaść seksualną na niepełnosprawną umysłowo kobietę? – Ross wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Ponieważ opinia o nich zależy od powodzenia Woodyard. Bo są potężnymi ludźmi, przekonanymi, że należy im się specjalne traktowanie, i uważają, że wszystko mogą. Aż w końcu tuszowanie afery stało się bardziej toksyczne niż sama napaść. Wszyscy są w to zamieszani i wszyscy mają wiele do stracenia, ale Preece jest ojcem Caroline, a Caroline dziewczyną Cravena. Być może chroni również jej reputację.

- Czy powinniśmy wezwać Cravena?
- Tak. Naciśnijmy na niego w sprawie Lucy Braddick. Pozostałe rzeczy mogą poczekać do jutra.



Christopher Preece sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego, ale w przeszłości prowadził trudne negocjacje biznesowe i przywykł do zachowywania pokerowej twarzy. Jen siedziała naprzeciwko niego i czekała. Jeżeli miała nadzieję, że jej milcząca obecność zwiększy napięcie, to chyba się zawiodła.

– Wiemy o Rosie Holsworthy. – Matthew właśnie wszedł do pokoju. Nie usiadł.

– Słucham?

– Wiemy, że zapłaciliście jej rodzicom, aby nie wnosili oskarżenia o popełnienie przestępstwa przez jednego z waszych wolontariuszy.

– Ach – odparł Preece. Uśmiechnął się powoli, typowo dla polityka. – Obawiam się, że niedokładnie tak to zapamiętałem.

– A jak pan zapamiętał?

– Rodzice tej kobiety niezbyt chcieli narażać swoją córkę na stres związany z procesem. Mogła zostać w nim poruszona kwestia przyzwolenia. O ile wiem, Rosa w ośrodku dziennej opieki miała opinię nieco... – zrobił krótką pauzę – ...rozwiązej.

– Jest kobietą o ograniczonej zdolności pojmowania, a molestował ją dorosły, któremu ufała, któremu ufali jej rodzice, w dodatku w miejscu, które uważali za bezpieczne. – Matthew czuł, że narasta w nim gniew. Napięcie, które kumulowało się przez cały dzień, zmieniało się we wściekłość.

Preece spojrział na niego z udawanym zdziwieniem.

– Miałem wrażenie, że nie chciałby pan, aby jakakolwiek skarga została upubliczniona. Że będzie pan wdzięczny za zajęcie takiego właśnie stanowiska. Pański mąż także zajmuje kierownicze stanowisko w tej instytucji.

– W tym czasie był nieobecny i nic nie zostało z nim skonsultowane. – Matthew zmuszał się do zachowania spokoju. Preece starał się nim manipulować. Usiłował wyprowadzić go z równowagi. – Lucy Braddick, inna podopieczna ośrodka opieki dziennej, zaginęła dziś przed południem. Czy ma pan jakiś pomysł, gdzie może się znajdować? Jesteśmy nadzwyczaj zaniepokojeni.

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc, komisarzu. – Mężczyzna rozparł się w krześle. Założył ręce na piersi.

Matthew usiadł koło Jen Rafferty.

– Córka wspiera pańską działalność w Woodyard. Czy powiedział pan Caroline o napaści na Rosę? A może już o niej wiedziała? Czy poprosiła pana, żeby zapobiegł pan skandalowi związanemu z jej partnerem?

– Nie! Oczywiście, że nie. – Tym razem trochę się zdenerwował. – Decyzję podjął zarząd. Nie miała z nią nic wspólnego.

– Czy sądzi pan, że pochwaliby sposób, w jaki załatwiono sprawę? – Matthew uznał, że też może grać nieczysto.

Przez chwilę panowała cisza.

– Zapewne nie, komisarzu. Ale Caroline jest młoda i idealistyczna. Raczej nie zdaje sobie sprawy, że gdyby wiadomość o tym, co się stało, dotarła do opinii publicznej, zwłaszcza jeżeli byłby to proces Cravena, skończyłyby się wszystkie publiczne dotacje i większość prywatnych dla centrum zdrowia psychicznego w Świętym Cuthbercie. On jest wikarym w kościele, który sponsoruje jej działalność. Zostałaby bez pracy. Jej przyjaciółka Gaby też stałaby się bezrobotna, ponieważ incydent wydarzył się w Centrum Woodyard, które także uzależnione jest od dotacji.

Matthew pochylił się nad stołem. Mówił szorstko i precyzyjnie.

– Zdaje pan sobie sprawę, że gdyby zajął się pan skargą pani Holsworthy we właściwy sposób i we właściwym czasie, Simon Walden nadal by żył? A dwóm kobietom oszczędzono by traumy związanej z uprowadzeniem? Wydarzenia wymknęły się spod kontroli, panie Preece. Nadal są niekontrolowane i jest pan za to

odpowiedzialny. Proszę to przemyśleć. – Po chwili dodał: – A teraz: czy ma pan mi coś więcej do powiedzenia?

Myślał, że może nareszcie udało mu się do niego dotrzeć. Znowu przez chwilę panowała cisza. W końcu Preece odezwał się kolejny raz.

– Bardzo mi przykro, komisarzu. Obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

Matthew wyszedł z pokoju. Musiał oczyścić umysł, odetchnąć świeżym powietrzem, zastanowić się. Stał przez chwilę na dworze. Na zalesionym Wzgórzu Zamkowym ktoś grał na gitarze. Smętne dźwięki przebijały się przez rozbrzmiewający w tle zgiełk sobotnich imprez i płynęły do niego nad betonem.



Kiedy wrócił do biura, okazało się, że wciąż nie ma wiadomości o Salterach czy Marstonach. Ross spojrzął na niego zza biurka.

– Ale mają Cravena. Wiozą go tutaj.

Zadzwoił telefon. Ross podniósł słuchawkę.

– Pewnie Maurice – stwierdził Matthew. – Jest zdesperowany. Kiedy tu byłem, dzwonił przez całe popołudnie.

Ross podziękował krótko i odłożył słuchawkę. Z wyrazu jego twarzy i usłyszanych fragmentów rozmowy Matthew zorientował się, że dzwoniącym nie był Maurice i sprawa jest ważna.

– Zadzwoniono na 999 – oświadczył Ross. – Telefonowała kobieta, która powiedziała, że ma na imię Lucy. Nie podała nazwiska i rozłączyła się, zanim operator zdołał dowiedzieć się więcej szczegółów. Nie miała nawet okazji powiedzieć, jakiej pomocy potrzebuje. Ale facet w centrum interwencyjnym wie, że nagłośniono sprawę zaginionej kobiety. Uznał, że powinien nas powiadomić.

Matthew postanowił, że kiedy będzie już po wszystkim, odnajdzie tego człowieka i wyśle mu butelkę bardzo dobrej szkockiej.

– Musiał mu się wyświetlić numer.



– Tak. Telefon był stacjonarny i już ustalił nazwisko i adres właściciela.

– No dalej, Ross! To ktoś, kogo znamy? – Po raz drugi Matthew miał ochotę go udusić, że tak wolno przekazuje informacje.

– Colin Marston – odparł Ross. – Domek poborcy myta.





## *Rozdział trzydziesty ósmy*

Wywołali Jen z pokoju przesłuchań i zostawili Preece'a z mundurowym. Matthew uznał, że powinni mieć ze sobą kobietę. Gdy jechali w stronę wybrzeża, przytłaczało go poczucie winy i nie mógł przestać myśleć o błędach, które popełnił tego dnia. Należało wysłać zespół do domku poborcy myta już wcześniej. Obsesja na punkcie Salterów sprowadziła go na manowce. Domek znajdował się blisko miejsca, w którym zginął Walden, i sprawdzenie go powinno być oczywistością.

Venn był też pełen podziwu dla Lucy. Jakoś udało jej się dostać do telefonu i zadzwonić pod 999. Pomyślał, że musiano jej przeszkodzić, i miał nadzieję, że sama przerwała rozmowę, a przetrzymujący ją ludzie nie zorientowali się, co robiła. W przeciwnym razie istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, by nadal trzymali ją w domku.

Ross prowadził nieoznakowany samochód bez migaczy czy syreny, ale pędził wąskimi drogami jak wariat. W innych okolicznościach Matthew powiedziałby mu, żeby się nie wygłupiał, ale teraz w myślach jeszcze bardziej go popędzał. Przy punkcie poboru myta zwolnili.

– Przejeźdź dalej – polecił i podał Rossowi parę monet. – Zaparkuj koło mojego domu. Wtedy nie będą niczego podejrzewać. Nie daliśmy Preece'owi możliwości wykonania telefonu, więc mogą nie zdawać sobie sprawy, że ich szukamy. Do Jonathana i do mnie ciągle przyjeżdżają goście. Wrócimy tu na piechotę.

Zasłony w domku były zaciągnięte. Samochód Marstonów stał na miejscu. Możliwe, że małżeństwo wciąż jest w budynku. I że Lucy

też tam jest. W Spindrifft paliły się wszystkie światła, a auto Jonathana znajdowało się na podjeździe. Matthew pomyślał, jak dobrze by było siedzieć w domu, tylko we dwoje, w długim pokoju przy ogniu. Kiedy cały ten koszmar by się już skończył.

Detektywi wrócili do szlabanu w milczeniu, używając latarek zabranych z komend. Promień jednej z nich oświetlił przez moment lecącą nisko nad mokradłem sowę. Przy domku Matthew wysłał Rossa do tylnego wejścia i nacisnął dzwonek. Żadnej reakcji. Pomiedzy zasłonami była szczelina, więc zajrzał do pokoju dziennego. Wyglądał właściwie tak, jak podczas ich wizyty w dniu śmierci Waldena. Trochę zagracony. Książki i teczki z dokumentami na półkach. Dwa brudne kubki na niskim stoliku. Ale nikogo w środku. Znowu nacisnął dzwonek, tym razem dłużej. Wciąż nikt nie odpowiadał i pozostawiając Jen przy drzwiach wejściowych, Venn obszedł dom, usiłując zajrzeć do wnętrza przez jakieś okno. Ross nadal czekał przy tylnym wejściu.

– Framuga jest zupełnie spróchniała. – Mówił tak cicho, że Matthew musiał się pochylić w jego stronę, by coś usłyszeć. – W razie potrzeby nie będziemy mieli problemu z wejściem.

Wszystkie pozostałe okna były dokładnie zasłonięte i Matthew wrócił do Jen. Wpatrywała się we wnętrze dziennego pokoju i gestem ręki wskazała coś w środku.

– Popatrz. Czy Lucy nie miała tego na sobie w chwili zaginięcia?  
Na wytartym fotelu leżał fioletowy kardigan.

Zaprowadził ją na tył domu, gdzie Ross, czekając na nich, spacerował nerwowo, wyraźnie chcąc zacząć działać.

– Z całą pewnością tu była – oznajmiła Jen wysokim głosem, z nutkami paniki.

Ross naparł ramieniem. Rozległ się trzask pękającego drewna i drzwi niemal w całości wpadły do środka.

Matthew odsunął szczątki z drogi.

– Halo! Policja!

Tylnie wejście prowadziło prosto do kuchni. Czajnik był ciepły, ale nie gorący. Brudne naczynia na ociekaczu przy zlewie. W kuble na

śmieci resztki kupionej na wynos ryby z frytkami.

Jen przeszła do dziennego pokoju i oglądała kardigan. Pokazała Matthew metkę taniego sklepu sieciowego, w którym według Susan robiły zakupy w Plymouth. – Jestem pewna, że to Lucy.

Na stoliku w korytarzu stał telefon stacjonarny. Matthew nacisnął guzik powtórnego wybierania i połączył się ze służbami ratunkowymi.

– Mamy potwierdzenie, że dzwoniła stąd. – Krzyknął w górę schodów. – Halo, Lucy! – Cisza.

Matthew wszedł na piętro. Poleciał Jen i Rossowi, aby nie ruszali się z miejsca. Już on sam wystarczył, by skazać ewentualne miejsce przestępstwa. Podest był wąski, a przed nim łazienka. Emaliowana wanna z zaciekami rdzy. Z całą pewnością były prawnik mógłby pozwolić sobie na lepsze miejsce zamieszkania. Być może Marston okantował ich wszystkich, łącznie z zarządem powierniczym Woodyard, i kłamał, mówiąc o swoich kwalifikacjach oraz doświadczeniu. A może dzika przyroda na mokradłach rzeczywiście tak go pociągała?

Matthew wszystkie mięśnie miał napięte, a serce biło mu w przyspieszonym tempie. Zastanawiał się, czy nie jest to początek jednego z napadów lękowych. Cierpiał na nie, kiedy pojechał do Bristolu na studia, ale nie zdarzały się mu już od lat. Nie był pewien, co spodziewa się zobaczyć w pokojach na piętrze. Kolejną ofiarę zabitym nożem? Krew? Pomyślał, że nie wiedziałby, co powiedzieć Maurice'owi, gdyby okazało się, że coś stało się jego córce, i uświadomił sobie, że już szuka słów wyjaśnienia. Układa opowieść. Łazienka była pusta. Zespół techniczny przyjedzie później, ale teraz chciał tylko znaleźć Lucy, zwrócić ją ojcu.

Otworzył drzwi jednej z sypialni. Zapasowy pokój, prawie bez umeblowania, tylko z pojedynczym łóżkiem i wieszakiem na ubrania. Ani śladu kobiety. Żadnego miejsca, gdzie można ukryć ciało. Ostatnia sypialnia należała wyraźnie do Marstonów – starannie złożona odzież Colina leżała a krzesło, ubrania Hilary ciśnięto na podłogę. Podniósł kapę, ale materace nie były przesiąknięte krwią,

Lucy też nie było. Nagle poczuł obezwładniającą ulgę. W suficie nad podestem schodów była niewielka kłapa z dykty, przez którą wchodziło się na strych, ale Matthew był pewien, że Lucy była zbyt duża i niesprawna fizycznie, aby z niego skorzystać.

– Nie ma jej tu! – zawołał do czekających na dole.

Zebrali się w ciasnym korytarzu.

– Co mamy o tym myśleć? – odezwała się Jen. – Że przyłapali ją, jak dzwoni do służb ratunkowych, i zorientowali się, że muszą wyprowadzić ją z domu? Zdawali sobie sprawę, że tu przyjedziemy. Ich samochód jest tutaj, jak więc ją wywieźli? Taksówką? Czy też poprosili kogoś, żeby ich gdzieś zawiózł?

– Możliwe. – Ale Matthew nie był pewien, że Marstonowie czekali na kogoś, by ich stąd wywiózł. Byli ludźmi z miasta i spodziewali się natychmiastowej reakcji policji. – Albo może po prostu stąd odeszli. Mieli nadzieję, że nie zastaniemy nikogo w domu. Mogli nie zdawać sobie sprawy, że podała swoje imię ani że operator okaże się bystry i przekaże nam komunikat. Mogą się chować, czekając, żebyśmy sobie poszli, a wtedy będą mogli przyprowadzić ją z powrotem. Marston zna mokradła i wybrzeże. Wie, w którym miejscu można ją ukryć.



Rozdzielili się. Jen i Ross poszli w głąb lądu drogą biegnącą wzdłuż mokradeł. Bardziej prawdopodobne, że para tam właśnie zabrała Lucy. Trudno by jej było iść prędko po miękkim piasku, a chcieliby, żeby poruszała się w szybkim tempie. Matthew ruszył wybrzeżem w kierunku Crow Point. To były jego tereny. Znał je równie dobrze jak Marston. I tu właśnie znaleziono martwego Simona Waldena.

Księżyc był w trzeciej kwadrze, ale zamglony. Przez większość czasu zasłaniały go chmury i prawie nie rzucał blasku. Matthew wspiał się na wydmy. Jego dom, jasno oświetlony, znajdował się z prawej. Wydawało mu się, że czuje zapach dymu drzewnego.

Jonathan pewnie rozpałił w kominku i czekał, niespokojny. Na drugim brzegu rzeki sznur lamp oznaczał Instow, a za ujściem Torridge kolejne światła: Bideford i Appledore. Mapa jego rewiru.

Kiedy wyjeżdżali z Barnstaple, był odpływ, teraz jednak woda przybierała, cal po calu zalewając brzeg. W miejscach gdzie łamały się fale, Venn był w stanie dostrzec wąski pasek piany, białej na tle szarej plaży, ale niewiele poza tym. Sprawdził komórkę, upewniając się, że ma zasięg, a Jen i Ross zdołają się z nim połączyć, gdy tylko będą mieli wiadomości.

Zaczął myśleć, że to beznadziejne zadanie i już dawno powinien wezwać za pośrednictwem centrali więcej funkcjonariuszy oraz zespół ratowniczy straży wybrzeża. W tych poszukiwaniach powinny uczestniczyć więcej niż trzy osoby. Na wydmach za sobą usłyszał szelest. Szmer przesuwanego się piasku. Jakieś małe zwierzątko wraca do legowiska ze zdobyczą. A potem głośniejsze stąpnięcie. Ross i Jen pewnie już doszli do drogi i mieli dołączyć do niego na brzegu. Albo może znaleźli Lucy, ale nie mogli złapać zasięgu i chcieli mu o tym powiedzieć. Odwrócił się, żeby ich zawołać, chociaż pomyślał, że nawet w tym świetle powinni dostrzec jego sylwetkę na szczycie wydm. Ale zanim zdołał krzyknąć, rozległ się jakiś inny dźwięk, a potem poczuł ostry ból. I wszystko zrobiło się czarne.







## *Rozdział trzydziesty dziewiąty*

Jen szła polną drogą pogrążoną w mroku i tylko odgłos kroków Rossa uświadamiał jej obecność kolegi. Nigdy nie mieszkała w miejscu, gdzie nie było latarni, białego szumu ruchu ulicznego i zachodziła w głowę, jakim cudem Matthew i Jonathan mogą znieść taką ciszę. Wpadała w panikę, była tak zestresowana, że czuła, jak serce jej wali. W dzieciństwie nienawidziła zabaw w chowanego, napięcia związanego z oczekiwaniem w jakimś ciemnym zakamarku, aż wreszcie ją znajdą. W rezultacie teraz jej wyobraźnia szalała. W myślach widziała Lucy w ciemności, przerażoną i na łasce obcych ludzi.

Żeby zachować choć okrucz samokontroli, naskoczyła na Rossa.

– Co jest z tobą i Oldhamem? Czemu ostatecznie wykonujesz za niego brudną robotę?

Szli po obu stronach wąskiej drogi od szlabanu w kierunku Braunton, od czasu do czasu omiatając światłem latarek rowy. Wykrzykując imię Lucy. Słyszając, jak ich głosy odbijają się echem w pustej przestrzeni.

– Mój tato z nim pracował. Razem wstąpili jako kadeci do szkoły policyjnej.

– Twój tato był gliną? – Jen nigdy o tym nie słyszała. Ross niewiele mówił o swojej rodzinie. Tylko o przepięknej Melanie.

– Niedługo. Nie dawał sobie rady i ostatecznie skończył, pracując w Routledge. Wiesz, w tym domu towarowym w mieście. Kierował działem odzieży męskiej. – Ross powiedział to takim tonem, jakby się tego wstydził.

Jen pokiwała głową. Kiedy przeprowadziła się do Barnstaple, Routledge nadal działał, choć ledwo, ledwo, bo od początku recesji czasy były trudne dla handlu detalicznego. Teraz od dawna był już zamknięty.

– Ale Joe Oldham nadal pozostał jego kumplem i nawet gdy tato wystąpił z policji, zawsze był w pobliżu. Chyba przestał się z nim kontaktować, kiedy stracił pracę w Routledge. Był bardziej jak wujek. Kiedy byłem dzieckiem, co roku jeździliśmy z nim i jego żoną Maureen na wakacje. Nie mogli mieć dzieci. – Zatrzymał się, aby zawołać Lucy. Wciąż żadnej odpowiedzi. W ogóle żadnego dźwięku. Jen miała ochotę przerwać ciszę, ale wiedziała, że zaraz dowie się więcej. – Miałem więcej wspólnego z Joem niż z moim tatą. Zachęcił mnie, żebym wstąpił do policji, zapisał mnie do klubu rugby. Były chwile, kiedy chciałem być jego synem. Myślałem, że miałbym więcej powodów do dumy.

– I dlatego, kiedy prosił cię o różne przysługi, uważałeś, że nie możesz odmówić? – Jen było go niemal żal.

– Tak, coś w tym rodzaju. – Chwila milczenia. – A teraz nie wiem, jak się z tego wyplątać.

Jen pomyślała o Oldhamie z czerwoną twarzą, zalatującym wypitą poprzedniego wieczoru gorzałą, zaczynającym się gubić.

– Nie sędzę, aby pozostał w policji bardzo długo.

Za ich plecami rozległ się warkot silnika. Hałas przerwał ciszę, zaszokował ich, zmusił do odwrócenia się w panice. Samochód musiał stać na poboczu, ukryty za kępą drzew, a teraz wypadł na drogę za nimi, jadąc tak szybko, że musieli gwałtownie uskoczyć na boki. W ciemności i przy tej prędkości Jen nie była w stanie dostrzec koloru ani marki pojazdu.

Wyjęła telefon, żeby zadzwonić do Matthew. Zasięg był, ale komisarz nie odbierał.

– Chyba musimy wrócić. Sprawdzić, czy u szefa wszystko w porządku. To nie była para zakochanych.

Zaczęła biec z powrotem drogą. Dotarli dalej, niż myślała, i wkrótce dostała zadyszki, więc musiała zwolnić. Ross wyprzedził ją.

Słyszała, jak odgłos jego kroków oddalił się i w końcu ucichł. Przeżyła chwilę paniki, poczuła, jak ciemność ją dusi i prawie nie pozwala jej oddychać. Potem musiała minąć niewielki zakręt drogi, ponieważ daleko przed nią pojawiły się światła pozwalające jakoś zorientować się w przestrzeni. Dodające otuchy. Spindrift, dom Matthew. Minęła domek poborcy myta i szła dalej w kierunku wydm i plaży, bardziej pewna siebie, ponieważ już wiedziała, gdzie jest. Była w stanie ustalić dalszą drogę.

Nie było nawet śladu Rossa. Musiał wcześniej zejść z drogi i skierować się tą samą ścieżką co Matthew, przez piaszczyste wzgórza w kierunku brzegu. Zeszła z drogi i zaczęła wspinać się na grzbiet wydm. Kiedy tam dotarła, zatrzymała się, by złapać oddech. Gdy spojrzała na plażę, mogła dostrzec jedynie błyskające w oddali światło boi. Potem chmury rozstąpiły się i na krótko światło księżyca zalało plażę. Ujrzała coś daleko poniżej śladu wysokiej wody, blisko nadciągającego przyływu. Żadnych barw. Nie było dość jasno, aby mogła zobaczyć coś więcej niż kształt. Może sterta porzuconych łachmanów albo jakieś przyniesione przez fale śmieci ze statku. Równie dobrze mogła to być jakaś dziwaczna rzeźba. Coś, co Gaby Henry mogłaby skonstruować ze znalezionych przedmiotów, poskręcany kawałek drewna pokrytego wodorostami. Ross stał tuż przy tym i krzyczał.

Nie była miłośniczką sportu. Nigdy nie pociągały jej stroje z lycry i siłownie, ale teraz biegła. Księżyc znowu zniknął i przedmiot, który widziała z wydm, stał się zaledwie szarym cieniem, tylko trochę ciemniejszym niż otaczający go płaski piasek. Ross znowu krzyczał; słyszała desperację w jego głosie.





## Rozdział czterdziesty

Matthew ocknął się oślepiiony jaskrawym światłem, czując ból i chłód. Nie mógł krzyknąć, bo usta mu się nie otwierały. Później pomyślał, że przynajmniej pozwolono mu zachować strzępy godności. Nie mógł wrzeszczeć z bólu ani skomleć jak dziecko. Miał czas wziąć się w garść. Ktoś krzychał. Rozpoznał ten głos. Ross. A potem zerwano mu z ust taśmę klejącą. Znowu ból. Ross krzyknął kolejny raz i Matthew ocknął się na tyle, żeby zorientować się, że młody policjant woła do Jen.

– To szef!

Ross podłożył rękę Matthew pod plecy, pomógł mu usiąść i przeciął taśmę krepującą jego rękę.

– Lucy? – Matthew słyszał w głowie oskarżycielski głos Maurice'a Braddicka. *No tak, zdołali cię uratować. A co z moją dziewczynką?*

– Żyje.

– Gdzie jest?

– Tu, na plaży. Niedaleko ciebie.

– Na litość boską, zajmijcie się nią pierwszą. – Matthew ucieszył się, że mógł to wykrzyknąć.

– Jen już z nią jest. Była niedaleko za mną. A ty byłeś nieprzytomny. Pomyślałem, że chyba nie żyjesz. – Ross powiedział to dziecinnie wysokim głosem, jakby płakał. – Powtórzył ostatnie zdanie. – Pomyślałem, że chyba nie żyjesz. – Przeciął taśmę, którą związano kostki Matthew, i w tym samym momencie chmury znowu się rozstały.

Komisarz przytrzymał się Rossa i wstał. Przez chwilę trzymał dłoń na ramieniu posterunkowego.



– Dzięki – oznajmił. – Wspaniała robota.

Zorientował się, że leżał na piasku, a w odległości jakichś dwóch metrów Jen pomagała Lucy. Kobieta też była zakneblowana i związana. Podszedł do niej niepewnym krokiem i w świetle latarki Jen dostrzegł migawkowe obrazy – adidas leżący na boku, przysypany piaskiem. Ramię – pulchne i miękkie, bardzo białe na tle zaciemnionego piasku. I oko, otwarte, żywe, które mrugnęło w promieniu światła. Lucy leżała bezradnie na boku. Nawet w pełni sprawna osoba nie mogłaby się poruszyć w tej pozycji, a kobieta nie miała się najlepiej, była zziębnięta i przerażona. Jen odrywała taśmę do pakowania, którą owinięto wokół głowy Lucy, zakrywając jej usta. Kobieta skrzywiła się z bólu, gdy odklejana taśma szarpnęła ją za włosy.

Matthew oświetlił latarką swoją twarz, żeby mogła zorientować się, kim jest. Łzy płynęły po jej twarzy, ale uśmiechnęła się dzielnie, a nawet trochę triumfalnie. Woda była w odległości zaledwie paru metrów od nich, pełzła w górę plaży, dyskretny, łagodny zabójca. *Gdyby Lucy Braddick została tu godzinę dłużej, pomyślał Matthew, utonąłaby. A gdyby Ross nas nie znalazł, pewnie ja też bym utonął.*

Jen uwolniła ręce i nogi Lucy. Ross zdjął płaszcz i otulił ją nim. Razem pomagali jej wejść na wyższą część plaży, gdzie nie zagrażał jej przypyw. Jej nogi ugięły się znowu i upadła na piasek.

– Musicie wezwać karetkę. – Głowa bolała Matthew jak nigdy dotąd, ale myśli miał wyraźne i jasne. Skoncentrowane. Zupełnie jakby przesadził z kofeiną i miał wrażenie, że może stanąć do walki z całym światem. – Powiedźcie im dokładnie, co się stało, i że będą potrzebowali wózka albo noszy, żeby ją zabrać. Niech ktoś z nią zostanie i poczeka na ratowników.

W czasie gdy Ross dzwonił, Venn zatelefonował do Jonathana.

– Znaleźliśmy ją. Na brzegu niedaleko naszego domu. Jest wyziębiona, była związana i chcę, żeby ją przebadano, zanim zaczniemy z nią rozmawiać. Możesz przyjść? Zostać przy niej, dopóki nie dotrą tu ratownicy? Są tu Ross i Jen, ale wolałbym nie zostawiać jej z obcymi. Przenieśliśmy ją trochę w górę plaży, poza

zasięg przyływu, ale będziemy musieli jej pomóc przejść przez zbrocze. Nie chcę, żeby Maurice zobaczył ją w takim stanie.

Słyszał, że Jonathan już wyrusza. Wyobraził go sobie, jak łapie płaszcz i wybiega. Czekał, zadzwonił do Maurice'a. Odezwał się natychmiast.

– Tak? – Z nadzieją, a jednocześnie z obawą.

– Wszystko w porządku, Maurice. Czuje się dobrze. – To nie była pora wdawać się w szczegóły. – Jeżeli chciałbyś się z nią zobaczyć, wysyłamy ją do Szpitala Rejonowego Północnego Devonu, żeby ją zbadali. Będzie z nią Jonathan i sierżant Jen Rafferty, więc nie musisz się martwić. – Spojrzał na Lucy, która siedziała na piasku, dygocząc po przeżytych szoku i z zimna. – Możesz porozmawiać z tatą?

Podniosła dwa palce i znowu uśmiechnęła się do niego, jakby z triumfem. Wypowiadała słowa powoli, z wysiłkiem. Każda sylaba była małym sukcesem.

– Cześć, tatusiu! Tak, jestem okay. Opowiem ci, kiedy się zobaczymy. – Po chwili dodała: – Możesz mi kupić czekoladę? Twixa i kit-kata. Umieram z głodu. – Oddała telefon Matthew. Wyglądało na to, że wysiłek, aby zachować się dzielnie, wyczerpał ją, i znowu zaczęła płakać.

W oddali pojawiło się światło latarki i zbliżało się coraz bardziej. To musiał być Jonathan, idący typowym dla siebie szybkim krokiem, który prawie przypominał bieg. Mężczyzna dotarł szybciej, niż Matthew się spodziewał. Miał ręce pełne rzeczy, które utrudniały mu utrzymanie równowagi. Płaszcz przeciwdeszczowy, który rozłożył na piasku, aby mogli usiąść, koc i termos. – Właśnie zrobiłem kawę. – Siedział obok Lucy, otulając ją kocem zarzuconym na płaszcz Rossa.

– Nie lubię kawy – powiedziała. Odwróciła głowę. Matthew widział, że ten ruch był dla niej bolesny. – Nie masz jakichś herbatników?

– Tak się złożyło, że mam... – Jonathan ruchem prestidigitatora wyciągnął paczkę z kieszeni.

Zaczęła je chrupać, niemal zadowolona. Teraz, kiedy był tu Jonathan, prawie cieszyła się przygodą i poświęcaną jej uwagą.

Jonathan spojrział w górę i szepnął do Matthew:

– Kto to zrobił? I co ci się stało?

Matthew nie odpowiedział.

– Zostawię z wami Jen. Jeżeli Lucy coś powie, możecie to zanotować? A jeszcze lepiej nagrać. Ale nie zadawajcie pytań. Przesłuchanie kobiety w szoku na plaży w środku nocy mogłoby nie zostać dobrze przyjęte przez sąd, a nie chcę tego spieprzyć.

Kiwnęli głowami. Matthew spojrział w kierunku wody, która wciąż wolno pełzła przez piasek w ich stronę. Znów pomyślał, że siła przyływu w tym miejscu mogła spowodować, że nigdy nie znaleziono by ciała Lucy. On także mógł zostać wciągnięty przez wodę, wciąż żywy, ale bez możliwości ratunku. Tonąć w ciemnej wodzie, wciągany do niej przez prąd. Coś z jego nocnych koszmarów.

– Karetka wkrótce tu będzie. A ja muszę iść.

Ruszył i jeżeli Jonathan coś powiedział, nie usłyszał tego.

Ale Ross krzyknął za nim:

– Poczekaj! Możesz mieć wstrząśnienie mózgu. Też musisz pojechać do szpitala.

Matthew zatrzymał się i obejrzał na niego.

– Nie ma na to czasu, a czuję się dobrze.

Cisza. Wydało mu się, że Ross ma zamiar się z nim spierać, ale zamiast tego powiedział:

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Weź samochód. Ja pojedę autem Jonathana z domu. Znajdź Marstonów i Salterów. Zawieź ich na komendę, kiedy tylko ich wytropisz. Dziś w nocy. Nie czekaj na rano. Jen miała rację: to wszystko było znową. Uprzywilejowani ludzie bardziej przejmujący się swoją reputacją niż osobami oddanymi pod ich opiekę, którzy gdzieś po drodze utracili jakiejkolwiek poczucie człowieczeństwa. Jakieś zbiorowe szaleństwo. Wszyscy są w to zamieszani w jakimś

stopniu. – Dotarł do szczytu zbocza i zobaczył migające światła karetki.

– Gdzie idziesz?

– Porozmawiać ze świadkiem.

Zatrzymał się na polnej drodze, aby wskazać załodze ambulansu właściwy kierunek. W domku poborcy myta nadal było ciemno. Poświęcił chwilę na sprawdzenie, czy nikogo nie ma w środku, a potem poszedł do Spindrift, swojego domu. Wciąż czuł dziwną jasność myśli, jak we śnie. Wziął z haczyka w kuchni kluczyki do samochodu Jonathana. Na stole leżała teczka z napisem „Finanse Woodyard”. Na jej okładce była plama po kawie, a kartki miały ośle uszy. Jonathan najwyraźniej siedział jakiś czas nad raportem i biedził się, by dotrzeć do końca. *Ale nawet gdyby przeczytał każde słowo, pomyślał Matthew, było mało prawdopodobne, że znalazłby potwierdzenie sumy wypłaconej Janet Holsworthy.*



Była już prawie północ, kiedy przyjechał do domu numer dwadzieścia przy Hope Street, ale przez szybkę w drzwiach wejściowych wciąż widać było światło. Zastukał mocno. Jak zwykle otworzyła mu Gaby.

– Co się stało? Znaleźliście Lucy?

– Tak – odpowiedział. – Znaleźliśmy ją. Jest Caroline?

– Owszem. Oglądamy film. – Gaby zaprowadziła go do saloniku.

Minął niecały tydzień od jego pierwszej bytności w tym domu, ale całe to miejsce, wielobarwne, zagracone, ze studencką, szykowną atmosferą, już wydawało mu się znajome. Caroline siedziała na sofie z podkulonymi nogami. Na ekranie przesuwaly się napisy końcowe. Venn odwrócił się do Gaby.

– Przepraszam, ale czy mógłbym porozmawiać z panną Preece sam na sam?

– Oczywiście. – Widział, że ma zamiar zażartować, zapytać, czemu zachowuje się tak urzędowo i sztywno, ale zmieniła zdanie.

Obrzuciła ich oboje ostatnim zaciekawionym spojrzeniem i wyszła z pokoju.

Caroline opuściła stopy na podłogę i usiadła prosto.

– O co chodzi, komisarzu? – Zdjęła okulary, wypolerowała szkła połą kardiganu i nałożyła je z powrotem. Jedyna oznaka, że mogła być zdenerwowana. Matthew przestał silić się na grzeczności.

– Wiesz, że twój chłopak dokonał napaści seksualnej na niepełnosprawną umysłowo kobietę. – To nie było pytanie. Matthew był pewien, że Craven opowiedział jej o tym, co zaszło. Natychmiast po incydencie zapewne opuścił ośrodek opieki dziennej, pobiegł do niej i wszystko wyznał. Tak wyglądały ich relacje.

– Nie sądzę, by „napaść” była właściwym słowem. – A więc była gotowa do walki. Dobrze. Był w odpowiednim nastroju do konfrontacji.

– A jakiego słowa byś użyła?

Cisza. Po chwili odezwała się:

– Nigdy więcej już nic takiego nie zrobi.

– Możesz mieć pewność?

– Tak. – Była pewna, że zdoła go skierować na właściwą drogę, że ma dość siły, aby go zmienić. Skąd brała się ta niezachwiana wiara? Z jej przekonań religijnych? Czy też od kochającego i pełnego poczucia winy ojca, który wmówił jedynej córce, że zdoła dokonać wszystkiego, co zechce?

– Wiesz, że Simon Walden dowiedział się, co się stało? Groził ujawnieniem tego? Zamierzał sporządzić testament na rzecz Woodyard, ale zmienił zdanie. Uznał, że w ten sposób godziłby się na tuszowanie sprawy. I konsultował się z prawnikiem w sprawie podjęcia kolejnych kroków. Miał dowód.

Jej twarz była biała. Nieruchoma jak kamień.

– Edward nie zabił Simona.

– Skąd wiesz?

Przez chwilę panowała cisza.

– Bo Ed był zaszokowany tak samo jak ja, kiedy dowiedział się, że Simon nie żyje. Sam mi o tym powiedział. Może jest głupcem,

trochę żalonym, ale nie kłamię. – Jej oczy za okrągłymi okularami niemal sprawiały wrażenie oczu fanatyczki. Matthew zorientował się, że Edward Craven stanie się jej życiową misją. Będzie czekała na niego, gdy ten wyjdzie z więzienia. Uznała, że zdoła go uleczyć, i upewni się, że na zawsze będzie od niej zależny. Caroline wpatrywała się w niego. – Co byś zrobił, komisarzu, gdyby ktoś, kogo kochasz, popełnił jeden głupi błąd? Gdyby zdarzyła się jedna chwila, kiedy stracił kontrolę nad sobą? Czy nie próbowałbyś go chronić?

Nie odezwał się. Nie chciał o tym myśleć. I nie był pewien, co by odpowiedział.

– Dziś w nocy ktoś usiłował utopić Lucy Braddick.

– Powiedziałam, komisarzu, że Ed nie jest zabójcą. – Widział, że była zdenerwowana.

– Ale uważam, że mógł brać udział w jej uprowadzeniu i z całą pewnością był odpowiedzialny za porwanie Christine Shapland.

Bo ludzie kierujący całą znową chcieli, aby został ściśle powiązany z planem. Edward mógł okazać się słabym ogniwiem, kimś, kto najprawdopodobniej się załamie i zacznie mówić. W ten sposób zadbaliby, żeby miał powód, by niczego nie ujawnić, upewniliby się, że będzie miał zbyt dużo do stracenia.

Znowu milczenie.

– Pokazaliśmy Chrissie jego zdjęcie. – Oczywiście nie rozpoznała Edwarda Cravena. Na fotografii był w sutannie i zwróciła uwagę na dziwną odzież, a nie na twarz mężczyzny.

– Był przerażony – odparła Caroline. – Zastraszili go. Oświadczyli, że to niezbędne, żeby znaleźć posiadane przez Simona dowody mogące doprowadzić do aresztowania Edwarda. Wmówili mu, że Lucy jest kluczem do ich znalezienia.

– Dokonał napaści seksualnej na kobietę z zespołem Downa, ale oni narazili na niebezpieczeństwo kolejną. – Może był to skutek uderzenia w głowę, ale Matthew miał wrażenie, że jego umysł kipi z wściekłości, nie tylko na Cravena i człowieka, który ogłuszył go na

wydmach, ale na całą grupę wpływowych ludzi, którzy zupełnie nie zastanawiali się nad skutkami swoich działań.

– Nic jej nie groziło! – Caroline już niemal krzyczała.

Matthew nie zwrócił na nią uwagi i mówił dalej.

– Ale Edward uprowadził nie tę kobietę, prawda?

Kiwnęła głową. Matthew odniósł wrażenie, że Caroline w jakimś stopniu pogardza nieudolnością swojego chłopaka.

– Przecież wypuścił Christine i nawet zadzwonił na policję, udając, że zobaczył ją z autobusu do Lovacott – dodała szybko. – Wiedział, że ją znajdziecie.

*Po tym, jak więził ją przez dwie noce, śmiertelnie ją przeraził i naraził jej matkę na wiele godzin cierpienia.*

– A dzisiaj rano? Czy uprowadził Lucy?

– Nie! Był w kancelarii kościelnej, miał spotkania z parafianami. Tak jak ci powiedział. Możesz u nich sprawdzić.

– W tej chwili jest na komendzie policji i zostanie oskarżony o gwałt i porwanie.

Matthew wstał. Właściwie nie był pewien, po co przyszedł do domu przy Hope Street. Być może dlatego, że właśnie tu zaczęło się dochodzenie, bo czuł, że Caroline powinno się zmusić do wzięcia jakiejś części odpowiedzialności za późniejsze wydarzenia. Gdyby przekonała swojego chłopaka, aby przyznał się do napaści na Rose natychmiast po tym zdarzeniu, Simon Walden żyłby nadal.

– Pójdę z tobą! – Wstała gwałtownie i sięgnęła po torebkę.

– Nie! – odparł. – Uważam, że wyrządziłaś już wystarczająco dużo szkód. Nie sądzisz?



Kiedy Matthew wrócił na komendę, trwało przesłuchanie Edwarda Cravena. Do powrotu Rossa i Jen siedział w celi.

– Jen z nim rozmawia – powiedział Ross. – Podwieziono ją ze szpitala. Przyjechał Maurice, Jonathan nadal jest przy Lucy. Craven

był niemal zadowolony, kiedy zobaczył funkcjonariusza, który przyszedł go aresztować. Jakby kamień spadł mu z serca.

*Lub albatros odleciał z jego karku.*

– Preece nadal tu jest?

– Tak, wezwał drogiego adwokata. – Ross milczał chwilę. – Wszyscy ci szanowani ludzie... – Prawie nie mieściło mu się to w głowie. Wychowano go w przekonaniu, że szanowani ludzie nie mogą postępować niewłaściwie.

– Właśnie tacy mają najwięcej do stracenia. Dlatego zorganizowali spisek, żeby wszystko ukryć. Gdyby poinformowali nas o napaści po tym, jak do niej doszło, Woodyard przez kilka dni byłoby na nagłówkach gazet, a potem o wszystkim by zapomniano.

– Cholernie szkoda, że Jonathana i ciebie nie było, kiedy zaatakowano Rosę Holsworthy.

– Wiem. – Jonathana nie obchodziłaby reputacja Woodyard. Przejmowałby się tylko ochroną ludzi pod jego opieką.

Zadzwoił telefon. Ross podniósł słuchawkę.

– Brytyjska Policja Transportowa zatrzymała Marstonów. Byli na stacji St. David w Exeter i czekali na pierwszy pociąg na północ. Zatrzymają ich na noc w Exeter.

– Wiemy, jak tam dotarli?

– Według faceta, z którym rozmawiałem, taksówką.

– Musimy porozmawiać z kierowcą, dowiedzieć się, o której ich zabrał. Możliwe, że uciekli z domu, ale nie sądzę, że odegrali jakąś rolę w porwaniu albo usiłowaniu morderstwa Lucy Braddick. Marston mógł być dumny, że konsultowano się z nim jako doradcą prawnym, ale nie zaangażował się tak emocjonalnie w sukces Woodyard, aby uznać, że warto z tego powodu zabić. Myślę, że zamordowanie Waldena tak blisko ich domu bardzo ich przestraszyło. Dlatego przejawiali takie chorobliwe zaciekawienie tym, co się tam działo, i tak bardzo starali się być pomocni.

Była druga w nocy. Matthew nadal był w sali z pozostałymi członkami zespołu, ale mimo to zadzwonił do Jonathana. Nie miał siły, by przejść do swojego gabinetu.



– Jesteś w domu?

– Tak. Pozwolili Lucy wrócić do Lovacott z Maurice'em. Biedny facet, szok niemal go zabił. Wygląda, jakby postarzał się o dziesięć lat. Ale jest taki szczęśliwy, że odzyskał córkę. – Pauza. – To ona się nim opiekuje, a nie na odwrót. I to on bardziej sprawia wrażenie ofiary niż ona.

– Idź spać – powiedział Matthew. – Nie skończę tu jeszcze przez wiele godzin.

Gdy wyłączał komórkę, telefon na biurku Rossa znowu zadzwonił. Po chwili Ross zasłonił mikrofon dłonią, żeby przekazać wiadomość.

– Gary Luke jest w nieoznakowanym samochodzie na placu w Lovacott. Salterowie właśnie wrócili. Zrobili rundkę, jakby sprawdzali, czy ktoś obserwuje dom, ale teraz już weszli. Chcesz, żeby ich zgarnąć?

– Jeszcze nie. Pojedziemy porozmawiać z nimi na miejscu, a potem przywieziemy ich tutaj. Jedziesz ze mną, Ross.

Obawiał się, że może zasnąć za kierownicą, a poza tym musiał mieć kogoś, kto pomoże mu utrzymać się w ryzach i panować nad sobą. Zbyt dobrze znał Salterów, aby zachować bezstronność, a nie mógł pozwolić sobie na utratę samokontroli.

– Ale powiedz Luke'owi, żeby tam został. Wątpię, że będą chcieli jeszcze gdzieś się wybrać tej nocy, ale lepiej dmuchać na zimne.





## *Rozdział czterdziesty pierwszy*

Jen Rafferty siedziała naprzeciwko Edwarda Cravena w pokoju przesłuchań. W pomieszczeniu panował chłód – regulator czasowy chyba musiał wyłączać ogrzewanie w weekendy – a sierżant była głodna. zaproponowała, że sprowadzi Cravenowi dyżurnego adwokata, ale odmówił. Umundurowany policjant, którego prawie nie znała, siedział obok niej. Dyktafon był włączony, a ona wymieniła nazwiska wszystkich obecnych.

Wikary wyglądał nieprawdopodobnie młodo, na o wiele młodszego niż w rzeczywistości, czyli na dwadzieścia siedem lat. Miał na sobie dżinsy, koszulę z wykładanym kołnierzykiem, tweedową marynarkę. Pomyślała, że jest jak elegancki student Oxbridge[7], który trafił tu z lat dziewięćdziesiątych przez zakrzywienie czasoprzestrzeni. Jego czarne buty były wyglansowane na wysoki połysk. Jen przypuszczała, że nosił je do pracy. Sprawiał wrażenie, jakby płakał. Z wysiłkiem nie dopuszczała do siebie uczucia litości, starała się myśleć o Rosie, skrzywdzonej i zagubionej, o Janet Holsworthy, zastraszonej i upokorzonej przez trzech wpływowych mężczyzn.

– Powiedz mi, co się zdarzyło. – Nauczyła się od Matthew, że w przypadku podejrzanych takich jak Craven najlepiej skutkują pytania otwarte.

– Jonathan był na wakacjach. Nazywał je podróżą poślubną. Uznał, że podopieczni ośrodka opieki dziennej w Woodyard powinni mieć kontakt z kluczowymi pracownikami, ludźmi, z którymi mogą porozmawiać o wszelkich problemach. Nie z opiekunami, z którymi mają do czynienia każdego dnia. Na wypadek gdyby któryś z nich

był despotyczny, skłonny do przemocy. – Podniósł wzrok i zobaczyła, że na jego twarzy pojawia się rumieniec. Zrozumiał ironię wypowiedzianych przez siebie słów. – Jonathan zajmował się Rosą, ale ponieważ wyjechał na wakacje, a ja akurat przyszedłem do Woodyard z wizytą, zasugerowano, abym porozmawiał z nią w jego zastępstwie.

– Rozumiem.

– Nie powinni mnie prosić, żebym to zrobił. Nie powinni stawiać mnie w tej sytuacji. Nie do tego byłem szkolony. – Wciąż się usprawiedliwiał, wymyślał historię, żeby przerzucić winę na innych.

Jen zdawała sobie sprawę, że całkowicie przestała czuć litość.

– Zbadano twoją niekaralność, mogłeś odmówić, jeżeli ta rola była dla ciebie niekomfortowa. Nie sądzę, aby Woodyard mogło brać na siebie odpowiedzialność za to, do czego doszło, prawda? – Nie odpowiedział, więc mówiła dalej: – Gdzie się z nią spotkałeś?

– Jeden z małych pokojów spotkań został specjalnie wybrany na te sesje. Urządzono go, aby był przytulny, miły. Dwa fotele. Tapety. Rosa już tam była, kiedy przyszedłem. Uśmiechnęła się i zapytała, czy dobrze się czuję. Zupełnie jakbym to ja był pensjonariuszem, a ona się mną opiekowała. Usiadłem na poręczu jej fotela, ponieważ wydało mi się, że tego chce. Tak to poczułem. Nic nie mogłem na to poradzić. Była taka... – z wysiłkiem starał się znaleźć słowo – ...taka dostępna. Znowu się uśmiechnęła. Nie był to niewinny uśmiech. Prowokujący. Seksowny.

Wyraźnie nie był przyzwyczajony do używania takiego słowa. Kolejna wymówka. Kolejne usprawiedliwienie. Jen zmusiła się, by siedzieć cicho. Chciała powiedzieć mu prosto z mostu, wykrzyzczyć to, czego nigdy nie miała odwagi powiedzieć mężowi: *Jak śmiesz obwiniać ofiarę! Przecież ty byłeś kimś z władzą. Nikt nie jest odpowiedzialny za to, co się stało, tylko ty.* Ale wyobraziła sobie, że wargi ma sklezione super glue. Niech ten człowiek wyda na siebie wyrok własnymi słowami.

Craven znowu mówił.

– Objąłem jej ramiona. Pomyślałem, że może się uspokoi. – Pauza. – Była taka miękka. – Przerwał i podniósł głowę. – Brzmi to tak, jakbym się usprawiedliwiał. Nie usprawiedliwiam się.

*Och, ale to robisz. Właśnie to robisz.* Jen nadal milczała.

– Chciałem jej dotknąć. I zrobiłem to. Powinienem być bardziej nad sobą panować, wiem. I nagle było po wszystkim. Bardzo szybko. Byłem tak bardzo zawstydzony, czułem obrzydzenie do samego siebie. Płakałem. – Spojrzał na nią.

– Zgwałciłeś ją?

– Nie powiedziałbym, że to zrobiłem. Nie tak to czułem. Nie sądzę, żebym ją skrzywdził.

– Skrzywdziłeś.

Kiwnął głową, ale wciąż nie była pewna, czy zaakceptował swoją winę.

– Uprawiałeś seks bez zgody. Powiedzmy sobie wprost: to był gwałt.

Nadal nie wydawał się gotów, by to przyznać.

– Powiedziałem jej, jak bardzo mi przykro.

– Co zdarzyło się potem?

– Starłem się ją przekonać, że to nasz sekret. Nie powiem nikomu, jeżeli ona tego nie zrobi. Tylko uśmiechnęła się i zapytała mnie znowu, czy dobrze się czuję.

– A potem?

– Nie byłem pewien, co mam robić. Poszedłem do Caroline. Właśnie skończyła sesję z podopiecznym i poszliśmy na spacer wzdłuż rzeki. Widziała, że jestem zmartwiony. Powiedziałem, że muszę przyznać się mojemu przełożonemu albo biskupowi. Nie mógłbym obecnie marzyć, żeby zostać kapłanem. Musiałbym zrezygnować. – Milczał chwilę. – Zapamiętałem, że znad rzeki wiał zimny wiatr. Lodowa krupa szczypała mnie w twarz. I wiesz co? W jakimś stopniu czułem ulgę, że będę musiał zrezygnować ze stanu duchownego, z parafii. Nie sądzę, żebym był bardzo dobrym kapłanem. Wszystko mnie przytłaczało. Wymagania. Jestem zbyt zagubiony. Za słaby.

– Ale Caroline cię przekonała?

– Powiedziała, że moim obowiązkiem jest zostać. Że mam tak wiele do dania.

*A zawsze robisz, co Caroline ci każe.*

– Powiedziała, że będzie wystarczająco silna za nas oboje.

– A ty dalej prowadziłeś swoje życie i nic nie mówiłeś.

– Tak! – Spojrzał na nią. – I pomyślałem, że ona ma rację. Naprawdę wydawało mi się to odważne. A przynajmniej łatwe.

– A kiedy dowiedziałeś się, że sprawa nie przyschła? Że dowiedziała się o niej matka Rosy?

– Christopher Preece poprosił, żebym się z nim spotkał. Wezwał mnie do swojego domu. Pomyślałem, że może zawiadomi policję albo przynajmniej zażąda mojej rezygnacji, ale powiedział, że praca wykonywana w Woodyard jest ważniejsza niż ja, ważniejsza niż moje sumienie. Miałem trzymać się z daleka od centrum, nigdy już tam nie przychodzić, nigdy nie wspominać nikomu, co zdarzyło się z Rosą. – Po chwili dodał: – Obiecałem. Co innego mogłem zrobić?

– Czy poprosił, abys trzymał się z daleka od jego córki?

– Nie! – Wydawało się, że ten fakt zdziwił Cravena w takim samym stopniu, co Jen. – Nie poprosił mnie. – Pauza. – Powiedział, że Caroline jest ze mną szczęśliwa i to wszystko, czego on pragnie. – Znowu milczenie. – Przypuszczam, że podoba mu się władza, którą ma nade mną. Oznajmił, że jeżeli kiedykolwiek zrobię coś, co zmartwi Caroline, powiadomi policję.

– Opowiedz mi o uprowadzeniu Christine Shapland. – Jen zainteresowała się, która godzina, i spojrzała na zegarek. Na dworze wciąż było zupełnie ciemno. Żałowała, że przed rozpoczęciem przesłuchania nie zadzwoniła do dzieci. Teraz oboje już spali.

– To było okropne! Straszna pomyłka!

– Zabrałeś niewłaściwą kobietę.

– Preece zadzwonił do mnie, oświadczył, że moje postęпки wróciły, aby mnie dręczyć, dręczyć Woodyard. Powiedział, że Lucy Braddick ma dowód, jest nim fragment odzieży z plamami spermy. Spódnica. Wie, gdzie się to znajduje. – Znowu się zaczerwienił,

jakby słowa były gorsze niż uprowadzenie niepełnosprawnej intelektualnie osoby dorosłej. – Kazał mi zabrać kobietę z zespołem Downa, która będzie ubrana w fioletowy kardigan. Miałem jej powiedzieć, że zawiozę ją do Lovacott, ale tak naprawdę zawieźć ją do mieszkania w Braunton.

– Kto ci dał klucze do tego mieszkania?

– Nikt. Wyjaśniono mi, że będą pod płytką obok drzwi.

– Mów dalej.

– Miałem poprosić, aby dała mi ubrania, które ukradła Rosie, albo wskazała, gdzie są, a następnie ją wypuścić. Ale tak, zabrałem niewłaściwą kobietę. Nawet tego nie potrafiłem zrobić dobrze. Nie rozumiała pytań, które jej zadawałem. Co za koszmar! Nie wiedziałem, że to nie ta, dopóki do mnie nie zadzwoniono. Zapytałem, co powinienem zrobić, i usłyszałem, że spaprałem sprawę i powinienem sam ją rozwiązać.

Jen zastanowiła się nad jego zeznaniem. Preece wiedział, że Craven wykorzystał jedną upośledzoną umysłowo kobietę, ale wysłał go samego z inną, w sytuacji, w której musiała czuć się przerażona i bezsilna.

– Czy dotykałeś Christine Shapland?

– Nie! – Pytanie wyraźnie go zaszokowało. – Oczywiście, że nie. Byłem przerażony i chciałem tylko, żeby było już po wszystkim. Panikowałem. Zostawiłem ją w mieszkaniu z jedzeniem i pić. Wiedziałem, że Preece będzie zły, jeżeli nie wydobędę tego, co chciał, ale to było okropne. Co za bałagan. Chciałem po prostu uciec, ale nie mogłem. – Podniósł głowę. Wyglądał, jakby pragnął aprobaty Jen. – Ostatecznie postąpiłem właściwie.

Znowu musiała się wysilić, by nie zareagować, ale oświadczyła spokojnym głosem:

– Zabrałeś Christine do mieszkania Simona Waldena. Ten w tym czasie już nie żył. – Zawiesiła głos na sekundę i spojrzała mu prosto w oczy. – Zabiłeś go?

– Nie! – Craven zaczął bełkotać w panice. – Nie! Nie orientowałem się, do kogo należy mieszkanie. Tylko wykonywałem



rozkazy. Nie widziałem, że Walden miał coś wspólnego z Rosą. Dla mnie był bezdomnym z problemami psychicznymi. Kimś, kto pojawił się pijany w kościele i komu pomagaliśmy. Kimś, nad kim zlitowała się Caroline.

*Jej kolejny nieudacznik. Ktoś taki jak ty, pomyślała Jen. Ale tak naprawdę nie masz nic wspólnego z Simonem Waldenem. On był po stronie aniołów.*

– Ktoś przeszukał mieszkanie Waldena po tym, jak zostawiłeś Christine w Lovacott. Czy to byłeś ty?

– Nie. – Płakał.

Jen nie mogła się zorientować, czy płacze ze strachu czy z frustracji. Z całą pewnością nie ronił łez nad Simonem Waldenem.

– Gdzie byłeś dziś po południu?

– Rano byłem z Caroline. Potem miałem szereg spotkań z parafianami. Ludźmi, którzy chcieli załatwić chrzciny i pogrzeby. Ich nazwiska i numery telefonów będą w kancelarii. Możecie do nich zadzwonić, sprawdzić.

– A potem?

– Potem spędziliśmy razem popołudnie. – Milczał chwilę. – Naprawdę nie byłbym w stanie przechodzić jeszcze raz przez to wszystko. Ten stres związany z zabraniem kobiety i zadawaniem jej pytań, których zupełnie nie rozumiała. Nie wiesz, jak to wyglądało. Byłem na granicy hysterii. Wciąż mi się to śni.

*Podejrzewam, że jej też.*

– Ktoś dziś wieczór usiłował zabić Lucy Braddick – oświadczyła Jen.

– To nie byłem ja! – wykrzyczał i zobaczyła, że Craven się rozsypuje, że opuszczają go samokontrola i rozsądek. Wiedziała, że powinna przerwać przesłuchanie, zanim doprowadzi go do załamania nerwowego. Nie wierzyła, by mógł zabić Waldena czy usiłował utopić Lucy. Nie miał dość odwagi i siły, aby uderzyć Matthew w głowę tak mocno, by go ogłuszyć. Mieli jego telefon i dzięki niemu mogli uzyskać jakieś wyobrażenie, gdzie był.

Spojrzała na zegarek.

– Przesłuchanie zakończono o godzinie drugiej w nocy. – Wstała. Czuła się brudna, musiała wziąć prysznic. Nagle chciała się znaleźć gdziekolwiek, byle nie w jednym pokoju z Cravenem.

Nieoczekiwanie spojrzął na nią spokojnie.

– Nienawidzisz mnie. Teraz wszyscy będą mną gardzić.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, i nagle przypomniała sobie słowa użyte przez jedną z uczących ją zakonnice.

– Nie gardzę tobą. Gardzę tym, co zrobiłeś, i tym, do czego to doprowadziło.

Wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie.

[7] Skrót nazw dwóch najslynniejszych wyższych uczelni brytyjskich – Oxfordu i Cambridge.





## *Rozdział czterdziesty drugi*

Jadąc do Lovacott, Matthew wciąż był podminowany, poruszony. Przeżywał koniec sprawy, szok ocalenia. We frontowych oknach wielkiego domu na placu w Lovacott się nie świeciło, ale kiedy Matthew wcisnął mocno guzik dzwonka, Dennis Salter otworzył drzwi całkowicie ubrany.

– Pewnie dziwisz się, że mnie widzisz – oznajmił komisarz. – Powinienem być martwy.

– Przykro mi, ale nie wiem, o czym mówisz. – Władczy ton. Dennis zawsze dobrze grał. Skoro Matthew żył, musiał zdać sobie sprawę, że Lucy też pewnie jest bezpieczna. Czy uważał, że będzie zastraszona i nie zechce mówić? Albo że władze nie potraktują serio zeznań kobiety z zespołem Downa? Na plaży było tak ciemno; wiedział, że Matthew nie zdoła zidentyfikować człowieka, który go uderzył, i nie ma żadnego dowodu.

– Długo jesteś na nogach – stwierdził.

– Odwiedzałem chorego.

– Tego samego brata, którego zawiozłeś na ostry dyżur w wieczór, kiedy zaginęła Chrissie?

– Już mówiłem, że nie miałem nic wspólnego z uprowadzeniem Chrissie. Doprawdy, Matthew, to prawie kwalifikuje się jako nękanie. Czy zdajesz sobie sprawę, która godzina? Jak sam powiedziałaś, jest bardzo późno i muszę się położyć.

– Wiemy, że nie uprowadziłeś Chrissie. To jeden z powodów tej wizyty. Muszę wyjaśnić, co się stało.

Dennis spojrzał na niego z rezerwą.

– Jestem pewien, że przeprosiny mogą poczekać na bardziej rozsądną porę.

– To poważna sprawa. – Matthew czuł, jak jego cierpliwość się wyczerpuje, rwie jak kawałek zetłatego materiału. – Muszę porozmawiać z tobą i Grace.

– Nie możesz mówić z Grace. Śpi od wielu godzin.

– Nie kłam, Dennisie. – Wiedział, że prawie krzyczy, ale nie dbał o to. – Obserwowaliśmy dom. Wiemy, że wróciliście czterdzieści pięć minut temu. A teraz wpuścisz mnie i mojego kolegę czy nadal mam krzyczeć i zbudzić wszystkich sąsiadów?

Dennis cofnął się i wpuścił ich do środka. Grace stała na dole schodów i obserwowała gości.

– Możemy przejść do kuchni? – odezwał się Matthew. Przejął kontrolę. Zapanował nad ich terytorium. – Będzie nam tam wygodniej, to może trochę potrwać. O tej porze pewnie przydałaby się jakaś kawa, żebyśmy nie zasnęli.

Przecisnął się obok Dennisa i ruszył w głąb domu. Wszystko było tu tak, jak zapamiętał. Stół przykryty zieloną ceratą, dwa fotele, a w drugim końcu kuchenka i zlew. Okno było zasłonięte, ale wiedział, że wychodziło na niewielki, ogrodzony murem ogród z bramą do zaułka. Usiadł przy stole i gestem polecił Dennisowi oraz Grace, aby zajęli miejsca w fotelach. Niekiedy po spotkaniach Bractwa jego tato i Dennis Salter wypijali tu po kropelce whisky. Ojciec lubił Saltera, podziwiał go, byli przyjaciółmi. Myśl o tym sprawiła, że poczuł mdłości.

– Ross, włącz czajnik.

Zanim odezwał się znowu, poczekał, aż rozpuszczalna kawa będzie gotowa.

– Widzę, że oboje macie pantofle. To bardzo rozsądne zmieniać obuwie zaraz po wejściu do domu. Zawsze usiłuję przekonać Jonathana, mojego męża Jonathana, że to byłby dobry zwyczaj. Bardzo skandynawski. – Wiedział, że mówi nieskładnie i zastanawiał się, czy jest to skutek uderzenia w głowę. Umilkł na chwilę i wypił łyk naprawdę obrzydliwej kawy. – Mój funkcjonariusz musi zobaczyć

buty, które mieliście na nogach, kiedy wróciliście wieczorem do domu. Nie ruszajcie się. Znajdźcie je sam, jeżeli mu powiecie, gdzie są.

Dennis i Grace popatrzyli na siebie i Matthew już wiedział, że byli na plaży, skrępowali Lucy Braddick i zaciągnęli ją poniżej linii przyływu w nadziei, że utonie. Na podeszwach ich butów będzie piasek, nawet jeżeli wytarli je dokładnie przed wejściem do domu. Przez moment zastanawiał się, co pomyśli jego matka, gdy dowie się o wszystkim. Czy choć trochę nadweręży to jej wiarę w Bractwo? A może zawsze domyślała się, że Salter jest tyranem i despota, ale nic nie mówiła, bo za bardzo obawiała się rozgniewać Bractwo? Czy jej lojalność wobec sekty była ważniejsza niż cokolwiek, co mógł zrobić?

Ross wyszedł z kuchni, nie czekając, aż się odezwą.

– Dziś w nocy ktoś usiłował mnie zabić – oświadczył Matthew.

– I uważasz, że to byłem ja? Doprawdy, Matthew, chyba zwariowałaś. Twoja matka mówiła, że stres związany ze studiami na uniwersytecie wpędził cię w chorobę. Mam wrażenie, że to śledztwo stało się dla ciebie zbyt wielkim obciążeniem. – Salter roześmiał się dziwnie.

Matthew, który nigdy w życiu nie miał gwałtownych odruchów, nagle wyobraził sobie, jak uderza Saltera pięścią, słyszy głuche uderzenie, widzi krew płynącą z rany na jego twarzy i sterczące z niej białe odłamki. Ale w tej samej chwili zorientował się, że Salter to właśnie chciał osiągnąć. Doprowadzić Matthew do szaleństwa. Kto uwierzy w oskarżenia niezrównoważonego psychicznie furjata i kobiety z zespołem Downa? Czy tak właśnie kontrolował Grace przez całe jej życie? Groźbą, że jeżeli wystąpi przeciwko niemu, ludzie uznają ją za wariatkę?

– Pozwól, że opowiem ci pewną historię. – Matthew mówił spokojnie. Gwałtowne pragnienie użycia przemocy minęło, ale wciąż czuł napięcie, umysł miał jasny, czuł w sobie moc barda, kaznodziei. Przykuł uwagę siedzącej przed nim pary, zafascynował ich. – Pewnego razu do Barnstaple przybył dobry człowiek. Był smutny

i zagubiony, a kiedy sprowadził się do domu dwóch młodych kobiet, pomyślał, że znalazł zbawienie. Jedna prowadziła jego terapię, a druga pracowała w Centrum Woodyard. Ciężko mu poczucie winy, ponieważ zabił w wypadku drogowym dziecko, ale zaczął odmieniać swoje życie. Zaczął podejrzewać, że w Woodyard miało miejsce wykorzystywanie seksualne. Być może kiedy po raz pierwszy przybył do kościoła, usłyszał rozmowę sprawcy ze swoją dziewczyną, oni zaś uznali, że jest zbyt pijany, aby zrozumieć, co mówią. A być może wszystkie jego informacje pochodziły od kobiety z zespołem Downa, z którą zaprzyjaźnił się w barku w Woodyard. – Podniósł wzrok. – To prawdziwa historia, musicie więc powiedzieć mi, gdzie się pomyliłem.

Zobaczył Rossa wchodzącego do kuchni. W jednym ręku trzymał damskie adidas, a męskie buty turystyczne w drugiej. Włożył je do dużej torby na dowody rzeczowe i zdjął rękawiczki. Krótkim kiwnięciem głową potwierdził, że jest piasek na ich podeszwach. Salterowie wciąż patrzyli jak w transie na Matthew, czekając, by mówił dalej.

– Simon Walden przeprowadził swoje śledztwo. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Kim w końcu był? Bezdolnym alkoholikiem, który zmarnował swoje życie. Ale chciał zrobić coś ważnego, naprawić zło. Jak byś to nazwał, Dennisie? Zadośćuczynieniem? Pragnieniem odkupienia grzechów?

Spojrzał na Saltera, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– Kilka tygodni przed swoją śmiercią Simon zaczął przyjeżdżać autobusem tutaj, do Lovacott. Początkowo myślałem, że miał dzięki temu możliwość rozmawiać z Lucy. Poprosił ją o pomoc, ponieważ była przyjaciółką Rosy Holsworthy, ofiary napaści seksualnej. I jestem pewien, że omówili plany. Ale nie dlatego tu jeździł. W każdy wieczór wysiadał z autobusu i siedział w pubie po przeciwnej stronie placu. W „Złotym Runie”. Właścicielka myślała, że jest zakochanym, który czeka na kobietę. I każdego wieczoru przeżywał rozczarowanie, ponieważ kobieta się nie zjawiała, a potem wracał autobusem do Barnstaple. – Matthew zorientował się, że Ross też



słucha go uważnie. Pewne elementy tej historii były dla niego nowością.

– Simon rzeczywiście czekał na kobietę. Ale nie na kochankę. – Przerwał i spojrzał na Grace. – Skąd w ogóle wiedział, że istniejesz?

– Och, Dennis opowiada o mnie – powiedziała Grace. W jej głosie zabrzmiały ostre nutki. – Jestem jednym z powodów, dla których tak go podziwiają. Oddana żona w domu. Żona z problemami psychicznymi, którą się opiekuje. Jestem częścią tej historii.

– Jak się poznaliście?

– Przyszedł tutaj – odparła – kiedy wiedział, że Dennis był na zebraniu zarządu.

Salter patrzył w przestrzeń z beznamiętnym wyrazem twarzy.

– I poprosił cię o pomoc, prawda, Grace? Nie zdawał sobie sprawy, jak okrutny potrafi być Dennis, jak dominujący. Uznał cię za silną kobietę, zdolną do podejmowania własnych decyzji. Pomyślał, że kiedy dowiesz się, co się dzieje, że Preece i Dennis ukrywają napaść seksualną na niepełnosprawną intelektualnie kobietę, będziesz gotowa działać.

– Wyjaśniłam, że nie mogę mu nic powiedzieć – oznajmiła Grace. – Nic nie mogłam zrobić.

– Ale nie zrezygnował, prawda? Oświadczył, że będzie w „Runie” co wieczór do chwili, kiedy będziesz gotowa z nim porozmawiać. I na tydzień przed jego śmiercią zebrałaś się na odwagę i poszłaś tam. Powiedziałaś mu, co wiesz?

– Poszliśmy na spacer – odparła. – Nad staw, gdzie znalazłeś Chrissie. Wciąż było jak w zimie, tuż przed nadejściem dobrej pogody. Na wodzie był cienki lód. Szron na drzewach. – Milczała chwilę. – Nie mogłam pozwolić, aby zobaczono mnie, jak rozmawiam z nim w pubie. Ktoś mógłby donieść Dennisowi. Tak bardzo go poważają w Lovacott. Uważają go za wielkiego człowieka, życzliwego. – Znowu w jej głosie pojawiła się emocja, szydercze tony.

– I powiedziałaś Simonowi, co wiesz?

Skinęła głową.

– Powiedziałam. – Ponownie pauza. – Simon *był* dobrym człowiekiem. Chciał postąpić właściwie.

– Czy Dennis dowiedział się, że rozmawiałaś z Waldenem? Dlatego Simon Walden musiał umrzeć?

Zapadła cisza. Nie było słychać ruchu ulicznego. Śpiewu ptaków. I nagle rozległ się głos Dennisa, jak zawsze przyjazny i przekonujący.

– Nie możesz wierzyć w to, co mówi Grace. Wiesz o tym. Zawsze była niestabilna emocjonalnie, ulegała dziwnym fantazjom.

– Powiedziałam Dennisowi – przyznała Grace. – Dotarł do domu, nim wróciłam, i chciał wiedzieć, gdzie byłam. Nie potrafię go okłamać. Wie, kiedy nie mówię prawdy. Już nie panuję nad moim życiem. Powiedział, że postąpiłam niegodziwie, opowiadając Waldenowi o naszych interesach. Że on może zniweczyć całe wielkie dzieło Woodyard. Gdyby zginął, może byłaby to jakaś forma ofiary. Mogłaby posłużyć większemu dobru.

– Nie zabiłem Simona Waldena. – Dennis wciąż był pewny siebie i wyluzowany. – Wiesz dobrze, Matthew. Mówiłem wtedy o życiu twojego ojca na jego pogrzebie. W obecności twojej matki i wielu jego przyjaciół. Spędziłem cały ranek z twoją matką. Czułem, że potrzebuje mojego wsparcia. – Pauza. – Ponieważ ty nie byłeś w stanie jej go udzielić. W innych okolicznościach, gdybyś był bardziej czułym synem, sam mógłbyś być na nabożeństwie, żeby za mnie zaręczyć.

Matthew nie powiedział, że *był* tam, w każdym razie stał obok kaplicy cmentarnej i pożegnał się z ojcem na swój sposób.

– Ale wcale nie musiałeś zabijać Simona Waldena, prawda, Dennisie? Po prostu dałeś Grace do zrozumienia, że byłoby dobrze, gdyby umarł. Jak powiedziała, panujesz nad jej życiem. Jak władca marionetek. Jak król, który dał do zrozumienia, że życzyłby sobie, aby Tomasz Becket został zabity w Canterbury, ty też, nie brudząc sobie rąk, uruchomiłeś ciąg wydarzeń, które doprowadziły do morderstwa. Bo twoja żona nie ma już własnego życia. Nie miała go

od lat. Tak się ciebie boi, że zrobi wszystko, co chcesz. – Odwrócił się do kobiety i powiedział łagodnie: – Zrobiłaś to, Grace? Zabiłaś go?

Odwróciła się od męża i zaczęła mówić.

– Simon dał mi numer swojej komórki. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że znalazłam coś, co obciąży zarząd powierniczy. Kopię czeku, który dali matce Rosy. Umówiliśmy się na spotkanie.

– Dlaczego wybrałaś Crow Point?

– Bywałam tam z rodzicami. Mieli małą łódź, którą trzymali w Instow. Kiedy byłam małą dziewczynką, urządzaliśmy tam pikniki. Pomyślałam, że to dobre miejsce, by umrzeć. Sama chciałabym tam umrzeć, słuchając wiatru i fal.

– Jak się tam dostałaś?

– Pojechałam samochodem Dennisa. On sam zabrał się na pogrzeb z przyjacielem. Potrafię prowadzić, choć obecnie rzadko to robię. Jestem zdolną kobietą. – Pauza. – *Byłam* zdolną kobietą.

– A co z Christine? Zabiłaś Waldena dzień przed jej porwaniem, a więc była wówczas u was. Tego dnia nie pojechała do Woodyard.

– Zostawiłam ją w domu. Oglądała telewizję. – Grace mówiła bardzo spokojnie. – Była całkiem zadowolona, a wiedziałam, że wyjeżdżam na krótko. Zamierzałam wrócić, zanim Dennis zjawiłby się w domu.

– A więc pojechałaś do Braunton. Co stało się później?

– Nie pojechałam płatną drogą. – odparła Grace. – Dennis zaprzyjaźnił się z małżeństwem mieszkającym w tamtym domku i pomyślałam, że mogą rozpoznać samochód. Zaparkowałam po drugiej stronie cypla, od strony morza, za wydrami Braunton Burrows, i poszłam na piechotę. Simon czekał na mnie. Zobaczyłam go z daleka. Patrzył przed siebie. – Podniosła głowę. – Uważam, że Dennis ma rację i jestem szalona. Muszę być szalona.

Matthew wyobraził ją sobie, chudą i niezgrabną, z jasnymi włosami jak u stracha na wróble i pustym spojrzeniem, idącą po piasku w kierunku człowieka, którego miała zabić.

– Nic o tym nie wiedziałem. – Dennis odezwał się po raz pierwszy od chwili, gdy Matthew zaczął swoją opowieść. Głos miał taki, jaki Matthew zapamiętał z dzieciństwa. Głęboki i dźwięczny. Głos Boga. – Oczywiście nie byłem zadowolony, gdy Grace bez mojej wiedzy poszła rozmawiać z Waldenem o naszych sprawach, ale nie groziłem jej. Sugestia, że poprosiłem ją, aby go zabiła, jest absurdalna.

Grace zignorowała go. Zupełnie jakby się nie odezwał.

– Wzięłam ze sobą nóż, miałam go w torebce. Zwykły nóż kuchenny. Przed wyjściem z domu naostrzyłam go. Chciałam, żeby szybko było po wszystkim. – Spojrzała na Matthew. – I było szybko. Nie miał pojęcia, co się stało.

– A kiedy było już po wszystkim, co zabrałaś?

– Wszystko, co pomogłoby go zidentyfikować. Telefon i portfel. List zaadresowany do niego. Z adresem w Braunton. – Grace znów podniosła głowę. – Wiesz, Matthew, w tym momencie myślałam zupełnie jasno. Być może wcale nie byłam szalona. Nie może być żadnego usprawiedliwienia.

– Zabrałaś też klucz?

– Tak. Miał przy sobie klucz. Przyniosłam go do domu. Od tej pory go nie widziałam.

– Czemu to zrobiłaś? – Matthew nagle poczuł się odprężony, niemal zdekoncentrowany. To był niemal koniec. Wkrótce wróci do domu na wybrzeżu i do Jonathana. Będą leżeli w łóżku i patrzyli, jak słońce wstaje nad mokradłami.

– Pojechałam z powrotem i byłam w domu tuż przed Dennisem. Powiedziałam mu, co zrobiłam.

– A jak zareagował Dennis? – Matthew usiłował to sobie wyobrazić. Grace otwiera drzwi mężowi, ma piasek na butach, krew na rękach. Spotkanie w mrocznym korytarzu, wyjaśnienia. A przez cały ten czas Christine Shapland siedziała w kuchni na tyłach domu i oglądała telewizję. Czy Salter był zadowolony? Czy przerażony?

– Powiedział, że powinniśmy się modlić.

Znowu zapadła cisza głęboka i gęsta. Matthew nie mógł się zmusić i zapytać, o co się modlili. O wybaczenie? Za duszę Waldena? A może o to, aby ich nie zdemaskowano?

– Gdzie byliście w ostatni wieczór? – Matthew ukrył gniew, używając swobodnego tonu, jakby interesował się tym tylko z uprzejmości.

– Na obiedzie u przyjaciół. – Dennis przejął inicjatywę. Sytuacja stawała się dla niego niebezpieczna. Był zaangażowany w próbę zabójstwa Lucy Braddick co najmniej w tym samym stopniu, co jego żona, i mógłby opracować swoją wersję wydarzeń. Być może częściowo przekonałby sam siebie, że była to prawda. Ale wtedy napatoczył się Matthew, wchodząc na wydnię. Gdyby chmury się rozstały i zaświecił księżyc, mógłby znaleźć Lucy. Ale tu nie chodziło o niego.

– Jakich przyjaciół?

– Colina i Hilary Marstonów. Możesz ich znać. Jesteście niemal sąsiadami. Niedawno przyjechali w te okolice, ale Colin stał się cennym członkiem Woodyard.

Matthew kiwnął głową. Było jeszcze za wcześnie, by powiedzieć mu, że Marstonów zatrzymano w Exeter i chociaż mogli pozwolić mu korzystać z domu, Salter nie był w stanie uwikłać ich w próby popełnienia morderstw. To mogło poczekać na oficjalne przesłuchanie.

– Twój samochód widziano wyjeżdżający z dużą prędkością zza szpaleru drzew. Wkrótce po napaści na mnie. Możesz to wyjaśnić?

Milczenie. Czy Salter zaczął zdawać sobie sprawę, że tym razem nie zdoła się wykręcić, że jego władza i urok osobisty mogą już nie wystarczyć?

– To musi być jakaś pomyłka. To nie byliśmy my.

– A w czasie dnia? Czy w ogóle byliście w Barnstaple?

Dennis milczał. Nie był pewien, jak wiele Matthew wie. Nie chciał zostać przyłapanym na ewidentnym kłamstwie.

Komisarz mówił dalej.

– Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że większa część ulic miasta jest objęta monitoringiem?

– W soboty często jeździmy do Barnstaple, żeby zrobić zakupy.

– Lucy Braddick została uprowadzona z głównej ulicy. Była tam z ojcem i na chwilę się od niego oddaliła. Ktoś odwrócił uwagę innych, udając, że upadł. – Milczał chwilę. – Ktoś ubrany w dżinsy i adidasy, takie jak te należące do twojej żony.

Dennis wciąż zastanawiał się nad odpowiedzią, gdy Matthew kontynuował. Był już zmęczony, a to były tylko gierki słowne. Wiedział, co się stało. Salter nie zdołałby sam porwać Lucy. Musiał przekonać Grace, aby mu pomogła, i jak zawsze spełniła jego polecenie.

– Czy zobaczyliście Lucy i Maurice'a w mieście i skorzystaliście z okazji? Czy może wiedziałeś, że tam będą? To właśnie robią w większość sobót; musiałeś o tym wiedzieć. Od lat mieszkacie w tej samej wiosce.

Dennis patrzył przed siebie. W sąsiednim ogrodzie zaszczekał pies.

– W jaki sposób skłoniłeś Marstonów, żeby ci pomogli? – Matthew już się rozkręcił. Nic nie mogło go zatrzymać. – Obiecałeś Colinowi posadę w zarządzie Woodyard? Stanowisko etatowego administratora? Nigdy nie akceptowałeś Jonathana, prawda? A może jakoś im wmówiłeś, że Lucy jest niebezpieczna dla siebie samej? Albo powiedzieliście im, że to ona zabiła Simona Waldena? Uwierzyliby we wszystko o kobiecie z zespołem Downa. Bez względu na powód, pozwolili ci przetrzymywać ją w swoim domu.

Tym razem Dennis zareagował. Wstał z rękami założonymi na piersi i spojrzał z góry na Matthew. Twarz miał bardzo bladą, na szyi pulsowała mu żyła. Próbował zapanować nad sytuacją. Matthew pomyślał, że przez całe życie wszyscy podporządkowywali się Salterowi. Upajał się uwielbieniem swoich wiernych i zastraszał ludzi, zmuszając do posłuszeństwa tych, których nie mógł przekonać, aby go kochali. Nawet teraz nie mógł uwierzyć, że Matthew mu się postawił.

– To bardzo nieprzepisowe. Nie możesz mówić do mnie w taki sposób w moim własnym domu i bez obecnego adwokata. Rzucić dzikich oskarżeń. Jest środek nocy.

Matthew też wstał.

– Ma pan całkowitą rację, panie Salter. Musimy zrobić to na komendzie policji i po oficjalnym pouczeniu. Posterunkowy May odczyta obojgu wasze prawa. Zostaniecie aresztowani za usiłowanie morderstwa Lucy Braddick i zamordowanie Simona Waldena. Ross, proszę wezwać samochód policyjny, żeby ich stąd zabrał. Nie ma powodu, dla którego sąsiedzi nie mieliby wiedzieć, co się dzieje. Wkrótce przeczytają o tym w „Journal”.



Kiedy wrócili na komendę, Jen wciąż tam była. Nagle do pokoju spokojnym krokiem wszedł Joe Oldham. Jego obecność po godzinach była tak nietypowa, że Matthew zastanawiał się, czy przypadkiem nie objawiły się w końcu skutki wstrząśnienia mózgu i szef nie jest halucynacją.

– Słyszałem, że już po wszystkim – oznajmił nadkomisarz. – Dobra robota, wszyscy. Teraz idę spać, a jutro nadrobimy zaległości.  
– Wyjął z teczki pół butelki whisky i trzy plastikowe kubeczki, postawił je na stole i wyszedł jak miły misio zagubiony w lesie.

Zebrawali się w gabinecie Matthew, każde z małym kubeczkiem whisky. Jen przycupnęła na jego biurku, a Ross opierał się o drzwi. Wszyscy wydawali się zbyt zmęczeni, aby utrzymać się na nogach.

– Powinnaś iść do domu – zwrócił się Matthew do Jen.

Pokręciła głową.

– Chciałam zobaczyć wszystko do końca. Jak ich wsadzamy. Mamy dość, żeby ich skazali, prawda?

– W przypadku Salterów i Cravena na pewno. Lucy nadal ma spódniczkę Rosy schowaną w szufladzie w swojej sypialni. Maurice znalazł ją dziś wieczorem. Nie jestem pewien, jeżeli chodzi o Preece'ów i Marstonów. Mogą twierdzić, że to, co robili, tuszując

napaść seksualną na Rosę Holsworthy, nie było przestępstwem. Na pewno będą wszystkim wmawiać, że działali w najlepszym interesie Rosy i w interesie Woodyard.

Ross przestąpił z nogi na nogę.

– Uważacie, że Walden postąpił właściwie, wyciągając całą tę sprawę? Gdyby jej nie ruszał, nadal by żył, a Lucy i Chrissie nie byłyby narażone na te traumatyczne przeżycia.

Jen odwróciła się do niego. Rude włosy zawirowały wokół jej głowy.

– Naprawdę tak myślisz? Zamieść wszystko pod dywan i nie będzie sprawy? Tak właśnie uważali faceci z Woodyard. Jesteś jednym z nich?

– Nie – odparł Ross. – Ale miał obsesję na punkcie sprawy Rosy i nie jestem do końca pewien dlaczego. Miał nowe życie. Piękną kobietę. Nawiązywał przyjaźnie. Jeżeli był tak dobrym kucharzem, jak wszyscy mówią, w sezonie dostałby gdzieś posadę szefa kuchni. Nie mogę zrozumieć, dlaczego pozwolił, aby obsesja zawładnęła jego życiem.

– Bo wiedział, jak ważne jest mówienie prawdy. – Jen odwróciła się przodem do pokoju. – I z powodu poczucia winy, które dźwigał, od kiedy zabił dziecko w wypadku drogowym. Ponownie zapoznałam się z aktami. Jego żona w rozmowie ze mną powiedziała coś ważnego. *Takie dziecko. Tak bezradne.* I jeszcze niejednoznaczna reakcja rodziców dziecka na wiadomość o śmierci Waldena. – Milczała chwilę. – Miało uszkodzenie mózgu. Było poważnie upośledzone i przed wypadkiem pozostało mu tylko kilka miesięcy życia. To była dla niego osobista sprawa. Był ogarnięty obsesją jeszcze przed sprawą Rosy.







## *Rozdział czterdziesty trzeci*

Matthew wrócił do domu, gdy był już ranek. Bezwietrzny, wiosenny dzień. Jonathan zgodnie z obietnicą nie położył się spać, ale drzemał w fotelu na biegunach w salonie. Ogień w kominku zgasł, zasłony były zaciągnięte. Na podłodze obok niego stała szklanka, ale poza tym w domu było czysto, kuchnia została wysprzątana. Jonathanowi nie przeszkadzał nieporządek, ale wiedział, że Matthew nie cierpi, gdy po powrocie zastaje bałagan w domu.

Venn rozsunał zasłony, wpuszczając do pokoju światło. Jonathan poruszył się. Spojrzał na Matthew.

– Już po wszystkim?

– Tak. Po wszystkim.

– Pomyślałem, że moglibyśmy kiedyś odwiedzić moich rodziców – oświadczył Jonathan. – Na jakiś czas oddalić się od wybrzeża. Przespacerować się po wrzosowiskach.

– Rozproszyć zamęt w głowie. – Matthew powiedział to lekkim tonem. Jonathan rzadko kiedy jeździł na farmę i kiedy to robił, były to wizyty obowiązkowe: urodziny albo czas przed Bożym Narodzeniem.

– Zbudować mosty – dodał Jonathan. – Kiedy zobaczyłem Maurice'a i Lucy razem, pomyślałem, że należałoby trochę bardziej się wysilić.

Matthew wiedział, co zaraz usłyszy, i powiedział to pierwszy.

– Może któregoś dnia powinienem zaprosić moją matkę na niedzielny lunch.

– Wydaje się, że nadeszła właściwa pora.

Przez chwilę panowała cisza. Na zewnątrz fale łamały się na wybrzeżu i krzyczały mewy.





# *Podziękowania*

Mam łatwiejsze zajęcie: siedzę przy kuchennym stole i opowiadam historie. Trudną pracę – doprowadzenie książki do czytelników – wykonuje wspaniały zespół po obu stronach Atlantyku i dalej. A więc ogromne podziękowania dla Pan Mac w Londynie, a zwłaszcza dla Vicki, Charlotty, Natalie, i Anny, a także przedstawicieli handlowych, którzy wędrują tam i z powrotem po autostradach, nawiązując relacje z księgarzami. Tak samo dziękuję zespołowi Minotaura w Nowym Jorku, a zwłaszcza Catherine, Sarah i Martinowi. Moi agenci Sara i Moses są zawsze przy mnie, aby wesprzeć mnie radą i dobrym humorem – nie do końca wiem, kiedy śpią. Maura jak zawsze była zdumiewająca, chociaż zapewne nigdy jej nie wybaczę, że mnie opuściła! Dziękuję bibliotekom i księgarzom, którzy sprawiają, że wciąż czytam i piszę. A na koniec specjalne podziękowania dla czytelniczki Jacquie White, która dała mi odwagę zmierzyć się z tym tematem.







# *Spis treści*

[Rozdział pierwszy.](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty.](#)

[Rozdział piąty.](#)

[Rozdział szósty.](#)

[Rozdział siódmy.](#)

[Rozdział ósmy.](#)

[Rozdział dziewiąty.](#)

[Rozdział dziesiąty.](#)

[Rozdział jedenasty.](#)

[Rozdział dwunasty.](#)

[Rozdział trzynasty.](#)

[Rozdział czternasty.](#)

[Rozdział piętnasty.](#)

[Rozdział szesnasty.](#)

[Rozdział siedemnasty.](#)

[Rozdział osiemnasty.](#)

[Rozdział dziewiętnasty.](#)

[Rozdział dwudziesty.](#)

[Rozdział dwudziesty\\_pierwszy.](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty.](#)

[Rozdział dwudziesty piąty.](#)

[Rozdział dwudziesty szósty.](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy.](#)  
[Rozdział dwudziesty ósmy.](#)  
[Rozdział dwudziesty dziewiąty.](#)  
[Rozdział trzydziesty.](#)  
[Rozdział trzydziesty pierwszy.](#)  
[Rozdział trzydziesty drugi.](#)  
[Rozdział trzydziesty trzeci.](#)  
[Rozdział trzydziesty czwarty.](#)  
[Rozdział trzydziesty piąty.](#)  
[Rozdział trzydziesty szósty.](#)  
[Rozdział trzydziesty siódmy.](#)  
[Rozdział trzydziesty ósmy.](#)  
[Rozdział trzydziesty dziewiąty.](#)  
[Rozdział czterdziesty.](#)  
[Rozdział czterdziesty pierwszy.](#)  
[Rozdział czterdziesty drugi.](#)  
[Rozdział czterdziesty trzeci.](#)  
[Podziękowania](#)



# Ann Cleeves

Przełożył  
Stawomir Kędzierski

## DŁUGI ZE W

*Tytułowy długi zew to krzyk mewy srebrzystej: złowieszcy i przyprawiający o gęsią skórę. Taka też jest najnowsza powieść Ann Cleeves. Czytałem ją z narastającą trwogą, ale też zafascynowana tak znakomicie poprowadzoną historią. Hipnotyzująca lektura!*

Marta Matyszczak

